

KRISTIN  
HANNAH

POMIĘDZY  
SIOSTRAMI

*Dedykuję mojej siostrze, Laurze,  
i ojcu, Laurence 'owi,  
oraz jak zawsze Benjaminowi i Tuckerowi.  
Kocham was wszystkich*

*Nie widzimy rzeczy takimi, jakimi są, postrzegamy je poprzez to, kim sami jesteśmy.*

Anafs Nin

*Jeśli odpowiedzią jest miłość, czy mogłabyś inaczej sformułować pytanie?*

Lily Tomlin

# 1

Doktor Bloom cierpliwie czekała na odpowiedź.

Meghann Dontess odchyliła się na oparcie fotela i oglądała paznokcie. Czas na manikiur. Już dawno.

- Harriet, staram się zbyt dużo nie czuć. Wiesz o tym. To tłumi radość życia.

- Czy dlatego od czterech lat spotykasz się ze mną co tydzień?

- Na twoim miejscu bym tego nie podkreślała. Niezbyt dobrze to świadczy o twoich umiejętnościach psychoterapeuty. Wiesz, niewykluczone, że kiedy tu przyszłam, byłam całkiem normalna, a ty zrobiłaś ze mnie wariatkę.

- Znowu zasłaniasz się poczuciem humoru jak tarczą.

- Przeceniasz mnie. To wcale nie było zabawne.

Harriet nie uśmiechnęła się.

- Mało kiedy wydajesz mi się zabawna.

- I tu pasuje mój sen o tym, jak wygłaszam na scenie satyryczny monolog.

- Porozmawiajmy o tamtym dniu, kiedy rozdzielono cię z Claire.

Meghann nerwowo poprawiła się w fotelu. Miała pustkę w głowie, akurat gdy przydałaby się zręczna riposta. Wiedziała, do czego Harriet zmierza, a Harriet z kolei zdawała sobie sprawę, że ona to wie. Jeśli nie odpowie, pytanie padnie ponownie.

- Rozdzielono. Elegancko i zgrabnie ujęte. Odseparowano. Niezłe, lecz ten temat został zamknięty.

- Ciekawe, że utrzymujesz kontakt z matką, a dystansujesz się od siostry.

Meghann wzruszyła ramionami.

- Mama jest aktorką. Ja prawnikiem. Stwarzanie iluzji łątowo nam przychodzi.

- To znaczy?

- Czytałaś kiedyś jeden z jej wywiadów?

- Nie.

- Opowiada wszystkim, że byliśmy biedną, lecz kochającą się rodziną. Dla wygody udajemy, że to prawda.

- Mieszkałyście w Bakersfield, kiedy zakończyła się ta sielanka?

Meghann nie odpowiedziała. Harriet naprowadzała ją z powrotem na bolesny temat niczym szczura zapędzonego do labiryntu.

- Claire skończyła wtedy dziewięć lat - ciągnęła. - O ile dobrze zapamiętałam, brakowało jej kilku zębów, no i miała kłopoty z matematyką.

- Przestań. - Meghann zacisnęła palce na gładkich drewnianych poręczach fotela.

Harriet wbiła w nią wzrok. Patrzyła nieruchomo spod szerokich, czarnych brwi. Małe okrągłe okulary powiększały jej oczy.

- Nie wycofuj się, Meg. Czynimy postępy.

- Jeszcze trochę, a będzie potrzebna karetka. Powinniśmy rozmawiać o mojej działalności zawodowej. Wiesz, że z tego powodu tu przychodzę. Praca w sądzie rodzinnym łączy się z ogromnym napięciem. Wczoraj pewien miły tatuś zajechał do mnie ferrari, po czym przysięgał, że nie ma złamanego grosza. Mydłek. Nie chce pokryć chesnego córki. Zdziwi się, bo nagrałam jego przyjazd na kasetę wideo.

- Dlaczego mi płacisz, skoro nie chcesz rozmawiać o źródle twoich problemów?

- Nie mam problemów, tylko rozterki. I nie widzę sensu grzebania w przeszłości. Skończyłam szesnaście lat, kiedy to wszystko się wydarzyło. Teraz mam czterdzieści dwa. Czas za-

czyć patrzeć przed siebie. Zrobiłam, co należało. Teraz to już nie jest istotne.

- W takim razie dlaczego ciągle powraca tamten zły sen?

Meghann nerwowo obracała na nadgarstku srebrną bransoletką od Davida Yurmana.

- Śnią mi się również koszmary o pająkach w słonecznych okularach od Oakleya. Ale o to nigdy nie pytasz. O, a w zeszłym tygodniu przyśniło mi się, że siedzą zamknięta w szklanym pokoju, który ma podłogę z bekonu. Słyszą płacz, ale nie mogą znaleźć klucza. Chcesz porozmawiać o tym śnie?

- Uczucie izolacji. Świadomość, że ludzie cierpią z powodu twojego postępowania albo że za tobą tęsknią.

- Cholera! - Powinna była to przewidzieć. W końcu zrobiła licencjat z psychologii. Nie mówiąc już o tym, że kiedyś uważano ją za cudowne dziecko.

Zerknęła na zegarek w platynowo-złotej kopercie.

- Fatalnie, Harriet. Czas się skończył. Chyba będziemy musiały zająć się moimi nieznośnymi obsesjami w przyszłym tygodniu. - Podniosła się z fotela i wygładziła nogawki granatowego spodniemu od Armaniego, chociaż trudno byłoby znaleźć najmniejsze zagniecenie.

Harriet powoli zdjęła okulary.

Meghann instynktownie skrzyżowała ramiona w obronnym geście.

- Pewnie dobrze mi to zrobi.

- Jesteś zadowolona z życia, Meghann?

Tego się nie spodziewała.

- Dlaczego nie mam być zadowolona? Jestem najlepszą specjalistką od spraw rozwodowych w całym stanie. Mieszkam...

- ...sama...

- ...w obłędnym kondominium tuż przy Public Market i jeżdżę nowiutkim porsche.

- Przyjaciele?

- W każdy czwartkowy wieczór rozmawiam przez telefon z Elizabeth.

- Rodzina?

Może czas zmienić psychoterapeutkę. Harriet odkryła wszystkie słabe punkty.

- Mama siedziała u mnie przez tydzień w zeszłym roku. Jeśli mi się poszczęści, przyjedzie z kolejną wizytą wtedy, kiedy będą pokazywać kolonizację Marsa w MTV

- A Claire?

- Mamy z siostrą pewne problemy. Przyznaję. Ale to nic poważnego. Po prostu jesteśmy zbyt zajęte, żeby się spotykać. - Ponieważ Harriet nie zareagowała, Meghann czym prędzej wypełniła ciszę. - No dobra. Sposób, w jaki ona marnuje życie, doprowadza mnie do szaleństwa. Jest bystra, mogłaby robić, co tylko zechce, tymczasem tkwi na tym zapyziałym kempingu, który nazywają kurortem.

- Ze swoim ojcem.

- Nie chcę rozmawiać o siostrze. I zdecydowanie nie życzę sobie dyskutować na temat jej ojca.

Harriet popukała piórem o biurko.

- W porządku, w takim razie powiedz mi, kiedy ostatnio spałaś dwa razy z tym samym facetem?

- Jesteś jedyną osobą, która widzi w tym coś złego. Lubię odmianę.

- I lubisz młodszych od siebie mężczyzn, tak? Mężczyzn, którzy nie pragną stabilizacji. Pozbywasz się ich, zanim oni zdążą porzucić ciebie.

- Uważam, że nie ma nic złego w sypianiu z młodszymi, seksownymi mężczyznami, którzy nie zamierzają się ustabilizować. Nie zależy mi na podmiejskim domu za żelaznym płotem. Nie pociąga mnie życie rodzinne, natomiast lubię seks.

- A odpowiada ci samotność?

- Nie jestem samotna - zaprzeczyła z uporem. - Jestem niezależna. Mężczyźni nie lubią silnych kobiet.

- Silni mężczyźni je lubią.

- W takim razie zacznę zaglądać do siłowni zamiast do barów.

- Silne kobiety potrafią się zmierzyć ze swoimi lękami. Rozmawiają o bolesnych wyborach, jakich dokonały w życiu.

Meghann wyraźnie się wzdrygnęła.

- Przepraszam, Harriet. Muszę lecieć. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Opuściła gabinet.

Na zewnątrz był piękny, słoneczny czerwcowy dzień. Początek tak zwanego lata. Wszędzie indziej, poza miastem, ludzie pływali, grillowali i urządzali pikniki nad brzegiem basenu. Tu, w starym, poczciwym Seattle, mieszkańcy metodycznie zaglądali do kalendarza i mruzczyli pod nosem: „Cholera, mamy czerwiec”.

Na ulicach kręciło się niewielu turystów; przyjezdnych łatwo rozpoznawalnych po parasolach zatkniętych pod pachą.

Kiedy przecięła ruchliwą ulicę i weszła na gęsty trawnik w parku, wreszcie mogła odetchnąć z ulgą. Powitał ją wysoki słup totemowy. Dalej kilkanaście mew sfrunęło na brzeg w poszukiwaniu resztek porzuconego jedzenia.

Minęła ławkę, na której jakiś mężczyzna leżał skulony pod warstwą pożółkłych gazet. Przed nią ciemnoniebieskie wody zatoki Puget sięgały bladego horyzontu. Pragnęła czerpać ukojenie z tego widoku; często jej się to udawało. Dzisiaj myśli krążyły wokół innego miejsca i innych czasów.

Gdyby zamknęła oczy, na co nie starczało jej odwagi, wszystko by powróciło: wybieranie numeru telefonu, utrzymana w oficjalnym tonie, desperacka rozmowa z nieznanym mężczyzną, długa, odbyta w ciszy podróż do zapyziałej miejsciny na północy. I najgorsze z tego wszystkiego - łzy, które ocierała z zaczerwienionych policzków młodszej siostry, kiedy oznajmiła: „Zostawiam cię, Claire”.

Bezwiednie zacisnęła dłonie na barierce. Doktor Bloom jest w błędzie. Rozmowy o bolesnym wyborze Meghann i latach samotności, które potem nastąpiły, nie pomogą.

Jej przeszłość nie była zbiorem wspomnień, z którym można się uporać; przypominała raczej ogromnych rozmiarów walizkę



na kółkach. Meghann dawno już to odkryła. Mogła jedynie wleć ją za sobą.

Co roku w listopadzie potężna rzeka Skykomish napierała na błotniste brzegi. Rok w rok groziła wylaniem. W obliczu tej powtarzającej się sytuacji ludzie zamieszkujący małe przybrzeżne miasteczka obserwowali rzekę, trzymając w pogotowiu worki z piaskiem. Mieli w pamięci doświadczenia kilku pokoleń. Każdy znał jakąś historię o tym, jak to poziom rzeki podniósł się do pierwszego piętra domu państwa takich to a takich... woda sięgnęła szczytu schodów budynku Towarzystwa Rolniczego... zalała skrzyżowanie Spring i Azalea. Mieszkańcy wyżej położonych, bezpieczniejszych terenów śledzili wieczorne wiadomości i kręcili głowami, cmokając z dezaprobatą nad głupotą farmerów, którzy osiedlili się na zalewowych równinach.

Kiedy wreszcie rzeka zaczynała opadać, wszyscy w mieście oddychali z ulgą. Pierwszy był zazwyczaj Emmett Mulvaney, aptekarz, który w nabożnym skupieniu oglądał kanał z prognozą pogody w jedynym w całym Hayden telewizorze z dużym ekranem. Potrafił wychwycić fragmenty informacji, szczegóły, które nawet umykały uwagi fisz od meteorologii w Seattle. Przekazywał swoje spostrzeżenia szeryfowi Dickowi Parkowski, a ten z kolei dzielił się nimi z Martha, swoją sekretarką. „W tym roku będzie dobrze. Niebezpieczeństwo minęło”. I rzeczywiście, w dobę po przepowiedni Emmetta meteorolodzy wyrażali taki sam pogląd.

Ten rok niczym nie różnił się od pozostałych. Teraz, w piękny dzień na początku lata, łatwo przychodziło zapomnieć o tamtych groźnych miesiącach, kiedy opady deszczu doprowadzały wszystkich do szaleństwa.

Claire Cavanaugh stała w gumiakach na nabrzeżu, grzęznąc po kostki w miękkim brunatnym błocie. Obok leżała przewrócona kosiarka, w której skończyło się paliwo.

Claire uśmiechnęła się i dłonią w rękawicy otarła pot z czoła. Niewiarygodne, ile pracy wymaga przygotowanie kurortu do sezonu.

Kurort.

Tak właśnie tata nazywał te szesnaście i pół hektara ziemi. Sam Cavanaugh wszedł w ich posiadanie prawie czterdzieści lat temu, gdy całe Hayden było jedynie przystankiem ze stacją benzynową na wzniesieniu Stevens Pass. Kupił parcelę za grosze i zamieszkał w należącym do niej, sypiącym się wiejskim domu. Nazwał ten teren Kurortem nad Brzegiem Rzeki i oddał się marzeniom o życiu, w którym nie nosi się kasku i ochraniaczy na uszy oraz nie pracuje na nocnej zmianie w papierni w Everett.

Z początku tyrał po pracy i w weekendy. Do dyspozycji miał piłę łańcuchową, furgonetkę i plan wyrysowany na papierowej serwetce. Własnymi rękami splantował teren, wykarczował stuletnie zarośla i pobudował nad rzeką kempingi z sękatych sosnowych desek. Teraz Kurort nad Brzegiem Rzeki był kwitnącą firmą rodzinną. Mieli osiem domków; w każdym z nich po dwie przytulne sypialnie, jedną łazienkę i taras z widokiem na rzekę.

W ostatnich latach dodali basen i świetlicę. W planach było pole do minigolfa i samoobsługowa pralnia. Miejsce należało do takich, gdzie co roku te same rodziny przyjeżdżają spędzać cenny wakacyjny czas.

Claire nadal pamiętała tamten dzień, gdy zobaczyła je po raz pierwszy. Potężne drzewa i wartka, połyskująca rzeka wydały się dziewczynce rajem po mieszkaniu w przyczepie, nieodmiennie ustawianej w zakazanych dzielnicach miast. Wspomnienia z dzieciństwa sprzed Kurortu były szare: brzydkie miasta mijane po drodze i jeszcze brzydsze kwatery w zapuszczonych budynkach. I mama. Zawsze zaaferowana i zabiegana. Mama często wychodziła za męża, lecz Claire nie pamiętała, aby jakiś mężczyzna pobył u nich dłużej niż karton mleka. Meghann utrwaliła się w jej pamięci. Starsza siostra, która się wszystkim zajmowała... a potem wyjechała pewnego dnia i opuściła Claire.

Teraz, tyle lat później, łączyła je wąła nić. Raz na kilka miesięcy rozmawiały z Meg przez telefon. W najbardziej kiepskie dni rozmowa sprowadzała się do wymiany zdań na temat pogody. Potem Meg nieodmiennie „miała drugi telefon” i rozłączała

się. O tak, siostra uwielbiała umniejszać jej sukces. Potrafiła przez dziesięć minut wyrzucać Claire, że za tanio się sprzedawała. „Tkwisz na tym głupim polu kempingowym i sprzątasz po ludziach” - słyszała zazwyczaj. W każde święta Bożego Narodzenia Meg proponowała, że opłaci jej college.

Jakby studiowanie „Beowulfa” miało polepszyć życie Claire.

Od lat pragnęła, aby siostra została jej przyjaciółką, ale Meghan do tego nie dążyła, a ona zawsze stawiała na swoim. Zgodnie więc z życzeniem Meghan pozostawały uprzejmymi, obcymi sobie osobami, które łączyła grupa krwi i smutne dzieciństwo.

Claire podniosła kosiarkę. Idąc po gąbczastej łące, dostrzegała dziesiątki rzeczy do zrobienia przed otwarciem sezonu. Należało przyciąć krzaki róż, usunąć mech z dachów, oczyścić z pleśni bariereki na werandach. No i trzeba brać się do koszenia. Po długiej, wilgotnej zimie nastąpiło zdumiewająco słoneczne lato i trawa sięgała Claire do kolan. Odnotowała w pamięci, że ma przypomnieć dozorczy, George'owi, aby oskrobał łódki i kajaki z resztek farby.

Rzuciła kosiarkę na pakę furgonetki. Spadła z głośnym szczęknięciem, wprawiając w drganie zardzewiałą platformę.

- Cześć, skarbie. Jedziesz do miasta?

Odwróciła się i zobaczyła ojca na werandzie administracyjnego pawilonu. Miał na sobie podniszczony kombinezon z brudnymi zaciekami na całej długości po dawno zapomnianej wymianie oleju oraz flanelową koszulę.

Idąc ku niej, z kieszeni na biodrze wyciągnął czerwoną chustkę i otarł nią czoło.

- Właśnie reperuję zamrażarkę. Nie musisz sprawdzać, ile kosztują nowe.

Nie było takiego urządzenia, którego nie potrafiłby naprawić, niemniej Claire zamierzała przyjrzeć się cenom.

- Potrzebujesz czegoś z miasta?

- Smitty ma dla mnie zapasową część. Mogłabyś ją odebrać?

- Jasne. Kiedy zjawi się George, powiedz mu, żeby zajął się łodziami, dobrze?

- Dorzucę do listy.

- A Rita niech wybieli sufit w łazience w szóstym domku.

Podczas zimy weszła tam pleśń. - Claire zamknęła klapę furgonetki.

- Wrócisz na kolację?

- Nie dziś. Ali ma mecz softballu w parku Riverfront, pamiętasz? O piątej.

- No tak. Dołączę do was.

Claire skinęła głową, pewna, że tak będzie. Nie opuścił żadnego istotnego wydarzenia z życia wnuczki.

- Pa, tatku!

Złapała za klamkę szoferki i mocno szarpnęła. Zaskrzypiały szeroko otwarte drzwi. Uchwyciła się czarnej kierownicy i podciągnęła na fotel.

Ojciec zatrzasnął drzwi.

- Jedź ostrożnie. Uważaj na zakręt przy jedenastym słupku kilometrowym.

Uśmiechnęła się. Od prawie dwudziestu lat udzielał jej tej samej rady.

- Kocham cię, tatku.

- Ja ciebie też. A teraz jedź po moją wnuczkę. Jeśli się pospieszysz, zdążymy obejrzeć przed meczem „SpongeBob SquarePants”.

## 2

Zachodnia ściana budynku była zwrócona do zatoki Puget. Wysokie, sięgające od podłogi do sufitu okna pozwalały podziwiać piękny, rozmyty niebieskawo krajobraz. W oddali majaczyła porośnięta lasem wyspa Bainbridge. W nocy, pośród czarnozielonych ciemności paliło się tam trochę świateł, za dnia natomiast wyspa wyglądała na niezamieszkaną. Jedyne biały prom, który co godzina przybijał do przystani, świadczył o tym, że jednak mieszkali

Meghann siedziała sama przy długim konferencyjnym stole w kształcie nerki. Ten mebel na wysoki połysk z wiśniowego i hebanowego drewna symbolizował elegancję i duże pieniądze. Przede wszystkim pieniądze, bo taki stół wykonuje się na zamówienie według indywidualnego projektu; podobnie jak fotele z zamszową tapicerką. Gdy ktoś siada przy tym stole i ma przed sobą widok za oknami, z miejsca wie, że właścicielowi tego biura musi się świetnie powodzić.

To prawda. Meghann osiągnęła wszystkie cele, jakie sobie wyznaczyła. Kiedy zaczęła naukę w college'u jako zahukana, samotna nastolatka, nie miała odwagi marzyć o lepszym życiu. Teraz stało się jej udziałem. Jej kancelaria adwokacka należała do najlepszych i najbardziej renomowanych. Była właścicielką drogiego kondominium w centrum Seattle (jakże diametralnie inne miejsce od starej, rozsypującej się przyczepy, jej „domu” w dzieciństwie), no a poza tym nie musiała się teraz o nikogo troszczyć.

Meghann spojrzała na zegarek. Dwadzieścia po czwartej.

Klientka się spóźniała.

Można by sądzić, że honorarium w wysokości ponad trzysta dolarów za godzinę powinno zachęcać ludzi do punktualności.

- Pani Dontess? - odezwał się głos w interkomie.

- Tak, Rhona?

- Pani siostra, Claire, czeka na linii numer jeden.

- Połącz mnie. I daj znać, jak tylko zjawi się May Monroe.

- Tak jest.

- Claire, jak miło, że dzwonicz - powiedziała Meghann, siląc się na radosny ton.

- No wiesz, telefony działają w obie strony. A więc... Co słyszać w Krainie Pieniędzy?

- W porządku. A co tam w Hayden? Wszyscy czekają, aż rzeka wyleje?

- W tym roku zagrożenie minęło.

- Ach tak. - Meghann zapatrzyła się w okno. Poniżej, nieco na lewo, ogromne pomarańczowe dźwigi przenosiły kolorowe

kontenery na tankowiec. Nie miała pojęcia, o czym z siostrą rozmawiać. Nie łączyło je nic poza wspólną przeszłością.

- Jak się ma moja śliczna siostrzenica? Ucieszyła się z deskorolki?

- Była zachwycona. - Claire się roześmiała. - Szczerze mówiąc, w przyszłości lepiej poradź się ekspedientki. Pięcioletnie dziewczynki mają zbyt słabą koordynację ruchów, żeby mogły jeździć na deskorolce.

- Ty miałeś dobrą. Mieszkałyśmy wtedy w Needles. Nauczyłam cię jeździć na dwukołowym rowerku. - Natychmiast pojałowała swych słów. Wspomnienia nieodmiennie sprawiały ból. Przez wiele lat Meghann traktowała Claire bardziej jak córkę niż siostrę. Niewątpliwie Meg opiekowała się nią lepiej niż kiedykolwiek próbowała ich mama.

- Po prostu następnym razem kup jej kasetę z filmem Disneya. Nie powinnaś wydawać na nią tyle pieniędzy. Ucieszy się z Polly Pocket.

Cokolwiek to jest. Zaległo niezręczne milczenie. Meghann spojrzała na zegarek, po czym obie odezwały się równocześnie:

- Co...?

- Czy Alison cieszy się, że idzie do pierwszej klasy?

Meghann zacisnęła usta. Ustępstwo kosztowało ją dużo silnej woli, wiedziała jednak, że Claire nie cierpi, gdy się jej przerywa. A szczególnie nie znosiła monopolizowania rozmowy przez Meghann.

- Och tak - ucieszyła się Claire. - Ali nie może się doczekać całodniowych zajęć. Jeszcze nie skończyła chodzić do przedszkola, a już myśli o jesieni. Bez przerwy o tym mówi. Czasem mam wrażenie, że trzymam kometę za ogon. Ona cały czas jest w ruchu. Nie przestaje się wiercić nawet we śnie.

Meghann już miała powiedzieć: ty byłaś taka sama, ale w porę ugryzła się w język. To wspomnienie bolało; wołałaby tego nie pamiętać.

- Co słyhać w pracy?

- W porządku. A jak tam kemping?

- Kurort. Otwieramy za dwa tygodnie z okładem. Jeffersonowie urządzają u nas zjazd rodzinny - będzie około dwudziestu osób.

- Tydzień bez dostępu do telefonu i telewizji? Dlaczego słyszę w głowie temat muzyczny z „Deliverance”?

- Niektóre rodziny lubią razem spędzać czas - odparła Claire tym swoim chłodnym, „ranisz mnie” tonem.

- Przepraszam. Masz rację. Wiem, że kochasz to miejsce. Posłuchaj - zaczęła entuzjastycznie, jakby właśnie w tej chwili wpadła na ten pomysł - a może pożyczysz ode mnie trochę pieniędzy i wybudujesz zgrabne, nieduże spa na terenie letniska. Albo jeszcze lepiej mały hotelik. Ludzie będą masowo przyjeżdżać na błotne kąpiele. Przecież błota tam nie brakuje.

Claire ciężko westchnęła.

- Musisz mi przypominać, że tobie się powodzi, a mnie nie. A niech cię, Meg!

- Nie w tym rzecz. Po prostu... wiem, że nie możesz rozwijać interesu bez kapitału.

- Nie chcę twoich pieniędzy, Meg. My ich nie chcemy.

No właśnie. Przypomnienie, że Meg to „ja”, a Claire „my”.

- Przepraszam, jeśli powiedziałam coś nie tak. Chcę po prostu pomóc.

- Meg, nie jestem już tamtą małą dziewczynką, którą duża siostra musi chronić.

- Sam zawsze potrafił cię chronić. - W głos Meg wkradła się odrobina goryczy.

- Tak. - Claire zamilkła i zaczerpnęła powietrza. Meg wiedziała, co się w tej chwili dzieje. Claire dokonuje czegoś w rodzaju przegrupowania; wycofuje się na mniej grząski, bardziej bezpieczny teren. - Jadę nad jezioro Chelan - oznajmiła w końcu.

- Coroczny wypad z przyjaciółkami - podsumowała Meghann, wdzięczna za zmianę tematu. - Jak wy siebie nazywacie? Blueserki?

- Uhm.

- Jedziecie w to samo miejsce?

- Jak co roku latem od czasu ukończenia średniej szkoły.

Wyobraziła sobie, jak by to było mieć taką paczką bliskich przyjaciółek. Gdyby była inna, może by Claire zazdrościła. Jednak brakowało jej czasu na wyprawy z gromadą kobiet. Poza tym nie potrafiłaby utrzymywać znajomości z ludźmi, z którymi chodziła do średniej szkoły.

- Cóż, baw się dobrze.

- Na pewno będzie fajnie. W tym roku Charlotte...

Rozległ się brzęczyk interkomu.

- Meghann? Przyszła pani Monroe.

Dzięki Bogu. Dobry pretekst, żeby zakończyć rozmowę. Claire potrafiła bez końca opowiadać o swoich przyjaciółkach.

- Cholera! Przepraszam, Claire. Muszę kończyć.

- W porządku. Wiem, jak bardzo lubisz słuchać o moich koleżankach, które powylały ze studiów.

- Nie o to chodzi. Właśnie przyszła klientka.

- Jasne, pewnie. Cześć!

- Cześć! - Meghann zakończyła rozmowę akurat w chwili, gdy sekretarka wprowadziła May Monroe do sali konferencyjnej.

Meghann zdjęła słuchawki i rzuciła je na stół, na który upadły z grzechotem.

- Witaj, May! - pozdrowiła klientkę, podchodząc do niej sprężystym krokiem. - Dziękuję, Rhono. I proszę, nie łącz żadnych rozmów.

Sekretarka skinęła głową i opuściła salę, zamykając za sobą drzwi.

May Monroe stała zwrócona twarzą do dużego, kolorowego oleju pędzla Nechity, zatytułowanego „Prawdziwa miłość”. Meghann zawsze podobało się to ironiczne zestawienie. Tu, w tej sali, prawdziwa miłość umierała każdego dnia tygodnia.

May miała na sobie wysłużoną sukienkę z czarnego dżerseju, a jej buty wyszły z mody przynajmniej pięć lat temu. Jasnobrązowe włosy, przycięte na dawno niemodnego, ale za to niewymagającego zachodu pazia, sięgały ramion. Na palcu nosiła złotą prostą ślubną obrączkę.



Patrząc na nią, nikt by nie odgadł, że jej mąż jeździ mercedesem i w każdy wtorek grywa po pracy w golfa na Broadmoor Golf Course. May prawdopodobnie nie wydała na siebie centa od wielu lat. Zapewne od czasów, gdy harowała w miejscowej restauracji, żeby jej mąż mógł studiować stomatologię. Chociaż była zaledwie parę lat starsza od Meghann, smutek wyrył piętno na jej twarzy. Pod oczami miała sine cienie.

- Siadaj, proszę.

May przeszła sztywnym krokiem jak marionetka poruszana czyjąś ręką. Usiadła w jednym z pokrytych zamszem foteli.

Meghann zajęła swe zwykłe miejsce u szczytu stołu. Przed sobą miała kilka pomarańczowych teczek z aktami, z których wystawały samoprzylepne różowe karteczki. Służyły do zaznaczenia ważnych stron. Zabębniła palcami w stos dokumentów, zastanawiając się, które z wielu możliwych podejść będzie w tym wypadku najlepsze. Z doświadczenia wiedziała, że istnieje tyle samo reakcji na złe wiadomości, co ujawnionych win. Intuicja podpowiadała jej, że May Monroe jest rozchwiana i że nawet teraz, w trakcie rozwodu, nie akceptuje do końca tego, co nieuniknione. Mimo że papiery rozwodowe zostały złożone wiele miesięcy temu, nadal nie wierzy, iż mąż naprawdę zamierza odejść.

Po dzisiejszej wizycie uwierzy.

Meghann przeniosła na nią wzrok.

- May, jak ci mówiłam podczas naszego ostatniego spotkania, wynajęłam prywatnego detektywa, żeby prześledził finansowe poczynania twego męża.

- To była strata czasu, prawda?

Obojętnie, ile razy podobna scena powtarza się w tym biurze, zawsze jest tak samo trudna.

- Nie całkiem.

May wpatrywała się w nią przez chwilę, po czym wstała i poszła do srebrnego ekspresu do kawy, który stał na kredensie z wiśniowego drewna.

- Ach tak - powiedziała, stojąc odwrócona plecami do Meghann. -- Czego się dowiedziałaś?

- Ma ponad sześćset tysięcy na koncie osobistym na Kajmanach. Siedem miesięcy temu obciążył niemal w całości hipotekę waszego domu. Zapewne sądziłaś, że podpisujesz dokumenty na nową pożyczkę hipoteczną.

May odwróciła się. Trzymała w dłoni filiżankę na spodeczku. Porcelana zadźwięczała w jej drżących rękach, kiedy podeszła do stołu.

- Spadł kurs.

- Tak naprawdę spadła gotówka. Prosto do jego rąk.

- O Boże - wyszeptała.

Meghann widziała, że wali się świat May. Z jej zielonych oczu zdawało się uchodzić całe światło.

W takiej chwili jak ta wiele kobiet dokonywało podobnego odkrycia; nagle zdawały sobie sprawę, że ich mężowie są obcy mi ludźmi, i traciły złudzenia.

- Co gorsza - kontynuowała Meghann, starając się w miarę delikatnie przekazać wiadomość, wiedząc, że i tak głęboko zrani May - odsprzedał praktykę swemu wspólnikowi, Theodore'owi Blevinowi, za jednego dolara.

- Dlaczego miałyby to zrobić? Jest warta...

- Abyś nie mogła dostać należnej ci połowy.

Po tej wiadomości pod May ugięły się kolana. Opadła na fotel. Filiżanka i spodek ze szczękiem uderzyły o stół. Kawa chlupnęła ponad wrąbkami porcelanowej filiżanki na blat. May gorączkowo zaczęła wycierać kałużę papierową serwetką.

- Tak mi przykro.

Meghann dotknęła nadgarstka klientki.

- Nic się nie stało. - Podniosła się, zebrała kilka serwetek i osuszyła wilgotne miejsce. - To mnie jest przykro. Choć często mam do czynienia z podobnym postępowaniem, zawsze napawa mnie taką samą odrazą. - Położyła rękę na ramieniu May, dając jej czas na zebranie myśli.

- Czy któryś z tych dokumentów wyjaśnia, dlaczego on mi to robi?

Meghann wolałaby nie znać odpowiedzi. Czasem łatwiej zadać pytanie, niż dać na nie odpowiedź. Sięgnęła do akt i wyciągnęła czarno-białą fotografię. Ostrożnie, jakby wykonano ją na kawałku wybuchowego plastiku, a nie na błyszczącym papierze, podsunęła zdjęcie May.

- Ma na imię Ashleigh.

- Ashleigh Stoker. Teraz rozumiem, dlaczego tak chętnie odbierał Sarah z lekcji pianina.

Meghann pokiwała głową. Zawsze jest trudniej, jeśli żona zna kochankę, choćby nawet przelotnie.

- W stanie Waszyngton udziela się rozwodów bez orzekania o winie, nie potrzeba podawać powodu, tak więc jego romans nie ma znaczenia.

May podniosła głowę. Patrzyła na Meghann nieobecnyimi, szklanymi oczami przypadkowej ofiary.

- Nie ma znaczenia? - Przymknęła powieki. - Jestem idiotką. - Zabrzmiało to bardziej jak westchnienie niż wyznanie.

- Nie. Jesteś uczciwą, godną zaufania kobietą, która przez dziesięć lat utrzymywała egoistycznego kutasa, żeby mógł skończyć college i mieć lepsze życie.

- To miało być nasze lepsze życie.

- Oczywiście, że miało.

Meg wyciągnęła rękę i nakryła nią dłoń May.

- Zaufałaś mężczyźnie, który mówił, że cię kocha. A teraz on liczy, że nadal będziesz tą dobrą poczciwą May, kobietą, która na pierwszym miejscu stawia rodzinę i ułatwia życie doktorowi Dale'owi Monroe.

May wyglądała na speszoną, a nawet wystraszoną tymi słowami. Meghann potrafiła to zrozumieć; kobiety pokroju May dawno zapomniały, jak walczyć o swoje.

Nie szkodzi. To było jej zadanie jako prawnika.

- Co zrobimy? Nie chciałabym skrzywdzić dzieci.

- To on krzywdzi dzieci, May. Okradł je. I ciebie też.

- Jest dobrym ojcem.

- W takim razie będzie chciał zapewnić im godne warunki. Jeżeli została w nim choć odrobina przyzwoitości, bez walki zrezygnuje z połowy majątku. W takim przypadku sprawa jest prosta.

May знаła prawdę, którą Meghann zdążyła już odkryć. Mężczyzna tego rodzaju niechętnie się dzieli.

- A jeśli nie?

- To go zmusimy.

- Będzie zły.

Meghann przechyliła się ponad stołem.

- May, to ty powinnaś być zła. Ten człowiek cię okłamał, oszukał i okradł.

- Jest także ojcem moich dzieci - odparła May ze spokojem, który wyprowadził Meghann z równowagi. - Nie chcę, żeby to wszystko stało się odrażające. Chcę, aby on... wiedział, że może do nas wrócić.

Och, May.

- Po prostu zachowamy się uczciwie. - Meghann starannie dobierała słowa. - Nie zależy mi na niczyjej krzywdzie, jednak możesz być pewna, że nie pozwolę, aby ten mężczyzna cię ograbił i zostawił na lodzie. Koniec, kropka. Jest bardzo, ale to bardzo bogatym ortodontą. Powinnaś chodzić w ciuchach od Armaniego i jeździć porsche.

- Nigdy nie zależało mi na strojach od Armaniego.

- I może dalej nie będzie zależać, ale moim zadaniem jest zapewnienie ci możliwości wyboru. May, wiem, że to brzmi zimno i cynicznie, lecz uwierz mi, kiedy będziesz wyczerpana samotnym wychowywaniem dwójki dzieci, a doktor Szeroki Uśmiech będzie rozbijał się porsche i spędzał noce na dancinгах z dwudziestosześcioletnią nauczycielką muzyki, ucieszy cię świadomość, że stać cię na to, na co masz ochotę. Zaufaj mi.

- Dobrze - powiedziała May, wyginając nieznacznie usta w łamiącym serce grymasie.

- Nie pozwolę mu dłużej cię krzywdzić.

- Uważasz, że ochroni mnie wymiana stosów korespondencji

sądowej i plik pieniędzy? - Westchnęła. - Dobrze, pani Dontess, proszę robić, co należy, żeby zabezpieczyć przyszłość moich dzieci. Nie udawajmy jednak, że odbędzie się to bezboleśnie. To już boli tak potwornie, że z trudem oddycham, a przecież wszystko się dopiero zaczyna.

Rząd wiatraków znaczył bezchmurny horyzont za połacią pokrytej trawą prerii. Ich masywne metalowe skrzydła obracały się w powolnym, stałym rytmie. Czasami, przy odpowiedniej pogodzie, słychać było miarowe skrzyp-skrzyp przy każdym obrocie.

Dziś panował taki cholerny upał, że człowiek nie słyszał niczego poza biciem własnego serca.

Joe Wyatt stał na betonowej wylewce, która służyła za ganek przed magazynem, z resztą lunchu, jaką była puszka ciepłej już coli.

Zapatrzył się na odległe pola, żałując, że nie może w tej chwili przechadzać się bruzdami pomiędzy rzędami drzew, wciągając w nozdrza słodki zapach żyznej ziemi i dojrzewających owoców.

Żeby choć powiał lekki wiatr. Nawet jeden podmuch uczyniłby tę duchotę lżejszą do zniesienia. Promienie prażącego słońca biły prosto w blaszane ściany magazynu. Pot perlił się na czołe, spływał po ciele, wsiąkając w bawełniany podkoszulek.

Upał dawał się mu we znaki, a to zaledwie drugi tydzień czerwca. Nie ma mowy, nie zniesie lata w Yakima Valley. Czas znowu ruszyć w drogę.

Ta świadomość go osłabiała.

Nie pierwszy raz zastanawiał się, jak długo jeszcze da radę snuć się od miasta do miasta. Samotność go wykańczała, uczyniła z niego cień człowieka, lecz niestety, alternatywa była jeszcze gorsza.

Kiedyś, wydawałoby się, całe wieki temu, miał nadzieję, iż w jednym z tych miejsc poczuje się dobrze; że wjeżdżając do któregoś z miast, pomyśli: To jest to, i odważy się wynająć mieszkanie, zamiast tułać się po zapuszczonych motelach.

Nie żywił już takich nadziei. Przejrzał na oczy. Po tygodniu

spędzonym w tym samym pokoju zaczynał odczuwać, wspominać. Pojawiały się koszmarne sny. Jak się przekonał, jego jedyną obroną było wyobcowanie. Jeżeli materac nie był, jego", a pokój pozostawał obcym terytorium, udawało mu się czasami przespać ponad dwie godziny. Jeśli natomiast osiadł gdzieś, poczuł się jak u siebie i spał dłużej, nieodmiennie w snach pojawiała się Diana.

To nie było złe. Oczywiście widok jej twarzy sprawiał mu cierpienie nawet we śnie, przepełniał bólem, promieniującym aż do kości, ale sprawiał też przyjemność, wywoływał dobre wspomnienia o dawnym życiu, o miłości, którą był zdolny odczuwać. Gdyby tylko sny urywały się na wspomnieniach o Dianie z czasów studenckich, siedzącej na zielonej trawie w Quad, albo o nich obojgu tulących się w wielkim łóżu w domu na wyspie Bainbridge!

Nie miał tego szczęścia. Sny niezmiennie stawały się ponure i kończyły źle. Zazwyczaj budził się, szepcząc: „Wybacz”.

Jedynym sposobem na przetrwanie było nieustanne przemieszczanie się z miejsca na miejsce i unikanie patrzenia ludziom w oczy.

Podczas tułaczki nauczył się, jak być niewidzialnym. Jeśli człowiek starannie się strzyże, dobrze ubiera i ma stałą pracę, ludzie go dostrzegają. Ustawiają się przy nim w kolejce na przystanku autobusowym, a w małych miasteczkach inicjują rozmowę.

Jeżeli natomiast człowiek się zapaści, zapomni ostrzyc, nosi wypłowiały podkoszulek z logo Harleya Davidsona i wystrzępione, wytarte dżinsy oraz ma sfatygowany plecak, nikt go nie zauważa. A co ważniejsze - nikt go nie rozpoznaje.

Odezwał się dzwonek. Joe z westchnieniem wszedł do magazynu. Natychmiast owionęło go lodowate powietrze. Chłodnia do przechowywania świeżych owoców. Pot na twarzy stał się kleisty. Cisnął puszkę po coli do pojemnika na śmieci i wyszedł z powrotem na dwór.

Przez ułamek sekundy, a może nawet krócej, upał wydawał się przyjemny; zanim dotarł do rampy, zdążył na nowo się spocić.

- Wyatt! - wrzasnął brygadzysta. - Czy tobie się wydaje, że to jakiś pieprzony piknik?!

Joe ogarnął spojrzeniem niekończący się rząd ciężarówek z opuszczanymi burtami, wyładowanych po brzegi świeżo zerwanymi czereśniami. Potem przesunął wzrokiem po pozostałych mężczyznach rozładowujących skrzynki - przeważnie Meksykanach, którzy zamieszkiwali rozsypujące się przyczepy bez bieżącej wody i splukiwanych toalet, poustawiane na skrawkach suchej piaszczystej ziemi.

- Nie, proszę pana - odpowiedział brygadziście o czerwonej twarzy, którego wyraźnie rajcowało wydzieranie się na robotników. - Nie, nie myślę, że to piknik.

- To dobrze. W takim razie zabierz się do roboty. Urywam ci połowę godzinowej stawki.

W swym dawnym życiu Joe złapałby brygadzystę za przepocny, brudny kołnierz i załatwiłby sprawę po męsku.

Jednak tamte czasy minęły.

Powoli podszedł do najbliższej ciężarówki, nakładając po drodze płócienne rękawice, które wyjął z tylnej kieszeni spodni.

Nadszedł czas ruszać w drogę.

Claire myślała o wczorajszej rozmowie telefonicznej z Meg, stojąc przy zlewie w kuchni.

- Mamo, chcę jeszcze jedno eggo.

- A co się mówi w takim wypadku? - spytała z roztargnieniem.

- Mamo, poproszę jeszcze jedno eggo.

Claire odwróciła się od okna i wytarła dłonie w ścierkę do naczyń, wiszącą na drzwiczkach piekarnika.

- Jasne. - Wrzuciła mrożonego gofra do tosterka. Kiedy się podgrzewał, omiotła kuchnię spojrzeniem w poszukiwaniu brudnych naczyń...

I zobaczyła to miejsce oczami starszej siostry.

Dom był nie najgorszy, z pewnością niezły jak na warunki Hayden. Owszem, miejsca nie mieli za wiele: trzy małe sypialnie

ze skośnymi sufitami na piętrze, po jednej łazience na obu poziomach, salon oraz kuchnia ze stołem, przy którym jadali, służącym również jako blat do pracy. W trakcie sześciu lat, odkąd tu mieszkali, Claire przemaalowała ciemnozielone ściany na kremowo i zastąpiła pomarańczową wykładzinę drewnianą podłogą. Meble, przeważnie z drugiej ręki, też były drewniane, sama zdarła z nich starą politurę i pomalowała na nowo. Jej radością i dumą była hawajska dwuosobowa kanapka z drewna koa. Może w salonie nie wyglądała zbyt imponująco z powodu nieco wypłowiałych czerwonych obić, ale kiedyś na Kauai na jej widok ludzie stawali oniemiały z zachwytem.

Naturalnie Meg inaczej by na to patrzyła. Meg, która wcześniej ukończyła średnią szkołę, śpiewająco przeszła przez siedem lat studiów, nigdy nie pominęła okazji, aby przypomnieć, że śpi na pieniądzach, i miała czelność przysyłać siostrzenicy na Boże Narodzenie takie prezenty, że pozostałe wyglądały przy nich blade.

- Mój gofr wyskoczył.

- Rzeczywiście. - Claire wyjęła gofr z opiekacza, posmarowała masłem, przecięła, po czym położyła na talerzu przed córką. - Proszę bardzo.

Alison natychmiast porwała kawałek, wepchnęła do buzi i pałaszowała w ten swój charakterystyczny sposób, budzący skojarzenia z postaciami z kreskówek.

Claire musiała się uśmiechnąć. Tak właśnie działała na nią córeczka od dnia narodzin. Spoglądała w dół na swoją miniaturę. Takie same jasnoblond włosy, blada cera, taka sama twarz w kształcie serca. Chociaż nie istniało ani jedno zdjęcie pięcioletniej Claire, wyobrażała sobie, że ona i Alison były podobne jak dwie krople wody. Geny ojca Alison się nie uwidoczniły.

No i dobrze. W tej samej chwili, kiedy się dowiedział, że Claire jest w ciąży, wziął nogi za pas.

- Mamuś, jesteś w piżamie. Spóźnimy się, jeśli się nie pośpieszysz.

- Masz rację. - Claire przebiegła w myślach wszystkie spr-



wy do załatwienia na dziś: musi skosić trawę za domem, uszczelnić prysznice i okna w łazienkach, wybielić zapleśniałe ściany w domku numer trzy i naprawić szopę na łodzie. Było jeszcze wcześniej, dochodziła ósma, ostatni dzień zajęć w szkole. Jutro wyjeżdżają na tydzień nad jezioro Chelan. Miała nadzieję, że zdąży się ze wszystkim uporać. Rozejrzała się dokoła.

- Alison, widziałaś gdzieś listę rzeczy do załatwienia?
- Leży na ławie.

Claire podniosła listę, kręcąc głową. Nie pamiętała, żeby ją tu kładła. Czasami zastanawiała się, jak by sobie poradziła bez Alison.

- Mamuś, chcę chodzić na lekcje baletu. Będę mogła?

Claire uśmiechnęła się. Przyszła jej do głowy jedna z tych myśli, które wywołują lekkie ukłucie żalu, bo ona też kiedyś chciała być baletnicą. Meghann popierała to jej pragnienie, mimo że nie było pieniędzy na lekcje.

Hm, to nie do końca prawda. Na lekcje tańca dla mamy pieniądze się znalazły, a dla Claire nie.

Niemniej pewnego razu, gdy miała sześć, a może siedem lat, Meghann załatwiła jej kilka lekcji baletu u swojej koleżanki ze średniej szkoły. Tamte cudowne sobotnie poranki na zawsze utkwily jej w pamięci.

Jej uśmiech zgasł.

Alison wpatrywała się w nią w skupieniu, trzymając w buzi kęs gofra.

- Mamuś? Balet?
- Też kiedyś chciałam zostać baletnicą. Wiedziałaś o tym?
- Nie.
- Niestety, miałam wielkie stopy i nosiłam buty numer większe od kajaka.

Ali zachichotała.

- Mamuś, kajaki są ogromne. A twoje stopy są tylko duże.
- Wielkie dzięki. - Claire również się roześmiała.
- Dlaczego zostałam pracowitą pszczołką, skoro chciałam być baletnicą?

- To dziadek tak mnie nazywa. Naprawdę jestem zastępcą kierownika.

Wybór jej drogi życiowej dokonał się dawno temu. Jak większość decyzji, tę również podjęła bez specjalnego zastanowienia. Najpierw wyleciała z Waszyngtońskiego Uniwersytetu Stanowego jako jedna z ofiar studenckich balang. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że Meghann miała rację. Wykształcenie daje dziewczynie możliwość wyboru. Bez dyplomu i bez marzeń wylądowała z powrotem w Hayden. Z początku zamierzała posiedzieć tu przez miesiąc czy dwa, a potem przenieść się na Kauai i nauczyć się pływać na desce surfingowej, ale tata dostał zapalenia oskrzeli i przez miesiąc leżał w łóżku. Przejęła obowiązki, żeby mu pomóc. Do czasu gdy zdążył wyzdrowieć i był gotowy wrócić do pracy, uzmysłowiła sobie, jak bardzo kocha to miejsce. Pod tym względem, jak i pod wieloma innymi, była podobna do ojca.

Tak jak on kochała tę pracę; spędzała całe dni na powietrzu, obojętnie w słońcu czy w deszczu, zajmując się tym, co akurat wymagało uwagi. Widziała namacalne efekty. W tych szesnastu hektarach ziemi nad rzeką było coś chwytającego za serce.

Nie dziwiło jej, że Meghann tego nie rozumie. Dla jej siostry, ceniącej ponad wszystko wykształcenie i pieniądze, życie w tym miejscu oznaczało stratę czasu.

Claire starała się nie przejmować jej dezaprobatą. Wiedziała, że nie zajmuje się niczym wielkim, ot, po prostu zarządzała kilkoma miejscami kempingowymi i paroma domkami, lecz nigdy nie uważała, że poniosła klęskę ani nie czuła się rozczarowana.

Z wyjątkiem tych chwil, kiedy rozmawiała z siostrą.

### 3

Dwadzieścia cztery godziny później Claire była gotowa do wyjazdu na wakacje. Po raz ostatni przeszła się po domu, sprawdzając, czy czegoś nie zapomniała zabrać lub zrobić, ale wszystko było jak należy. Okna pozamykane, zmywarka pusta, psujące

się produkty usunięte z lodówki. Poprawiała akurat zasłonę przy prysznicu, kiedy usłyszała kroki w salonie.

- Co ty tu jeszcze, u licha, robisz?

Uśmiechnięta wycofała się z miniaturowej łazienki.

Ojciec stał w salonie. Jak zawsze jego obecność powodowała, że przestrzeń wydawała się kurczyć. Wysoki i barczysty wypełniał sobą pomieszczenia, tak że sprawiały wrażenie mniejszych. Tak naprawdę to wrażenie wywoływała jego niezwykła osobowość.

Po raz pierwszy zobaczyła go, kiedy miała dziewięć lat. Była drobna jak na swój wiek i taka nieśmiała, że odzywała się wyłącznie do Meghann. Tata wydał się jej wielki niczym olbrzym, gdy wszedł do ich przyczepy. „Hm - mruknął, patrząc na nią z góry - ty musisz być moją córką, Claire. Jesteś najładniejszą dziewczynką, jaką w życiu widziałem. Jedźmy do domu”.

Dom.

To było słowo, na które czekała, o jakim marzyła. Minęło sporo lat i popłynęło dużo łez, zanim się zorientowała, że nie zwrócił się z podobnym zaproszeniem do Meghann. Gdy pojęła swój błąd, było już za późno, aby go naprawić.

- Cześć, tatusiu. Sprawdzam, czy wszystko jest jak należy, aby się mógł wprowadzić.

Błysnął w uśmiechu białymi sztucznymi zębami.

- Doskonale wiesz, że nie zamierzam się przenieść. Lubię mój dom na kółkach. Facetowi nie potrzeba dużo miejsca. Mam lodówkę i telewizję satelitarną. To mi wystarcza.

Prowadzili tę dyskusję, odkąd Claire z powrotem się zjawiła, a ojciec oddał jej dom do dyspozycji. Zaklinał się na wszystkie świętości, że w przyczepie ukrytej wśród drzew jest nawet więcej przestrzeni, niż potrzebuje pięćdziesięciosześcioletni samotny mężczyzna.

- Ale tato...

- Ani słowa o moim zadku. Wiem, że się rozrasta. A teraz przywalcuj tu i uściskaj swego staruszka.

Zrobiła, jak sobie życzył.

W tych potężnych, silnych ramionach czuła się bezpieczna i kochana. Ojciec pachniał lekko środkiem dezynfekcyjnym. To jej przypomniało, że jedna z łazienek wymagała naprawy.

- Wyjadę za godzinę - powiedziała. - Toaleta w domku...

Okręcił ją wokół osi i popchnął delikatnie w kierunku drzwi.

- Ruszaj. To miejsce nie popadnie w ruinę bez ciebie. Sam naprawię tę cholerną toaletę. I będę pamiętać, żeby odebrać tamtą plastikową rurę, którą zamówiłaś, i że mam nakrywać drewno. Jeśli jeszcze raz mi o tym przypomnisz, to ci wkropię. Bardzo mi przykro, ale tak właśnie zrobię.

Claire nie mogła powstrzymać uśmiechu. Zdażyła przypomnieć mu o tej rurze przynajmniej z sześć razy.

- Zgoda.

Położył jej ręce na ramionach, zmuszając, by popatrzyła na niego.

- Siedz tam, jak długo zechcesz. Naprawdę. Zostań na trzy tygodnie. Dam sobie radę sam. Należy ci się odpoczynek.

- Ty nigdy nie odpoczywasz.

- Ja jestem w schyłkowej fazie życia i nie lubię za dużo ruszać się domu. Ty masz dopiero trzydzieści pięć lat. I tobie, i Alison przyda się odmiana. Jesteś odpowiedzialna aż do przesady.

- Jestem trzydziestopięcioletnią samotną matką, która nigdy nie wyszła za męża. To nie świadczy o odpowiedzialności, a odmianę zapewni mi Chelan. Wrócę za tydzień. Akurat w porę, by rozlokować gości Jeffersonów po domkach.

Poklepał ją po ramieniu.

- Zawsze robisz to, co chcesz, ale nie możesz mieć człowiekowi za złe, że próbował. Baw się dobrze!

- Ty też, tatusiu. Zaproś Thelmę na kolację do restauracji, kiedy mnie nie będzie. Skończ z tą konspiracją.

Wyraźnie się zmieszał.

- Co...

Roześmiała się.

- Daj spokój, tato. Całe miasto wie, że się spotykacie.

- Nie spotykamy się.

- Dobra. Sypiacie ze sobą. - W ciszy, która nastąpiła po tej uwadze, Claire wyszła z domu na szary dzień. Mżawka przesłaniała drzewa kurtyną z rozpylonych kropel. Rozkrakane wrony poobsiadały słupki w płocie i druty telegraficzne.

- Mamo, chodź już! - Mała buzia Alison pojawiła się nad opuszczoną szybą samochodu.

Ojciec wysforował się przed Claire i pocałował wnuczkę.

Claire kolejny raz sprawdziła zawartość bagażnika, po czym wsiadła i uruchomiła silnik.

- Jesteśmy gotowe, Ali-Kotku? Wszystko zabrałaś?

Alison podskoczyła na siedzeniu, ściskając w objęciach pudełko na lunch z kalkomanią Mary-Kate i Ashley.

- Jestem gotowa! - Pluszowa orka, Bluebell, siedziała przypięta pasami razem z nią.

- W takim razie ruszamy na spotkanie z czarodziejem - powiedziała Claire i wyjeżdżając na drogę, krzyknęła do ojca: - Do widzenia!

Alison natychmiast zaczęła śpiewać piosenkę z „Barney& Friends Home”. Głos miała wysoki i silny, a śpiewała tak głośno, że zapewne wszystkie pudle w dolinie rozpierchły się ze skowytym.

- No, mamo, śpiewaj!

Zanim dotarły na szczyt Stevens Pass, zaśpiewały po kolei czterdzieści dwie piosenki z „Barney&Friends Home” oraz siedemnaście razy „Froggy-Went-A-Courtings”. Kiedy Alison otworzyła pudełko z drugim śniadaniem, Claire wsunęła do odtwarzacza kasetę z piosenkami z kreskówek Disneya. Rozpoczął ją temat muzyczny z „Małej syrenki”.

- Szkoda, że nie jestem Ariel. Chciałabym mieć ogon z płetwą- stwierdziła Alison.

- Jak w takim razie mogłabyś zostać baletnicą?

Alison spojrzała na nią, wyraźnie zdegustowana.

- Mamo, ona na łodzi miała nogi. - Następnie odchyliła się na oparcie i z przymkniętymi oczami słuchała historii księżniczki syrenki.

Pokonywały kolejne kilometry. Wkrótce pędziły po wysuszonej równinie we wschodniej części stanu.

- Mamo, czy dojeżdżamy? - zapytała Alison, ssąc pałeczkę z lukrecji i podskakując w fotelu. Buzię miała wysmarowaną na czarno. - Chciałabym już tam być.

Claire podzielała to pragnienie. Uwielbiała lotnisko Blue Skies Campground. Po raz pierwszy pojechała tam na wakacje z przyjaciółkami kilka lat po ukończeniu średniej szkoły. W początkowych latach było ich pięć; czas i tragiczne wydarzenie zredukowały liczbę do czterech. Każdej z nich zdarzyło się opuścić jeden czy dwa wyjazdy, ale przeważnie zjawiały się w komplecie. Najpierw młode i szalone podrywały miejscowych chłopaków. Potem, kiedy zaczęły wozić ze sobą dziecinne łożeczka i samochodowe foteliki, wakacje nabrały bardziej statecznego charakteru. Teraz dzieciaki podrosły na tyle, by pływać i same bawić się na placu zabaw, więc dziewczyny, a właściwie kobiety, odzyskały nieco swej dawnej wolności.

- Mamo, nie słuchasz, co mówię.

- Och! Przepraszam, kochanie.

- Powiedziałam, że w tym roku mieszkamy w domku dla nowożeńców, pamiętasz? - Podskoczyła jeszcze wyżej. - Hurra! Będziemy miały ogromną wannę! I nie zapomnij, że w tym roku skaczą z pomostu. Obiecałaś. Bonnie skakała, kiedy miała pięć lat. - Alison wydała z siebie dramatyczne westchnienie. - Będę mogła skakać z pomostu czy nie?

Claire pragnęła wyzbyć się swojej skłonności do nadopiekuńczych zachowań, ale skoro wzrastało się w domu, gdzie matka pozwalała na wszystko, człowiek szybko się uczył, jak łatwo popaść w kłopoty. To budziło lęk.

- Przyjrzymy się pomostowi. I sprawdzimy, jak pływasz. A potem się zobaczy.

- „Się zobaczy” zawsze oznacza nie. A przecież obiecałaś.

- Niczego nie obiecywałam. Pamiętam dobrze, Alison Katherine. Weszłyśmy do jeziora. Leżałaś na plecach, obejmując mnie nogami. Przyglądałyśmy się, jak Wilły i Bonnie skaczą do

wody. Powiedziałaś: „W przyszłym roku będę miała pięć lat”. A ja na to: „Tak, to prawda”. Wtedy ty podkreśliłaś, że Bonnie ma pięć lat. A ja zauważyłam, że ma prawie sześć.

- Ja też mam prawie sześć. - Alison skrzyżowała ramiona na piersi. - Będę skakać.

- Zobaczymy.

- Nie jesteś moim szefem.

To zdanie niezmiennie rozśmieszało Claire. Ostatnio była to ulubiona riposta jej córki.

- A właśnie, że jestem.

Alison odwróciła się do okna. Zamilkła na dłuższy czas - nie odzywała się prawie przez dwie minuty.

- W zeszłym tygodniu Marybeth wyrzuciła do ubikacji gliniany odcisk ręki Amy - nie wytrzymała w końcu.

- Naprawdę? To niezbyt ładnie.

- Wiem. Pani Schmidt kazała jej długo siedzieć w kącie. Czy zabrałaś deskorolkę?

- Nie, jesteś za mała, żeby na niej jeździć.

- Stevie Wain bez przerwy jeździ na deskorolce.

- Czy to ten sam chłopak, który się przewrócił, stłukł nos i wybił dwa przednie zęby?

- To były mleczaki, mammo. Powiedział, że i tak się ruszały. Dlaczego ciocia Meg nigdy nas nie odwiedza?

- Tłumaczyłam ci już, pamiętasz? Ciocia Meg jest taka zapracowana, że ledwo może złapać oddech.

- Eliot Zane zsiniał, kiedy nie mógł złapać oddechu. Przyjechała do niego karetka.

- Co innego miałam na myśli. Chodzi o to, że ciocia Meg jest niesamowicie zajęta pomaganiem ludziom.

- Aha.

Claire czekała w napięciu na następne pytanie córki. W przypadku Alison należało spodziewać się kolejnego pytania i trudno było przewidzieć, czego może dotyczyć.

- Czy to już pustynia?

Claire skinęła głową. Alison zawsze nazywała wschodnie te-

reny stanu Waszyngton pustynią. Łatwo zrozumieć dlaczego. Po soczystej zieleni Hayden żółtobrunatny krajobraz wydawał się opustoszały i wypalony słońcem. Czarna wstęga szosy wiła się bez końca poprzez prerię.

- O, zjeżdżalnia wodna! - zawołała w końcu Alison. Wychyliła się do przodu i głośno liczyła. Kiedy doszła do czterdziestu siedmiu, krzyknęła: - Widać jezioro!

Jezioro Chelan, ogromna, kryształowoniebieska tafla w niecce pośród złotych wzgórz, wypełniło widok po lewej stronie. Przejechały przez most prowadzący do miasta.

Dwadzieścia lat temu miasteczko składało się z trzech kwartałów i trudno byłoby w nim znaleźć jedną z popularnych sieci handlowych czy bary szybkiej obsługi. W miarę upływu czasu wieści o korzystnych warunkach atmosferycznych dotarły na zachodnie rubieże stanu, do miast o dużej ilości opadów, dumnych z rododendronów o liściach jak talerze i kęp paproci wielkości samochodu. Mieszkańcy Seattle z coraz większą uwagą spoglądali na wschód. Wyprawy przez góry na płaskie, wysuszone równiny nabrały charakteru wakacyjnej tradycji. Obecność turystów wpłynęła na rozwój miasta. Kompleksy kondominiów wyrastały wzdłuż krawędzi jeziora. Kiedy jedno zostawało zasiedlone, natychmiast budowano obok kolejne i tak pod koniec tysiąclecia miasteczko przeobraziło się w kwitnący letni kurort ze wszystkimi urządzeniami niezbędnymi dla dzieci - basenami, parkami wodnymi, a także wypożyczalnią motorówek.

Droga wiła się wzdłuż nabrzeża. Mijały dziesiątki kondominiów. Potem okolica stała się bardziej wyludniona. Jechały dalej. Po mniej więcej kilometryrzej ujrzały tablicę: „Blue Skies Campground”. Następny zakręt w lewo.

- Patrz, mamó, patrz!

Reklamę zdobił obrazek przedstawiający parę stylizowanych konarów ocieniających namiot, przed którym stało czółno.

- Jesteśmy na miejscu, Ali-Kotku.

Claire skręciła w lewo na szutrową drogę. Koła wpadły w głębokie dziury, samochodem zarzuciło na prawe pobocze.



Dwa kilometry dalej droga skręcała ostro na porośniętą trawą łąkę, poznaczoną licznymi przyczepami i domkami kempingowymi. Minęły otwartą przestrzeń i wjechały między drzewa, gdzie kilka urokliwych domków stało blisko siebie na brzegu jeziora. Zatrzymały samochód na zwirowym parkingu.

Claire pomogła Alison wydobyć się z fotela, następnie zatrzasnęła drzwiczki i odwróciła się do jeziora.

Przez ułamek sekundy znowu miała osiem lat, była tamtą dziewczynką w ładnym różowym bikini, stojącą na brzegu jeziora Winobee. Pamiętała, jak wbiegała z piskiem do zimnej wody, rozpryskując ją na boki.

- *Claire, nie dalej niż do kolan!* - krzyczała Meghann z pomostu.

- *Na miłość boską, Meggy, nie zachowuj się jak stara kwocka.* - *Głos mamy.* - *Dalej, kotku!* - krzyknęła do Claire, śmiejąc się i machając mentolowym papierosem Mrginia Slim. - *Nie bądź takim tchórzem!*

*Meghann już była przy Claire i trzymając ją za rękę, tłumaczyła, że to nic złego się bać.*

- *Claire, misiaczku, to tylko świadczy o zdrowym rozsądku.*

Claire pamiętała, że się wtedy obejrzała. Matka stała na brzegu w skąpym bikini, z plastikowym kubeczkiem z wódką w dłoni.

- *No, dalej, kotku. Nie ma się co bać. Hulaj, dopóki możesz.*

*Claire zapytała Meghann, co to znaczy „hulać”.*

- *To właśnie robi tak zwana aktorka, kiedy pochłonie za dużo drinków. Nie przejmuj się.*

Biedna Meg. Zawsze starała się udawać, że prowadzi normalne życie.

Jakże ono mogło być normalne? Czasem Bóg przeznacza człowiekowi matkę, przy której to, co normalne, jest niemożliwe. Jasną stroną są okresy beztroski i przyjęcia tak głośne i szalone, że nigdy się ich nie zapomni, ciemną... źle się dzieje, kiedy brakuje kontroli.

- *Mamo!* - Głos Alison wyrwał ją z przeszłości. - *Chodźmy już!*

Claire skierowała się do starego wiejskiego domu, w którym mieściła się administracja. Opasująca go weranda była świeżo odmalowana. Ciemna zieleń balustrad i tralek współgrała ze ścianami w kolorze orzecha. Duże dwuskrzydłowe okna biegły wzdłuż parteru, natomiast na piętrze, gdzie mieszkali właściciele, zachowano oryginalne, mniejsze okna.

Dom od jeziora oddzielała połąć zieleni wielkości boiska do futbolu. Mieścił się tam plac zabaw z huśtawkami, teren do gry w krykieta, kort do badmintonu, basen oraz hangar z motorówkami. Nieco na uboczu, z lewej strony, stały cztery domki z oknami od podłogi do sufitu, otoczone werandami.

Alison ruszyła przodem. Wbiegła lekko i niemal bezgłośnie po stopniach. Energicznym szarpnięciem otworzyła drzwi z metalowej siatki. Zamknęły się za nią z trzaskiem.

Claire uśmiechnęła się i przyspieszyła kroku. Otwierając ażurowe drzwi, usłyszała, jak Happy Parks mówi:

- ...nie może być mała Ali-Kotek Cavanaugh. Ty jesteś na nią za duża.

Alison zachichotała.

- Idę do pierwszej klasy. Umiem liczyć do tysiąca. Chcesz posłuchać? - I natychmiast zaczęła odliczanie. - Jeden. Dwa. Trzy...

Pogodna, piękna siwowłosa kobieta, która prowadziła to letnisko od ponad trzydziestu lat, uśmiechnęła się do Claire ponad głową Alison.

- Sto jeden. Sto dwa...

Happy nagrodziła Alison oklaskami.

- Świetnie, Ali! Claire, miło was znowu widzieć. Co słyhać w Kurorcie nad Brzegiem Rzeki?

- Dostawiliśmy jeden domek. Mamy ich teraz osiem. Liczę, że nie dotkną nas zmiany w gospodarce. Mówi się, że benzyna ma pójść w górę

- Dwieście. Dwieście jeden...

- Zdecydowanie nie widać, żeby spadała - zauważyła Happy. - Działamy podobnie do was - sami stali goście. Rok w rok.

A właśnie, skoro o tym mowa. Gina już jest. I Charlotte. Brakuje jedynie Karen. W tym roku wam przypada domek dla nowożeńców.

- Tak jest. Ostatnim razem, kiedy tam mieszkaliśmy, Alison spała jeszcze w przenośnym łóżeczku.

- Będziemy miały telewizor! - zawołała dziewczynka, podskakując. - Przywiozłam tony filmów.

- Godzina oglądania dziennie - przypomniała Claire, wiedząc, że w nadchodzącym tygodniu ta uwaga stanie się mantrą powtarzaną co najmniej dziesięć razy na dzień. Jej córka mogła oglądać „Małą syrenkę” przez siedem dni.

Za ich plecami zaskrzypiały drzwi z siatki. Do środka wpadła gromadka roześmianych dzieci, a za nimi weszło sześcioro dorosłych.

Happy pchnęła w stronę Claire klucz leżący na biurku.

- Sprawy papierkowe załatwimy później. Mam przecucie, że to grupa łowców kwater. Objężdżają wszystkie miejsca po kolei i fotografują, zanim coś wybiorą.

Claire dobrze to rozumiała. Kurort nad Brzegiem Rzeki dysponował minimalną liczbą kwater kempingowych - miał ich zaledwie dziewiętnaście - i bardzo dbała o te najlepsze. Jeżeli gość przypadł jej do gustu, wskazywała mu miejsce w niewielkiej odległości od sanitariatów i jeziora. Jeśli nie... czekał go długi spacer do toalety w deszczowy dzień.

- Wpadnij na drinka któregoś wieczoru. - Poklepała dłonią wysłużony sosnowy blat kontuaru.

- Do was, szalonych kobitek? - Happy uśmiechnęła się radośnie. - Za żadne skarby nie przepuszczę takiej okazji.

Claire wręczyła klucz Alison.

- Proszę bardzo, Ali-Kotku. Ty tu rządzisz. Prowadź nas.

Dziewczynka rzuciła się do wyjścia z radosnym okrzykiem. Klucząc między ludźmi, przebiegła przez zatłoczony korytarz i wypadła na dwór. Tym razem jej stopy zadudniły o stopnie.

Claire pospiesznie podażyła za córką. Gdy tylko wyjęły bagaże z samochodu, biegiem pokonały trawnik, minęły hangar dla

łodzi i wpadły między drzewa. Tu twardy, ubity piach pokrywała stuletnia warstwa sosnowych igieł. Wreszcie dotarły na polankę. Posiwały, drewniany pomost kołysał się łagodnie na falującej, niebieskiej wodzie. W oddali, na przeciwległym brzegu, kompleks białych kondominiów stał w niecce pośród złotych zboczy wzgórz.

- Clara Bella!

Claire osłoniła dłonią oczy i rozejrzała się wokół.

Gina machała do niej z brzegu jeziora.

Pomimo dzielącej je odległości Claire dostrzegła, jak wysoka jest szklanka z drinkiem, którą trzyma w dłoni.

To będzie tydzień resocjalizacji Giny. Zazwyczaj to ona, najbardziej zachowawcza, była ostoją dla pozostałych, ale parę miesięcy temu przeżyła rozwód i straciła grunt pod nogami. Samotna kobieta w świecie parzystych. W zeszłym tygodniu jej eks-mąż wprowadził się do młodszej kobiety.

- Ali, pospiesz się! - krzyknęła Bonnie, sześciolatnia córka Giny.

Alison rzuciła na piach plecaczek w kształcie Misia Puchatka i błyskawicznie się rozebrała.

- Alison...

Z dumą zaprezentowała żółty kostium kąpielowy.

- Mamuś, jestem gotowa.

- Chodź tu, złotko! - zawołała ją Gina, sięgając po monstrualną tubę kremu do opalania. Błyskawicznie wysmarowała Alison i puściła wolno.

- Nie wchodzić powyżej pępka - ostrzegła Claire, upuszczając walizki na piasek.

Alison zrobiła niezadowoloną minę.

- Och, mamó! - jęknęła, po czym pobiegła do jeziora, rozpryskując wodę, i dołączyła do Bonnie.

Claire usiadła obok Giny na złocistym piasku.

- O której przyjechałaś?

- Oczywiście punktualnie. - Gina się zaśmiała. - Uświadomiłam sobie w tym roku, że życie może ci się rozpaść, rozpie-

przyć na drobne kawałki, ale nadal pozostajesz sobą. A nawet jeszcze bardziej się starasz. Należę do punktualnych kobiet.

- Nie ma w tym nic złego.

- Rex by się z tobą nie zgodził. Ciągłe powtarzał, że brakuje mi spontaniczności. Myślałam, że być może chodzi mu o seks po południu. Okazało się, że miał na myśli akrobacje na spadochronie. - Kręcąc głową, uśmiechnęła się gorzko do Claire. - Teraz z przyjemnością wypchnęłabym go z samolotu.

- A ja bym mu odpowiednio podrasowała spadochron.

Obie się roześmiały, chociaż to wcale nie było zabawne.

- Jak Bonnie sobie radzi?

- To właśnie w tym wszystkim najsmutniejsze. Wydaje się niczego nie zauważać. I tak Reksa nigdy nie było w domu. Nie wyjawiałam jej, że przeprowadził się do innej kobiety. Jak można coś takiego powiedzieć dziecku? - Giną oparła się o Claire, a ona objęła ją ramieniem. - Boże, jak bardzo potrzebowałam tego tygodnia!

Milczały przez chwilę. Ciszę zakłócał jedynie plusk wody o pomost i piskliwy śmiech dziewczynek.

- Jak dawałaś sobie radę przez te wszystkie lata? - Giną odwróciła się do Claire. - Mam na myśli życie w pojedynkę.

Od narodzin Alison Claire nie zastanawiała się nad swoją samotnością. Tak, była sama - w tym sensie, że nigdy nie wyszła za mąż ani nie zamieszkała z mężczyzną, ale w zasadzie nie czuła się samotna. Naturalnie czasem doskwierał jej brak kogoś, z kim mogłaby dzielić życie, ale już dawno dokonała wyboru. Nie chciała pójść w ślady matki.

- Jasną stroną jest to, że nie masz problemu ze znalezieniem pilota do telewizora, nikt nie każe ci myć samochodu ani nie mówi, gdzie go masz zaparkować.

- Poważnie, Claire. Potrzebuję rady.

Claire spojrzała na Alison, która stojąc po pępek w wodzie, podskakiwała i śpiewała piosenkę o alfabecie. Poczowała ucisk w piersi. Zaledwie wczoraj Ali mieściła się w zgięciu jej ramienia. Niedługo może zażądać kolczyka w brwi. Wiedziała, że ko-

cha córkę zbyt zaborczą miłością; to niebezpieczne tak desperacko potrzebować obecności drugiej osoby, ale nie znała innej miłości. Dlatego nigdy nie wyszła za mąż. Niewielu mężczyzn darzyło żony bezwarunkową miłością. Szczerze mówiąc, zastanawiała się, czy prawdziwa miłość istnieje. Ta wątpliwość stanowiła część dziedzictwa przekazanego córce przez matkę, na podobieństwo zakaźnej choroby.

Dla mamy rozwiązaniem był rozwód; u Claire pewność, że nigdy nie powie „tak”.

- Otrząsniesz się z samotności. Będziesz żyć dla dzieci - powiedziała cicho, zdziwiona żalem brzmiącym w jej głosie. Tyle było rzeczy, po które nigdy nie odważyła się sięgnąć.

- Claire, Ali nie powinna przesłaniać ci całego świata.

- To wcale nie tak, że nie próbowałam się zakochać. Uważałam się z każdym samotnym facetem w Hayden.

- Z każdym tylko jeden raz. - Gina się uśmiechnęła. - A Bert Shubert nadal się w tobie kocha. Pani Hauser uważa, że musisz być niespełna rozumu, skoro puściłaś go wolno.

- To smutne, że pięćdziesięcioletni hydraulik w okularach jak denka od butelek i z rudą kozią bródką jest uważany za idealnego kandydata na męża tylko dlatego, że ma sklep AGD.

Gina wybuchła śmiechem.

- Jeśli kiedykolwiek ci wyznam, że chodzę z Bertem, bardzo cię proszę, zastrzel mnie. - Powoli jej śmiech przeszedł w płacz. - Niech to diabli! - westchnęła, przytulając się do przyjaciółki.

- Wszystko będzie dobrze - szeptała Claire, gładząc Ginę po plecach. - Wyjdiesz z tego, mówię ci.

- Nie wiem - odparła cicho Gina, a sposób, w jaki to powiedziała, być może miękki ton głosu, zazwyczaj stanowczego, sprawił, że Claire poczuła w sobie pustkę. Osaczyła ją samotność.

Powróciła myślami do dnia, który odmienił jej życie. Dowiedziała się wtedy, że miłość ma trwałość towarów na półce; jest termin ważności, który nagle wygasa, i pozostaje jedynie gorzycz.

„Zostawiam cię” - oznajmiła siostra. Do tamtej chwili Meg była najlepszą przyjaciółką Claire, jej całym światem. Lepszą mamą niż rodzona matka.

I Claire też się rozpłakała.

Giną pociągnęła nosem.

- Nic dziwnego, że nikt nie chce ze mną przebywać. Jestem księżniczką ciemności. Dziesięć sekund w moim towarzystwie i całkowicie szczęśliwi ludzie zaczynają płakać.

Claire wytarła oczy. Nie ma sensu rozpaczać nad przeszłością. Niemniej zdziwiła się, że jeszcze stać ją na łzy. Uważała, że dawno pogodziła się z odejściem Meg.

- Pamiętasz tamte wakacje, kiedy Char spadła z pomostu, bo taka była zapłakana, że nic nie widziała?

- Kryzys wieku średniego u Boba. Posądzała go o romans z gosposią.

- A okazało się, że w tajemnicy robił sobie przeszczepy włosów.

Giną mocniej objęła Claire.

- Dzięki Bogu za Błueserki. Od czasu porodu nie potrzebo-  
wałam was tak bardzo jak dziś.

## 4

Zabrzączał interkom.

- Przyszła Jill Summerville.

- Wprowadź ją.

Meghann wyjęła z szafki nad głową świeży notatnik z żółtymi kartkami i pióro. Zanim Jill weszła do sali konferencyjnej, Meghann zdążyła wrócić na miejsce i przybrać uprzejmy uśmiech.

- Witaj, Jill! - powiedziała, podnosząc się. - Jestem Meghann Dontess.

Jill, wyraźnie skrepowana, przystanąła w pobliżu drzwi. Była ładną kobietą. Szczupła, około pięćdziesiątki. W drogim popielatym kostiumie i kremowej jedwabnej bluzce.

- Proszę, usiądź - zachęciła ją Meghann, wskazując fotel po swojej lewej ręce.

- Nie jestem pewna, czy chcę rozwodu.

Meghann ciągle słyszała podobny tekst.

- Porozmawiajmy. Mogłabyś mi opowiedzieć o swoim małżeństwie.

Jill usiadła sztywno w fotelu. Położyła dłonie na stole, rozsuwając palce, jakby w obawie, że blat może lewitować.

- Nie jest dobrze - wyznała cicho. - Nasze małżeństwo trwa dwadzieścia sześć lat, a ja już nie mogę. Dłużej nie wytrzymam. W ogóle nie rozmawiamy. Staliśmy się jedną z tych par, które jedząc obiad w restauracji, siedzą naprzeciw siebie i milczą. Podobną sytuację obserwowałam u rodziców. Przysięgłam sobie, że u mnie tak nie będzie. W przyszłym roku kończę pięćdziesiąt lat. Czas, bym zaczęła żyć po swojemu.

Powód rozwodu - ostatnia szansa na odmianę w życiu. Numer dwa tuż po najczęstszym, sakramentalnym: „Oszukuje mnie”.

- Wszyscy mają prawo do szczęścia - podsumowała Meg, czując się dziwnie nieobecna. Automatycznie wyrzuciła z siebie serię pytań i stwierdzeń, które miały wydobyć gruntowne informacje oraz zaskarbić zaufanie klientki. Meg widziała, że osiągnęła oba cele. Jill zaczynała się odprężyć. Od czasu do czasu nawet się uśmiechała.

- A majątek? Wiesz, jaką wartość netto przedstawia?

- Beatrice DeMille uprzedziła mnie, że o to zapytasz. - Otworzyła dyplomatkę od Fendiego, wyciągnęła plik spiętych razem dokumentów i przesunęła go w stronę Meghann. - Razem z mężem założyliśmy firmę internetową Emblazon. Sprzedaliśmy ją AOL, gdy notowania poszły w górę. Dodając do tego wartość kilku pomniejszych firm oraz domów, nasz majątek jest wart około siedemdziesięciu dwóch milionów.

Siedemdziesiąt dwa miliony dolarów.

Meghann siłą woli utrzymała zawodowy uśmiech w obawie, żeby przypadkiem nie otworzyć ust z wrażenia. To była największa sprawa, jaka dotąd wpadła jej w ręce. Na coś takiego czekała



przez całe zawodowe życie. To będzie rekompensata za wszystkie bezsenne noce spędzone na zamartwianiu się problemami klientek, których nie było stać na zapłacenie honorarium. Jej ulubiony profesor prawa zwykł mawiać, że prawo jest jedno bez względu na liczbę zer. Meg wiedziała swoje. System preferował takie kobiety jak Jill.

Prawdopodobnie powinny zatrudnić rzecznika do kontaktu z mediami. Takie sprawy zazwyczaj nabierają rozgłosu.

Perspektywa procesu powinna ją podniecić, dać zastrzyk energii. O dziwo, czuła obojętność. A nawet lekki smutek. Wiedziała, że pomimo milionów Jill nie wyjdzie z tego bez szwanku.

Meg sięgnęła po słuchawkę i jednocześnie nacisnęła przycisk interkomu.

- Rhono, przynieś mi listę adwokatów. Seattle. Los Angeles. San Francisco. Nowy Jork i Chicago.

Jill ściągnęła brwi.

- Ale... - zamilkła, gdy do biura weszła sekretarka z wydrukiem w ręce.

- Dzięki. - Meghann podała kartkę Jill. - Ta dwudziestka to najlepsi adwokaci w kraju.

- Nie pojmuję.

- Od chwili kiedy się z nimi skontaktujesz, nie będzie im wolno reprezentować twojego męża. Konflikt interesów.

Jill przebiegła listę wzrokiem, po czym powoli podniosła głowę.

- Rozumiem. To taka strategia rozwodowa.

- Zwykłe planowanie z wyprzedzeniem. Na wszelki wypadek.

- Czy to etyczne?

- Oczywiście. Jako klientce przysługuje ci prawo do zaczerpnienia dodatkowych opinii. Potrzebna mi będzie zaliczka - powiedzmy jakieś dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, z czego dziesięć tysięcy pójdzie na opłacenie najlepszych biegłych księgowych w Seattle.

Jill wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę w całkowitym milczeniu. Wreszcie skinęła głową i podniosła się z fotela.

- Skontaktuję się ze wszystkimi prawnikami z listy. Niemniej rozumiem, że jeśli wybiorę cię, zgodzisz się mnie reprezentować.

- Jak najbardziej. - Meg nie zapomniała jednak w ostatniej chwili dodać: - Mam nadzieję, że nie będę ci potrzebna.

- Będiesz - stwierdziła Jill. - Widzę, że potrafisz budzić nadzieję.

Meghann westchnęła.

- Wiem, że w tym kraju zdarzają się szczęśliwi małżonkowie. Oni po prostu do mnie nie przychodzą, ale naprawdę mam nadzieję, że więcej się nie zobaczymy.

Jill posłała jej smutne, wyraziste spojrzenie i Meghann wiedziała; może tej decyzji towarzyszyło pewne wahanie i żal, ale już została podjęta.

- W takim razie działaj i miej nadzieję - powiedziała cicho Jill. - Za nas obie.

- Nie wyglądasz zbyt dobrze.

Meghann rozparta w czarnym skórzanym fotelu pozostała nieporuszona.

- Więc to dlatego płacę ci dwieście dolarów za godzinę. Żebyś mnie obrażała. Powiedz mi jeszcze, że brzydko pachnę. Wtedy naprawdę poczuję, że dobrze wydaję pieniądze.

- Dlaczego mi płacisz?

- Traktuję to jako odpis na działalność charytatywną.

Doktor Bloom nie uśmiechnęła się. Swoim zwyczajem siedziała nieruchomo jak kameleon i obserwowała. Gdyby nie wyraz współczucia w jej piwnych oczach, można by ją wziąć za posag. To właśnie owo współczucie graniczące z ubolewaniem często pomagało Meghann się otworzyć. W ciągu ostatnich dwudziestu lat odwiedziła mnóstwo specjalistów. Wyłącznie psychiatrów, nigdy terapeutów czy psychologów. Przede wszystkim wynikało to z wiary w dogłębne wykształcenie. Poza tym, co równie ważne, wołała rozmawiać z kimś, kto mógł zapisywać leki.

Po trzydziestce Meg zmieniała psychiatrów co dwa lata. Ni-

gdy nie mówiła im nic istotnego, a oni w rewanżu nie zadawali drażących pytań.

Aż wreszcie trafiła do Harriet Bloom, posagowej królowej, która potrafiła przesiedzieć bez słowa całą godzinę, a przyjmując czek, poinformować Meghann, że do niej należy decyzja, czy wyda pieniądze mądrze, czy też wyrzuci je w błoto.

Harriet odkryła parę istotnych faktów z jej przeszłości, a reszty się domyśliła. W zeszłym roku Meghann kilkanaście razy myślała o zakończeniu tych sesji, ale za każdym razem, kiedy była bliska decyzji, ogarniała ją panika i zmieniała zdanie.

Cisza zaczynała ciążyć.

- No dobra. Wyglądam jak zombi. Przyznaję. Niezbyt dobrze sypiam. No właśnie, przydałoby mi się trochę tabletek.

- To, co ci zapisałam, powinno wystarczyć jeszcze na dwa tygodnie.

Meghann nie miała odwagi spojrzeć Harriet w oczy.

- Kilka razy w tym tygodniu wzięłam po dwie tabletki. Ta bezsenność... mnie wykańcza. Czasem nie daję sobie z tym rady.

- Jak sądzisz, dlaczego nie możesz spać?

- A ty jak sądzisz, dlaczego nie mogę? To dość istotne, nie uważasz?

Doktor Bloom przyglądała jej się z uwagą. Aż dziw, że przy takim bezruchu jej płuca były w stanie funkcjonować.

- Naprawdę?

- Czasem miewam kłopoty z zaśnięciem. To wszystko. Wielka mi rzecz.

- I wtedy zadaniem tabletek oraz obcych mężczyzn jest pomóc ci przetrwać noc.

- Nie podrywam już tylu facetów co kiedyś. Ale czasami... - Podniosła głowę i ujrzała w oczach Harriet smutek i zrozumienie. Wkurzyła się. - Nie patrz tak na mnie.

Harriet pochyliła się, opierając łokciami o stół. Końcami złożonych palców muskała podbródek.

- Szukasz w seksie remedium na samotność. Cóż jest bardziej samotnego od anonimowego seksu?

- Przynajmniej nie jest mi żal, kiedy facet opuszcza moje łóżko.

- Znowu Erie.

- Erie.

Harriet odchyliła się na oparcie.

- Małżeństwo nie trwało nawet rok.

- Harriet, nie bagatelizuj tego. On mi złamał serce.

- To prawda. A ty w swojej pracy, dzień w dzień, delektujesz się jak cukierkiem smutnymi, podobnymi do twojej historiami, które opowiadają ci różne kobiety. Tamten smak dawno zwietrzał. Nie obawiasz się, że ktoś ponownie mógłby ci złamać serce. Ty się boisz, że nie ma czego łamać. Sumując, jesteś przerażona, a strach nie jest emocją, która idzie w parze z twoją potrzebą zachowania kontroli.

To prawda. Meg czuła się znużona samotnością i przerażała ją myśl, że jej życie będzie przypominać szmat pustej drogi. Miała chęć skinąć głową, przytaknąć i prosić o pomoc w wyzbyciu się lęku. Jednak poprzez wewnętrzny błagalny krzyk o przetrwanie przedarł się inny, cichy i wąty głos. Życie ją nauczyło, że miłość jest nietrwała. Lepiej być samotną i silną niż mieć złamane serce i okazać słabość.

Jej głos, kiedy go wreszcie wydobyła, zabrzmiał nienaturalnie i ostro.

- Miałam ciężki tydzień w pracy. Jestem niecierpliwa wobec moich klientów. Widzę, że nie okazuję im tyle zrozumienia co dawniej.

Harriet była zbyt dobrym fachowcem, żeby jakimś gestem czy grymasem okazać rozczarowanie. Jedynie rozplotła palce. W oczach na powrót pojawił się wyraz tego nieznośnego współczucia. Zdawały się mówić: Biedna Meghann, boi się wszelkich związków.

- Twoje emocje wydają ci się odległe i niedostępne. Jak sądzisz, dlaczego?

- Jako adwokata nauczono mnie patrzeć na sprawy beznamiętnie.

- A jednocześnie obie wiemy, że najlepsi adwokaci to tacy, którzy potrafią współczuć. A ty, Meghann, jesteś wspaniałym adwokatem.

Znalazły się z powrotem na pewnym gruncie, choć w każdej chwili mógł znowu okazać się śliski.

- Właśnie to usiłuję ci powiedzieć. Nie jestem już taka dobra, jak byłam. Pomagałam ludziom. Nawet się nimi przejmowałam.

- A teraz?

- Stałam się automatem, który przez cały dzień przyjmuje pieniądze i wypłwca ugody. Łapię się na tym, że częstuję te kobiety w chwili, gdy ich życie wali się w gruzy, czymś w rodzaju słownej mielonki z puszki. Kiedyś byłam wściekła na ich mężów. Teraz jestem zwyczajnie znużona. To nie jest tylko gra, bo nadal poważnie traktuję swoją rolę, ale to nie jest... również prawdziwe życie. Nie dla mnie.

- Mogłabyś pomyśleć o wakacjach.

- O czym? - Meghann się uśmiechnęła. Obie wiedziały, że nie potrafi siedzieć beczynnienie.

- O wakacjach. Normalni ludzie wyjeżdżają na kilka tygodni na Hawaje albo do Aspen.

- Nie można uciec przed brakiem satysfakcji. Co to jest? Psychologia zerojedynkowa?

- Nie sugeruję ucieczki. Proponuję, żebyś zrobiła sobie przerwę. Może się trochę opaliła. Mogłabyś spędzić kilka dni u siostry w górach.

- Wakacje z Claire nie wchodzi w grę.

- Boisz się z nią rozmawiać.

- Niczego się nie boję. Claire kieruje polem kempingowym w zabitej dechami dziurze. Nic nas nie łączy.

- Wspólna przeszłość.

- Nic tam nie było dobrego. Możesz mi wierzyć, że kierowca autobusu wycieczkowego po życiu Claire nadepnąłby na gaz i wiał, aż by się kurzyło, gdyby znalazł się w okolicy naszego dzieciństwa.

- Przecież kochasz Claire. To musi mieć znaczenie.

- Tak - przyznała Meg z namysłem. - Kocham ją. I dlatego trzymam się od niej z daleka. - Zerknęła na zegarek. - Cholera! Czas minął. Do zobaczenia za tydzień!

## 5

Joe stał na rogu Pierwszej i Main, spoglądając w dół ulicy miasta, którego nazwa mu umknęła. Zdjął plecak i przerzucił go na drugie ramię. Koszula pod szelką była wilgotna, skóra lepka od potu. W nieruchomym, gorącym jak z piekarnika powietrzu otaczał go zapach własnego ciała. Nie był przyjemny. Tego ranka przeszedł ponad jedenaście kilometrów. Żaden samochód się nie zatrzymał. Nic dziwnego. Im dłuższe i bardziej siwe stawały się jego włosy, tym rzadziej łapał okazje. Mógł liczyć wyłącznie na kierowców szesnastokilowych ciężarówek, lecz w ten gorący niedzielny poranek niewiele ich poruszało się na drogach.

W głębi ulicy dostrzegł ręcznie namalowany szyld: „Wake Up Cafe”.

Zanurzył rękę w kieszeni i wyciągnął portfel z jagnięcej skóry - miękki, gładki relikw z poprzedniego życia. Otworzył go i zaledwie przelotnie spoglądając na zdjęcie za plastikową osłonką, zajrzał do bocznej przegródki.

Dwanaście dolarów i siedemdziesiąt dwa centy. Musi dzisiaj poszukać jakiejś pracy. Pieniądze zarobione w Yakimie prawie się rozeszły.

Skierował się do kafeterii. Kiedy wszedł, zadźwięczał dzwonek nad drzwiami.

Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę.

Gwałtownie ucichł gwar rozmów. Ciszę zakłócały jedynie odgłosy dochodzące z kuchni.

Wiedział, jak wygląda w ich oczach: zaniedbany włóczęga z siwymi włosami do ramion, w ubraniu, któremu przydałby się długi cykl w pralce, lewisy spłowiałe niemal do białości, ba-

welńiana koszulka mokra od potu. W przyszłym tygodniu przypadały jego czterdzieste trzecie urodziny, ale wyglądał na sześćdziesiąt lat. A w dodatku ten zapach...

Wyciągnął zafoliowany jadłospis umieszczony przy kasie i ze spuszczoną głową przeszedł do ostatniego stołka przy barze, w lewym końcu sali. Nauczył się nie siadać zbyt blisko „porządnych ludzi” w miasteczkach, w których się zatrzymywał. Czasami obecność człowieka, któremu źle się wiedzie, budzi niepokój. Łatwo wylądować w celi. Miał już okazję posiedzieć w areszcie.

Kelnerka w nylonowym różowym poplamionym fartuchu stała przy grillu, w pewnej odległości od kontuaru. Wpatrywała się w niego, podobnie jak wszyscy.

Usiadł spokojnie, sztywno wyprostowany.

Nagle, jak za naciśnięciem guzika, powrócił gwar.

Kelnerka wyciągnęła zza ucha długopis i podeszła do niego. Gdy znalazła się blisko, zauważył, że jest młodsza, niż sądził. Może nawet chodziła do średniej szkoły. Długie, brązowe włosy z czerwonymi pasemkami miała zebrane w luźny koński ogon, małe złote kółko wisiało wpięte w przesadnie wydepilowaną brew. Warstwa makijażu grubsza niż u Boya George'a.

- Co podać? - Zmarszczyła nos i cofnęła się o krok.

- Pewnie przydałby mi się prysznic, co?

- No, nie zaszkodziłby. - Uśmiechnęła się i nieznacznie przechyliła ku niemu. - Kemping KOA jest najlepszy. Mają fantastyczny prysznic. Oczywiście tylko dla gości, ale nikt tam specjalnie nie pilnuje. - Wydmuchała balon z gumy do żucia i wyszeptła: - Drzwi otwiera kod: dwa, jeden, jeden, zero, zero.

- Dziękuję. - Spojrzał na jej identyfikator. - Brandy.

Dłoń z długopisem zawisła nad małym notesem.

- Co dziś bierzemy?

Nawet nie spojrzał na jadłospis.

- Babeczkę z żytniej mąki, świeże owoce, cokolwiek tam masz, i płatki owsiane. Aha, i jeszcze szklankę soku pomarańczowego.

- Nie chcesz jajek na bekonie?

- Nie.

Wzruszyła ramionami i odwróciła się.

- Brandy?-zatrzymała ją.

- Tak?

- Gdzie taki facet jak ja mógłby dostać jakąś robotę?

Spojrzała na niego.

- Facet jak ty? - Ton głosu był wielce wymowny. Uznała, że nie pracuje, tylko włóczy się z miejsca na miejsce i żebrze. - Spróbowałabym w Tip Top Apple Farm. Tam zawsze potrzebują ludzi. I w Yardbirds - koszą trawniki przy letnich domach do wynajęcia.

- Dzięki!

Joe siedział na zdumiewająco wygodnym barowym stołku znacznie dłużej, niż wymagała tego konsumpcja. Powoli jadł śniadanie, przeżuując starannie każdy kęs, lecz w końcu i miseczka, i talerz zrobiły się puste.

Wiedział, że należało ruszać dalej, ale nie był w stanie się zebrać. Poprzednią noc spędził przytulony do pnia zwalonego drzewa na pastwisku u jakiegoś chłopca. Było mu niewygodnie, wył wiatr i niespodziewanie spadł deszcz. Dziś bolały go wszystkie kości. Teraz było mu ciepło, a jednocześnie nie za gorąco, miał pełen żołądek i siedział na tym wygodnym stołku. Pełnia szczęścia.

- Musisz wyjść - szepnęła Brandy, przechodząc. - Szef powiedział, że wezwie gliniarzy, jeśli się nie zabierzesz stąd.

Mógłby zaprotestować, powiedzieć, że przecież zapłacił za śniadanie i ma prawo tu siedzieć. Przeciętny człowiek zapewne by tak uczynił.

- W porządku - powiedział zamiast tego i położył sześć dolarów na blacie z imitacji różowego marmuru.

Powoli zsunął się ze stołka. Zakreśliło mu się w głowie. Kiedy słabość minęła, podniósł plecak i zarzucił go na ramię.

Na zewnątrz uderzyła go fala gorąca, niejako na powrót wtłaczając go w drzwi. Siłą woli ruszył przed siebie.



Szedł z uniesionym kciukiem, jednak żaden samochód się nie zatrzymał. Osłabiony niemal czterdziestostopniowym upałem włókł się w kierunku wskazanym przez Brandy. Zanim dotarł do kempingu K.OA, pulsowało mu w skroniach i bolało go gardło.

Pragnął tylko jednego - pokonać szutrową drogę, zaszyć się w łazience na długi, ciepły prysznic, a potem wynająć domek i porządnie wypocząć.

- Niemożliwe - powiedział na głos, myśląc o zawartości portfela. Tego zwyczaju - mówienia do siebie na głos - nabrał niedawno. Inaczej szedłby nieraz całymi dniami, nie słysząc ludzkiego głosu.

Musiał wśliznąć się do łazienki, a nie miał jak, bo wszędzie kręcili się ludzie.

Przemknął chyłkiem do sosnowego zagajnika za kempingiem. Ciężko działał kojąco. Wszedł głębiej w las, a kiedy nabrał pewności, że nikt go nie widzi, usiadł pod sosną oparty plecami o pień. Głowa pulsowała mu z bólu przy każdym najmniejszym ruchu. Przymknął oczy.

Wiele godzin później obudził go czyjś śmiech. Kilkoro dzieci biegało po kempingu, radośnie popiskując. W powietrzu wisiał ciężki zapach dymu z ognisk.

Pora kolacji.

Zmrużył oczy zaskoczony, że spał tak długo. Odczekał, aż zajdzie słońce i zapadnie cisza na kempingu, a potem podniósł się z ziemi. Przyciskając do siebie plecak, skradał się do baraku z bali, w którym mieścił się sanitariat i pralnia.

Już wyciągał rękę, aby wstukać kod, gdy niespodziewanie pojawiła się jakaś kobieta. Nie wiadomo skąd.

Zamarł i powoli się odwrócił.

Miała na sobie jaskrawoniebieski kostium kąpielowy i szorty z obciętych džinsów, a w rękach trzymała stertę różowych ręczników. Wilgotne złotoblond włosy układały się w burzę loków. Uśmiechała się, idąc do łazienki, lecz na jego widok uśmiech zamarł jej na ustach.

Cholera. A był tak blisko kąpieli - pierwszej od wielu tygo-

dni. Ta piękna kobieta zaraz zaczęła na całe gardło wzywać kierownika.

- Kod: dwa, jeden, jeden, zero, zero - powiedziała bardzo cicho. - Proszę. - Wręczyła mu ręcznik, po czym weszła do damskiej łazienki i zamknęła drzwi.

Stał przez chwilę, nie mogąc uczynić kroku; tak bardzo poruszyła go jej dobroć. Wreszcie, ściskając ręcznik, wystukał kod i szybko wszedł do męskiej łazienki. Była pusta.

Stał długo pod gorącym prysznicem, potem przebrał się w swoje najczystsze rzeczy i wyprał brudne ubranie. Myjąc zęby, przyjrzał się sobie w lustrze. Przydługie i posiwiałe włosy były zmierzwiłone. Nie miał możliwości ogolić się rano, więc zapadnięte policzki ocieniał szczeciniasty zarost. Worki pod oczyma były wielkie jak torby na zakupy. Przypominał owoc, który powoli psuje się od środka.

Przeczesał palcami włosy, odgarnął je z twarzy i ponownie odwrócił się do lustra. Lepiej nie patrzeć. Odbicie w lustrze przypominało mu dawne życie, kiedy był młody, próżny i bardzo dbał o swój wygląd. Wtedy wiele nieistotnych spraw zdawało się mieć duże znaczenie.

Podszedł do drzwi, uchylił je i wyrzwał na zewnątrz. Nie zauważył nikogo w pobliżu, więc wymknął się na dwór.

Zrobiło się całkiem ciemno. Księżyc w pełni wisiał nad jeziorem, oblewając poświatą pomarszczoną, falującą wodę i rząd domków stojących wzdłuż brzegu. W oknach trzech z nich paliło się światło. W jednym oknie dostrzegł poruszających się ludzi; chyba tańczyli. Nagle zapragnął znaleźć się w środku, pomiędzy ludźmi, którzy czuli się ze sobą szczęśliwi.

- Joe, świrujesz - powiedział, żałując, że nie potrafi skwitować tego śmiechem, tak jak kiedyś by to zrobił. Nie pozwolił mu na to ucisk w gardle.

Wszedł między drzewa i ruszył przed siebie. Kiedy znalazł się na wysokości jednego z domków, usłyszał piosenkę Bee Geesów: „Stayin' Alive”. A potem dziecięcy śmiech. „Tatusiu, zatańcz ze mną” - prosiła głośno jakaś dziewczynka.

Zmusił się, żeby iść dalej. Z każdym krokiem śmiech stawał się coraz cichszy, a kiedy dotarł do krawędzi lasu, musiał wyteżać słuch, żeby w ogóle go słyszeć. Usiadł na małej polance zasypanej sosnowymi igłami. Światło księżycza zmieniło świat wokół niego w układankę niebiesko-białych i czarnych plam.

Otworzył plecak i przewracając jego zawartość, szukał pośród wilgotnych, ciasno poskładanych ubrań dwóch rzeczy, które miały dla niego znaczenie.

Trzy lata temu, kiedy postanowił uciec, wyciągnął drogą walizkę. Ciągłe pamiętał, jak stojąc w sypialni, pakował się w tę bezterminową podróż bez miejsca przeznaczenia, zastanawiając się przy tym, czego będzie potrzebował. Zapakował bawełniane spodnie i swetry z szetlandzkiej wełny, zabrał nawet czarny garnitur od Josepha Abbouda.

Pod koniec pierwszej samotnie spędzonej zimy zrozumiał, że te rzeczy to zupełnie bezużyteczne pozostałości po zapomnianym życiu. W egzystencji, jaką wiódł, potrzebne mu były jedynie dwie pary dżinsów, kilka podkoszulków, bluza dresowa i podgumowany płaszcz przeciwdeszczowy. Całą resztę oddał biednym.

Zatrzymał jedynie różowy kaszmirowy sweterek zapinany na małe guziczki z masy perłowej. W dobre wieczory nadal wyczuwał zapach perfum na miękkiej dzianinie. Jej perfum.

Wyjął z plecaka mały, oprawiony w skórę album ze zdjęciami. Otworzył go na pierwszej stronie.

To zdjęcie należało do jego ulubionych.

Diana w białych szortach i podkoszulku z logo Yale siedziała na trawniku. Obok leżały pootwierane książki, a ich strony zakrywały pęki różowych kwiatów wiśni. Uśmiechała się tak radośnie, że musiał zamrużyć powiekami, żeby powstrzymać łzy.

- Cześć, maleńka - wyszeptał, gładząc palcami śliską osłonkę. - Wziąłem dziś gorący prysznic.

Zamknął oczy. Powracała do niego w ciemnościach. Ostatnio coraz częściej miał wrażenie, że ona nie odeszła, że nadal jest.

Zdawał sobie sprawę, że to jakaś aberracja, zaburzenia psychiczne, ale nie dbał o to.

- Jestem zmęczony - wyznał i oddychając głęboko, chłonał zapach jej perfum. Red Giorgio Armaniego. Zastanawiał się, czy nadal je produkują.

„To, co robisz, nie jest dobre”.

Nie wiem, co innego mógłbym robić.

„Wróć do domu”.

- Nie mogę.

„Łamiesz mi serce, Joeyu”.

Zniknęła.

Z ciężkim westchnieniem oparł się o gruby pień drzewa.

„Wróć do domu” - powiedziała. Zawsze mu to powtarzała.

Sam sobie też to mówił.

Może jutro, pomyślał, zbierając w sobie odwagę, która umożliwiłaby mu powrót. Bóg świadkiem, że po trzech latach spędzonych na tułaczce czuł się znużony samotnością.

Może jutro... wreszcie... w końcu... przełamie się i ruszy na zachód.

Diana by się ucieszyła.

## 6

Seattle wyglądało najkorzystniej w nocy i w pełnym słońcu. Autostrada - koszmar w porannej godzinie szczytu, gdy samochody jechały jeden za drugim, zderzak w zderzak - wieczorem zmieniała się w migotliwego czerwono-żółtego chińskiego smoka, który wił się wzdłuż ciemnego nabrzeża jeziora Union. Komplex drapaczy chmur w sercu miasta, pospolity w szarawej mgłę czerwcowych dni, po zapadnięciu zmroku tworzył konstelacją światła, która zmieniała się jak w kalejdoskopie.

Meghann stała w biurze przy oknie. Ten widok niezmiennie ją fascynował. Woda była czarną plamą, która pochłonięła pobliską wyspę Bainbridge. Chociaż nie mogła widzieć ulicy na dole,

wiedziała, że jest zatłoczona. Ruch uliczny stanowił przekleństwo Seattle, z którym miasto weszło w nowe tysiąclecie. Miliony ludzi, zwabionych poziomem życia i różnorodnością rozrywek, przeniosły się do tej niegdyś sennej miejsciny. Niestety, kiedy mieszkańcy wzniesli już sztywne domy w podmiejskich dzielnicach, podjęli pracę w centrum. Drogi wybudowane dla portowego miasta na uboczu nie były przystosowane do wzmożonego ruchu.

Postęp.

Meghann spojrzała na zegarek. Wpół do dziewiątej. Czas wracać do domu. Zabierze ze sobą akta Wanamaker. Przygotuje się na jutro.

Otworzyły się drzwi za jej plecami. Ana, sprzątaczką, wepchnęła wózek z przyborami, drugą ręką ciągnąc odkurzacz.

- Dobry wieczór, pani Dontess!

Meghann uśmiechnęła się. Tyle razy mówiła Anie, żeby zwracała się do niej po imieniu, ale ona nigdy tego nie zrobiła.

- Dobry wieczór, Ano. Co z Raulem?

- Jutro się dowiemy, czy przeniosą go do McChord. Trzymamy kciuki, tak się mówi, *sil*

- Byłoby dobrze, gdybyś miała syna tak blisko - zauważyła Meghann, zbierając teczki z aktami.

Ana wymruczała coś pod nosem. Zabrzmiało to mniej więcej jak: „Ty też powinnaś mieć blisko syna, zamiast tylko pracować i pracować”.

- Ano, czy ty mnie znowu pouczasz?

- Nie wiem, co to znaczy. Pani za ciężko pracuje. Co wieczór tutaj. Kiedy pani chce spotkać tego jedyne, skoro cały czas siedzi pani w biurze?

Rozmawiały o tym od prawie dziesięciu lat, kiedy to Meghann, zasiadając społecznie w Komisji do spraw Emigracji i Naturalizacji, przepytывała Anę. Nie miała spokoju, odkąd wręczyła jej zieloną kartę i zatrudniła u siebie. Ana ze wszystkich sił starała się „odwdziżyć”. Spłacała dług, przynosząc zapiekanki i prawiąc jej kazania na temat nadmiaru obowiązków.

- Masz rację, Ano. Chyba pójde na drinka i trochę się wyluzuję.

- Nie miałam na myśli drinka - odparła Ana, schylając się, żeby włączyć odkurzacz.

- Do widzenia, Ano.

Meghann dochodziła do windy, kiedy zadzwonił jej telefon komórkowy. Przewróciła zawartość czarnej torby od Kate Spade i wyłowiła aparat.

- Meghann Dontess - przedstawiła się.

- Meghann? - Głos był wysoki i przestraszony. - Tu May Monroe.

Meghann natychmiast stała się czujna. Rozwód potrafił nieść ze sobą większe ryzyko od otwartej rany w tropiku.

- Co się dzieje?

- Chodzi o Dale'a. Przyszedł dziś wieczorem.

Meghann odnotowała w pamięci, żeby jutro z samego rana załatwić tymczasowy zakaz wstępu Dale'a do domu.

- Uhm. I co?

- Mówił coś o dokumentach, które dzisiaj dostał. Był wściekły. Co mu wysłałaś?

- May, rozmawiałyśmy przez telefon w zeszłym tygodniu, pamiętasz? Uprzedziłam jego adwokata, że podważymy legalność sprzedaży praktyki i zażądamy wyciągu z kont na Kajmanach. Poza tym poinformowałam go, że wiemy o romansie z nauczycielką muzyki, dając do zrozumienia, że takie postępowanie podważa jego wiarygodność jako ojca.

- O tym nigdy nie było mowy. Zagroziłaś, że pozbawisz go praw rodzicielskich?

- Uwierz mi, May, on się wściekł z powodu pieniędzy. Zawsze tak jest. W przypadku takich facetów jak twój mąż dzieci stają się elementem przetargowym. Udawaj, że zależy ci na opiece nad dziećmi, a wyciśniesz więcej pieniędzy. Powszechnie stosowana taktyka.

- Tobie się wydaje, że znasz mego męża lepiej ode mnie.

Meghann nie potrafiła zliczyć, ile razy słyszała to zdanie.

Zawsze wprawiało ją w zdumienie. Kobiety boleśnie zaskoczone romansami mężów, kłamstwami i kombinacjami finansowymi uparcie wierzyły, że „znają” swoich mężczyzn. Oto jeszcze jeden powód, żeby nie wychodzić za mąż. To nie masturbacja prowadzi do ślepoty, tylko miłość.

- Nie muszę go znać - odparła, stosując jedną ze sztampowych odpowiedzi, które dawno opanowała do perfekcji. - Moim obowiązkiem jest obrona twoich interesów. Być może wyprowadzę twego męża z równowagi podczas procesu - nie-dobrze, kłamię - ale to, niestety, nieuniknione. Ochłonie. Zawsze tak jest.

- Nie znasz Dale'a - powtórzyła May.

Intuicja podpowiadała Meghann, że coś się za tym kryje.

- May, czy ty się go boisz? - Zupełnie nowy aspekt sprawy, pomyślała.

- Boję? - May usiłowała udać zaskoczenie, ale Meghann już się zorientowała. Cholera. Przemoc małżeńska zawsze ją szokowała; zazwyczaj dochodziło do niej w tych rodzinach, w których najmniej można się jej spodziewać.

- Czy on cię bije, May?

- Czasami, kiedy jest pijany, zdarza mi się powiedzieć coś nie tak.

No oczywiście. Wina May. Przeróżające, jak często kobiety w to wierzą.

- Nic ci się nie stało?

- Nie uderzył mnie. I nigdy nie podnosi ręki na dzieci.

Meghann zatrzymała dla siebie to, o czym myślała.

- To dobrze - odrzekła.

Gdyby May tu była, mogłaby, patrząc jej w oczy, sprawdzić, ile potrafi wytrzymać. Może przedstawiłaby jej dane statystyczne - potworne historie, które mają za zadanie uświadomić przykrą prawdę. Często, jeśli mężczyzna bije żonę, wkrótce przychodzi kolej na dzieci. Brutal jest brutalem; a co u takich osobników typowe, czuje potrzebę władzy nad słabszymi. Któż jest bardziej bezbronny od dziecka?

Nic z tego nie nadawało się do rozmowy przez telefon. Czasami, sądząc po głosie, klientka wydawała się silna i w pełni opanowana, a w rzeczywistości była bliska załamania. Zbyt wiele kobiet Meghann odwiedziła na oddziale psychiatrycznym. Lata praktyki nauczyły ją ostrożności.

- Musimy go przekonać, że nie zamierzam odbierać mu dzieci. W przeciwnym wypadku zacznie szaleć - powiedziała May. Jej głos nieznacznie zadrżał.

- May, pozwól, że o coś zapytam. Uruchom wyobraźnię. Minęły trzy miesiące. Jesteście po rozwodzie, a Dale utracił połowę tego, co posiada. Mieszka z tą swoją Barbie i któregoś wieczoru oboje wracają podpici do domu. Barbie prowadzi, bo ona wypila tylko trzy margarity. Wchodzą do domu i widzą, że opiekunka pozwoliła dzieciakom nabałaganić, a mały Billy niechcący stłukł szybę w gabinecie Dale'a. Czy dzieciom nic nie zagraża?

- Dużo złego naraz.

- To się zdarza, May. Dobrze o tym wiesz. Podejrzewam, że zawsze bierzesz na siebie rolę bufora pomiędzy Dale'em a dziećmi. Żywego amortyzatora. Prawdopodobnie nauczyłaś się, jak należy go uspokajać i odwracać uwagę od dzieci. Czy Barbie będzie wiedziała, jak je chronić?

- Jestem aż tak typowa?

- Przykro mi, ale sytuacja należy do typowych. Pozytywne jest to, że chcesz zapewnić sobie i dzieciom nowy start. May, nie słabnij w swoim postanowieniu. Nie pozwól mu się zastraszyć.

- Co mam zrobić?

- Zamknij drzwi na klucz i wyłącz telefon. Nie rozmawiaj z nim. Jeśli nie czujesz się bezpiecznie, przeprowadź się do rodziny albo do znajomych czy do motelu na jedną noc. Jutro się spotkamy i opracujemy nową strategię. Wystąpię o zakaz wstępu do domu dla Dale'a.

- Możesz zapewnić nam bezpieczeństwo?

- May, wszystko będzie dobrze. Zaufaj mi. Brutale są tchórzami. Kiedy zobaczy, jaka potrafisz być silna, ustąpi.

- No dobrze. Kiedy możemy się spotkać?



Meghann wygrzebała z torby elektroniczny notes i sprawdziła rozkład zajęć na jutro.

- Co powiesz na późny lunch, o drugiej, w Judicial Annex Cafe przy gmachu sądu? Przesunę spotkanie z adwokatem Dale<sup>^</sup> na popołudnie.

- W porządku.

- May, wiem, że to drażliwe pytanie, ale czy masz może przypadkiem jakieś swoje zdjęcie... no wiesz... po tym, jak cię uderzył?

Zapadła cisza, a po chwili May odpowiedziała:

- Przejrzę albumy.

- To zwykły dowód - wyjaśniła Meg.

- Może dla ciebie.

- Przykro mi. Żałuję, że muszę zadawać ci takie pytania.

- Nie, to mnie jest przykro - oznajmiła May.

Zaskoczyła tym Meg.

- Niby dlaczego?

- Bo nie poznałaś żadnego mężczyzny z innej strony. Mój ojciec zabiłby Dale'a.

Meghann poczuła bolesne ukłucie tęsknoty, zanim zdążyła wziąć się w garść. To była jej pięta achillesowa. Zdecydowanie nie wierzyła w miłość, a jednak nadal o niej marzyła. Być może May miała rację. Możliwe, że gdyby Meg miała kochającego ojca, wszystko wyglądałoby inaczej. A tak wiedziała, że miłość to wiszący most, upleciony z bardzo cienkich lin. Mógł cię utrzymać przez jakiś czas, a potem, prędzej czy później, pękał.

Och, oczywiście zdarzały się szczęśliwe małżeństwa. Na przykład jej przyjaciółki, Elizabeth. Trafiły się też wygrane w totolotka w wysokości czterdziestu ośmiu milionów dolarów, pięciolistne koniczynki, syjamskie bliźnięta i całkowite zaćmienia Słońca.

- Czyli widzimy się jutro o drugiej w Anneksie?

- Będę tam.

- Bardzo dobrze. - Meghann wyłączyła telefon i wrzuciła go do torebki, po czym nacisnęła guzik przy windzie. Drzwi się roz-

sunęły i weszła do środka. Jak zawsze, tak i tym razem lustra wywołały wrażenie, że wpadła na samą siebie. Wychyliła się lekko, bo ilekroć w pobliżu znajdowało się lustro, nie potrafiła się opanować, żeby w nie nie spojrzeć. W ostatnich latach obsesyjnie wręcz szukała śladów starzenia się. Zmarszczek, kurzych łapek, zwiotczenia skóry.

Miała czterdzieści dwa lata i choć wydawało się jej, iż dopiero co ukończyła trzydzieści, czuła, że ani się obejrzy, jak stuknie jej pięćdziesiątka.

Ta świadomość wprawiała ją w przygnębienie. Oczyma wyobraźni widziała siebie w wieku sześćdziesięciu lat. Sama jak palec, będzie pracować od świtu do nocy, rozmawiać z kotami sąsiadów i jeździć na wycieczki statkiem dla samotnych.

Wysiadła z windy, energicznym krokiem przeszła przez hol i mijając po drodze strażnika z nocnej zmiany, skinęła mu głową na pożegnanie.

Wieczór był piękny; z ametystowego nieba spływała różowo-perłowa poświata. Rozjarzone okna drapaczy chmur dowodziły, że Meghann nie była jedyną pracoholiczką w mieście.

Szła szybkim krokiem, nie patrząc w twarze mijanych ludzi. Przystanąła przed swoim domem i spojrzała w górę.

Tam jest jej taras. Jedyne bez drzewek w doniczkach i ogrodowych mebli. Okno w głębi ciemne; we wszystkich innych paliły się światła. W tych oświetlonych przestrzeniach rodziny lub przyjaciele jedli kolację, oglądali telewizję, rozmawiali, kochali się. Tworzyli więzi.

„Przykro mi - powiedziała May - bo nie poznałaś żadnego mężczyzny z innej strony”.

„Przykro mi”.

Meghann minęła swój dom. Nie miała ochoty znaleźć się na górze i w starym dresie jeść na kolację muesli, oglądając powtórkę „Brygady ratunkowej”.

Wstąpiła na Public Market. O tej porze większość straganów była pozamykana. Sprzedawcy ryb rozeszli się do domów, a dorodne, soczyste warzywa poukładane w skrzyniach czekały

na nowy dzień. Ławy, normalnie zarzucone pękami suszonych kwiatów, zastawione rękodziełem i domowymi przetworami, były teraz puste.

Skręciła do Athenian, stylowej tawerny, rozświetlonej przez film „Bezsenność w Seattle”. To tu, przy politurowanym drewnianym barze Rob Reiner opowiadała Tomowi Hanksowi o randkach w latach dziewięćdziesiątych.

Wnętrze zasnuwał dym tak gęsty, że można by grać w kółko i krzyżyk, kreśląc znaki palcem w powietrzu. W tym braku politycznej poprawności Athenian było coś kojącego. Podawano modne drinki, ale specjalnością było mocno schłodzone piwo.

Meghann do perfekcji opanowała sztukę dyskretnego rozglądania się po sali. Nie omieszkała skorzystać z niej i tym razem.

Przy barze siedziało pięciu czy sześciu starszych mężczyzn, prawdopodobnie rybaków szykujących się do wypłynięcia na letnie połowy na Alaskę. Było też dwóch młodych ludzi, jakby żywcem przeniesionych z Wall Street; sączyli martini i niewątpliwie rozmawiali o pracy. Wielu im podobnych spotykała w sądzie.

- Cześć, Meghann! - krzyknął barman Freddie. - To co zawsze?

- Jasne. - Nadal się uśmiechając, przeszła wzdłuż baru i skręciła w lewo, gdzie pod ścianami stały politurowane stoliki. Przeważnie zajmowały je pary lub czteroosobowe towarzystwa, zaledwie kilka było wolnych.

- Proszę bardzo - powiedział Freddie, stawiając przed nią kieliszek do martini. Potrząsnął metalowym szejkerem i nalał drinka. - Masz ochotę na ostrygi i fytki?

- Czytasz w moich myślach.

Freddie uśmiechnął się szeroko.

- To nie takie trudne, pani mecenas. - Nachylił się nad stolikiem. - Dziś wieczorem do miasta przyjeżdżają Eaglesi. Lada chwila powinni tu być.

- Eaglesi?

- Drużyna baseballowa z Everett. - Puścił do niej oko. - Powodzenia.

Meghann westchnęła. Niedobrze, jeśli barmani zaczynają polecać całe drużyny.

„Przykro mi”.

Zajęła się drinkiem. Po pierwszym zamówiła następny. Zanim w kieliszku ukazało się dno, przestała myśleć o kiepskim dniu.

- Mogę się przysiąc?

Drgnęła zaskoczona, a kiedy podniosła głowę znad kieliszka, okazało się, że patrzy prosto w parę ciemnych oczu.

Stał przed nią, opierając stopę na siedzeniu po przeciwnej stronie stolika. Z wyglądu - młody, diabelnie seksowny blondyn - potrafiła odgadnąć, że jest przyzwyczajony dostawać to, na co ma ochotę. A dziś miał ochotę na nią.

Ta myśl podziałała na nią krzepiaco.

- Proszę. - Nie uśmiechnęła się ani nie zatrzepotała rzęsami. Zabawa w pozory nigdy do niej nie przemawiała. Podobnie jak inne gierki.

- Jestem Meghann Dontess. Przyjaciele mówią mi Meg.

Uśmiechnął się, gdy siadając na krześle, musnął kolanami nogi Meg.

- Donny MacMillan. Lubisz baseball?

- Lubię wiele rzeczy. - Skinęła na Freddiego, a on w odpowiedzi pokiwał głową. Chwilę później przyniósł jej następnego drinka.

- A ja poproszę coors light. - Donny złożył zamówienie i odchylił się na oparcie.

Przyglądali się sobie w milczeniu. Harmider w barze wzmógł się, a potem jakby przycichł i Meghann słyszała wyłącznie oddech mężczyzny i bicie własnego serca.

Freddie przyniósł piwo i odszedł.

- Domyślam się, że grasz w baseball.

Uśmiechnął się i, cholera, z tym uśmiechem był bardzo seksowny. Poczwała dreszczyk pożądania. Będzie świetny w łóżku; co do tego nie miała wątpliwości. I pomoże jej zapomnieć...

„Przykro mi”.

...o złym dniu.

- Wiesz, dopnę swego. Mówię ci, kiedyś jeszcze będę sławny.

Dlatego Meghann lubiła młodszych mężczyzn. Wierzyli w siebie i w świat. Nie mieli pojęcia, jak naprawdę wygląda życie, jak powoli rozwiewają się marzenia, a pojęcie dobra i zła staje się abstrakcyjne, ustępując miejsca przyziemnym celom. Takie prawdy objawiają się, kiedy człowiek zbliża się do trzydziestu pięciu lat i nagle uświadamia sobie, że to życie miało wyglądać zupełnie inaczej.

To właśnie ją do nich przyciągało, a także świadomość, że nigdy nie żądają więcej, niż ma ochotę im dać. Jej rówieśnikom się wydawało, że seks ma jakieś znaczenie. Młodzi mężczyźni myśleli inaczej.

Przez następną godzinę Donny opowiadał o sobie, a Meghann potakiwała i uśmiechała się. Zanim wypić czwarty drink, dowiedziała się, że skończył Waszyngtoński Uniwersytet Stanowy, był najmłodszym z trzech braci, a rodzice nadal mieszkali w tym samym domu na farmie w Iowa, który zbudował dziadek. To wszystko wpadało jej jednym uchem i wypadało drugim. W rzeczywistości całą uwagę skupiła na kolanie ocierającym się o jej kolana i na regularnym, zmysłowym ruchu kciuka, którym Donny gładził zroszony kufel.

Opowiadał jej o prywatce w college'u, kiedy przerwała mu pytaniem:

- Chcesz do mnie wpaść?

- Na kawę?

- Kawę też możemy wypić. - Uśmiechnęła się.

- Ty się chyba nie puszczasz, co?

- Powiedziałabym, że to całkiem oczywiste, iż to robię. Nie lubię tych spraw owijać w bawełnę. Skończyłam... trzydzieści cztery lata i mam za sobą czasy podchodów.

Patrzył na nią, uśmiechając się zmysłowo, co sprawiło, że oblała ją fala gorąca. Będzie udana noc, uznała.

- Daleko mieszkasz?

- Szczęśliwie nie.

Podniósł się i wyciągnął do niej rękę.

Powiedziała sobie, że powoduje nim galanteria, a nie chęć pomocy starszym. Położyła dłoń na jego ręce i poczuła, że przebiegł ją dreszcz.

Szli w milczeniu przez ciemny teraz i opustoszały rynek. Nie mieli sobie nic do powiedzenia. Uprzejmości zostały wymienione, gra wstępna zainicjowana. Nadszedł czas na obnażenie ciał, a nie na obnażające pytania.

Odźwierny bez słowa otworzył drzwi. Jeśli nawet zauważył, że w tym miesiącu po raz drugi wraca do domu z młodym mężczyzną, w żaden sposób tego nie okazał.

- Dobry wieczór, pani Dontess - pozdrowił ją z lekkim ukłonem.

- Witaj, Hans - odpowiedziała, idąc przodem. O Boże, jak on ma na imię?

Donny. Jak jeden z braci Osmondów.

Żałowała, że przyszło jej na myśl to skojarzenie.

Weszli do windy. Gdy tylko zamknęły się drzwi, odwrócił się do niej. Usłyszała zmieniony rytm własnego oddechu, kiedy się nad nią pochylił.

Tak jak przypuszczała, usta miał delikatne i słodkie.

Winda brzęknęła metalicznie, zatrzymując się na ostatnim piętrze. Chciał oderwać się od niej, ale mu na to nie pozwoliła.

- Zajmuję całe piętro - wyszeptała mu w usta.

Nie przestając go całować, sięgnęła do torebki i wyjęła klucze.

Spleceni w uścisku, zataczając się, pokonali drzwi.

- Tędy. - Głos miała zdławiony i ochrypły, kiedy wskazała mu drogę do sypialni. Natychmiast zaczęła rozpinąć bluzkę. Wyciągnął rękę, ale ją odsunęła.

Spojrzała na niego już naga. Tak jak lubiła, w pokoju panował półmrok.

Jego twarz ginęła w cieniu. Otworzyła szufladę nocnej szafki i znalazła prezerwatywę.

- Zbliź się - poprosił, wyciągając ramiona.

- Zbliżę się, możesz być pewien. - Podeszła powoli, mocno wciągając brzuch.

Dotknął jej lewej piersi. Brodawka natychmiast zareagowała. Nasiliło się napięcie w podbrzuszu.

Wsunęła dłoń między jego nogi i zaczęła go pieścić.

Potem wszystko działo się bardzo szybko. Rzucili się na siebie jak zwierzęta, miotając się, drapiąc i pojękując. Zagłówek łóżka tłukł o ścianę. Orgazm, kiedy go wreszcie osiągnęła, był gwałtowny, bolesny i zdecydowanie za szybko minął.

Ogarnęło ją lekkie rozczarowanie. Coraz częściej się to zdarzało. Opadła na poduszki. Leżał obok niej, tak blisko, że czuła na udzie ciepło bijące od jego nagiego ciała.

Miała go na wyciągnięcie ręki, a jednak była samotna. Leżeli razem w łóżku, w powietrzu nadal unosił się zapach ich zbliżenia, a jej nie przychodziły na myśl żadne słowa.

Przewróciła się na bok i przysunęła bliżej. Zanim zastanowiła się nad tym, co robi, przyłgnęła do niego całym ciałem. Pierwszy raz od wielu lat zdobyła się na taki intymny gest.

- Powiedz mi o sobie coś, czego nikt inny nie wie - poprosiła, kładąc nogę na jego udach.

Zaśmiał się cicho.

- Coś mi się wydaje, że żyjesz w Cudacznym Świecie, gdzie wszystko robi się na opak. Najpierw bzykasz się na maksa, a teraz chcesz mnie poznać. W barze niemal ziewałaś, kiedy opowiadałem o mojej rodzinie.

Odsunęła się, stając się znowu sobą.

- Nie lubię być tuzinkowa. - Zaskoczyło ją, jak zgrabnie to zabrzmiało.

- Możesz mi wierzyć, nie jesteś.

Zdjął jej nogę i pocałował w ramię. Właściwie musnął. Prawdę mówiąc, wołałaby, aby obyło się bez tego pocałunku.

- Muszę iść.

- Więc idź.

Skrzywił się.

- Skąd ten obrażony ton? Przecież się w sobie nie zakochaaliśmy.

Przechyliła się, podniosła z podłogi bawełnianą koszulę

z logo Seahawks i narzuciła na siebie. Ubrana czuła się mniej bezbronna.

- Nie znasz mnie na tyle, by wiedzieć, czy się obraziłam. Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, abym mogła zakochać się w kimś, kto co chwila używa słowa „zajebiste”.

- Jezu! - Wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać. Siedziała nieruchomo na łóżku i obserwowała go. Żałowała, że nie ma jakiejś książki na nocnym stoliku. Zająłaby się czytaniem.

- Kieruj się cały czas w lewo, a trafisz prosto do frontowych drzwi.

Jeszcze bardziej się naburmuszył.

- Bierzesz jakieś leki?

Zbyła to pytanie śmiechem.

- Lepiej zacznij się leczyć. - Zebrał się szybko do wyjścia, jak zauważyła, prawie wybiegł; dopiero przy drzwiach zatrzymał się i odwrócił.

- Wiesz, spodobałaś mi się - powiedział i już go nie było.

Usłyszała, jak otwierają się frontowe drzwi, potem szczękniętą zatrask. Wypuściła głośno długo wstrzymywany oddech.

Zazwyczaj upływało kilka tygodni, a nawet miesięcy, zanim mężczyźni zaczynali ją pytać, czy bierze leki. Teraz ten zupełnie obcy Danny... Donny zadał to pytanie pierwszego wieczoru.

Traci kontrolę. Sprawy zaczynają wymykać się z rąk. Chole, nie pamięta, kiedy ostatni raz, całując się z mężczyzną, czuła cokolwiek poza pożądaniem.

„A samotność? - spytała doktor Bloom. Ją też lubisz?”

Wychyliła się z łóżka i zapaliła nocną lampkę. Światło padło na jej zdjęcie z siostrą, zrobione przed wielu laty.

Zastanawiała się, co Claire robi w tej chwili. Czy też nie śpi mimo późnej pory, czując się samotna i bezradna? Z góry znała odpowiedź.

Claire miała Alison. I Sama.

Sam.

Meghann wolałaby wymazać z pamięci te kilka wspomnień o ojcu siostry. Niestety, ten rodzaj amnezji nigdy jej nie dotknął.



Wręcz przeciwnie, zapamiętała wszystko, każdy szczegół. A przede wszystkim, jak bardzo jej zależało, żeby Sam został również jej ojcem. Kiedy była pełnym nadziei podlotkiem, myślała: Może moglibyśmy stać się rodziną, my troje?

Marzenia dziewczynki. Nadal bolesne, pomimo upływu lat.

Sam był ojcem Claire. Wkroczył w ich życie i wszystko zmienił. Od tamtej pory nic jej z siostrą nie łączyło.

Claire mieszkała w domu wypełnionym miłością i śmiechem. Prawdopodobnie umawiała się na randki wyłącznie z najbardziej szanowanymi obywatelami lokalnej społeczności. Nie szukała anonimowego, przynoszącego rozczarowanie seksu.

Meghann przyknęła oczy, upominając się, że tak właśnie postanowiła żyć. Spróbowała małżeństwa. Zakończyło się, jak się obawiała - zdradą męża i jej złamanym sercem. Jeśli czasami w środku nocy przez godzinę czy dwie dręczyła ją tęsknota, trudno, to cena niezależności.

Przechyliła się ponad łóżkiem i sięgnęła po telefon. Miała pięć numerów zakodowanych na szybkie wybieranie; do biura, do trzech restauracji z daniami na wynos i do najlepszej przyjaciółki, Elizabeth Shore.

Wcisnęła klawisz z cyfrą „trzy”.

- O co chodzi? - odezwał się zaspany męski głos. - Jamie?

Meghann zerknęła na zegar na nocnej szafce. Cholera. Dochodziła północ, czyli w Nowym Jorku trzecia nad ranem.

- Przepraszam, Jack. Nie zauważyłam, że jest tak późno.

- Jak na taką bystrą kobietę, dość często zdarza ci się to przeoczyć. Jedną sekundę.

Meghann żałowała, że nie może odłożyć słuchawki. Poczowała się zdemaskowana przez swój błąd. Dowodził pustki w jej życiu.

- Czy coś się stało? - zapytała Elizabeth, wyraźnie zaniepokojona.

- Wszystko w porządku. Narozrabiałam. Przeprós Jacka w moim imieniu. Jutro porozmawiamy. Zadzwoń przed wyjściem do pracy.

- Poczekaj chwilę. - Meghann słyszała, jak Elizabeth mówi

coś szeptem do męża. Po chwili odezwała się do słuchawki: - Niech zgadnę. Byłaś w Athenian.

Meghann poczuła się jeszcze gorzej.

- Nie. Dziś nie.

- Meg, wszystko w porządku?

- Tak, naprawdę. Po prostu straciłam poczucie czasu. Analizowałam... chaotyczne zeznania. Jutro porozmawiamy.

- Wyjeżdżamy z Jackiem do Paryża, pamiętasz?

- Ach, rzeczywiście! Dobrej zabawy.

- Mogę przełożyć...

- Żeby ominął cię ten wielki bankiet w Ritzu? Nie ma mowy! Bawcie się dobrze.

Po chwili ciszy na drugim końcu linii usłyszała ciche:

- Kocham cię, Meg.

Była bliska łez. Tak bardzo potrzebowała tych słów, nawet jeśli płynęły z daleka; sprawiły, że poczuła się mniej samotna i nie taka bezradna.

- Ja też cię kocham, ptaszku. Dobranoc.

- Dobranoc, Meg. Śpij dobrze.

Powoli odłożyła słuchawkę. W pokoju zrobiło się bardzo cicho i ciemno. Naciągnęła kołdrę i zamknęła oczy, wiedząc, że minie wiele godzin, zanim zdoła zasnąć.

## 7

Pierwszy wspólny pobyt nad jeziorem Chelan miał szczególny wymiar. Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty rok. Madonna zachęcała ludzi do szczerości, Jack Nicholson zagrał Jokera, no i runął berliński mur. A co ważniejsze, wszystkie skończyły dwadzieścia jeden lat. Było ich wtedy pięć. Najlepsze przyjaciółki ze średniej szkoły.

Do pierwszego wspólnego wyjazdu doszło przypadkiem. Dziewczęta zrzuciły się, żeby w prezencie urodzinowym zafundować Claire weekend w bungalowie dla nowożeńców. Wtedy,

w marcu, była zakochana po uszy w Carlu Eldridge'u. (Pierwsza z wielu wielkich miłości, których koniec był jak kubeł zimnej wody wylany na głowę). W połowie lipca, gdy przypadał termin rezerwacji, Claire miała za sobą zerwanie z Carlem i była, delikatnie mówiąc, przygnębiona. Ponieważ nigdy nie wyrzucała pieniędzy w błoto, pojechała sama, planując spędzić czas z książką na werandzie.

Pierwszego wieczoru, tuż przed kolacją, na teren wjechał sfa-tygowany żółty ford pinto. Z samochodu wysypały się przyjaciółki Claire i ze śmiechem przebiegły przez trawnik, niosąc dwa duże termosy z gotową margaritą. Nazwały ten nalot „interwencją miłosną” i poskutkowało. Do poniedziałku Claire przypominała sobie, kim jest i czego chce od życia. Carl Eldridge zdecydowanie nie był tym jedynym.

Od tamtej pory każdego roku udawało im się spędzić razem tydzień nad Chelanem. Oczywiście po latach wiele się zmieniło. Giną i Claire miały po córce, Karen czworo dzieci w wieku od jedenastu do czternastu lat, a Charlotte bezskutecznie usiłowała zająć w ciążę.

W ostatnich czasach ich imprezy przycichły; mniej tequili i papierosów wyłaniało się z walizek. Zamiast ubrać się ekscentrycznie i pędzić do Western Roundup Cowboy's Bob na tequilę i tańce w kółku, kładły dzieci wcześniej spać, siadały przy okrągłym drewnianym stole na werandzie i sącząc wino, grały w kierki. Przez cały tydzień spisywały wyniki. Zwycięzcy przypadał bungalow dla nowożeńców podczas następnego pobytu.

Ich wakacje nabrały leniwego, stałego rytmu, który przypominał powoli obracającą się karuzelę. W dzień plażowały nad jeziorem na biało-czerwonych pasiastych ręcznikach lub na wysłużonych leżakach, słuchając przenośnego radia ustawionego na składanym stoliku. Zawsze nastawiały stację dla „trochę starszych nastolatków”, a kiedy zdarzył się przebój z lat osiemdziesiątych, zrywały się i tańczyły, podśpiewując. W upalne dni, właśnie takie jak ten, większość czasu spędzały w jeziorze -

stały po szyję zanurzone w wodzie, w okularach słonecznych i w kapeluszach z szerokim rondem i rozmawiały. Bez przerwy rozmawiały.

Wreszcie miały idealną pogodę. Błękitne niebo bez jednej chmurki i jezioro gładkie jak tafla. Starsze dzieciaki siedziały w domku, grały w durnia, słuchały ogłuszającej muzyki z taśm Williego i prawdopodobnie rozmawiały o najnowszych, najbardziej okropnych filmach dla dorosłych, które wszystkie inne matki pozwalały dzieciom oglądać. Alison i Bonnie pedałowały na wodnym rowerze w wygradzonej części jeziora. Ich chichoty górowały nad innymi odgłosami.

Karen siedziała rozparta na leżaku i wachlowała się reklamówką wodnego parku. Charlotte w białym kapeluszu z opadającym rondem i w przezroczystej narzutce z rękawami trzy czwarte, która dokładnie osłaniała ją przed słońcem, czytała najnowszą książkę Kelly'ego Ripa z klubu wysyłkowego i sączyła lemoniadę.

Giną przechyliła się, otworzyła lodówkę i grzebała w niej w poszukiwaniu dietetycznej coli. Kiedy ją w końcu wyłowiła, otworzyła puszkę i pociągnęła spory łyk, zanim zamknęła lodówkę.

- Moje małżeństwo się rozpada, a my pijemy dietetyczną colę i lemoniadę. Kiedy odszedł tamten złamas, pierwszy mąż Karen, wlewałyśmy w siebie tequilę i tańczyłyśmy makarenę w Cowboy's Bob.

- To był mój drugi mąż, Stan - poprawiła ją Karen. - A gdy zostawił mnie Aaron, jadłyśmy czekoladowe babeczki i kąpałyśmy się nago w jeziorze.

- W dalszym ciągu utrzymuję, że leczymy mój kryzys sposobami na poziomie „Ulicy Sezamkowej”. W twoim przypadku zastosowałyśmy raczej „Animal House”.

- Cowboy's Bob - rozmarzyła się Charlotte. - Nie zagłądałyśmy tam od lat.

- Od czasu kiedy ciągniemy ze sobą dzieciaki - uściśliła Karen. - Trudno tańczyć rock and rolla z dzieckiem na plecach.

Charlotte spojrzała na jezioro, gdzie dziewczynki pływały na wodnym rowerze. Jej uśmiech powoli przygasł, a w oczach pojawił się znajomy smutek. Nietrudno zgadnąć, że myślała o upragnionym dziecku.

Claire obrzuciła przyjaciółki uważnym spojrzeniem. Uderzyła ją myśl, że mają już po trzydzieści pięć lat. W tym roku wydają się bardziej wyciszone niż kiedykolwiek przedtem. A nawet jakby starsze. Kobiety nad brzegiem połyskliwego jeziora, które nurtuje zbyt wiele spraw.

Tak być nie może. Przyjechały nad Chelan, żeby poczuć się młodsze, swobodniejsze.

- Willie w tym roku kończy czternaście lat, prawda?

Karen przytaknęła skinieniem głowy.

- Idzie we wrześniu do średniej szkoły. Możecie to sobie wyobrazić? Nadal sypia z pluszakiem i zapomina o myciu zębów. W porównaniu z nim jego rówieśniczki są jak Solid Gold Dancers.

- Dlaczego nie miałyby popilnować dzieci przez godzinę czy dwie?

Gina poderwała się z leżaka.

- O kurczę, Claire! Czemu wcześniej na to nie wpadłyśmy? On ma czternaście lat!

- I tyle rozumu co brudu za paznokciem - zauważyła Karen.

- Wszystkie pilnowałyśmy dzieci w jego wieku - włączyła się Charlotte. - Praktycznie przez całe wakacje przed pójściem do ogólniaka robiłam za niańkę.

- Karen, on jest odpowiedzialnym chłopcem. Poradzi sobie - perswadowała łagodnie Claire.

- Sama nie wiem. W zeszłym miesiącu zdechły mu rybki. Z braku pokarmu.

- Nie umrą z głodu przez dwie godziny.

Karen obejrzała się na domek.

Claire czytała w myślach przyjaciółki. Skoro Willie był na tyle duży, żeby pilnować innych dzieci, to przestał być małym chłopcem.

- No dobrze - zgodziła się w końcu. - Jasne. Czemu nie. Zostawimy mu komórkę...

- ...i spis numerów...

- ...i zakażemy im opuszczać domek.

Gina uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia.

- Szanowne panie, Blueserki ruszają w teren.

Dwie godziny zajął im prysznic, przebieranie i szykowanie kolacji dla dzieci. Makaron z serem oraz parówki. Przez następne dwie godziny przekonywały latorośle do swego planu.

Na koniec Claire wzięła Karen pod ramię i wyprowadziła na zewnątrz. Kiedy szły długą, wijącą się wewnętrzną drogą, Karen przystawała co parę metrów, oglądając się za siebie.

- Jesteś pewna? - pytała za każdym razem.

- Jesteśmy pewne. Odpowiedzialność dobrze mu zrobi.

Karen zasepiła się.

- Mam przed oczyma te biedne rybki pływające brzuchem do góry w mętnej wodzie.

- Przebieraj nogami. - Gina przechyliła się do Claire. - Ona jest jak samochód na lodzie - powiedziała. - Jeśli się zatrzyma, już nie ruszy.

Stały naprzeciwko baru po drugiej stronie ulicy i wtedy uderzyła je ta sama myśl.

Claire pierwsza ją wypowiedziała:

- Jest jeszcze jasno na dworze.

- Jako wytrawne bywalczyne barów straciłyśmy kontakt z rzeczywistością - dodała Charlotte.

- Cholera! - zaklęła Gina.

Claire nie dała się zbić z tropu. No i co, że będą wyglądać jak nowicjuszeki pośród notorycznych pijaczków, którzy przesiadują w takich miejscach wczesnym wieczorem? Postanowiły się trochę zabawić, a Cowboy's Bob był jedynym barem w okolicy.

- Dziewczyny, idziemy! - zadecydowała, wysuwając się na przód.

Przyjaciółki ruszyły za nią gęsiego. Wmaszerowały do środka z wysoko uniesionymi głowami, jakby lokal do nich należał.

Warstwa siwego dymu wisiała pod sufitem, jego pasma wiły się pomiędzy lampami. Przy barze siedziało kilku stałych bywalców, ich pochylone sylwetki przypominały kapelusze grzybów osadzone na nóżkach z czarnych barowych stołków. W ciemnym wnętrzu migotały wielokolorowe neonowe reklamy piwa.

Claire skierowała się do okrągłego, odrapanego stolika w pobliżu pustego parkietu do tańca. Miały stąd dobry widok na równie puste miejsce dla zespołu. Z szafy grającej dobiegała smętna piosenka w stylu country.

Giną zamówiła margarity i cebulowe krążki, które natychmiast im przyniesiono.

- Boże, jak dobrze ruszyć się z domu - westchnęła Karen, podnosząc drinka. - Nie pamiętam, kiedy ostatnio mogłam to zrobić bez uprzedniego planowania, jakby co najmniej chodziło o przygotowanie bombardowania z powietrza.

- Święta racja - potwierdziła Gina. - Rex nigdy nie załatwił opiekunki. Choćby po to, żeby zrobić mi niespodziankę i zaprosić na kolację do restauracji. Sytuacja się powtarzała: „Wychoodzimy na kolację, czy mogłabyś to zorganizować?”. Jakby do wykonania telefonu potrzebne były jajniki. - Nagle spoważniała. - Zawsze mnie to wkurzało. To dość błahy zarzut, prawda? Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłam?

Claire wiedziała, że Gina myśli o zmianach, jakie przyniesie życie w pojedynkę. Noc w noc pusta połowa łóżka. Chciała coś powiedzieć, podnieść ją na duchu, ale co ona wiedziała na temat małżeństwa? W ciągu ostatnich dwudziestu lat często się umawiała, kilkakrotnie wydawało się jej, że jest zakochana, nigdy jednak nie doświadczyła prawdziwej miłości.

Wmówiła sobie, że umknęło jej coś istotnego, ale patrząc na Ginę, zastanawiała się, czy przypadkiem nie miała szczęścia.

Claire uniosła kieliszek.

- Za nas! - powiedziała zdecydowanym tonem. - Za Blueserki! Wytrzymałyśmy w gimnazjum z panem Kreutzerem, wytrzymałyśmy w ogólniaku z panią Bass, „co miała tyłek wielki jak głaz”, mamy za sobą porody, operacje, śluby i rozwody. Dwóm

z nas rozpadły się małżeństwa, trzecia nie może zająć w ciąży, czwarta nigdy nie była zakochana, a piąta nie żyje. Trzymamy się razem. I zawsze będziemy się wspierać. Można uznać, że mamy szczęście.

Stuknęły się kieliszkami.

- Wiem, że ci się wydaje, iż świat się zawalił - zwróciła się Karen do Giny. - Ale to minie. Życie toczy się dalej. Tyle tylko mogę ci powiedzieć.

Charlotte bez słowa położyła dłoń na ręce Giny. Ona najlepiej z nich wiedziała, że czasem brakuje odpowiednich słów.

Giną zdobyła się na uśmiech.

- Dość o tym. Wypłakiwać się mogę w domu. Pogadajmy o czymś weselszym.

Claire zmieniła temat. Z początku rozmowa trochę kulała, trudno ją było przestawić na inne tory, ale powoli się rozkręciły. Zaczęły wspominać dawne dzieje i wszystko je śmieszyło. Po jakimś czasie zamówiły półmisek *nachos*. Zanim na stół wjechała druga porcja, zaczął grać zespół. Na początku przeraźliwie głośno wykonali własną wersję piosenki „Friends in Low Places”.

- To brzmi, jakby ktoś przeciągał Gartha Brooksa przez drut kolczasty - zaśmiała się Claire.

Kiedy zespół grał „Here in the Real World” Alana Jacksona, w barze było już pełno ludzi. Prawie wszyscy mieli na sobie kowbojskie stroje z imitacji skóry. Spora grupa podrygiwała na parkiecie, wybijając rytm o uda.

- Słyszycie to? - Claire pochyliła się nad stolikiem, wyciągając przed siebie ręce. - „Guitars and Cadillacs”. - Idziemy tańczyć!

- Tańczyć? - Giną się roześmiała. - Ostatnim razem wpadłam na jakiegoś starszego mężczyznę, aż biedakiem zarzuciło. Dajcie mi jeszcze drinka albo lepiej dwa.

Karen pokręciła głową.

- Nic z tego, Claire. Skończyłam z tańcami, odkąd noszę rozmiar XL. Uważam, że w tej sytuacji należy jak najmniej kręcić tyłkiem.



Claire poderwała się z miejsca.

- Chodź, Charlotte! Nie jesteś zgrzybiała jak te dwie. Masz ochotę potańczyć?

- Jeszcze pytasz? No jasne! - Cisnęła torebkę na krzesło i ruszyła za Claire na parkiet. Dokoła nich pary wystrojone w dżins wykonywały skomplikowane figury. Jakaś kobieta przewalcowała obok nich, licząc po cichu: „Raz, dwa, trzy”. Najwyraźniej cała jej uwaga skupiła się na dotrzymywaniu kroku partnerowi.

Claire zanurzyła się w muzyce jak w chłodnej wodzie w upalny dzień. Odprężyła się i odmłodziła. W chwili gdy dała się ponieść melodii, poruszając do rytmu biodrami, przytupując i klaszcząc, przypomniała sobie, jak bardzo kocha taniec. Nie mogła uwierzyć, że pozwoliła na tyle „wyciszonych” lat.

Muzyka porwała ją, wyłuskała z wieloletniej powłoki macierzyństwa. Obie z Charlotte stały się na powrót nastolatkami, śmiały się, zderzały biodrami i śpiewały na cały głos. Zespół zagrał „Sweet Home Alabama”. Zostały na parkiecie. Potem była jeszcze „Margaritaville”.

Kapela zrobiła przerwę. Claire była spocona i zadyszana. Za lewym okiem czaił się lekki ból głowy; wsunęła rękę do kieszeni i namacała *excedrin*.

Charlotte odgarnęła włosy z oczu.

- Cudownie. Nie tańczyliśmy z Johnnym od... - Skrzywiła się. - Rany. Może nawet od wesela. Tak to jest, kiedy za wszelką cenę chce się zająć w ciąży. Pyska romantyczność.

Claire roześmiała się.

- Uwierz mi, skarbie, że gdy się zaskoczy, romanse zmieniają adres. Od lat nie byłam na porządnej randce. Chodź! Jestem odwodniona jak wołowina suszona na słońcu.

Charlotte ruchem głowy wskazała w głąb sali.

- Najpierw muszę skorzystać z toalety. Zamów margarity. I powiedz Karen, że tę kolejkę ja stawiam.

- Dobra. - Claire skierowała się do stolika, przypominając sobie po drodze o aspirynie w garści. Zawróciła, podeszła do baru i poprosiła o szklankę wody.

Połknęła tabletkę i odwróciła się od baru. W drodze do stolika zobaczyła, że na estradę wchodzi mężczyzna. Miał w ręku gitarę - zwykłą klasyczną gitarę bez kabli i wejść do wzmacniaczy. Zespół opuścił podwyższenie, zostały tylko ich instrumenty.

Mężczyzna usiadł na chwiejnym barowym stołku. Jedną stopę w kowbojskim bucie postawił na podłodze, drugą oparł na poprzeczce stołka. Miał na sobie wyblakłe, wystrzępione džinsy i czarny podkoszulek. Jasne włosy prawie do ramion połyskiwały we fluorescencyjnym świetle sączącym się z sufitu. Patrzył w dół, na gitarę, więc rondo czarnego stetsona ocieniało twarz. Claire dostrzegła jedynie mocno zarysowane, wysokie kości policzkowe.

- O kurczę! - Nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała tak przystojnego mężczyznę.

Nie w Hayden, tego była pewna.

Tacy mężczyźni nie przyjeżdżają na głęboką prowincję. Od dawna o tym wiedziała. Tomowie, Bradowie i George'owie tego świata mieszkają w Hollywood albo na Manhattanie, a kiedy podróżują, osłaniają ich ochroniarze o beznamietnym spojrzeniu, w źle uszytych garniturach. Ci mężczyźni dużo mówią o spotkaniu „prawdziwych ludzi”, lecz tak naprawdę im na tym nie zależy. Dobrze wiedziała, bo kiedyś w Snohomish kręcono film akcji. Claire ubłagała ojca, żeby pojechali popatrzeć. Żadna z gwiazd nie zamieniła słowa z miejscowymi.

Mężczyzna pochylił się do mikrofonu.

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, wypełnię czas podczas krótkiej przerwy dla zespołu.

Odpowiedziano mu nikłymi brawami.

Claire precyzyjnie się przez tłum, odsuwając łokciem jakiegoś młodego człowieka w obcisłych wranglerach i stetsonie wielkości wanny.

Przystanąła na brzegu parkietu.

Mężczyzna wykonał kilka akordów i zaczął śpiewać. Z początku jego głos brzmiał niepewnie, ledwo przebijał się przez gwar podpitych, podochoconych ludzi.

- Bądźcie cicho! - Zaskoczyły ją własne, wypowiedziane na głos słowa. Sądziła, że je tylko pomyślała.

Poczuła się niezręcznie, stojąc na przedzie tłumu, zaledwie parę metrów od piosenkarza, ale nie była w stanie ani się porużyć, ani oderwać od niego wzroku.

Ściśnięta w grupie widzów w zadymionym, ciemnym wnętrzu doznała wrażenia, że on patrzy na nią.

Powoli rozciągnął usta w uśmiechu.

Kiedyś, wiele lat temu, Claire biegła po pomoście za siostrą. Śmiała się, a sekundę później była już w lodowatej wodzie i walcząc o łyk powietrza, rozpaczliwie młóciła wodę, usiłując wydostać się na powierzchnię.

Tak właśnie się teraz poczuła.

- Nazywam się Bobby Austin - przedstawił się cicho, nie spuszczać z niej oczu. - Ta piosenka jest dla tej jedynej. Wiecie, o czym mówię. Dla tej, której szukam całe życie.

Smukłe, opalone palce uderzyły w struny gitary. A potem zaczął śpiewać. Głos miał niski, chropawy, zmysłowy jak diabli, a smutna, przepojona tęsknotą piosenka skierowała myśli Claire ku temu wszystkiemu, co ominęło ją w życiu. Bezwiednie zaczęła kołysać się w takt.

Kiedy mężczyzna skończył śpiewać, odłożył gitarę i wstał. Słuchacze nagrodzili go grzecznościowymi oklaskami, po czym odwrócili się i zaczęli rozchodzić do swoich kufli z piwem i pikantnych skrzydełek.

Szedł w stronę Claire. Stała jak sparaliżowana.

Zatrzymał się tuż przed nią. Walczyła z sobą, żeby nie obejrzeć się za siebie i sprawdzić, czy przypadkiem nie patrzy na kogoś innego.

Nie odzywał się, więc pierwsza przerwała milczenie:

- Jestem Claire Cavanaugh.

Wygiął kącik ust w nieznacznym, nostalgicznym uśmiechu.

- Nie wiem, jak mam powiedzieć to, co myślę, żeby nie wyjść na idiotę.

Trzepotanie serca przyprawiło ją o zawrót głowy.

- Nie rozumiem.

Zbliżył się jeszcze o krok, zmniejszając i tak już znikomą odległość między nimi. Stał tuż przy niej, widziała teraz złote cętki w zielonych oczach i małą bliznę w kształcie półksiężyca na krawędzi górnej wargi. Zauważyła również, że sam musiał przycinać włosy, bo końce były nierówne i postrzępione.

- Ja jestem tym jedynym.

- Czym jedynym? - Usiłowała się uśmiechnąć. - Światłem? Droga? Jedynym szlakiem prowadzącym do rajów?

- Nie żartuj. Jestem tym jedynym, którego szukasz.

Powinna go była wyśmiać, powiedzieć, że nikt nie podrywał jej na takie sentymentalne teksty, od kiedy przestała regulować brwi maszynką do golenia nóg.

Skończyła trzydzieści pięć lat. Dawno przestała wierzyć w miłość od pierwszego wejrzenia. To wszystko zamierzała mu powiedzieć, miała w głowie gotową odpowiedź. Kiedy jednak otworzyła usta, usłyszała swoje słowa płynące prosto z serca:

- Skąd wiesz?

- Bo ja też ciebie szukałem.

Miała ochotę go wyśmiać. Naprawdę.

- Chodź, Claire Cavanaugh - powiedział cicho. - Zatańcz ze mną.

## 8

Czasem rozwodom towarzyszą gorzkie słowa i niewybredne epitety, a czasem strumienie łez i ciche słowa przeprosin; każdy proces jest inny. Tylko smutek jest zawsze taki sam. Wygrana, przegrana, remis; kiedy młotek sędziego uderzał w stół, Meghann przebiegał po plecach zimny dreszcz. Śmierć kobiecych marzeń jest zimna jak lód i żadna kobieta, która przeszła przez rozwód, nie patrzy na świat - czy miłość - tak samo jak przedtem, co było w sądzie rodzinnym znaną prawdą.

- Jak się czujesz? - zwróciła się Meghann do May.

Jej klientka siedziała sztywno wyprostowana, trzymając na kolanach ciasno splecione dłonie. Ktoś patrzący z boku mógłby uznać, że ze spokojem, a wręcz obojętnością przyjmuje dramat rozgrywający się na sali sądowej.

Meghann знаła prawdę. Wiedziała, że May jest bliska załamania. Jedyne siłą woli powstrzymywała się od krzyku.

- Nic mi nie jest - odparła May z lekką zadyszka. Typowy objaw. W takich chwilach jak ta wiele kobiet oddycha podobnie jak w trakcie akcji porodowej według zaleceń doktora Lamazy.

Meghann dotknęła ramienia May.

- Chodźmy, tu niedaleko można coś zjeść.

- Zjeść - powtórzyła May tonem, z którego trudno było wynioskować, czy akceptuje, czy też odrzuca propozycję.

Sędzia podniosła się ze swego miejsca. Uśmiechnęła się do Meghann, a potem do George'a Guttersona, adwokata przeciwnej strony, i opuściła salę.

Meghann pomogła May podnieść się z ławki. Podtrzymując ją pod ramię, ruszyła ku drzwiom.

- Ty dziwko!

Meghann usłyszała spazm oddechu May i poczuła napięcie jej mięśni. Kobieta zachwiała się i zamarła w pół kroku.

Dale Monroe szedł prosto na nie. Twarz miał purpurową, na środku czoła pulsowała niebieska żyłka.

- Dale! - wkroczył George, chwytając go za ramię. - Nie bądź głupi...

Dale strząsnął jego rękę, głuchy na ostrzeżenie.

Meghann zręcznie postąpiła o krok, stając pomiędzy nim a May.

- Panie Monroe, proszę się odsunąć.

- Doktorze Monroe, ty zachłanna dziwko!

- Wspaniały dobór słów. Musiał pan studiować nauki humanistyczne na jednym z tych liberalnych uniwersytetów. A teraz proszę zejść mi z drogi. - Meghann czuła, jak za jej plecami May drży i gwałtownie oddycha. - George, zabierz stąd swego klienta.

Gutterson bezradnie rozłożył ręce.

- On mnie nie słucha.

- Odebrałaś mi dzieci - zaatakował Dale, patrząc prosto na Meghann.

- Sugeruje pan, że to ja nielegalnymi sposobami pozbawiłam żonę majątku... że okradłam rodzinę? - Zbliżyła się do niego o krok. - Zaraz... A może to ja w każdy czwartkowy wieczór posuwałam nauczycielkę muzyki?

Zbladł. Żyła na czole jeszcze bardziej się uwypukliła. Wychylała się na boki, usiłując pochwycić spojrzenie żony.

Byłej żony.

- Chodź, May - powiedział. - Ty mnie dobrze znasz. Nie zrobiłem tego wszystkiego. Oddałbym ci wszystko, o co tylko byś poprosiła. Ale dzieciaki... Nie mogę widywać ich tylko w weekendy i podczas dwóch tygodni wakacji.

Zabrzmiało to szczerze. Gdyby Meghann wcześniej nie poznała całej ohydnej prawdy, być może uwierzyłaby, że ma żal z powodu dzieci.

Zareagowała szybko, chcąc wyręczyć May.

- Doktorze Monroe, podział majątku jest w pełni sprawiedliwy. Sprawa opieki nad dziećmi również została rozwiązana sensownie i jestem pewna, że pan to przyzna, kiedy nieco ochłonie. Wszyscy czytaliśmy zeznania dające pogląd na pański tryb życia. Wychodził pan z domu przed szóstą, kiedy dzieci jeszcze spały, i rzadko wracał przed dziesiątą wieczorem, gdy dzieci były już w łóżkach. Weekendy spędzał pan z kolegami na grze w golfa czy w pokera. Obecnie prawdopodobnie będzie pan więcej przebywał z dziećmi, niż kiedy mieszkał pan z nimi pod jednym dachem. - Meghann uśmiechnęła się zadowolona z siebie. Użyła zręcznego, dobrze wyważonego argumentu. Nie mógł zaprotestować. Zerknęła na George'a, który stał, milcząc, obok swego klienta. Wyglądał, jakby lada chwila miał zwymiotować.

- Myślisz, że kim jesteś? - wycedził chrapliwie Dale, zbliżając się do niej o krok. Dłonie przyciśnięte do boków zwinęły się w pięści.

- Zamierzasz mnie uderzyć, Dale? Zrób to, a stracisz prawo opieki nad dziećmi nawet w ograniczonym wymiarze.

Zawahał się.

Teraz ona zrobiła krok w jego stronę.

- A jeśli jeszcze kiedykolwiek uderzysz May lub choćby się zamierzysz, z powrotem znajdziesz się w sądzie. Jednak wtedy stawką nie będą pieniądze, tylko twoja wolność.

- Grozisz mi?

- Czy grozę? - Spojrzała mu prosto w oczy. - Tak. Trzymaj się z daleka od mojej klientki, bo inaczej dopilnuję, żeby twoje życie zmieniło się w piekło. Co drugi piątek masz prawo podejść przed dom i czekać w samochodzie na dzieci. Odwiesz je o ustalonej godzinie i na tym kończą się twoje kontakty z May. Wszystko jasne?

May dotknęła jej ramienia.

- Chodźmy już - szepnęła.

Meghann słyszała znużenie i napięcie w jej głosie. Przypomniała sobie własny rozwód. Usiłowała być dzielna i silna, ale w chwili gdy opuściła salę sądową, załamała się, zapadła jak zwodzony most. Właściwie tak do końca nigdy się nie pozbierała.

Chwyliła za teczkę leżącą na dębowym pulpicie i otoczyła talię May ramieniem. Wyszły objęte z sądowej sali.

- Zapłacisz mi za to, ty dziwko! - wrzasnął za nimi Dale. Coś upadło z hukiem na podłogę.

Jak się domyśliła, musiał runąć drugi pulpit.

Nie obejrzała się. Obejmując pewnie May, podprowadziła ją do windy. Stały obok siebie w ciasnej klatce.

Gdy tylko drzwi się zasunęły, May rozplakała się.

Meghann delikatnie ścisnęła jej dłoń.

- Wiem, że chociaż teraz wydaje ci się to niemożliwe, uprasz się z tym. Uwierz mi. Nie od razu, zapewne dużo czasu upłynie, ale pozbierasz się.

Pomogła jej zejść po stopniach i wyprowadziła na zewnątrz. Niebo, zasnutę szarymi chmurami, wisiało nisko nad ziemią.

Deszcz siąpił na zablokowane samochodami ulice. Ani śladu słońca. Zapewne podążyło za kluczami gęsi na południe, do Kalifornii czy też na Florydę. Na zachodnich terenach stanu Waszyngton pojawi się na dobre dopiero po czwartym lipca.

Szły Trzecią Ulicą do Judicial Annexu, ulubionego miejsca palestry z sądu rodzinnego, gdzie chemie zagładano w porze lunchu. Zanim znalazły się przed wejściem, kostium Meghann zdążył zamoknąć. Szarawe smużki znaczyły kołnierz białej jedwabnej bluzki. Jediną rzeczą, jakiej nie oferował żaden lokal, były parasole.

- Cześć, Meg! - pozdrowiło ją kilku kolegów, kiedy szła przez salę do stolika w głębi. Wysunęła krzesło dla May, a potem sama usiadła naprzeciwko.

Natychmiast zjawiła się przy nich kelnerka z udręczoną miną. Wyciągnęła ołówek z końskiego ogona.

- Co dzisiaj podać: szampan czy martini?

- Zdecydowanie prosimy o szampana.

May popatrzyła na nią ponad stolikiem.

- Chyba nie będziemy pić szampana?

- May! Jesteś milionerką. Twoje dzieci, jeśli tylko zechcą, mogą zrobić doktoraty na Harvardzie. Masz piękny letni dom nad wodą w Medinie z czystą hipoteką. Tymczasem Dale wyłudował w studwudziestometrowym kondominium w Kirkland. Przyznano ci pełną opiekę nad dziećmi. Kurczę, naprawdę, musimy to uczcić!

- Co ci jest?

- Nie rozumiem?

- Moje życie wygląda tak, jakby uderzył w nie skud. Człowiek, którego kocham, oszedł. Być może istniał wyłącznie w mojej wyobraźni. Muszę żyć ze świadomością, że nie tylko jestem samotna, ale najwyraźniej byłam też głupia. Moim dzieciom całe życie będzie towarzyszyć świadomość, że rodziny się rozpadają, miłość jest nietrwała, a przede wszystkim, że nie dotrzymuje się obietnic. Oczywiście nauczą się z tym żyć. To właśnie robią dzieci i kobiety - żyją dalej. Lecz nie będziemy już



tacy sami. Mam pieniądze. Masę pieniędzy. Ty też je masz, jak przypuszczam. Śpisz z nimi w nocy? Przytulają cię, kiedy przyśni ci się koszmar?

- A Dale przytulał?

- Tak, dawno temu. Niestety, takim go zapamiętałam. - May spojrzała na swą dłoń. Na obrączkę. - Czuję się tak, jakbym krwawiła. A ty siedzisz i pijesz szampana. - Odwróciła wzrok. - Co z tobą?

- Może to wpływ ciężkiej pracy - odparła szczerze Meghann. - Czasem jedynym sposobem, żeby to wszystko znieść, jest...

Nagle w restauracji powstał zamęt. Posypało się szkło. Runął stolik. Rozległ się kobiecy krzyk.

- Och, nie - szepnęła May i pobladła.

Meghann ściągnęła brwi.

- Co do cho...? - Odwróciła się na krzesło.

Dale stał w otwartych drzwiach z rewolwerem w lewej ręce. Kiedy Meghann spojrzała na niego, uśmiechnął się i przestąpił przewrócone krzesło. W tym uśmiechu nie było śladu wesołości, kto wie, czy przypadkiem nie płakał.

A może to nie były łzy, tylko deszcz.

- Dale, odłóż broń. - Zdziwiła się, słysząc swój opanowany głos.

- Teraz ja przejmuję pałeczkę, pani mecenas.

Kobieta w czarnym kostiumie w prążki czołgała się po podłodze. Przesuwała się powoli w stronę drzwi. Gdy do nich dotarła, podniosła się i wybiegła z restauracji.

Dale albo jej nie zauważył, albo go nie obeszła. Przez cały czas nie spuszczał oczu z Meghann.

- Zrujnowałaś mi życie.

- Dale, odłóż broń. Nie rób głupstwa.

- Już zrobiłem. - Głos mu się załamał i teraz zobaczyła, że rzeczywiście płakał. - Miałem romans, stałem się chciwy i zapomniałem, jak bardzo kocham żonę.

May powoli podniosła się z krzesła. Meghann przytrzymała ją i posadziła z powrotem, po czym sama wstała.

Uniosła ręce. Serce waliło jej jak młotem, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

- Spokojnie, Dale. Odłóż broń. Spróbujemy ci pomóc.

- Czemu mi nie pomogłaś, kiedy starałem się przekonać żonę, jak bardzo tego wszystkiego żałuję?

- Pomyliłam się. Przykro mi. Możemy usiąść wszyscy razem i porozmawiać.

- Myślisz, że nie wiem, jaki jestem popieprzony? Uwierz mi, paniusiu, dokładnie wiem. - Głos znowu mu się załamał. Łzy spłynęły po policzkach. - Jezu, May, co się ze mną porobiło?

- Dale. - Meghann zwróciła się do niego opanowanym, wyważonym głosem. - Wiem, jak...

- Zamknij się! To wszystko twoja wina, ty dziwko! To twoja robota! - Podniósł rewolwer, wycelował i nacisnął spust.

Joe obudził się z temperaturą i z obolałym gardłem. Zanim zdążył na dobre otworzyć oczy, dopadł go atak suchego kaszlu. Usiadł z załzawionymi oczyma, dręczony pragnieniem.

Śpiwór pokrywała szklista warstewka szronu; normalne zjawisko w tej szerokości geograficznej. Dni w tej części stanu były upalne, a noce zimne.

Zakasał ponownie, po czym wyczołgał się ze śpiwora. Złowił go drżącymi rękami i przywiązał do plecaka. Chwiejnym krokiem wyszedł z ciemnego lasu na słoneczny dzień, mrużąc oczy przed światłem. Słońce od rana ostro przygrzewało na bezchmurnym niebie.

Wygrzebał z plecaka szczoteczkę do zębów oraz mydło i kucając przy strumieniu Icicle, wykonał poranną toaletę.

Kiedy skończył, dyszał ciężko, jakby umycie zębów kosztowało tyle wysiłku co bieg w Bostońskim Maratonie.

Przejrzał się w strumyku. Falujące odbicie na powierzchni czystej wody zdumiewająco dokładnie oddało każdy szczegół. Długie włosy zmierzwiłone jak leśna ściółka, na której przespał dwie kolejne noce. Dolna połowa twarzy ukryta pod gęstą, posiwiałą brodą. Powieki obwisłe jak u życiowego bankruta.

A dzisiaj miał urodziny. Kończył czterdzieści trzy lata.

W innych czasach - w innym życiu - ten dzień był okazją do świętowania i do rodzinnych spotkań. Diana uwielbiała przyjęcia; potrafiła je organizować na poczekaniu. Tamtego roku, gdy skończył trzydzieści osiem lat, wynajęła Space Needle i zamówiła występ sobowótora Bruce'a Springstina, żeby śpiewał z playbacku piosenki ich młodości. Przyszło mnóstwo znajomych. Wszyscy chcieli obchodzić razem z Joem jego święto.

Dawno temu.

Wyprostował się z westchnieniem. Pobieżny przegląd portfela i kieszeni uświadomił mu, że znowu jest bez pieniędzy. Zdażył wydać prawie wszystko, co zarobił w zeszłym tygodniu, kosząc trawniki.

Zarzucił plecak na ramię i podążając wzdłuż wijącego się strumienia, wyszedł z parku narodowego. Zanim dotarł do autostrady numer dwa, pocił się tak bardzo, że co chwila musiał ocierać oczy. Czoło zdawało się płonąć. Czuł, że ma wysoką gorączkę. Co najmniej trzydzieści osiem z kreskami.

Objął wzrokiem czarną wstęgę asfaltu, wiodącą do małego miasteczka Leavenworth. Smukłe zielone sosny trzymały straż wzdłuż poboczy.

Od miasteczka dzieliły go niecałe dwa kilometry. Z tej odległości widział budynki w bawarskim stylu, sygnalizację świetlną i billboardy. Wiedział, że to jedna z tych miejscowości, gdzie przez cały rok sprzedaje się ręcznie robione bożonarodzeniowe ozdoby, a na każdym rogu stoi staromodny pensjonat. Miejsce, gdzie turystów i przyjezdnych przyjmuje się z otwartymi ramionami.

Z wyjątkiem tych, którzy wyglądali i cuchnęli jak Joe.

Był zanadto znużony, aby pisać się pod górę, więc mimo wątpliwości skręcił do miasta. Bolały go nogi i ścisnęło w dołku. Od kilku dni nie zjadł porządnego posiłku. Wczoraj przetrwał na niedojrzałych jabłkach i resztkę suszonej wołowiny.

Gdy doszedł do miasta, ból głowy stał się nieznośny. Przez

dwie godziny wędrował od drzwi do drzwi w poszukiwaniu dorywczej pracy.

Niczego nie znalazł.

Wreszcie na stacji benzynowej Chevronu za ostatnie dwa dolary kupił aspirynę i popił ją wodą z kranu nad zardzewiałą umywalką w publicznej toalecie. Potem przystanął pomiędzy regałami w dziale słodyczy i patrzył na nie bezmyślnie.

Z chęcią zjadłby corn nuts...

Lub ziemniaki krojone w plastry, upieczone na grillu...

Albo...

- Musi pan stąd ruszać - odezwał się młody ekspedient stojący za ladą. Miał na sobie brązowy, powyciągany podkoszulek z napisem: „Zaniedbujemy małżeństwo, żeby zapewnić wam sezon polowania na łosie”. - Chyba że chce pan coś kupić.

Joe spojrzął na zegar, zaskoczony, że spędził tu ponad godzinę. Skinął głową chłopakowi, poszedł z bidonem do toalety, napełnił go wodą, skorzystał z ubikacji i wrócił do sklepu. Przystanął przy ladzie. Nie podnosząc oczu, zapytał, czy gdzieś w okolicy mógłby znaleźć dorywcze zajęcie.

- Na farmie Darrington czasami najmują sezonowych robotników. Zazwyczaj podczas zbiorów. A teraz, to nie wiem. No i w Whiskey Creek Lodge potrzebują ludzi, kiedy odławiają łososie.

Zbieranie owoców albo czyszczenie ryb. Często się tym zajmował przez ostatnie trzy lata.

- Dzięki.

- Wyglądasz na chorego. - Chłopak przypatrywał mu się z uwagą. - Wiesz o tym?

- Nic mi nie jest. Dzięki. - Joe skierował się do wyjścia w obawie, że jeśli zostanie dłużej, zatoczy się i upadnie, a potem ocknie w szpitalnym łóżku albo na pryczy w areszcie. Nie wiedział, co gorsze. I jedno, i drugie przywołałoby zbyt wiele złych wspomnień.

Stał na chwiejnych nogach przed sklepem i siłą woli starał się pobudzić działanie aspiryny, gdy spadła pierwsza kropla desz-

czu. Była duża i ciężka i trafiła go prosto w oko. Uniósł głowę i zobaczył, że niebo niespodziewanie się zaciągnęło.

- Chole...

Zanim zdążył dokończyć, zerwała się ulewa. Deszcz siekł, jakby go chciał przygwoździć do miejsca.

Zacisnął powieki i pochylił głowę.

Teraz grypa rozwinie się w zapalenie płuc. Pewne jak w banku, jeśli spędzi jeszcze jedną noc w wilgotnym ubraniu pod gołym niebem.

Nagle poczuł, że dłużej nie może tak żyć. Miał dość i był zmęczony tym, że ma dość i że jest zmęczony.

Dom.

Ta myśl była jak balsamiczna bryza, która wyniosła go z tego potwornego miejsca w strugach deszczu. Zamknął oczy i myślami znalazł się w małym miasteczku, gdzie dorastał, grał na pozycji łącznika w lokalnej drużynie baseballowej, a po lekcjach i w każdej wakacje dorabiał w warsztacie samochodowym, dopóki nie wyjechał na studia. Gdyby w tym mieście zaakceptowano go po tym, co zrobił, tam właśnie chciałby mieszkać.

Może...

Targany lękiem i jednocześnie podniecony oczekiwaniem, podszedł powoli do budki telefonicznej i zamknął się w enklawie ciszy. Teraz deszcz był jedynie odgłosem; dudnił jak jego galopujące serce.

Odetchnął głęboko, zdjął słuchawkę, wykręcił zero i zamówił rozmowę na koszt abonenta.

- Cześć, mała siostrzyczko - powiedział, kiedy odebrała telefon. - Co słychać?

- O mój Boże! Najwyższy czas. Odchodziłam od zmysłów, Joey. Żadnej wiadomości od... niech policzę. Ośmiu miesięcy? Masz okropny głos.

Pamiętał tamtą rozmowę. Był wtedy w Sedonie. Całe miasto wydawało się pokryte kryształem i wyglądało jak nie z tego świata. Miał wrażenie, że to Diana go tam ściągnęła, co oczywiście było niemożliwe. Ot, po prostu jeszcze jedna miejsco-

wość mijana po drodze. Zadzwoił do siostry w jej urodziny. Wtedy sądził, że lada dzień wróci do domu.

- Wiem. Przepraszam.

Usłyszał kolejne westchnienie i ujrzał ją oczyma wyobraźni; stoi przy kuchennym blacie i być może sporządza listę spraw do załatwienia - zakupy, jej kolej na wozenie dzieci z sąsiedztwa, lekcje pływania. Wątpił, aby zmieniła się przez minione trzy lata, jednak wolał mieć pewność. Tęsknota za nią bardzo mu doskwierała; dlatego nie dzwonił. Za bardzo bolało.

- Jak się ma moja śliczna siostrzeniczka?

- Świetnie.

Wychwyił jakąś dziwną nutę w jej głosie.

- Co się dzieje?

- Nic - odparła, po czym dodała ciszej: - Chciałabym mieć mojego dużego brata przy sobie, tylko tyle. Czy nie upłynęło wystarczająco dużo czasu?

A więc padło to pytanie, od którego wszystko zależało.

- Nie mam pojęcia. Jestem zmęczony. To jedno wiem. Czy ludzie zapomnieli?

- Rządziej mnie wypytują.

Czyli część zapomniała, ale nie wszyscy. Jego powrót odświeży pamięć. Nie był pewien, czy jest dość silny, żeby stawić czoło przeszłości. Kiedy była teraźniejszością, nie starczyło mu siły.

- Posłuchaj, Joey. Już czas. Nie możesz ukrywać się bez końca. Jesteś... mi potrzebny.

Usłyszał płacz; cichy i bezradny. Poruszył w nim czułą strunę.

- Proszę cię, nie płacz.

- Nie płaczę. Kroję cebulę do obiadu. - Pociągnęła nosem. - Twoja siostrzenica jest na etapie spaghetti. Nie je niczego innego. - Usiłowała się roześmiać.

Był jej wdzięczny za tę próbę nadania rozmowie lżejszego tonu.

- Zrób jej spaghetti takie jak u naszej mamy. Straci apetyt.

Zaśmiała się.

- Rzeczywiście. Zapomniałam. Było okropne.

- Lepsze od klopsów.

Po chwili ciszy, która zaległa w słuchawce, łagodnie przystąpiła do rzeczy:

- Joey, musisz sobie wybaczyć.

- Niektórych spraw nie można wybaczyć.

- W takim razie przynajmniej wróć do domu. Ludzie tutaj są dla ciebie życzliwi.

- Chcę wrócić. Nie mogę... tak dłużej żyć.

- Mam nadzieję, że dlatego dzwonisz.

- Ja też mam taką nadzieję.

To był jeden z tych rzadkich dni w Seattle. Gorący i parny. Smog wisiał nad miastem, przypominając wszystkim o zbyt dużej liczbie samochodów śmigających po kilometrach autostrad w tym, tak kiedyś czystym, zakątku kraju. Powietrze stało nieruchomo. Zatoka Puget była gładka jak jezioro. Nawet góry wydawały się niższe, jakby je przytłaczał upał.

Na dworze było gorąco, a w sędzie niczym w tropiku. Staromodny, skrzyniowy wentylator szumiał cicho w otwartym oknie. Kawałek białej wstążki, przywiązany do obudowy, furkotał od czasu do czasu i zaraz opadał.

Meghann wpatrywała się w żółty sądowy notatnik. Obok leżał rząd równo poukładanych czarnych piór. Pulpit, od dziesięcioleci służący adwokatom i ich klientom, stał chwiejnie na nierównych nogach.

Nie napisała ani jednego słowa.

Zaskoczyło ją to. Zazwyczaj pióro ledwo nadażało za jej myślami.

- Pani Dontess. - Chrząknięcie. - Pani Dontess!

Sędzina zwracała się do niej.

Kilkakrotnie zamrugała oczami.

- Przepraszam.

Podniosła się z miejsca i automatycznie uczyniła taki ruch, jakby chciała odgarnąć włosy z twarzy. A przecież dziś uczesała je we francuski warkocz.

Chuda sędzina o szyi jak u czapli, wyrastającej prosto z czerni togi, ściągnęła niecierpliwie brwi.

- Jakie jest pani zdanie?

Meghann ogarnął niepokój graniczący z paniką. Spojrzała ponownie na czysty notatnik. Prawa ręka zadrżała. Drogie pióro wysunęło się z palców i potoczyło po pulpicie.

- Proszę podejść - poleciła sędzina.

Meghann nie spojrzała w lewo. Wolała uniknąć kontaktu wzrokowego z adwokatem przeciwnej strony. Była słaba, roztrzęsiona i, na Boga, wszyscy to widzieli.

Usiłowała przybrać pewną siebie postawę, być może się udał. Idąc przez salę, słyszała stukot obcasów o drewnianą podłogę. Ten dźwięk był jak wykrzyknik kończący każdy oddech.

Zatrzymała się przy wysokim sędziowskim stole. Siłą woli kontrolowała ręce, żeby zwisały wzdłuż boków, a dłonie pozostały otwarte.

- Słucham, Wysoki Sądzie? - Na szczęście głos zabrzmiał normalnie. Był zdecydowany.

Sędzina pochyliła się nad nią.

- Meghann, wszyscy wiemy, co się wydarzyło w zeszłym tygodniu - powiedziała cicho. - Ta kula ominęła cię o włos. Na pewno czujesz się na siłach, żeby uczestniczyć w rozprawie?

- Tak. - Głos Meghann stał się cichszy. Prawa ręka znowu drżała.

Sędzina popatrzyła na nią z uwagą, odchrząknęła i skinęła głową.

- Proszę wrócić na miejsce.

Meghann skierowała się do stolika. John Heinreid szedł obok niej. Wielokrotnie w sądzie występowali jako przeciwnicy. Często po długim dniu ciężkiej pracy szli razem na lampkę wina i ostrygi.

- Na pewno dobrze się czujesz? Możemy przesunąć rozprawę o kilka dni.

- Dzięki, John. - Nie spojrzała na niego. - Nic mi nie jest. - Podeszła do stołu i usiadła na krześle.



Jej klientka, gospodyni domowa z Mercer Island, która prawdopodobnie potrzebowała na wydatki minimum dziewiętnaście tysięcy dolarów miesięcznie, patrzyła na nią badawczo.

- Co się dzieje? - wyszeptała bezgłośnie, bawiąc się nerwowo złotym łańcuszkiem przy torebce od Chanel.

Meghann potrząsnęła głową.

- Wszystko w porządku.

- Wysoki Sądzie - odezwał się John - ponownie zgłaszam wniosek, aby w związku z prośbą mojego klienta odroczyć postępowanie, umożliwiając jemu i pani Miller skorzystanie z pomocy poradni małżeńskiej. Jak wiadomo, w grę wchodzi dobro dzieci. Mój klient pragnie wykorzystać wszystkie możliwości utrzymania małżeństwa.

Meghann usłyszała, jak jej klientka szepce: „Nie ma mowy”, gdy opierając się dłońmi o stolik, wstała z krzesła.

W głowie miała pustkę. Nie potrafiła przytoczyć żadnego argumentu. Kiedy zamknęła oczy, próbując się skoncentrować, usłyszała inny głos, szorstki i zrozpaczony. „To twoja wina, ty dziwko”. A potem zobaczyła wycelowaną w siebie broń i usłyszała odgłos wystrzału. Gdy podniosła powieki, przekonała się, że wszystkie spojrzenia były skierowane na nią. Czy się wzdygnęła, a może krzyknęła? Cholera. Nie miała pojęcia.

- Wysoki Sądzie, moja klientka uważa, że nastąpił całkowity rozpad małżeństwa. Nie widzi celowości skorzystania z terapii.

- Celowości? - podchwycił John. - Czy po piętnastu latach nie warto poświęcić trochę czasu na rozmowę z terapeutą? Mój klient wierzy, że najważniejsze jest dobro dzieci. Prosi jedynie o możliwość ocalenia rodziny.

Meghann odwróciła się do klientki.

- Celene, to rozsądna propozycja - wyszeptała. - Wypadniesz niekorzystnie, jeśli będziemy toczyć tę batalię w obecności sądu.

- Och, chyba... - skrzywiła się Celene.

- Wysoki Sądzie - Meghann zwróciła się do sędziny - prosi-

my o odroczenie rozprawy i jednocześnie wyznaczenie późniejszego terminu.

- Wysoki Sądzie, popieramy ten wniosek.

Meghann stała na lekko chwiejnych nogach, kiedy ustalano szczegóły. Prawa ręka ciągle drżała, pojawił się tik w lewej po-wiece. Automatycznie pakowała dokumenty do teczki.

- Chwilę - szepnęła Celene. - Co się właściwie dzieje?

- Zgodziłyśmy się na sesję terapeutyczną. Kilka miesięcy. Nie dłużej. Być może...

- Terapia? Już to przerabialiśmy - a może zapomniałaś? Spróbowaliśmy również hipnozy, byliśmy na romantycznych wakacjach, a nawet braliśmy udział w tygodniowym seminarium na temat rozwiązywania problemów małżeńskich. Nic nie pomogło. A wiesz dlaczego?

Meghann nic takiego nie pamiętała. Informacje, które powinna mieć w małym palcu, jakoś jej umknęły.

- Och - westchnęła jedynie.

- Nie pomogło, bo on mnie nie kocha. - Głos Celene stał się skrzekliwy. - Pan Komputer Software gustuje w męskich prostytutkach, pamiętasz? Robią mu laskę pod wiaduktem i w kinach porno.

- Przykro mi, Celene.

- Przykro? Tylko tyle? I ja, i dzieci musimy zacząć nowe życie, zamiast dalej tkwić po uszy w tym szambie.

- Masz rację. Naprawię to. Przyrzekam ci. - Może to zrobić. Wystarczy, że zadzwoni do Johna Heinreida i zagrozi ujawnieniem seksualnych preferencji pana Millera i sprawa będzie załatwiona. Dyskretnie.

Celene westchnęła.

- Posłuchaj, wiem, co się stało w zeszłym tygodniu. Mówili o tym we wszystkich programach. Żal mi tamtej kobiety... i ciebie. Wiem, że jej mąż próbował cię zabić. Ale muszę myśleć o sobie. Chociaż raz w życiu. Rozumiesz?

Przez jedną okropną chwilę Meghann miała wrażenie, że utraci sprawę. Na miłość boską, jak to możliwe, że patrząc na Ce-

lene Miller, widziała w niej wyłącznie jeszcze jedną zadbaną i rozpieszczoną gospodynię domową?

- Przede wszystkim powinnaś myśleć o sobie. Zawiodłam cię. Dałam cię. Ale naprawię to, a ty nie zapłacisz ani centa za rozwód. Zgoda? Potrafisz mi jeszcze zaufać?

Celene rozchmurzyła się.

- Zawsze byłam łatwowierna. Częściowo dlatego tu się znalazłam.

- Jeszcze dziś skontaktuję się z Johnem. A jutro dam ci znać, co załatwiłam.

Celene wysiliła się na uśmiech.

- Niech będzie.

Meghann oparła się dłonią o pulpit, aby utrzymać równowagę, gdy stojąc, odprowadzała wzrokiem swą klientkę. Kiedy Celene wyszła z sali, westchnęła ciężko. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że wstrzymywała oddech.

Podnosząc żółty notatnik, zauważyła drżenie palców. Co się ze mną dzieje?

Drgnęła, czując dotknięcie ręki na ramieniu.

- Meg?

To była Julie Gorset, współpracowniczka.

- Cześć, Jules. Powiedz, że nie było cię dziś na sali.

Julie popatrzyła na nią strapiona.

- Byłam. Musimy pogadać.

W słoneczne letnie dni na Pike Place Public Market kręciły się tłumy. Teraz, wieczorem, panował tu spokój. Zgrzani sprzedawcy w przewiewnych ubraniach pakowali swoje wyroby i ładowali je na ciężarówki zaparkowane na wybrukowanej ulicy. Powietrze wypełniały ostrzegawcze sygnały samochodów dostawczych manewrujących na wstecznym biegu.

Meghann przystanęła przed otwartymi drzwiami Athenian. W barze było sino od dymu; za oknami szeroka wstęga zatoki Puget połyskiwała w oddali. Przy barze siedziały przynajmniej

z dwa tuziny ludzi, zapewne przyszli na ostrygi - połykali je na surowo prosto z małych kieliszków. Specjalność zakładu.

Omiotła spojrzeniem stoliki. Szeroki wybór. Samotni mężczyźni w drogich garniturach oraz studenci w obciętych dżinsach - ekspozycja rąbków kraciastych bokserek oraz smukłych torsów.

Mogła wstąpić, uśmiechnąć się zachęcająco i znaleźć towarzysza. Przez kilka błogich godzin miałyby kogoś do pary, nieważne, jak bardzo to „bycie w parze” okazałoby się złudne i kruche. Przynajmniej nie musiałyby myśleć. Ani odczuwać.

Postąpiła krok do przodu. Zahaczyła czubkiem buta o próg, zatoczyła się i oparła o futrynę.

W tej samej chwili zobaczyła, jak to się odbędzie. Pozna jakiegoś faceta, którego imię jest bez znaczenia, pozwoli się dotykać, kochać, a potem... zostanie jeszcze bardziej samotna niż przed tym.

Znowu poczuła tik w lewym oku.

Wyjęła z torebki telefon komórkowy. Zdażyła nagrać Elizabeth ponaglącą wiadomość „przedzwoń do mnie”, gdy uświadomiła sobie, że przyjaciółka wyjechała do Paryża.

Nie ma do kogo zadzwonić. Chyba że...

Nie rób tego.

Jednak nikt inny nie przychodził jej na myśl.

Wystukała numer i czekała, przygryzając wargę. Już miała wyłączyć telefon, kiedy usłyszała.

- Halo? Halo? - A potem: - Meghann, poznaję cię po numerze komórki.

- Podam do sądu tego, kto wymyślił wyświetlacz numerów. To rujnuje uświęconą tradycję anonimowego odkładania słuchawki.

- Jest w pół do dziewiątej. Z jakiego powodu zadzwoniłaś? - spytała Harriet.

- Moja lewa powieka trzepocze jak flaga w Święto Niepodległości. Potrzebuję recepty na środki rozkurczowe.

- Rozmawialiśmy o opóźnionej reakcji. Pamiętasz?

- Taak. Stres pourazowy. Sądziłam, że masz na myśli depresję, a nie próbę oderwania się powieki od twarzy. I... drżą mi ręce. To nie byłby korzystny tydzień na szycie patchworków.

- Gdzie jesteś?

Korciło ją, żeby skłamać, ale Harriet miała słuch jak posokowiec; prawdopodobnie słyszała gwar z baru.

- Przed Athenian.

- No oczywiście. Za pół godziny będę w gabinecie.

- Nie musisz. Wystarczy, jeśli telefonicznie zlecisz receptę w aptecę.

- W gabinecie. Za pół godziny. Jeżeli nie przyjdiesz, sama cię znajdę. A nic tak skutecznie nie odstrasza chłopców z college'u jak wkurzona psychiatra o imieniu Harriet. Zrozumiano?

Szczerze mówiąc, Meghann ulżyło. Harriet potrafi być upierdliwa, ale przynajmniej ma z kim porozmawiać.

- Przyjdę.

Meghann rozłączyła się i schowała telefon do torebki. W niecałe piętnaście minut dotarła do gabinetu Harriet. Portier wpuścił ją do budynku i po rutynowej wymianie pytań i odpowiedzi wskazał windę. Wjechała na trzecie piętro i stanęła przed przeszklonymi drzwiami gabinetu.

Punktualnie o dziewiątej zjawiła się Harriet; wyglądała tak, jakby natychmiast po ich rozmowie wybiegła z domu. Czarne, zazwyczaj gładko uczesane włosy przytrzymywała wąska opaska, pozbawiona makijażu twarz lśniła różowo.

- Jedno słowo na temat tej opaski, a skasuję cię podwójnie.

- Ja? Czy kiedykolwiek kogoś krytykuję? Chyba żartujesz!

Harriet skwitowała tę uwagę uśmiechem. Często rozmawiała z Meghann o jej skłonności do osądzania innych jako jednej z wielu wad.

- Musiałam wybrać między punktualnością a jako takim wyglądem.

- Przyszłaś na czas.

- Wchodź. - Harriet przekręciła klucz w zamku i pchnęła drzwi.

Nawet teraz, późnym wieczorem, gabinet pachniał świeżymi kwiatami i podniszczoną skórą. Ten znajomy zapach podziałał na Meghann kojąco. Przecięła pomieszczenie recepcyjne i weszła do przestronnego narożnego gabinetu Harriet, kierując się prosto do okna. Reflektory samochodów i sygnalizacja uliczna zmieniły miasto w siatkę ze świetlnych punktów.

Harriet zajęła swe zwykłe miejsce.

- A więc uważasz, że recepta ci pomoże.

Meghann odwróciła się powoli. Powieka drgała rytmicznie jak wahadełko metronomu.

- Albo to, albo pies - przewodnik dla niewidomych. Jeśli druga zacznie skakać, będę ślepa.

- Usiądź, Meghann.

- A muszę?

- Hm, nie. Będę mogła wrócić do domu i obejrzeć „Przyjaciół”.

- Oglądasz „Przyjaciół”? Sądziłam, że nastawiasz telewizor na kanał z serwisem wiadomości. Albo na Discovery.

- Siadaj.

Meghann posłusznie wykonała polecenie. Zapadła się w wygodny fotel.

- Pamiętam, że kiedyś nie cierpiałam tego fotela. Teraz wydaje się jakby zrobiony specjalnie dla mnie.

Harriet złączyła palce i spoglądała na Meghann sponad krótkich, starannie wypolerowanych paznokci.

- Dziś minął równo tydzień, prawda? Od dnia, kiedy mąż twojej klientki próbował cię zastrzelić.

Lewa stopa Meghann wpadła w nerwowy płas. Mięśisty szary dywan tłumił tupot.

- Tak. To zabawne, ale rozgłos przysporzył mi klientek. Zda się, kobietom zależy na adwokacie, który potrafi doprowadzić mężczyznę do szału. - Usiłowała się uśmiechnąć.

- Tłumaczyłam ci, że musisz się z tym uporać.

- Tak, tłumaczyłaś. Przypomnij mi, abym umieściła na drzwiach złotą gwiazdkę przy twoim nazwisku.

- Dobrze sypiasz?  
- Nie. Za każdym razem, kiedy zamknę oczy, znowu to wszystko widzę. Kulę lecałą ze świstem tuż koło ucha... Jego, jak odrzuca rewolwer i osuwa się na kolana... Siebie, jak biegnę do niego, podtrzymuję go i tłumaczę, że wszystko będzie dobrze, że ona go nie zostawi... Policję, która zabiera go w kajdankach. Dziś przydarzyło mi się to na sali rozpraw. A tak nawiasem mówiąc, pięknie mi poszło.

- Nie jesteś niczemu winna. On ponosi winę.

- Wiem. I wiem również, że fatalnie poprowadziłam ich rozwód. Straciłam umiejętność wczuwania się w ludzkie sprawy. - Westchnęła. - Nie mam pewności... czy mogę dalej się tym zajmować. Dzisiaj całkowicie zawiodłam klientkę. Moja współpracowniczka poprosiła mnie, a właściwie zażądała, żebym zrobiła sobie wakacje.

- To wcale nie jest taki zły pomysł. Nie zaszkodzi zakosztować trochę prawdziwego życia.

- Czy w Londynie lub w Rzymie będzie mi lepiej... samej?

- Dlaczego nie odwiedzisz Claire? Mogłabyś posiedzieć u niej na lotnisku przez jakiś czas. Trochę się zrelaksować. Poznać ją bliżej.

- Zabawna sprawa z tymi wizytami u krewnych. Trzeba mieć zaproszenie.

- Chcesz powiedzieć, że Claire nie życzyłaby sobie twojej wizyty?

- Dokładnie tak. Wystarczy pięć minut rozmowy i już zaczynamy się kłócić.

- Mogłabyś pojechać do matki.

- Wołałaby złapać gorączkę zachodniego Nilu.

- A Elizabeth?

- Pojechała z Jackiem do Europy, świętują rocznicę ślubu. Nie sądzę, aby ucieszyli się z gościa.

- Czyli z tego, co mówisz, wynika, że nie masz dokąd pojechać ani kogo odwiedzić.

Popełniła błąd, przychodząc tutaj. Rozmowa z Harriet jeszcze bardziej ją przygnębiła.

- Posłuchaj, Harriet - zaczęła cichszym niż zazwyczaj, łamiącym się głosem. - Jestem rozbita. Nie poznaję siebie. Chcę jedynie, żebyś mi zapisała coś, co pomoże mi się pozbierać. Znasz mnie. Za dzień, dwa dojdę do siebie.

- Królowa Negacji.

- Jeśli coś mi pomaga, trzymam się tego.

- Tylko że negowanie przestało działać, prawda? Dlatego masz skurcze powieki, drżą ci ręce i nie sypiasz. Nerwy odmawiają ci posłuszeństwa.

- Nie załamie się, uwierz mi.

- Meghann, jesteś jedną z najbardziej inteligentnych kobiet, jakie znam. Może nawet zbyt inteligentną. Miałaś wiele traumatycznych doświadczeń i wyszłaś z nich zwycięsko. Nie możesz wiecznie uciekać od przeszłości. Któregoś dnia musisz wyjaśnić pewne rzeczy z Claire.

- Mąż klientki próbuje odstrzelić mi mózg, a ty składasz moje nadszarpnięte nerwy na karb rodzinnych problemów. Czy aby na pewno jesteś lekarką?

- Wystarczy, bym wspomniała o Claire, i już wyrasta mur. Dlaczego tak jest?

- Tu nie chodzi o Claire, cholera jasna!

- Meg, prędzej czy później zawsze pojawia się rodzina. Przeszłość ma tę irytującą właściwość rzutowania na teraźniejszość.

- Dokładnie taką samą mądrość znalazłam w chińskim pierożku.

- Znowu robisz uniki.

- Nie, nie przyjmuję tego do wiadomości. - Meghann wstała z fotela. - Czy to znaczy, że nie zapiszesz mi środków rozkurczowych?

- Nie pomogą na tik.

- Świetnie. Kupię sobie klapkę na oko.

Harriet powoli podniosła się ze swego miejsca. Stały twarzą w twarz po przeciwnych stronach biurka.

- Dlaczego nie pozwolisz mi sobie pomóc?



Meghann z wysiłkiem przełknęła ślinę. Ze sto razy zadawała sobie to pytanie.

- *Czego ty chcesz?* - zapytała Harriet po chwili.
- Nie wiem.
- Wiesz.
- Po co pytasz, skoro znasz odpowiedź?
- Chcesz przestać czuć się taka samotna.

Meghann przebiegł dreszcz, pozostawiając po sobie wrażenie chłodu.

- Zawsze byłam samotna. Zdążyłam przywyknąć.
- Nie. Nie zawsze.

Myśli Meghann popłynęły ku tamtym odległym latom, kiedy, nierozłączne z Claire, były najlepszymi przyjaciółkami. Wtedy Meg umiała kochać.

Dość. To ją zaprowadzi donikąd.

Harriet się myli. Przeszłość nie ma nic do rzeczy. To prawda, miała poczucie winy z powodu sposobu, w jaki rozstała się z siostrą; poczuła się zraniona, gdy Claire odsunęła się od niej i wybrała Sama. I co z tego? Minęło dwadzieścia sześć lat. Od tamtego czasu dużo wody upłynęło w rzece. Niepodobna, żeby teraz miała się w niej utopić.

- Cóż, jestem zdana na siebie. I pewne jak diabli, że coś wymyślę, żeby się pozbierać. Aha, no i dzięki za pomoc. - Podniosła torebkę z podłogi i ruszyła do drzwi. - Przyślij rachunek mojej sekretarce. Kwota według uznania. Żegnaj, Harriet. - Powiedziała „żegnaj” zamiast „dobranoc”, bo nie zamierzała wracać.

Była przy drzwiach, kiedy zatrzymał ją głos Harriet.

- Uważaj, Meghann. Szczególnie teraz. Nie pozwól, żeby samotność cię zniszczyła.

Meghann zjechała windą i przeszła przez hol.

Na zewnątrz spojrzała na zegarek.

Za dwadzieścia dziesiątą.

Mnóstwo czasu, żeby zahaczyć o Athenian.

Joe siedział oparty o szybę na miejscu dla pasażera w osiemnastokątowej ciężarówce. Jakieś czterdzieści kilometrów wcześniej wysiadła klimatyzacja i w kabinie było gorąco jak w piekle.

Kierowca tira o imieniu Erv nacisnął na pedał pneumatycznych hamulców i zredukował bieg. Silnik zarzęził, ciężarówka zachybotała i zaczęła wolniej się toczyć.

- Zjazd z autostrady do Hayden.

Joe zobaczył znajomy drogowskaz i nie potrafił określić, co czuje. Tyle czasu go nie było...

Dom.

Nie. Tutaj dorastał; dom to coś innego, a dokładniej ktoś, a ona nie czeka na jego powrót.

Zjazd tworzył pętlę nad autostradą i przechodził w szosę, wzdłuż której rosły drzewa. Po lewej stronie znajdowała się stacja benzynowa i niewielki sklep samoobsługowy.

Erv podjechał do dystrybutora i zatrzymał się z piskiem hamulców. Syk powietrza, a potem cisza.

- W tym sklepie robią świetne kanapki z sałatką jajeczną, jeśli zgłodniałeś. - Erv otworzył drzwi i wysiadł.

Joe nacisnął klamkę i napał na drzwi. Skrzypnęły, puszczając, i Joe po raz pierwszy od trzech lat stanął na chodniku w zachodniej części stanu Waszyngton. Oblał go zimny pot i nie wiedział, czy to na skutek choroby, czy to reakcja na przyjazd do rodzinnego miasteczka.

Spojrzał na Erva zajętego nalewaniem paliwa.

- Dzięki za podwiezienie.

Erv kiwnął głową.

- Rozmowny to ty nie jesteś, ale dobrze mi się z tobą podróżowało. Bywa, że w drodze człowieka dopada samotność.

- Taa - zgodził się Joe. - Bywa.

- Na pewno nie chcesz pojechać do Seattle? To zaledwie półtorej godziny stąd. Tutaj nie ma co robić.

Joe spojrział na długą drogę obsadzoną drzewami. Chociaż widział zaledwie zarysy miasteczka, osaczyły go wspomnienia.

- Zdziwiłbyś się - powiedział cicho.

Tam, na końcu tej drogi, czeka na niego siostra, która ma nadzieję, że mimo wszystko zapuka do drzwi. Jeśli to zrobi, o ile znajdzie w sobie dość odwagi, weźmie go w ramiona i mocno przytuli, a on przypomni sobie, jak to jest czuć się kochanym.

Ta myśl dodała mu energii.

- Cześć, Erv! - Zarzucił plecak na ramię i ruszył w drogę. Po chwili doszedł do małej zielonej tablicy przed Hayden. „Ludność 872. Rodzinna miejscowość Lori Adamsa, stanowego mistrza ortografii w 1974 roku”.

Miasteczko, w którym się urodził i dorastał, a potem z niego wyjechał, w ogóle się nie zmieniło. Wyglądało dokładnie tak, jak je zachował w pamięci; niewielkie skupisko urokliwych domów w stylu Dzikiego Zachodu, drzemiących spokojnie w ciepłym czerwcowym słońcu.

Budynki miały stylizowane fasady, przy drewnianym chodniku tu i ówdzie stały skrzynki pocztowe. Sklepy i bary w większości nadal te same - bistro Whitewater i kwaciarnia Basket Case, a dalej Fireside Tavern, własność Mo, i sklep spożywczy Stock 'Em Up. Każdy sztydł budził wspomnienia, kiedyś każde drzwi otwierały się przed nim gościnnie. Podczas pewnych wakacji pakował zakupy w sklepie spożywczym starego Billa Turmana, a pierwsze oficjalnie wypite piwo zamówił u Mo.

Kiedyś w każdym miejscu był mile widziany.

A teraz... kto wie?

Westchnął przeciągle, usiłując określić, co w tej chwili czuje. Przez trzy lata tęsknił, ale' bał się wrócić, a teraz, gdy się tu znalazł, ogarnęło go odrętwienie. Może to przez grypę? Albo z głodu? Niewątpliwie powrót do domu powinien budzić wyraziste emocje. Dobiegła końca długa tułaczka po tym wszystkim, co zrobił.

Starał się wzbudzić w sobie jakieś uczucia.

Wysiłek spełził na niczym, ruszył więc dalej, mijając po dro-

dze czteroramienny drogowskaz wyznaczający początek miasta, a potem sklep żelazny Loose Srew oraz prywatną piekarnię.

Czuł, że ludzie mu się przyglądają; te spojrzenia przechodzące w grymas rozpoznania zdawały się wciskać go w ziemię. Szepty za plecami smagały po piętach.

„Jezu, czy to Joe Wyatt?”

„Myrtle, widziałaś? Joe Wyatt!”

„Ten ma tupet...”

„Ile czasu minęło?”

Po każdej takiej uwadze coraz bardziej się garbił. Z nisko opuszczoną głową, z rękami głęboko w kieszeniach, szedł dalej.

Na Azalea odbił w lewo, a potem na Cascade skręcił w prawo. Nareszcie mógł znowu normalnie oddychać. Tu, kilka przecznic za Main Street, świat z powrotem nabierał spokoju. Szeregi urokliwie staroświeckich drewnianych domów stały na starannie przyciętych trawnikach, za nimi ciągnęły się tereny znacznie rzadziej zamieszkane.

Na Rhododendron Lane prawie nie było ludzi. Przeszedł obok Carven Farm, ospałej o tej porze roku, bo ruch w gospodarstwie zaczynał się dopiero w jesienne żniwa, i potem skręcił na podjazd. Na skrzynce do listów wizytówka: Trainor. Kiedyś przez całe lata widniało tu nazwisko: Wyatt.

Rozłożysty drewniany dom z dwuspadowym stromym dachem stał na środku starannie zaaranżowanego terenu. Granice posesji wyznaczał żelazny płot na omszałej podmurówce. Wszędzie mieniły się barwne kwiaty, a soczyście zielone, odpowiednio uformowane bukszpany tworzyły żywopłot wzdłuż ogrodzenia. Jego ojciec sam wznosił ten dom, każda belka nosiła ślady jego rąk. „Dbajcie o dom. Wasza matka tak go kochała...” To były jedne z ostatnich słów wypowiedzianych przez tatę, kiedy umierał w szpitalu.

Wzruszenie ścisnęło go za gardło. Siostra spełniła prośbę. Niczego nie zmieniła. Mama i tata byliby zadowoleni.

Coś przyciągnęło jego uwagę. Na werandzie dostrzegł zwiewną, jakby niematerialną kobiecą sylwetkę w bieli. Dziewczyna

zaśmiała się i uciekła. Postać utkana z cieni, niewyraźna, przyprawiająca o ból serca.

Diana.

To wspomnienie; nic więcej.

Halloween. Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty siódmy rok. Przyszli tutaj, żeby po raz pierwszy zabrać siostrzenicę na zbieranie fantów. W swoim kostiumie Galadrieli Diana wyglądała na dwadzieścia pięć lat.

„Któregoś dnia, już niedługo - szepnęła tamtego wieczoru, ściskając go za rękę - pójdziemy z naszym własnym dzieckiem zbierać fanty". Zaledwie kilka miesięcy później dowiedzieli się, dlaczego nie zachodzi w ciążę...

Zachwiał się, podszedł do stopni werandy i obejrzał za siebie. Może powinienem zawrócić.

Wspomnienia zburzą tę resztkę spokoju, jaką potrafił odnaleźć...

Nie.

Nie znalazł spokoju.

Wszedł po stopniach, słysząc znajome poskrzypywanie desek pod stopami. Po długiej przerwie wypełnionej nasłuchiowaniem łomotu własnego serca zapukał do drzwi.

Przez chwilę nic się nie działo; potem doszedł go tupot ciężkich butów i okrzyk:

- Już idę!

Drzwi otworzyły się z impetem. Ukazała się w nich zasapana Gina w obszernym czarnym dresie i w zielonych drewniakach. Policzki zaróżowione, rozwiane kasztanowe włosy. Spojrzała na niego, z ust wyrwało się jej bezgłośnie „och", po czym się rozplakała.

- Joey...

Przygarnęła go. Przez chwilę oszołomiony i zagubiony nie odpowiadał na uścisk. Tak dawno nikt go nie dotykał, że taka czułość niemal wydała mu się niewłaściwa.

- Joey - powtórzyła, wtulając twarz we wgłębienie nad obojczykiem.

Poczuł na skórze ciepłe łzy i blokada puściła. Otoczył ją ra-

mionami i przytulił. Wraz z aromatem piekącego się w domu chleba i cytrusowym zapachem jej szamponu powróciło dzieciństwo. Przypomniał sobie, jak zbudował dla niej szałas nad stawem, kiedy sam na takie zabawy był już za duży, jak pilnował jej w niedzielne poranki, a później odprowadzał do szkoły. Choć dzielili ich siedem lat, zawsze byli ze sobą bardzo zżyci.

Wysunęła się z jego ramion i pociągając nosem, otarła zaczerwienione oczy.

- Nie wierzyłam, że wrócisz. - Przyglądała włosy i skrzywiła się. - Rany, wyglądam, jakbym wyszła spod ziemi. Sądziłam kwiaty na tyłach ogrodu.

- Ślicznie wyglądasz - powiedział z przekonaniem.

- Udawaj, że nie odziedziczyłam pupy po babci Hester. - Wzięła go za rękę i wciągnęła do pełnego słońca salonu.

- Powinienem wziąć prysznic, zanim...

- Przestań. - Ginę usiadła na pięknej, żółtej kanapie, pociągając go za sobą.

Nagle poczuł się niezręcznie, zupełnie nie na miejscu. Peszył go zapach ciała i lepka od potu skóra.

- Wyglądasz na chorego.

- Nie najlepiej się czuję. Potwornie boli mnie głowa.

Ginę zerwała się z miejsca i wybiegła z salonu. Przez cały czas mówiła do niego z drugiego pokoju. Zapewne bała się, że znowu zniknie.

- ...wody! - zawołała. - 1 aspirynę!

Chciał coś odpowiedzieć, nie bardzo wiedział co, i wtedy jego wzrok padł na fotografię stojącą na gzymsie kominka.

Podniósł się powoli i podszedł bliżej.

Pięć kobiet zbitych w gromadkę; cztery w jednakowych różowych sukienkach. Wszystkie roześmiane, kieliszki w dłoniach - jak zauważył - w większości puste. W środku, nieco z przodu, Ginę, jedyna w bieli. Uśmiechnięta Diana obok niej.

- Cześć, Di! - wyszeptał. - Wróciłem do domu.

- To jedno z moich ulubionych zdjęć - zauważyła Ginę, stając za nim.

- Pod koniec - odezwał się cicho - dużo o was mówiła. O Blueserkach. Opowiedziała mi chyba z setkę historii znad Chelanu.

Gina ścisnęła go za ramię.

- Wszystkim nam jej brakuje.

- Wiem.

- Czy tam... znalazłeś to, czego szukałeś?

Zamyślił się.

- Nie - odparł po chwili - ale teraz, kiedy tu jestem, wolał- bym znowu być daleko. Gdziekolwiek spojrzę, mam ją przed oczyma.

- Powiedz mi, że tam tak nie było.

Westchnął. Gina miała rację. Nieważne, gdzie się znajdował. Diana wypełniała jego myśli i sny. Odwrócił się i spojrzał na siostrę.

- Co teraz?

- Jesteś w domu, i to się liczy.

- Gigi, pogubiłem się. Czuję się tak, jakbym tkwił w bloku lodu. Nie mogę się ruszyć. Nie wiem, jak zacząć wszystko od nowa.

Dotknęła jego policzka.

- Nie widzisz, że już zrobiłeś pierwszy krok? Jesteś tutaj.

Nakrył ręką jej dłoń i patrzył na nią, szukając odpowiednich słów. Ponieważ nic nie przychodziło mu do głowy, wysilił się na uśmiech.

- A gdzie jest moja śliczna siostrzenica? I szwagier?

- Bonnie poszła pobawić się z Ali.

Joe ściągnął brwi i cofnął się o krok.

- A Rex? Przecież w niedzielę ma wolne.

- On odszedł, Joey. Rozwiódł się ze mną.

Nie dodała: kiedy cię tu nie było, a mogła to zrobić. Nie było go przy małej siostrzyczce, gdy go potrzebowała. Przytulił ją.

Rozpłakała się. Gładził ją po głowie, szepcząc, że wrócił i nigdzie się nie wybiera.

Po raz pierwszy od trzech lat mówił szczerze.

\*

Chyba po raz pierwszy od ponad dziesięciu lat biurko Meghann było puste. Wszystkie rozpoczęte sprawy rozdzielono pomiędzy pozostałych adwokatów. Obiecała Julie, że zrobi sobie co najmniej trzy tygodnie wakacji, lecz już zaczynała się wahać. Do licha, czym wypełni te wszystkie godziny, które zwykle spędza na pracy?

Zarówno wczoraj, jak i poprzedniego wieczoru wyszła na kolację i drinki z paroma kolegami z zespołu. Niestety, wyraźnie było widać, że się o nią martwią. Nikt słowem nie wspomniał o incydencie z bronią, a jej żart na temat bliskiego kontaktu ze śmiercią okazał się niewypałem. Te dwa wieczory sprawiły, że poczuła się jeszcze bardziej samotna.

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Harriet, ale odrzuciła ten pomysł. W ostatnich dniach konsekwentnie unikała kontaktów ze swoją psychoterapeutką, posuwając się nawet do odwołania rutynowej sesji. Ostatnia wizyta wzburzyła ją i przygnębiła. Sama doskonale potrafi wpędzić się w depresję. Nie potrzebuje do tego profesjonalnej pomocy za pieniądze.

Wyjęła aktówkę i torebkę z dolnej szuflady biurka i skierowała się do wyjścia. Po raz ostatni objęła spojrzeniem gabinet, który był dla niej domem bardziej niż luksusowe mieszkanie w kondominium, po czym cicho zamknęła drzwi.

Kiedy szła szerokim, wyłożonym marmurem holem, tknęło ją że koledzy zdają się jej unikać. Sukces jest wirusem, który każdy chce złapać. Porażka nie. Zgadywała, co ostatnio szepcze się po korytarzach. „To nie ta sama Dontess... nerwy odmawiają jej posłuszeństwa... tak to jest, kiedy się nie ma prywatnego życia”.

Oczywiście te komentarze wygłaszano wyłącznie pośpiesznie, przyciszonym głosem. Ostatecznie była starszym wspólnikiem; jej nazwisko widniało jako drugie w kolejności na tabliczce na drzwiach, a w tej branży przede wszystkim liczy się hierarchia. Niemniej po raz pierwszy podawano w wątpliwość jej umiejętności, spekulowano, czy Wiedźma z Belltown utraciła swą moc. Takie samo nastawienie Meghann wyczuwała u współpracowników.



Przystanąła przed narożnym gabinetem Julie i cicho zapukała do zamkniętych drzwi.

- Proszę.

Meghann pchnęła drzwi i weszła do jasnej, słonecznej kancelarii.

- Cześć, Mes!

Julie podniosła głowę znad dokumentów.

- Cześć, Meg! Masz ochotę wyskoczyć na drinka? Może uczymy twoje pierwsze wakacje od dziesięciu lat?

- A co powiesz na uczczenie mojej decyzji o pozostaniu?

- Przykro mi, Charlie. W ciągu ostatnich dziesięciu lat co roku robię sobie miesiąc przerwy. Ty się wyłączasz tylko po nowokainie. - Wstała. - Meg, jesteś przemęczona, ale przez swój upór nie chcesz tego przyznać. To, co się wydarzyło w zeszłym tygodniu, każdego mogłoby przyprawić o szok. Nie tłum emocji. Potrzeba ci odpoczynku. Proponuję co najmniej miesiąc.

- Czy widziałaś kiedykolwiek, jak odpoczywam?

- Nie, i to jest właśnie argument na moją korzyść, a nie twoją, pani mecenas. Dokąd się wybierzesz?

- Może do Bangladeszu. Podobno hotele kosztują tam tyle co nic.

- Bardzo śmieszne. A może chcesz skorzystać z mojego kondominium na Hawajach? Tydzień nad basenem, pełna zgodność z zaleceniami lekarzy.

- Nie, dzięki. Nie pijam niczego z parasolkami. Chyba poglądam sobie reportaże z sądu w Court TV albo CNN. Posłucham własnego głosu, dzwoniąc do Larry'ego Kinga.

- Nie ulegnę, nie dam się wziąć na litość. No, idź już. Początek wakacji liczy się od wyjścia z pracy.

- Sprawa O'Connor...

- Odroczona.

- Jill Summerville...

- Próba ugody w piątek. Osobiście się tym zajmę, a w środę spiszę zeznania Lange. Meg, wszystko jest pod kontrolą. Idź już.

- Dokąd? - zapytała cicho, zła na siebie za żalną nutkę w głosie.

Julie podeszła i położyła jej rękę na ramieniu.

- Meg, masz czterdzieści dwa lata. Jeśli nie masz kogo odwiedzić ani dokąd pojechać, to najwyższa pora, żebyś dokonała pewnych przewartościowań. To tylko praca. Cholernie dobra, bez dwóch zdań, ale jedynie praca. Uczyniłaś z niej sposób na życie, wolno ci, przyznaję, niemniej czas, żebyś pomyślała o zmianach. Znajdź sobie coś.

Meghann przyciągnęła Julie i mocno objęła. Po czym zmieszana tą nietypową manifestacją uczuć, odsunęła się niezdarnie, odwróciła i wyszła z kancelarii.

Na zewnątrz zapadał ciepły zmierzch po niespodziewanie gorącym dniu. Tłum przechodniów gęstniał, w miarę jak zbliżała się do Public Market. Turyści ustawiali się przed stoiskami z kwiatami i wystawami piekarni. Przeszła na skróty przez Post Alley, kierując się do domu. Rzadko wybierała tę drogę, ale wolała ominąć Athenian. Nie dziś, kiedy czuła się bezbronna. W taki wieczór łatwo wypaść z roli, a ona była tym zmęczona. Ładowanie zanadto boli.

W holu pomachała do portiera i wjechała na górę do siebie.

Wychodząc, zapomniała zostawić włączone radio. W mieszkaniu panowała martwa cisza.

Rzuciła klucze na stolik przy wejściu. Zadzwończyły o kryształ, wpadając do wazy Lalique ciętej w roślinne motywy.

Mieszkanie wyglądało pięknie, wszędzie panował idealny porządek, każdy najmniejszy drobiazg był na swoim miejscu. Dziś pracowała sprzątaczką i usunęła wszelkie ślady naturalnych skłonności Meg do bałaganu. Wnętrze bez piętujących się wszędzie książek, teczek i papierów przypominało pokój w luksusowym hotelu. Miejsce, gdzie ludzie nie mieszkają, a jedynie się zatrzymują. Dwie ustawione frontem do siebie sofy pokryte niebiesko-czarnym brokatem, przedzielone elegancką, czarną ławą. Zachodnia ściana przeszklona od sufitu do podłogi. Widok na połąć niebieskiego nieba i zatokę.

W pokoju telewizyjnym Meg otworzyła zabytkową czarno-złotą lakierowaną szafkę i wyjęła pilota. Kiedy dźwięki wypełniły pomieszczenie, zagłębiła się w ulubionym zamszowym fotelu, opierając stopy na tapicerowanym podnóżku.

W pięć sekund rozpoznała muzykę.

- A niech to!

Powtarzano stary serial z jej matką - „Gwiezdna Baza IV”.

Pamiętała ten odcinek. Nosił tytuł „Wszystko na opak”. Załoga biologów statku laboratorium zmienia się w owady. Ludzie-komary przejmują nad nimi kontrolę.

Mama wbiega w kadr w idiotycznym obciskającym kostiumie w kolorze limonki i w czarnych butach do ud. Pełna wigoru, żywiołowa. Piękna. Nawet Meg nie może od niej oderwać oczu. „Kapitanie Wad” - mówi, ściągając przesadnie wydepilowane brwi tak, żeby uzewnętrznić emocje, a jednocześnie nie zmarszczyć czoła. - „Dostaliśmy pilną wiadomość od naszych z kapsuły dehidracyjnej. Opowiadają o jakichś komarach”.

„Dehidracyjnej!”

Jakby mikrobiolodzy na Marsie koniecznie musieli pochodzić z Alabamy. Meg nienawidziła tego sztucznego akcentu. Od czasu tamtego filmu mama już zawsze tak mówiła. Według niej życzyli sobie tego fani. Niestety, to całkiem prawdopodobne.

- Nie myśl o tym - powiedziała Meg na głos.

Oczywiście to niemożliwe. Potrafiła odgrodzić się od przeszłości tylko wtedy, gdy była silna. W chwilach słabości powracały wspomnienia. Przymknęła powieki, pozwalając obrazom przesuwac się przed oczami. Dawno temu... Mieszkały wtedy w Bakersfield...

- *Cześć, dziewczuszki! Mama wróciła.*

*Meghann przysunęła się bliżej do Claire i mocno przytuliła małą siostrzyczkę. Mama w obcisłej czerwonej sukience obszytej cekinami i w plastikowych przezroczystych pantoflach chwiejnym krokiem weszła do ciasnego saloniku w przyczepie.*

- *Przyjechał ze mną pan Manson. Poznałam go w Dzikim Bobrze. Dziewczynki, macie być dla niego miłe - oznajmiła,*

*przeciągając słowa, co oznaczało, że piła i że nazajutrz obudzi się w podłym nastroju.*

*Meghann wiedziała, że musi szybko działać. Kiedy w przyczepie pojawiał się mężczyzna, mama nie była w stanie myśleć o niczym innym, a tymczasem od dawna zalegali z czynszem. Sięgnęła po pognieciony egzemplarz „Variety”, który wyniosła z miejscowej biblioteki.*

*- Mamo?*

*Matka zapaliła mentolowego papierosa i zaciągnęła się łapczywie.*

*- O co chodzi?*

*Meghann podsunęła jej czasopismo. Wcześniej na czerwono zakreśliła ogłoszenie. „Poszukujemy dojrzałej aktorki do epizodu w fantastycznonaukowym serialu telewizyjnym. Ilość zgłoszeń nieograniczona”. I adres w Los Angeles.*

*Mama przeczytała ogłoszenie na głos. Jej uśmiech zgasł na słowach „dojrzałej aktorki”. Po dłuższym, pełnym napięcia milczeniu roześmiała się i lekko pchnęła pana Mansona w kierunku sypialni. Kiedy tam wszedł i zamknął za sobą drzwi, mama uklękła, wyciągając ramiona.*

*- Uściskajcie mamusię!*

*Rzuciły się obie w objęcia. Całymi dniami, a nawet tygodniami czekały na taką chwilę. Mama bywała wyniosła i nieobecna, lecz kiedy wpadała w serdeczny nastrój, jej miłość zdawała się rozgrzewać do kości.*

*- Moja Meggy, dziękuję! Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Na pewno zgłoszę się do tej roli. A teraz idźcie się pobawić i zachowujcie się grzecznie. Będę zajęta.*

*Mama pojechała na przesłuchanie. Ku jej własnemu i wszystkich zdumieniu zamiast epizodu, o który się ubiegała, zaproponowano jej główną rolę Tary Zyn, mikrobiologa ze stacji kosmicznej.*

*To był początek końca.*

*Meghann westchnęła. Nie chciała wracać myślami do tamtego tygodnia, gdy matka wyjechała do Los Angeles i zostawiła*

je same w obskurnej przyczepie... ani do zmian, jakie wkrótce potem nastąpiły. Od tamtej pory nigdy już nie były z Claire blisko.

Tuż obok niej rozległ się dzwonek telefonu. Wydał się przerażliwie głośny w kompletnej ciszy. Meghann chwyciła za słuchawkę, szczęśliwa, że może z kimś porozmawiać.

- Halo?

- Cześć, Meggy, to ja. Twoja mama. Co słysząc, kochańje?

Meghann wzniosła oczy ku górze, słysząc jej akcent. Powinna była zaczekać, aż włączy się automatyczna sekretarka.

- Wszystko dobrze. A co u ciebie?

- Ach, lepiej być nie może! W weekend miałam spotkanie z fanami. Zostało mi trochę fotosów. Pomyślałam, że może chciałabyś kilka z autografem do kolekcji.

- Nie, dzięki, mam.

- Prześlę ci przez umyślnego. O Boziu, tyle się napisałam, że jeszcze boli mnie ręka!

Meghann uczestniczyła kiedyś w weekendowym spotkaniu z fanami „Gwiazdnej Bazy IV”. Jeden raz wystarczy. Setki rozgorączkowanych świrów w tandetnych kostiumach z poliestru, pchających się w kolejce do fotografii z tymi, którzy zaistnieli na chwilę i znikli. Mama, jako jedyna z obsady, dostawała role po zakończeniu serialu. Niewiele tego było. Kilka kiepskich filmów telewizyjnych w latach osiemdziesiątych i kultowy klasyczny horror pod koniec dziewięćdziesiątych. To dzięki powtórkom „Gwiazdnej Bazy” stała się bogata i sławna. Całe kolejne pokolenie matołów oszalało na punkcie serialu.

- No cóż, twoi fani cię uwielbiają.

- Dzięki Bogu za małe cuda! Meggy, miło mi się z tobą gawędzi. Powinniśmy częściej się kontaktować. Mogłybyście mnie odwiedzić.

Zawsze to powtarzała. Ta kwestia należała do scenariusza. Pozwalała udawać, że są rodziną, choć nią nie były.

Oczywiście nie mówiła poważnie.

A może...

Meghann wzięła głęboki oddech. Nie rób tego. Nie jesteś aż tak zdesperowana.

Przecież nie może tkwić sama w domu przez trzy tygodnie.

- Biorę urlop - powiedziała. - Chcesz, żebym przyjechała?

- Och! To byłoby... cudownie. - Mama głośno wydmuchnęła powietrze. Meghann była gotowa przysiąc, że poczuła papierosowy dym w słuchawce. - Może na Gwiazdkę?

- Jutro.

- Jutro? - Roześmiała się. - Skarbie, jestem umówiona na trzecią z fotografem z „People”, a w moim wieku człowiek po wstaniu z łóżka wygląda jak jeden z tych bezwłosych piesków. Dziesięć kobiet pracuje nade mną przez cały dzień, żebym pięknie wyglądała.

Jej akcent stał się wyraźniejszy. Zawsze tak było, kiedy się emocjonowała. Meghann miała ochotę zakończyć tę rozmowę, powiedzieć, że temat zamknięty, lecz kiedy rozejrzała się po pustym mieszkaniu, była bliska załamania.

- W takim razie co powiesz na poniedziałek? Na kilka dni. Mogłybyśmy się wybrać do jakiegoś spa.

- Czy ty kiedykolwiek oglądasz kanał E!? W poniedziałek wyjeżdżam do Cleveland. Robimy Szekspira w plenerze z Pamelą Anderson i Charliem Sheenem. Wystawiamy „Hamleta”.

- Ty?! Ty w „Hamlecie”?

Kolejna dramatyczna pauza.

- Postaram się zapomnieć ten ton w twoim głosie.

- Mamo, przestań się silić na akcent z Alabamy. Rozmawiasz ze mną. A ja wiem, że urodziłaś się w Detroit. W metryce figurujesz jako Joan Jojovitch.

- W tej chwili jesteś zwyczajnie niegrzeczna. Zawsze byłaś irytującym dzieckiem.

Meghann zabrakło słów. Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, była wizyta u matki, jednak to konsekwentne uchylanie się od zaproszenia obudziło w niej bunt.

- No cóż, pozostaje mi życzyć ci powodzenia.

- To dla mnie duża sprawa.

„Dla mnie”. Ulubione słowa mamy.

- Lepiej położyć się wcześniej spać przed tymi zdjęciami.  
- Święte słowa. - Znowu wydmuchnęła dym. - Może przyjechałybyście pod koniec roku. Kiedy nie będę taka zajęta. Obie z Claire.

- Jasne. No to cześć, mamo.

Meghann odłożyła słuchawkę i przez chwilę siedziała w głuchej ciszy. Zadzwoiła do Elizabeth i nagrała krótką wiadomość na sekretarkę.

Co dalej? Nie miała pojęcia.

Przez następną godzinę przemierzała pokoje, usiłując wymyślić jakiś sensowny plan.

Zadzwoił telefon. Rzuciła się do niego z nadzieją, że to Elizabeth.

- Halo?

- Cześć, Meg!

- Claire? Jak miło, że dzwonisz! - Tym razem mówiła szczerze. Usiadła. - Rozmawiałam dzisiaj z mamą. Nie uwierzysz. Będzie grać w...

- Wychodzę za męża.

- ...,„Hamlecie”... za męża?!

- Meg, w życiu nie byłam taka szczęśliwa. Wiem, to szaleństwo, ale chyba taka właśnie jest miłość.

- Kto jest tym wybranym?

- Bobby Jack Austin.

- Nigdy o nim nie słyszałam. Przynajmniej odkąd CBS nadaje „Hee Haw”.

- Poznałam go dziesięć dni temu nad Chelanem. Domyślam się, co powiesz, lecz...

- Dziesięć dni temu! Claire, z kimś, kogo się dopiero poznało, można pójść do łóżka. Czasem wypuścić się na szalony weekend. Ale nie wychodzi się za niego za męża.

- Jestem zakochana. Proszę, nie psuj mi tego.

Meg tak bardzo pragnęła przemówić siostrze do rozsądku, że aż zacisnęła dłonie w pięści.

- Z czego się utrzymuje?

- Jest piosenkarzem i sam pisze teksty. Meg, powinnaś posłuchać, jak śpiewa! Ma głos anioła. Po raz pierwszy go zobaczyłam, kiedy śpiewał w Western Roundup Cowboy's Bob. Na sekundę zamarło mi serce. Zdarzyło ci się kiedyś coś podobnego?

Meg nie zdążyła otworzyć ust, bo Claire nie dała jej szansy.

- W zimie pracuje w Aspen jako instruktor narciarstwa, a w lecie jeździ i gra własne utwory. Dwa lata starszy ode mnie i niesamowicie przystojny. Wygląda lepiej niż Brad Pitt, poważnie! Kiedyś zostanie gwiazdą.

Meghann chłonęła te wszystkie informacje. A więc jej siostra zamierza wyjść za trzydziestosiedmioletniego obiboka, który lubi pojeździć na nartach i marzy o karierze piosenkarza country, a najlepszym miejscem, w jakim dotąd wystąpił, jest bar w Pitkowie Dolnym.

- Meg, tylko nie zaczynaj po swojemu - ostrzegła Claire, kontrolując głos, kiedy cisza w słuchawce zaczęła się przedłużać.

- Czy on wie, ile jest warte letnisko? Podpisze intercyzę?

- A niech cię, Meg! Nie potrafisz cieszyć się moim szczęściem?

- Bardzo tego chcę - odparła zgodnie z prawdą. - Tylko uważam, że zasługujesz na to, co najlepsze.

- Bobby jest najlepszy. Nie zapytałaś o ślub.

- Kiedy?

- W sobotę, dwudziestego trzeciego.

- W tym miesiącu?!

- Pomyśleliśmy, że nie warto zwlekać. Nie robię się młodsza. No i zarezerwowaliśmy termin w kościele.

- W kościele. - To zupełne szaleństwo. Za szybkie tempo. - Muszę go poznać.

- Naturalnie. Próba przyjęcia weselnego...

- Nie ma mowy. Chcę go poznać teraz. Przyjeżdżam jutro wieczorem. Zapraszam was na kolację.

- Doprawdy, Meg, nie musisz.



Udała, że nie słyszy niechęci w głosie Claire.

- Ale chcę. Muszę poznać mężczyznę, który skradł serce mojej siostrzyczce, no nie?

- W porządku. Do zobaczenia jutro - powiedziała Claire i po przerwie dodała: - Cieszę się, że się zobaczymy.

- Uhm. Pa! - Meghann rozłączyła się i natychmiast wybrała numer do swej kancelarii, gdzie nagrała wiadomość dla sekretarki: - Przygotuj mi wszystko, co dotyczy umów przedmażeńskich. Formularze, precedensy, a nawet umowę Ortegi. Chcę, żeby mi to dostarczono do domu przed dziesiątą rano. - I zrelektowawszy się, dodała: - Dzięki!

Następnie podeszła do komputera, żeby sprawdzić, czy nie ma tam przypadkiem czegoś na temat pana Bobby'ego Jacka Austina.

Już wie, na czym upłyną te idiotyczne wakacje. Uchroni Claire przed popełnieniem największego błędu w życiu.

## 10

Claire odłożyła słuchawkę biurowego telefonu. W ciszy, która zapadła, zaczęły ją ogarniać wątpliwości.

Wzięli z Bobbym okropnie szybkie tempo...

- A niech cię diabli, Meg!

Nawet rzucając przekleństwo pod adresem siostry, Claire wiedziała, że jej obawy, niczym małe nasionka, tylko czekają uspio-  
ne, żeby zakiełkować i wzrosnąć. Była zbyt dojrzała, żeby bez reszty pozwolić porwać się namiętności.

Przede wszystkim musiała myśleć o córce. Alison nie znała swego biologicznego ojca. Jak dotąd udawało się jej otoczyć świat Ali puchową warstwą ochronną, aby nie zraniła jej żadna z ostrych krawędzi życia. Małżeństwo może wszystko zmienić.

Ostatnią rzeczą, jakiej Claire pragnęła, był związek z mężczyzną, który nie potrafi usiedzieć na miejscu.

Słyszała o takich, co to czarują uśmiechem, obiecują cuda,

a któregoś wieczoru znikają bez śladu, kiedy myjesz zęby w łazience.

Zanim skończyła dziewięć lat, przez dom przewinęło się czterech ojcymów. Nie liczy mężczyzn, których kazano jej nazywać „wujkami”; oni istnieli w życiu mamy tyle czasu co kieliszek tequila. Pojawiali się i znikali, zostawiając po sobie jedynie rozgoryczenie.

Każdy z nowych ojcymów budził w niej nadzieję. To ten, mówiła sobie w duchu za każdym razem. On nauczy mnie jeździć na wrotkach i na rowerze. Oczywiście to Meg nauczyła ją obu tych umiejętności; Meg, która nigdy żadnego z przyjaciół mamy nie nazwała „tata” ani nie wiązała z nimi nadziei.

Nic dziwnego, że Meghann jest podejrzliwa. Powody jej nastawienia tkwią w ich przeszłości.

Claire przecięła główny korytarz pawilonu administracyjnego. W drodze do okna podniosła ulotkę, którą musiał rzucić na podłogę ktoś z gości, i cisnęła ją do zimnego kominka.

Na dworze zmierzchało. Letnisko pławiło się w różanozłotej poświacie, w której zarysy liści były wyraźniejsze, a zieleń jeszcze bardziej soczysta. Promienie słońca kładły się na niebieskiej wodzie w basenie, pustym o tej porze, bo goście krzatali się koło kocherów i grilli.

Kiedy tak stała, czując się słaba i zagubiona, dostrzegła cień na trawniku.

Po chwili w jej polu widzenia pojawili się tata i Bobby. Tata miał na sobie swój letni uniform, złożony z niebieskiego kombinezonu i czarnego podkoszulka. Wyświechtana baseballówka z logo „Brzegu Rzeki” ocieniała oczy. Wymykały się spod niej poskręcane kosmyki bujnej, ciemnej czupryny.

I Bobby.

Bobby w wyblakłych dzinsach i w niebieskim podkoszulku z napisem: „Prawdziwi kowboje piją coorsa”. W półmroku jego długie włosy miały odcień osiemnastokaratowego złota - głęboki i ciepły. W jednej ręce niósł kosiarkę, w drugiej kanister z benzyną. Kiedy się u nich pojawił, z miejsca zabrał się do ro-

boty. Dobrze sobie radził, ale czuła, że nie będzie szczęśliwy, siedząc bez końca w kurorcie. Już przebąkiwał o wyruszeniu w drogę na kilka tygodni tego lata. Mieli jechać we trójkę. „Trio Austinów na objeździe” - tak to ujął. Claire spodobał się pomysł, żeby się z nim zabrać i posłuchać, jak śpiewa jej świeżo poślubiony mąż. Nie przedyskutowała tego jeszcze z tatą, ale z góry wiedziała, że będzie jak najbardziej za tym. W odpowiednim czasie zastanowią się wspólnie, co będzie z letniskiem w następnym sezonie.

Tata z Bobbym przystanęli przed domkiem numer pięć. Tata wskazał ręką na okap, a Bobby pokiwał głową. Po chwili obaj wybuchnęli śmiechem. Tata położył Bobby'emu dłoń na ramieniu. Potem ruszyli w stronę pralni.

- Cześć, mamus! Na co patrzysz?

Odwróciła się. Ali stała u stóp schodów z lalką Elmo w objęciach.

- Chodź tu do mnie na chwilę.

Claire usiadła w fotelu w biało-niebieskie pasy, ustawionym przy kominku, i oparła stopy na taborecie.

Alison wdrapała się jej na kolana i umościła wygodnie. Zawsze tak siadywały - serce przy sercu.

- Przyglądałam się, jak dziadek rozmawia z Bobbym.

- Bobby nauczy mnie łowić ryby. Mówi, że jestem wystarczająco duża, żeby pojechać do hodowli pstrągów na Skykomish. - Alison pochyliła się jeszcze bliżej. - Duże ryby łowi się za pomocą takiej jednej sztuczki - wyszeptwała. - Ma mi ją pokazać. I powiedział, że do sierpnia możemy pływać po rzece na dętkach. Ja też. Zakładałaś kiedyś robaka na haczyk? Gdzie tam! A ja założę. Zobaczysz. Bobby obiecał, że mi pomoże, jeśli będzie za bardzo się wiercił albo skręcał.

- Cieszę się, że go polubiłaś - powiedziała miękko Claire, usiłując się nie uśmiechnąć.

- Fajny jest. - Alison odwróciła się twarzą do Claire. - Mamus, co z tobą? Wyglądasz, jakbyś się miała rozpłakać. Robaki niczego nie czują. Szczerze.

Claire pogładziła córkę po miękkim policzku.

- Jesteś moim całym światem, Ali-Kotku. Wiesz o tym, prawda? Nikt nigdy nie zajmie twojego miejsca w moim sercu.

Alison i Elmo pocałowały Claire.

- Wiem. - Alison zachichotała i zsunęła się z kolan Claire. - Muszę iść. Dziadek zabiera mnie do warsztatu Smitty'ego. Będziemy naprawiać ciężarówkę.

Claire odprowadziła wzrokiem córkę do drzwi i usłyszała, jak krzyczy na cały głos:

- Dziadku! Bobby! Tu jestem!

Znowu poczuła cały ciężar odpowiedzialności. Skąd kobieta ma wiedzieć, że postępuje egoistycznie, i czy to koniecznie musi być złe? Mężczyźni przez całe życie są egoistami, a jednak tworzą wielomiliardowe korporacje i budują statki kosmiczne, które latają na Księżyc.

A jeśli to małżeństwo okaże się niewypałem?

No właśnie. Tu się kryła przyczyna jej lęków.

Musi o tym z kimś porozmawiać. Naturalnie nie z siostrą. Z przyjaciółką. Wykręciła numer Giny.

Odebrała po pierwszym sygnale.

- Halo?

Claire zagłębiła się w obszernym fotelu i ułożyła stopy na taborecie.

- To ja. Królowa Błyskawicznych Małżeństw.

- Aaa, Claire. To ty.

- Meghann uważa, że jestem idiotką.

- Odkąd to się przejmujesz tym, co ona myśli? Rany boskie, przecież ona jest adwokatem. Czymś poniżej brakującego ogniewa w łańcuchu ewolucji.

Claire ulżyło. Uśmiechnęła się.

- Liczyłam na twoje spojrzenie z odpowiedniej perspektywy.

- Po to ma się przyjaciół. Mam ci to wyśpiewać?

- Błagam, nie. Słyszałam, jak śpiewasz. Powiedz mi tylko, że nie jestem egoistyczną suką, która zrujnuje życie córce, wychodząc za mąż za obcego faceta.

- Och, w takim razie rozmawiamy o twojej matce.  
- Nie chcę być taka jak ona - szepnęła Claire.  
- Znam cię od czasu, kiedy cała nasza piątka przyszła w dzień rozpoczęcia roku szkolnego w takich samych niebieskich bluzkach. Pamiętam, jak kupiłaś krem, od którego miały urosnąć ci piersi, i ciągle wierzyłaś w istnienie morskich małp. Złotko, ty nigdy nie byłaś egoistką. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widziała cię taką szczęśliwą. Nie obchodzi mnie, że znasz go niecałe dwa tygodnie. Wreszcie Bóg zesłał ci dar miłości i namiętności. Nie rezygnuj z prezentu bez otwierania.

- Jestem przerażona. Powinnam była zrobić coś takiego, gdy byłam młoda i pełna optymizmu.

- Jesteś młoda i pełna optymizmu i oczywiście przerażona. Może nie pamiętasz, ale ja musiałam wypić dwa kieliszki tequila przed ślubem z Reksem, a byliśmy ze sobą cztery lata. - Zreflektowała się. - Zdaje się, że nie powinnam podawać nas jako przykład. Niemniej istota sprawy pozostaje ta sama. Inteligentne osobniki obawiają się małżeństwa. Wyrosłaś już z wieku, kiedy wychodzi się za mąż tylko po to, żeby zostać mężatką, ale nie osiągnęłaś też fazy postklimakterycznej desperacji. Poznałaś faceta i zakochałaś się. No i co z tego, że wszystko dzieje się szybko. Wielka mi rzecz! Jeśli nie jesteś gotowa go poślubić, jak najbardziej powinnaś się powstrzymać. Ale nie zwlekaj tylko dlatego, że wielka siostra kwestionuje twoją decyzję. Idź za głosem serca.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła?

- To samo co ja bez ciebie - piłabym za dużo i wypłakiwała się przed obcymi.

Claire usłyszała nutę rozpaczony w głosie Giny. Jeszcze bardziej pokochała przyjaciółkę za to, że wysłuchuje jej problemów, kiedy jej świat wali się w gruzy.

- Jak sobie radzisz?

- Dziś czy w tym tygodniu? Mam większą huśtawkę nastrojów niż małolata, a mój tyłek zaczyna przypominać buicką.

- Gigi, nie kpilij. Pytam poważnie.

- Gównianie - westchnęła. - Wczoraj przyszedł Rex. Skurczybyk zrzucił z pięć kilo i ufarbował włosy. Wkrótce każe mi znowu mówić na siebie Rexster. - Zamilkła na moment. - Chce ożenić się z tamtą kobietą.

- O cholera!

- Właśnie. Mam świeżo w pamięci dzień, kiedy mi się oświadczył, a on ogląda pierścionki zaręczynowe. To boli jak diabli. Ale nie słyszałaś jeszcze najświeższej wiadomości. Joey wrócił!

- Żartujesz! Gdzie on się podziewał?

W słuchawce zaległa cisza, potem rozległ się odgłos kroków i wreszcie znizony do szeptu głos Giny.

- Nie wiem. Mówi, że tu i tam. Marnie wygląda. Starzej. Wczoraj się zjawił. Przespał trzynaście godzin. Szczerze ci powiem, mam nadzieję, że nigdy nikogo nie pokocham tak mocno jak on Dianę.

- Co planuje?

- Nie mam pojęcia. Powiedział, że chciałby tu zostać, ale nie zostanie. Przypomina zwierzę, które za długo żyło dziko. Dom wywołuje zbyt dużo wspomnień. Prawie przez godzinę wpatrywał się w moje ślubne zdjęcie. Mówię ci, chciało mi się płakać.

- Pozdrów go ode mnie.

- Jasne.

Pogadały jeszcze przez chwilę o błahych, codziennych sprawach. Już w trakcie rozmowy Claire zrobiło się lżej na sercu. Grunt pod stopami znowu wydawał się pewny. Wspomnienie Joeya i Diany również pomogło. Mimo tego, co się wydarzyło, nadal byli przykładem na istnienie prawdziwej miłości.

Spojrzała na lewą dłoń, na pierścionek zaręczynowy. Owinięty wokół serdecznego palca paseczek starannie złożonej folii aluminiowej.

Wolała nie myśleć, co powie jej siostra, koncentrując się na tym, co czuła, kiedy Bobby wsunął go jej na palec.

„Wyjdź za mnie” - poprosił, przyklękając na jedno kolano. Wiedziała, że powinna uśmiechnąć się łagodnie i powiedzieć: „Och, Bobby, nie. Ledwo się poznaliśmy”.

Jednak te słowa nie przeszły jej przez usta. Patrzyła w ciemne oczy przepełnione taką miłością, o jakiej można jedynie marzyć, i przepadła. Racjonalna część jej natury, ta odpowiedzialna za życie w pojedynkę od ponad trzydziestu lat i samotne wychowywanie dziecka, ostrzegała ją przed popełnieniem głupstwa.

Ale pozostawało serce. Tego wrażliwego organu nie sposób ignorować. Była zakochana. Tak bardzo, iż miała wrażenie, że tonie.

Gina ma rację. Została obdarowana miłością, której dawno przestała szukać i w której istnienie zwątpiła. Nie odrzuci jej teraz z powodu strachu. Macierzyństwo nauczyło ją jednej rzeczy - miłość wymaga odwagi. A lęk pojawia się jako nieunikniony element całości.

Z oparcia kanapy ściągnęła sweter, narzuciła go na ramiona i wyszła na dwór. Zapadł już zmrok, szczyty granitowych gór, spowitych w ciemnościach, miały łososiowy odcień. Turystom piekącym kiełbaski nad ogniskiem ten kawałek zieleni otoczony pionowymi zboczami wydawał się oazą spokoju. Miejscowi patrzyli na to miejsce inaczej. Tuż obok istniał świat niewidzialny dla przypadkowego obserwatora, pełen odgłosów, których nie potrafił wyłowić ktoś, kto spędzał życie na rozmowach telefonicznych i wpatrywaniu się w monitor komputera.

Wierzchołki pobliskich gór o takich nazwach, jak Potęga, Strach i Rozpacz, pokrywały lodowce, które nigdy nie milkły ani nie zasypiały. Pomrukując i potrzaskując, obsuwały się po zboczach, krusząc każdą skałę napotkaną po drodze. Nawet pałace sierpniowe słońce nie było w stanie ich roztopić, a na terenach wzdłuż brzegów potężnej Skykomish, tam gdzie ludzie nie zagłądali, tysiące drapieżników polowało na swoje ofiary.

A jednak noc zapadała cicha i spokojna; powietrze pachniało sosnowymi igłami i suchą trawą. O tej porze roku trawniki w mieście żółkną i schną. Tu, na północnym zachodzie, to jedyny w roku krótki okres suszy.

Od ognisk, przy których letnicy jedli kolację, dolatywał do Claire szmer rozmów, czasem wybił się ponad niego piskliwy

dziecięcy śmiech lub szczekanie psa. W tle pluskała rzeka - monotonny odgłos znany tak dobrze jak bicie własnego serca. Szmer wody stał się melodią jej młodości, zastępując kakofonię dźwięków dzikiej muzyki, której słuchała mama.

Nie nałożyła butów, podeszwy stóp miała stwardniałe, bo każdego lata biegała boso nad rzeką. Szła teraz obok pustego basenu. W małym domku, o ścianach z kamiennych łupków, buczała pompa filtrująca wodę. Dwie dętki - jedna jaskraworóżowa, a druga wściekle zielona, unosiły się na ciemnej powierzchni basenu.

Claire bez pośpiechu robiła wieczorny obchód, przystając tu i ówdzie na pogawędkę z gośćmi, a w kwaterze trzynastej u Wendy i Jeffa Goldsteinów zatrzymała się na lampkę wina.

Zanim doszła do krótkiego szeregu domków na wschodniej krawędzi letniska, zapadł zmrok. We wszystkich oknach paliły się ciepłe żółtawe światła.

W pierwszej chwili sądziła, że słyszy cykanie świerszczy szukających się do nocnego koncertu. Potem rozpoznała słodki dźwięk strun gitary.

Domek numer cztery miał małą przytulną werandę z widokiem na rzekę. Nie ujęli go w tegorocznej ofercie, bo deszcze uszkodziły dach. Dzięki temu Bobby mógł tu mieszkać do ich ślubu. „Przeznaczenie” - powiedział tata, wręczając Claire klucz.

Teraz „przeznaczenie” siedziało na werandzie; noga założona na nogę, gitara w poprzek kolan, reszta ukryta w ciemnościach. Zapatrzony na rzekę, z wahaniem, niepewnie trącał struny gitary.

Claire przystanęła za potężnym świerkiem. Przyglądała się Bobby'emu z ukrycia. Ta melodia przyprawiała ją o ciarki.

A potem usłyszała cichy, bardzo cichy śpiew. „Wędrowałem całe życie... po drogach wiodących donikąd. Aż za zakrętem... spotkałem ciebie, kochana”.

Silne wzruszenie ścisnęło ją za gardło i była bliska łez. Wyłoniła się z cienia.

Bobby podniósł głowę. Na jej widok uśmiech rozjaśnił jego gładką, opaloną twarz.



Szła do niego, cicho tupiąc po wyschniętej, ubitej trawie.

Bobby śpiewał dalej, nie odrywając oczu od jej twarzy. „Po raz pierwszy w życiu... uwierzyłem w istnienie Boga... w Boga, o którym mówił mi ojciec... bo, skarbie, w twoich oczach widzę niebo”. Zagrał kilka akordów, uciszył struny dłońią i uśmiechnął się promiennie.

- Tyle dotąd wymyśliłem. To będzie dobra piosenka. - Odłożył gitarę i ruszył jej naprzeciw.

Z każdym jego krokiem słycał się jej oddech, a kiedy stanął przed nią, miała wrażenie, że nie może złapać tchu. Siła uczucia, jakim go darzyła, niemal wprawiała ją w zakłopotanie.

Ujął jej lewą dłoń i spojrzał na obrączkę z folii, która udawała pierścionek z brylantem. Kiedy przeniósł wzrok na nią, już się nie uśmiechał.

- Żałosne - szepnął, a ją zabolowało serce na widok zażenowania, które wyczytała w jego ciemnych oczach. - Mało kobiet przyjęłoby taki pierścionek.

- Kocham cię, Bobby. I tylko to się liczy. Wiem, że to szalone i nieprawdopodobne, ale się zakochałam. - Te słowa coś w niej odblokowały. Znowu mogła swobodnie oddychać.

- Nie jestem nikim szczególnym, Claire. Wiesz o tym. Popełniłem w życiu sporo błędów. Dokładnie mówiąc, trzy.

Miała wrażenie, że bryza od rzeki niesie głos Meg. Ale te słowa nic nie znaczyły, kiedy widziała, jak Bobby na nią patrzy. Nikt nigdy nie patrzył na nią w taki sposób, jakby była największym cudem na ziemi.

- Jestem samotną matką, która nigdy nie była zamężna. Wiem coś niecoś o błędach, Bobby.

- Nigdy przedtem tak się nie czułem - wyznał cicho, zdławionym głosem. - Przysięgam na Boga.

- To znaczy jak?

- Jak gdyby moje serce już do mnie nie należało, jakby bez ciebie nie mogło bić. Jesteś we mnie, Claire, podtrzymujesz mnie. Sprawiasz, że pragnę stać się kimś lepszym.

- Chcę, abyśmy się razem zestarzelili - wyszeptwała. To było jej

najskrytsze marzenie, najbardziej hołubiona nadzieja. Dotąd, myśląc o starości, widziała siebie jako jedną z tych samotnych, siwowłosych kobiet, które przesiadują na ganku i czekają na czyjś telefon czy przyjazd. Teraz mogła wyobrazić sobie lepszą przyszłość, wypełnioną miłością, śmiechem i rodziną.

- Chcę, żeby na tylnym siedzeniu furgonetki nasze dzieciaki kłóciły się o to, kto się na kogo wpycha.

Roześmiała się. Jak dobrze snuć marzenia z drugą osobą.

Wziął ją w ramiona i zatańczył z nią do muzyki rzeki i świerszczy.

- Moja siostra, Meghann, przyjeżdża jutro spotkać się z nami - powiedziała mu wreszcie.

Wypuścił ją z objęć. Wziął za rękę i zaprowadził na werandę. Usiedli na skrzypiącej dębowej huśtawce i lekko się kołysali.

- O ile pamiętam, mówiłaś, że ona nie zechce przyjechać na ślub.

- Pobożne życzenie. Tak jak przewidywałam, była zbulwersowana naszą decyzją.

- To ją Giną nazywa Cruellą De Vii?

- Szczęki to bardziej adekwatna ksywa.

- Czy jej zdanie się liczy?

- Nie powinno.

- Ale się liczy.

Claire poczuła się jak idiotka.

- Tak.

- W takim razie muszę zdobyć jej względy. Może napiszę dla niej piosenkę.

- Lepiej pójdz w platynę. Meg uznaje tylko to, co najdroższe i najlepsze. Powinna się tu zjawić wczesnym wieczorem.

- Czy mam pojechać do magazynu wojskowego po kamizelki kuloodporne?

- Nie zaszkodziłoby.

Uśmiech Bobby'ego szybko znikł.

- Ona nie może cię skłonić do zmiany zdania co do mnie, prawda?

Wzruszył ją swoją bezbronnością.

- Nigdy nie była w stanie skłonić mnie do zmiany zdania w jakiegokolwiek sprawie. I to właśnie przyprawia ją o pianę na ustach.

- O ile mnie kochasz, wszystko zniosę.

- Skoro tak, Bobby Austinie... - Objęła go za szyję i przechyliła głowę do pocałunku. Zanim ich usta się spotkały, wyszeptła: - Zniesiesz wszystko. Nawet moją siostrę.

## 11

Claire stała przy zlewie i myła naczynia po śniadaniu. Dzień był szary, zanosilo się na deszcz, niebo wisiało tak nisko, że człowiek miał wrażenie, iż uderzy o nie czołem, jeśli odważy się wyjść na zewnątrz. Idealna pogoda na wizytę Meghann.

Na tę myśl jej serce zabiło niespokojnie. Sięgnęła po fiolkę z aspiryną.

- Mary Kay Acheson dostaje na śniadanie chrupki Cap'n Crunch.

Niezmienna poranna dyskusja.

- Prawdopodobnie zanim dojdzie do ósmej klasy, będzie miała sztuczną szczękę. Chyba nie chcesz wyjmować zębów na noc, co?

Ali rytmicznie stukała stopami w poprzeczkę krzesła.

- Willie ma wszystkie zęby, a będzie chodził do dziewiątej klasy. Właściwie to on jest już dorosły.

- Bo Karen daje mu na śniadanie Raisin Bran. Gdyby jadł Cap'n Crunch, inaczej by to wyglądało.

Ali myślała intensywnie, marszcząc czoło.

Claire popiła aspirynę wodą.

- Mamuś, znowu boli cię głowa?

- Wieczorem przyjeżdża ciocia Meg. Chce poznać Bobby'ego.

Zmarszczki na czole Ali pogłębiły się. Najwyraźniej usiło-

wała zgłębić związek pomiędzy wizytą ciotki Meg a bólem głowy mamy.

- Podobno jest tak zajęta, że nie ma czasu oddychać.

Claire podeszła do stołu i usiadła obok córki.

- Wiesz, dlaczego Meghann chce poznać Bobby'ego?

Alison przewróciła oczami.

- O jeny, mamus!

- O jeny? - Claire powstrzymała uśmiech. W swoim czasie będzie musiała poruszyć temat odpowiednich reakcji werbalnych. Ale nie dziś.

- Wiesz, co oznacza ta obrączka? - spytała, podnosząc rękę.

- To nie obrączka, tylko folia.

- Taka obrączka jest symbolem. Nieważne, z czego jest zrobiona. Liczą się słowa, które się z nią łączą. Bobby poprosił, żebym za niego wyszła.

- Wiem, mamus. Czy mogę zjeść trochę serowych rybek?

- Za chwilę. Chcę o tym z tobą porozmawiać. Nikt nie jest dla mnie ważniejszy od ciebie. Absolutnie nikt. Zawsze cię będę tak samo kochała, nawet gdy wyjdę za mąż.

- Jeezu, mamus. Wiem. Czy mogę...

- Przestań z tymi rybkami. Czy tobie przeszkadza, że za niego wyjdę?

- Hm. - Ali nadeła najpierw lewy policzek, a potem prawy. Następnie popatrzyła na Claire. - Mogę mówić do niego „tato”?

- Będzie zadowolony.

- To znaczy, że w „dzień rodzinny” przyjdzie do szkoły i weźmie udział w wyścigach w workach i będzie z tatą Brittani grillował parówki?

Claire westchnęła. Niełatwo jej przychodziło składanie obietnic bez pokrycia. Ten rodzaj wiary miały kobiety, które wrosły w bezpieczniejszych domach, gdzie można liczyć na mamę i tatę. Jednak ona wierzyła Bobby'emu na tyle, na ile potrafiła zaufać mężczyźnie córka takiej matki, jaką ona miała.

Alison rozpromieniła się.

- Dobra. Chcę, żeby był moim tatą. Tato... - powtórzyła, naj-

wyraźniej sprawdzając, jak brzmi to słowo wymówione na głos. Nie do wiary, ile marzeń małych dziewczynek może się zmieścić w tych paru głoskach.

Dużych dziewczynek również, powiedzmy to sobie otwarcie.

Alison cmoknęła Claire i zeskoczyła z krzesła, ciągnąc za sobą umorusaną Elmo. Pobiegła do siebie na górę. Po chwili rozległa się muzyka z „Małej syrenki”.

Claire spojrzała na pierścionek zaręczynowy. Mimo wszystko dawał krzepiące poczucie nadziei.

- Jedno z głowy - powiedziała głośno. Właściwie dwoje. Zarówno ojciec, jak i córka wyrazili zgodę na jej matrymonialne plany.

Pozostają już tylko dwie przeszkody w rodzinie. Meghann, która, sądząc z tonu rozmowy, zdecydowanie jest przeciwko, no i mama, którą zapewne niewiele to obejdzie. Claire zwlekała z telefonem do matki. Nigdy nic dobrego nie wynikło z tych rozmów.

Jednak była jej matką i wypadało do niej zadzwonić.

Zabawne, ilekroć myślała o matce, zawsze stawała jej przed oczyma twarz Meg. Jej siostra była obecna w każdym wspomnieniu z dzieciństwa aż do... no właśnie, tamtego dnia, kiedy ojciec uznał, że Meg już nie powinna opiekować się Claire.

A mama. Hm. Prawdę powiedziawszy, wspomnienia z nią związane są, delikatnie rzecz ujmując, mgliste. Miała szczęście. To Meg cierpiała z powodu infantylnego postępowania mamy. A jednak wszystkie udawały, że są rodziną.

Claire podniosła słuchawkę i wystukała numer. Telefon dzwonił bez końca. Wreszcie uruchomiła się automatyczna sekretarka. Mama słodkim głosem z jeszcze słodszy południowym zaśpiewem poinformowała na tle muzyki: „Cieszę się, że dzwonisz na mój prywatny numer. Niestety, jestem bardzo zajęta i nie mogę w tej chwili rozmawiać, ale proszę, zostaw wiadomość, a ja oddzwonię najszybciej, jak będę mogła. No i rzuć okiem na wywiad ze mną w magazynie »People« z końca czerwca. Pa!”.

Tylko mama mogła promować się za pomocą automatycznej sekretarki.

- Cześć, mamó - zaczęła Claire po sygnale. - Mówi Claire. Twoja córka. Mam dla ciebie ważną wiadomość i chciałabym porozmawiać. Oddzwoni do mnie. - Na wszelki wypadek podała numer i rozłączyła się.

Trzymała jeszcze słuchawkę w dłoni, gdy olśniło ją że popełniła błąd. Wychodzi za mąż za niecałe dwa tygodnie. Zanim doczeka się telefonu od matki, będą już po ślubie. Sęk w tym, że chciała ją zaprosić, a nie jedynie poinformować. Należy zaprosić matkę na ślub, nawet jeśli kobieta, która cię urodziła, ma w sobie tyle macierzyńskiego instynktu co komar, a szanse, że się pojawi, są raczej nikłe.

Zanim mama znalazła czas na przylot z Los Angeles do Seattle, żeby zobaczyć jedyną wnuczkę, Alison skończyła cztery lata.

Claire dokładnie pamiętała tamten dzień. Spotkały się w Woodland Park ZOO w śródmieściu Seattle. Mama była w trakcie objazdu promującego (po raz enty) „Gwiazdną Bazę IV” i Seattle znalazło się na trasie.

*Claire z Alison przez ponad godzinę czekały na nią na drewnianej ławeczce przy wejściu do parku.*

*Claire gotowa już była zrezygnować, gdy usłyszała znajomy wysoki trel. Zobaczyła, jak mama w tunice z brązowego jedwabiu „płyynie” ku nim, niczym balon, jaki woźą przymocowany do platformy podczas parad w Święto Dziękczynienia.*

*- Boziu, cudownie, że znowu widzę moją dziewczynkę - zawołała tak głośno, że wszyscy ludzie w pobliżu przystanęli, żeby popatrzeć. Przez tłum przeszedł szmer, znak, że ją rozpoznali.*

*- To ona —powiedział ktoś. - Tara Zyn z „Gwiazdnej Bazy W”.*

*Claire opanowała chęć wzniesienia oczu do góry. Wstała, ścisnąc mocno za rączkę Alison.*

*- Cześć, mamó. Dobrze cię znowu widzieć.*

*Mama opadła na jedno kolano z takim impetem, że jedwabne poły uniosły się po bokach jak skrzydła.*

*- Czy to śliczne maleństwo to moja wnuczka?*

- *Dzień dobry, pani Sullivan - przywitała ją Alison, z trudem radząc sobie z nazwiskiem, którego wymowę ćwiczyła od tygodnia. Claire była przekonana, że mamy nie zachwyciłoby słowo „babcia”. Według tego, co pisano w prasie, nie mogła się doczekać swoich pięćdziesiątych urodzin.*

*Mama wnikliwie przyglądała się Alison. Na ułamek sekundy, nie dłużej, jej niebieskie oczy posmutniały. I zaraz powrócił uśmiech.*

- *Możesz na mnie mówić Babi. - Wyciągnęła upierścienioną dłoń i pogładziła Alison po kędziorkach. - Skórka zdjęta z twojej mamy.*

- *Nie wolno z nikogo zdejmować skóry, pani... babi.*

*Mama spojrzała w górę.*

- *Jest zadziorna, Claire-Misiaczkę. Zupełnie jak Meggy. To dobrze. Właśnie takim zadziornym osobkom dobrze powodzi się w życiu. Zdaje się, to najbardziej elokwentna dwulatka, jaką kiedykolwiek miałam przyjemność poznać.*

- *To dlatego, że ona ma cztery łąta.*

- *Cztery?- Mama poderwała się z ziemi. - Och, kochanie, nie sądzę. Dopiero co byliście w szpitalu. A teraz biegnijmy do terrarium z węzami. To moje ulubione miejsce. Za godzinę muszę wrócić do hotelu na wywiad z „Evening Magazine”.*

*Późnym popołudniem dołączyła do nich Meghann i razem w milczeniu spacerowały po centrum Seattle, udając, że cokolwiek je łączy.*

Kiedyś wspomnienie tamtego dnia bolało Claire. Teraz już nie. Rana zasklepiła się i pokryła warstwą grubej skóry. Dawno przestała marzyć o innej matce. W przeszłości to pragnienie czyniło z niej kalekę i musiała się go pozbyć. Podobnie jak marzenia o siostrze, która jednocześnie jest najlepszą przyjaciółką. Nie wszystko układa się tak, jak można sobie życzyć, i dziewczynie pozostaje jedynie płakać całymi latami.

Spojrzała na zegar nad kuchenką. Dochodziła pierwsza.

Za parę godzin zjawi się tu Meghann.

- *Świetnie - mruknęła pod nosem.*

\*

- Wczoraj wieczorem zadzwoniła do mnie siostra.

Harriet odchyliła się na oparciu. Zaskrzypiał fotel.

- Ha, teraz rozumiem, dlaczego nie odwołałaś wizyty. Zaczynałam wpadać w rozpacz.

- Opuściłam jedną sesję. Nie ma o czym mówić. Upowiedziałam telefonicznie i zapłaciłam.

- Zawsze zakładasz, że pieniądze wszystko załatwią.

- Harriet, o co ci chodzi? Mówisz dziś tak enigmatycznie, że nawet Freud by za tobą nie nadażył.

- Jak mniemam, nasze ostatnie spotkanie wyprowadziło cię z równowagi.

Meghann zaczęła drgać powieka.

- Właściwie nie.

Harriet wpatrywała się w nią z uwagą.

- Nie rozumiesz, że zdenerwowanie stanowi ważną część procesu leczenia? Musisz przestać się bronić przed odczuwaniem emocji.

- Właśnie się staram, o ile słuchasz, co mówię. Powiedziałam, że siostra zadzwoniła do mnie wczoraj wieczorem.

Harriet westchnęła.

- Czy jest w tym coś niezwykłego? Wydawało mi się, że dość często rozmawiasz z Claire; nigdy nie wspominałaś, aby to miało jakieś znaczenie.

- Tak, to prawda. Dzwonimy do siebie co parę miesięcy. Obowiązkowo w święta i w urodziny.

- Cóż więc było aż tak istotnego we wczorajszej rozmowie?

Oko Meghann wpadło w płas. Ledwo na nie widziała. Nie wiadomo, dlaczego trudno jej było usiedzieć na miejscu.

- Wychodzi za mąż.

- Meghann, weź głęboki oddech - poradziła cicho Harriet.

- Moje oko chodzi jak diesel.

- Oddychaj.

Meghann czuła się jak idiotka.

- Co się dzieje, do jasnej cholery?

- Odczuwasz strach, i tyle.



Zwerbalizowanie emocji pomogło. Rzeczywiście się bała. Powoli uwolniła długo wstrzymywany oddech i spojrzała na Harriet.

- Nie chcę, żeby została zraniona.
- Dlaczego zakładasz, że małżeństwo ją zrani?
- Och, proszę cię. Zauważyłam, że nie nosisz już na lewej ręce tego pierścionka z jednokaratowym brylantem. Nie sądzę, aby rozpierała cię radość w chwili, gdy go zdejmowałeś.

Harriet zacisnęła palce lewej dłoni.

- Wiele siostr cieszy się, słysząc taką wiadomość.
- Ale nie te, które prowadzą sprawy rozwodowe.
- Czy mogłabyś nie mieszać do tego pracy?
- Harriet, to nie ma nic wspólnego z pracą. Moja siostra jest w tarapatkach. Muszę ją z nich wyciągnąć.

- Zakochała się?

Meghann niecierpliwie machnęła ręką.

- Naturalnie.
- Uważasz, że to nieważne?
- Z początku zawsze są zakochane. To przypomina wypływanie w morze na ogromnym cukierku. Woda go roztopia. Po paru latach utrzymywania się na powierzchni pływasz, nie mając się czego uchwycić. I wtedy zjawiają się rekiny.

- Czyli osoby twego pokroju.
- Nie czas na żarty o prawnikach. Muszę uratować moją siostrę, zanim poślubi niewłaściwego mężczyznę.
- Skąd wiesz, że to „niewłaściwy mężczyzna“?

Meghann ugryzła się w język, żeby nie rzucić „wszyscy są niewłaściwi”. Taka riposta wywołałaby jedynie kolejną serię spostrzeżeń i pytań.

- Praktycznie jest bezrobotny. Poznali się niecały miesiąc temu. Jest muzykiem. Każe się nazywać Bobby Jack. Jak ci się to podoba?

- Jesteś zazdrosna?
- Jasne. Chcę wyjść za wędrownego grajka country, który nawet w takim miejscu jak Cowboy's Bob nad Chelanem nie jest

gwiazdą wieczoru. Tak, Harriet, tym razem trafiłaś w dziesiątkę. Jestem zazdrosna. - Skrzyżowała ramiona. - Pewnie chce się z nią ożenić ze względu na tak zwany kurort. Namówi ją, żeby zainwestowała w kondominia albo w gabinety dentystyczne.

- Wykazałby inicjatywę.

- Claire kocha ten kawałek ziemi. Nie chciałyby go pokryć brukiem.

- Zdaje się, mówiłaś, że teren jest niedoinwestowany i że Claire marnuje życie. Wspominałaś chyba coś o budowie krytego basenu z biczami wodnymi.

- Zupełnie nie rozumiesz, o co mi chodzi.

- Chodzi ci o to, że masz ochotę wjechać tam na białym koniu i uratować siostrę.

- Ktoś musi ją chronić. Tym razem chcę być przy niej.

- Tym razem.

Meghann posłała Harriet ostre spojrzenie. Oczywiście terapeutka wyłuskała dwa istotne słowa.

- Tak.

Harriet wychyliła się do przodu.

- Opowiedz mi o dniu, kiedy cię przy niej nie było.

Meghann cofnęła się, napinając mięśnie. Skrzypnęło odsunięte krzesło.

- Nie w tym rzecz.

- Meghann, nie udawaj mniej bystrej, niż jesteś. Nie muszę ci przypominać, że wszystko, co jest między tobą a Claire, ma związek z przeszłością. Co się wydarzyło?

Meghann zamknęła oczy. Zdecydowanie była w kiepskiej formie, bo gorzkie wspomnienia czekały przyczajone, żeby przytłumić inne myśli. Wzruszyła ramionami i siłać się na obojętność, otworzyła oczy i spojrzała na Harriet.

- Znasz tę historię. Chcesz kolejny raz posłuchać, jak przez to przechodzę.

- Na pewno znam?

- Miałam szesnaście lat. Claire dziewięć. Mama pojechała do Los Angeles na przesłuchanie do roli w „Gwiezdnej Bazie IV”

i tak dobrze się bawiła, że zupełnie zapomniała o dzieciach, które zostały w Bakersfield. Pojawili się ludzie z opieki społecznej. Grozili, że umieszczą nas w rodzinach zastępczych. Ja byłam w miarę dorosła i mogłam uciec, ale Claire... - Wzruszyła ramionami. - Tak więc zabawiłam się w detektywa i odnalazłam Sama Cavanaugh, jej biologicznego ojca. Zadzwoiłam do niego. Sam zjawił się w samą porę. - Meg usłyszała dawny żal w swoim głosie. Nawet teraz, po tak długim czasie, wspomnienia z tamtego lata były trudne do zniesienia. Z niechęcią pamiętała, jak bardzo pragnęła, aby Sam był także jej ojcem. Wprostowała się. - Dawne dzieje, bez znaczenia. Wszyscy wyszliśmy z tej historii szczęśliwsi.

- Wszyscy? A co z dziewczyną, która utraciła matkę i siostrę, a nie miała ojca, do którego mogłaby się zwrócić?

To pytanie zabolowało. Meghann nigdy nie udało się odkryć nazwiska własnego ojca. Mama zawsze mówiła o nim „ten nieudacznik”.

- Dość. Powiedz mi, Harriet, czy to mądre wychodzić za mąż za człowieka, którego zna się parę tygodni? Chciałabyś, żeby twoja córka znalazła się na miejscu Claire?

- Musiałabym jej zaufać, prawda? Nie możemy przeżyć życia za innych ludzi. Nawet jeśli ich kochamy.

- Ja naprawdę kocham Claire - wyznała cicho Meghann.

- Wiem. To akurat nigdy nie było problemem.

- Nic nas nie łączy. Jednak to wcale nie znaczy, że chcę pa-trzeć, jak rujnuje sobie życie.

- Och, myślę, że coś was jednak łączy. Spędziłyście razem dziewięć lat. Mam wrażenie, że łączyła was przyjaźń.

- Zanim wcisnęłam ją człowiekowi, którego ledwo znała, a sama uciekłam z domu? Byłyśmy sobie bardzo bliskie. Claire chciała tatusia, a kiedy dostała go... Cóż... - Meghann spojrzała na kryształowy zegar na biurku. Była czwarta. - O tej porze dojazd do Hayden zajmie mi prawie dwie godziny. Nie uważasz, że mamy fatalne drogi? Gdybyśmy zajęły się wyborem burmistrza, zamiast...

- Meg. Nie zbaczaj z tematu. Dzisiejszy dzień jest ważny. Claire może żywić do ciebie urazę.

- Powiedziałaś ci, że tak jest.

- A ty mimo wszystko postanowiłaś pognać do Hayden swoim luksusowym samochodem i wtrącać się w jej życie.

- To tylko dowodzi, jak bardzo mi zależy na uratowaniu jej przed nią samą. Chcę się z nią podzielić paroma najwyraźniej przeoczonymi informacjami.

- Sądysz, że doceni twoją pomoc?

Claire zapewne nie będzie zadowolona. Niektórzy ludzie nie lubią przyjmować faktów do wiadomości.

- Postaram się być delikatna.

- Delikatnie jej oznajmisz, że nie powinna wychodzić za piosenkarza bez widoków na przyszłość?

- Tak. Bywam czasami brutalna i nieznośnie pewna siebie, ale w tym wypadku zamierzam ostrożnie dobrać słowa. Nie użyję określeń takich jak życiowy bankrut, łowca posagu czy głupota. Claire poczuje się dotknięta, ale zrozumie, że mam na względzie jej dobro.

Harriet nieznośnie długo zwlekała, zanim zadała pytanie:

- Pamiętasz, jak to jest być zakochaną?

Meghann nie widziała związku, ale była wdzięczna za zakończenie rozmowy o Claire.

- Wyszłam za Erica, nie? Numer dwa na liście błędów życiowych.

- Co zapamiętałaś z tego małżeństwa?

- Jego koniec. Zdarzają mi się bóle głowy, które trwają dłużej od tego związku.

- Jak on się zakończył?

- Przecież wiesz. Zdradzał mnie. Z większością cheerleaderek Seahawksów i połową kelnerek z Bellevue Hooters. Miał fioła na punkcie silikonu. Gdyby z równym entuzjazmem oddał się karierze...

- Pamiętasz, kiedy się oświadczył?

Meghann westchnęła. Nie chciała myśleć o tamtym dniu. To

wszystko wydarzyło się tak dawno temu. Delikatne światło świec, ścieżka usypana z płatków białych róż do ogromnego łóża, muzyka sącząca się z drugiego pokoju; akurat grali w radiu instrumentalną wersję „AU Out of Love”.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to ja się mu oświadczyłam. Nigdy nie potrafiłam czekać, a Erie potrzebował godziny na wybranie pary skarpetek.

Harriet zrobiła zboląłą minę.

- Meghann.

- Co?

- Zaczynij od nowa. Nie mam takiej słabej pamięci, jakbyś sobie życzyła.

Meghann wbiła wzrok w paznokcie. Od lat częstowała wszystkich historyjkami o niewierności Erica. Uwaga o zamiłowaniu do silikonu zawsze wywoływała śmiech. Jak się zorientowała, tak było dla niej lepiej; wołała pamiętać go jako czarny charakter. Prawda zbyt mocno bolała. Nawet Elizabeth nie wiedziała, co rzeczywiście wydarzyło się w jej małżeństwie. Natomiast teraz jakimś cudem Harriet się domyślała.

- Nie chcę o tym mówić.

- Oczywiście, że nie - przytaknęła łagodnie Harriet. - I dlatego właśnie powinnaś.

Meghann westchnęła.

- Nie uganiał się za kelnerkami. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Był wierny... do czasu, kiedy poznał Nancy. - Przymknęła powieki, wracając wspomnieniem do tamtego koszmarne go dnia, kiedy wrócił do domu ze łzami w oczach. „Meg, już dłużej tak nie mogę. Niszczysz mnie. Według ciebie wszystko robię nie tak. A twoja miłość... wieje chłodem”. Kiedy poczuła, że też się rozpłacze, a na usta cisnęły się błagalne prośby, oznajmił: „Poznałem kogoś. Ona kocha mnie takim, jaki jestem, a nie takim, jakbym mógł się stać, gdybym był bardziej ambitny. I... jest w ciąży”.

Te wspomnienia poruszyły ją do głębi. Poczuła się słaba i bezradna. Nie chciała dłużej dusić w sobie tego wszystkiego.

- Było tak romantycznie - zaczęła cicho. - Tamtej nocy, kiedy się oświadczył. Naprawdę były róże. I muzyka. Nalał kieliszek szampana i powiedział, że jestem dla niego całym światem, że pragnie mnie kochać przez całe życie i mieć ze mną dzieci. Rozbeczałam się, kiedy to mówił. - Otarła łzy, które powinny wyschnąć dawno temu. - Powinnam była wiedzieć, jak krucha jest miłość, biorąc pod uwagę sytuację we własnym domu, ale zabrakło mi rozważli. Obchodziłam się ze szklaną bańką tak, jakby była ze stali. Nie mogłam uwierzyć, że tak szybko pękła. Odszedł, bo nie potrafiłam okazać, jak bardzo go Kocham. - Jej głos się załamał. - Trudno go winić.

- Kochałaś go więc.

- I to jak - wyznała cicho Meghann, czując, że otwiera się na nowo stara rana.

- Ciekawe, tak wyraźnie pamiętasz rozwód, a o miłości trzeba ci przypominać.

- Nigdy więcej - oświadczyła Meg, podnosząc się z fotela. - To jak zabieg na otwartym sercu bez znieczulenia. - Spojrzała na zegarek. - No i skończył się nasz czas. Powiedziałam Claire, że będę wieczorem. Muszę jechać.

Harriet powoli zdjęła okulary i popatrzyła na Meghann.

- Przemyśl to jeszcze, Meg. Może ten ślub zbliży was do siebie i narodzi się porozumienie.

- Uważasz, że powinnam pozwolić jej wyjść za tego Bobby Jacka, Toma Dicka, nie mówiąc ani słowa?

- Czasami miłość przejawia się poprzez pozwalanie ludziom na podejmowanie własnych decyzji. Innymi słowy, na trzymaniu buzi na kłódkę.

- Kobiety nieźle mi płacą za mówienie im prawdy.

- Twojej wersji prawdy. A Claire nie należy do twoich klientek. Jest kobietą, która po raz pierwszy wychodzi za mąż. Trzydziestopięcioletnią kobietą, muszę zaznaczyć.

- To co, powinnam się uśmiechnąć, wyściskać ją i powiedzieć, iż bardzo się cieszę, że wychodzi za nieznanego faceta?

- Tak.

- A jeśli on złamie jej serce?

- Wtedy będzie potrzebowała swojej siostry. Ale nie zwróci się do kogoś, kto jej wytknie: „A nie mówiłam?”.

Meghann rozważała te słowa. Była pewna siebie i miała ostry język, ale nie była głupia.

- Przykro mi, Harriet - odezwała się po chwili. - Nie zgadzam się. Nie pozwolę, żeby stała się jej krzywda. Claire jest najlepszą osobą, jaką znam.

- Chciałaś powiedzieć, najlepszą osobą, jakiej nie znasz. I najwyraźniej chcesz, żeby tak zostało. Wolisz utrzymać dystans.

- Myśl sobie, co chcesz. Cześć! - Meghann wybiegła z gabinetu.

Harriet się myliła. Sprawa była oczywista.

Raz zawiodła Claire, drugi raz tego nie zrobi.

„To głupota wychodzić za kogoś, kogo dopiero poznałaś”.

„Głupota jest nie najlepszym słowem”.

„Jest niewskazane...”

„Jesteś jej siostrą, nie prawnikiem”.

Od ponad godziny Meghann prowadziła tę obłąkaną rozmowę ze wstecznym lusterkiem. Jak to możliwe, że w mowie końcowej potrafi swymi argumentami wycisnąć łzy z oczu przysięgłych, natomiast nie umie znaleźć prostych, a zarazem przekonujących słów, żeby ostrzec siostrę przed czymś, co musi się źle skończyć?

Z zakorkowanych ulic w centrum Seattle wyjechała na płaskie, rolnicze tereny doliny Snohomish. Małe, senne farmy mleczne z czasów jej młodości przekształciły się w eleganckie podmiejskie dzielnice mieszkaniowe. Na posesjach stały duże ceglane wille z portykami, na podjazdach samochody terenowe i przyczepy. Drewniane domy farmerów dawno porozbierano; tylko tu i ówdzie pozostały pojedyncze, przycupnięte za billboardem lub ciągiem pasaża handlowych.

W miejscu, gdzie autostrada zaczynała piąć się pod górę, ury-

wały się pełne blichtru tereny zamieszkałe przez yuppies. Miejscowości ukrytych w cieniu lawendowoszarych szczytów centralnego masywu Cascade Mountains nie objęła cywilizacyjna ekspansja. Miasteczka o takich nazwach, jak Sułtan, Goldbar i Index, leżały zbyt daleko od głównej trasy, by podniósł się ich status. Przynajmniej na razie.

Ostatni przystanek przed Hayden w ogóle trudno nazwać miastem. To raczej ciąg zabudowań wzdłuż drogi, gdzie można się zaopatrzyć w niezbędne artykuły oraz benzynę przed wjazdem na górskie partie autostrady. Migający neon nad odrapaną tawerną - Roadhouse - reklamował piwo Coors Light.

Szczerze mówiąc, korciło ją, żeby się zatrzymać, wejść do zatłoczonej tawerny i zaszyć się w zadymionym wnętrzu. Nie wątpiłoby to znacznie przyjemniejsze niż oznajmić Claire po latach rozłąki: Robisz błąd.

Jednak nie zwolniła. Po szesnastu kilometrach dzielących ją od Hayden zjechała z autostrady. Droga natychmiast zwięzła się do dwupasmowej szosy z wysokimi świerkami na obu poboczach. Poszarpsza linia gór wyglądała złowieszczo. Nawet w lecie na niebosiężnych szczytach leżał śnieg.

Przywitała ją niewielka zielona tablica: „Hayden. Ludność 872. Rodzinna miejscowość Lori Adamsa. Stanowego mistrza ortografii w 1974 roku”.

Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty czwarty.

Po raz pierwszy Meghann ujrziała tę senną miejscinę zaledwie trzy lata później. Wtedy Hayden było niewielkim skupiskiem zaniedbanych domów. Dopiero po pewnym czasie ojcowie miasta wpadli na pomysł, żeby wprowadzić motywy z Dzikiego Zachodu i ściągnąć w ten sposób turystów.

Wspomnienie tamtego przyjazdu jeszcze się nie zatarło. Miała wrażenie, że czuje zatechły zapach starej ciężarówky Sama oraz dotyk drobnego ciała tulącej się do niej Claire. „Czy on naprawdę nas chce?” - pytała szeptem jej siostra za każdym razem, gdy Sam wychodził zatankować benzynę i później, kiedy meldował ich w tanim motelu. Pokonali trasę z Kalifornii do Waszyngtonu



w dwa dni; przez całą drogę prawie się do siebie nie odzywali. Meghann cały czas ścisnęła w dołku. Z każdym kilometrem rosła obawa, że telefon do Sama był złym pomysłem. Kiedy dotarli do Hayden, Meg wyczerpał się zapas optymistycznych odpowiedzi na pytania siostry i jedynie mocniej ją do siebie przytuliła. Sama również musiało męczyć to niezręczne milczenie. Włączył radio. Gdy wjeżdżali na teren lotniska, Elton John śpiewał „Goodbye Yellow Brick Road”.

Śmieszne, że zapamiętuje się takie szczegóły.

Zwolniła. Hayden nadal wyglądało na miasteczko przychyłne przybyszom, takie, gdzie kobiety częstują domową zapiekanką z tuńczyka rodzinę, która właśnie się sprowadziła.

Meghann jednak wiedziała swoje.

Mieszkała tu dostatecznie długo, żeby się zorientować, jak okrutni potrafią być ci sympatycznie wyglądający ludzie wobec dziewczyny, która pochodzi z nieodpowiedniego środowiska. Oczywiście małe miasteczka obiecują spokojne życie, ale panuje w nich ostracyzm. Kiedy się było wychowanym przez striptizerkę i dorastało w przyczepie w niewłaściwej dzielnicy, nie można się przeprowadzić do Grajdołka i dobrze w nim czuć.

Przynajmniej Meghann nie mogła. Claire to zupełnie inna historia.

Meghann podjechała do jedyne go skrzyżowania ze światłami. Kiedy się zapaliło zielone, dodała gazu i popędziła przez miasto.

Kilka kilometrów dalej ukazała się tablica informacyjna.

„Kurort nad Brzegiem Rzeki. Następny zakręt w lewo”.

Skręciła w szutrową drogę. Drzewa na poboczach były ogromne. W ich głębokim cieniu rosły krzewy gaultherii i paprocie wielkości volkswagenów.

Zwolniła przed pierwszym podjazdem. Na zabawnej metalowej skrzynce do listów, pomalowanej tak, że przypominała dysk orki, spostrzegła wizytówkę: C. Cavanaugh.

Podwórze, dawniej dziko zarośnięte, było teraz splantowane, a krzewy starannie przycięte; całość przypominała angielski wiejski ogród. Dom utrzymany w kanonie Marthy Stewart z si-

dingiem w tonacji maślanej żółci i lśniącymi białymi detalami opasywała urokliwa weranda z białą balustradą, ozdobiona doniczkami z geranium i lobelią zwisającymi z okapu.

Meg była tu tylko jeden raz, krótko po narodzinach Ali. Zapamiętała jedynie, że siedziała na wytartej kanapie, usiłując nawiązać rozmowę z siostrą. Potem zjawiły się Blueserki, koleżanki Claire. Opadły dom jak szarańcza i narobiły zamieszania.

Meg wytrzymała nieznacznie długą godzinę i sącząc ciekłą lemoniadę, zastanawiała się nad przesłuchaniem, które fatalnie wypadło. W końcu wymyśliła jakąś kiepską wymówkę i pospiesznie się ulotniła. Od tamtej pory tu nie zajrzała.

Zaparkowała samochód i wysiadła. Objuczona prezentami, podeszła do frontowych drzwi i zapukała.

Nikt nie otwierał.

Poczekwała jakiś czas, wróciła do samochodu i przejechała mniej więcej pół kilometra do budynku administracyjnego.

Przeszła obok basenu, gdzie dzieci bawiły się w ciuciubabkę, kierując się do długiego, wąskiego drewnianego baraku, w którym znajdowała się recepcja. Kiedy otwierała drzwi, zadzwieczał dzwonek nad głową.

Za kontuarem stał Sam Cavanaugh. Gdy weszła, powitalny uśmiech powoli zgasł, lecz zaraz pojawił się na nowo.

- Cześć, Meg. Miło cię widzieć. Kopę lat.

- Taak. Na pewno się za mną stęskniłeś. - Jak zawsze czuła się przy nim niezręcznie; budził w niej gniew. Harriet utrzymywała, że to dlatego, iż Claire oddaliła się od niej z powodu Sama, ale to nieprawda. Nadal miała w pamięci tamten dzień, kiedy powiedział: „Wyjedź, po prostu zniknij”. Uważał, że ma zły wpływ na jego córkę. Najbardziej jednak dotknęło ją stwierdzenie, które nadal dzwoniło jej w uszach: „Zupełnie jak wasza przekłeta matka”.

Przyglądali się sobie. Na szczęście nie próbował się zbliżyć.

- Dobrze wyglądasz - powiedział w końcu.

- Ty też. - Meghann zerknęła na zegarek. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było milczące sam na sam z ojcem siostry.

- Claire kazała mi się tobą zająć. Trochę się spóźnia. U Fordów w kwaterze siedemnastej wynikł jakiś niespodziewany problem z piecykiem. Musiała się tym zająć, lecz lada chwila powinna tu być.

- Dobrze. W takim razie zaczekam na nią w domu.

- Powinna się wkrótce zjawić.

- Już to mówiłeś.

- Wciąż jesteś taka harda, co, Meghann? - mówił cicho, jakby trochę zrezygnowany.

- Musiałam taka być. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

- Meghann, nie wyrzuciłem cię, ja...

Wyszła bez słowa, pozwalając drzwiom zamknąć się z trzaskiem. Była w połowie drogi do samochodu, gdy usłyszała, jak mówi:

- Wiesz, ona jest szczęśliwa. Z tym facetem.

Odwróciła się ku niemu powoli.

- O ile dobrze pamiętam, byłeś szczęśliwy, kiedy ożeniłeś się z mamą. Ja czułam się szczęśliwa, wychodząc za Erica.

Sam podszedł bliżej.

- Wasza matka to niezłe ziółko. Przez wiele lat byłem na nią wściekły, ale jestem zadowolony, że się z nią ożeniłem.

- Chyba się naćpałeś.

- Claire - odrzekł.

- Och. - Meghann poczuła ukłucie zazdrości. Znowu to samo - tatuś i córeczka. Wkurzało ją to. A nie powinno po tylu latach.

- Obchodź się z nią delikatnie - poprosił. - Jesteś jej siostrą.

- Wiem, że jestem jej siostrą.

- Czyżby?

- Taa. - Odwróciła się ponownie. Szła powoli przez teren, zaskoczona liczbą letników. Wszyscy zdawali się dobrze bawić. Letnisko było zadbane i wręcz idealnie usytuowane. Widok gór, drzew i wody jak żywcem wyjęty z pocztówek. Wróciła do samochodu i podjechała do domu Claire.

Gdy tym razem zapukała do drzwi, z wnętrza doszedł ją tupot. Drzwi otworzyły się z impetem.

Stała w nich Alison w dżinsowych ogrodniczkach w stokrotki i ładnej ażurowej żółtej bluzce.

- Ty nie możesz być Alison Katherine Cavanaugh. Ona jest malutka.

Alison się rozpromieniła.

- Teraz jestem dużą dziewczynką.

- Rzeczywiście.

Alison przyglądała jej się z uwagą.

- Masz dłuższe włosy i są w nich siwe pasemka.

- Hm, dzięki, że zauważyłaś. Ucałujesz ciocię Meg?

- I chyba normalnie oddychasz.

Meg nie miała pojęcia, o czym to dziecko mówi.

- No, tak.

Alison podeszła, uścisnęła ją bez przekonania i odsunęła się.

- Mam coś dla ciebie - oznajmiła Meg.

- Niech zgadnę. - Claire wynurzyła się z głębi korytarza. - Zapewne porm'ślałaś, że w wieku pięciu lat należy mieć nóż sprężynowy.

- Nie. Wiatrówkę.

- Żartujesz!

Meghann się roześmiała.

- Zajrzałam do wnętrza piekieł - sklepu z zabawkami na Northgate - i trafiłam na potwornie nierozgamiętą sprzedawczynię. Poleciała mi to. - Wręczyła Alison pudło owinięte w kolorowy papier.

Ali otworzyła je jednym szarpnięciem.

- Mamuś, to Groovy Girl. Groovy Girl! - Rzuciła się Meghann na szyję i tym razem szczerze ją wycałowała. Pokazała lalkę Claire i pobiegła na górę.

Meghann wręczyła Claire butelkę wina - Far Niente 1997.

- Jedno z moich ulubionych.

- Dziękuję.

Patrzyły na siebie. Ostatni raz widziały się rok temu, kiedy

mama przyjechała do miasta na spotkanie z fanami. Mama zabrała Claire i Ali do zoo, a później Meghann dołączyła do nich w Seattle Center. Większość czasu spędziły, wożąc Alison na karuzelach w wesołym miasteczku. Dzięki temu nie musiały rozmawiać.

Niespodziewanie Claire objęła Meghann, uściśnęła ją i szybko się odsunęła.

Meghann zachwiała się, zbyt zaskoczona tym gestem, żeby odpowiedzieć. Zaraz jednak pożałowała, że nie odwzajemniła uścisku.

- Obiad dobrze pachnie, ale nie musiałaś gotować. Chciałam was zaprosić do restauracji.

- Barowe specjały w Chuck Wagon nie są w twoim stylu. W ogóle nie chcę o tym słyszeć.

- Och.

- No, wchodź! Dawno tu nie byłaś.

- Ty u mnie nigdy nie byłaś.

- Meg, to jest tak zwana kurtuazyjna rozmowa. Nie zamierzałam wszczynać kłótni.

- Och - powtórzyła jeszcze raz Meg, czując się jak idiotka.

Podążyła za Claire i usiadła obok niej na kanapie. Od razu rzucił się jej w oczy żałosny pierścionek zaręczynowy - obrączka z folii, rany boskie! Dobrze, że przyjechała. Nie ma sensu tego odkładać.

- Claire, uważam...

I wtedy on wszedł do pokoju. W jednej chwili zrozumiała, dlaczego jej siostra przepadła. Bobby piosenkarz mógł być przegrany, natomiast w kategorii urody zdecydowanie wygrywał. Wysoki i smukły, a jednocześnie szeroki w barach, z jasnymi włosami prawie do ramion. Z urzekającym uśmiechem, który rozświetla całą twarz.

Taki mężczyzna potrafił sprawić, że kobieta traci grunt pod nogami, wzbija się pod niebo i wiruje, a stamtąd można już tylko spaść.

Bobby i Claire wymienili pełne miłości spojrzenia. Meg po-

myślała o „The Way We Were”, peanie na cześć słodko-gorzkiej prawdy, że czasem niewłaściwy mężczyzna potrafi swoim wyglądem pozbawić kobietę tchu.

Lecz prędzej czy później ona musi go zaczerpnąć.

- Jestem Bobby Austin - przedstawił się z uśmiechem.

Meghann podniosła się z kanapy i podała mu rękę.

- Meghann Dontess.

- Claire mówi, że przyjaciele nazywają cię Meg.

- Tak. Dla przyjaciół jestem Meg.

Uśmiechnął się.

- Sądząc z twojej kwaśnej miny, lepiej żebym został przy „pani Dontess”.

- Zapewne góralki z Arkansas uważają, że jesteś czarujący.

- Dziewczyny w Teksasie niewątpliwie tak myślały. - Oto-  
czył ramieniem Claire. - Ale to stare dzieje. Znalazłem dziewczynę, z którą chcę się zestarzeć. - Pocałował lekko Claire w policzek i ścisnął ją za rękę, po czym wziął wino i wymaszerował do kuchni.

Meghann stała i patrząc na siostrę, szukała w myślach odpowiednich słów, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Bobby wrócił z dwoma kieliszkami wina i podał jeden Meghann.

- Zgaduję, że chcesz mi zadać kilka pytań - powiedział, siadając.

Ta bezpośredniość zbiła ją z tropu. Z wahaniem, już mniej pewna siebie, zajęła fotel stojący naprzeciwko kanapy. Stanowili teraz dwa osobne byty. Bobby i Claire kontra Meghann.

- Opowiedz mi o sobie.

- Kocham Claire.

- Coś bardziej konkretnego.

- Jesteś bardzo rzeczową dziewczyną, co? Liczą się fakty i cyfry. Mam trzydzieści siedem lat. Skończyłem Uniwersytet Stanowy w Oklahomie. Magisterka z teorii muzyki. Stypendium z rodeo. Kiedyś pętałem cielaki. Dlatego mam teraz rozwalone kolana. Byłem... żonaty.

Meghann wychyliła się do przodu, z miejsca nabierając czujności.

- Ile razy?

Posłał spojrzenie Claire.

- Trzy.

- O cholera! - Meghann popatrzyła na Claire. - Chyba żartujesz. Gdyby małżeństwo było przestępstwem, do końca życia nie wyszedłbyś z pudła.

Gwałtownym gestem pochylił się ku niej.

- Pobraliśmy się z Suellen, kiedy mieliśmy po osiemnaście lat. Była w ciąży i gdy ja...

- Masz dzieci?

- Nie. - Ściszył głos. - Poronienie. Wytrwaliśmy niecałe trzy miesiące. Niestety, uczę się powoli. W wieku dwudziestu jeden lat ożeniłem się ponownie. No i okazało się, że ona ma inne oczekiwania wobec życia. Ładne samochody, piękna biżuteria. Wyładowałem w więzieniu, gdy nakryli ją na sprzedawaniu kokainy w naszym domu. Mieszkaliśmy razem dwa lata i nigdy niczego nie zauważyłem. Po prostu wydawała mi się cholernie chimeryczna. Nikt nie uwierzył, że nie zrobiła ze mnie współnika. Laura naprawdę się liczyła. Była... jest pediatrą, zakochaną w muzyce country. Byliśmy małżeństwem przez dziesięć lat. Rozstaliśmy się jakiś rok temu. Mógłbym ci powiedzieć dlaczego, ale to nie powinno cię obchodzić. Claire zna szczegóły.

Trzykrotny rozwodnik i przestępca.

Wspaniale.

A teraz zła siostra musi dobrej siostrze złamać serce.

Jak?

Oto pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów. Jak mówi się takie rzeczy w takiej chwili jak ta? Szczególnie w obecności Faceta o Bardziej Niż Boskim Wyglądzie? Co do jednej sprawy Harriet miała rację; Meghann i Claire od lat tkwiły na klifie konwenansów i sztuczności. Jeden niezręczny ruch może zepchnąć je poza krawędź.

Claire wstała z kanapy i zbliżyła się do siostry. Przysiadła na rzeźbionej chińskiej skrzyni, która służyła jako stolik do kawy.

- Meg, wiem, że nie cieszysz się moim szczęściem.

- Pragnę tego. - To była prawda. - Tylko że...

- Wiem. Nie otrzymałby platynowej karty. Zdaję sobie z tego sprawę. Ponadto specjalizujesz się w sprawach rozwodowych. To także wiem. A przede wszystkim mam świadomość, że wra- stałaś w domu naszej mamy. - Pochyliła się ku niej. - Meg, ja wiem.

Meghann rozumiała wagę tych paru słów. Jej siostra pomyś- lała o tych samych powodach co ona, rozważyła wszystkie moż- liwe skutki. Meghann nie zostało do powiedzenia nic, czego Claire by nie wiedziała.

- To wszystko wydaje się pozbawione logiki i wiem, że jest ryzykowne oraz szalone, a co najgorsze, w typie naszej mamy. Nie musisz mi tego mówić. Chcę jedynie, abyś mi zaufała.

Zaufanie. Dokładnie tak jak przewidziała Harriet. Meghann dawno zdążyła zapomnieć, co znaczy ufać ludziom.

- Wiem, ciężko ci. Przywódca stada słabo się podporządko- wuje. Ale dla mnie ogromnie dużo znaczy, żebyś pozostawiła sprawy swojemu biegowi. Może zwyczajnie obejmij mnie i po- wiedz, że się cieszysz. Nawet jeśli skłamięsz.

Meghann spojrzała w jasnozielone oczy siostry. Widziała w nich lęk, ale i oczekiwanie. Była wyraźnie przygotowana na ból, jaki zadać jej może reakcja Meg, a jednocześnie tliła się w niej nadzieja...

Ta sytuacja przywołała wspomnienie z ich dzieciństwa. Za każdym razem, gdy mama sprowadzała nowego mężczyznę, Claire wierzyła, że wreszcie będzie mieć tatę. Meg bezskutecz- nie starała się studzić optymizm siostry; i tak każdy kolejny oj- czym łamał jej serce. A mimo to, gdy w domu pojawiał się na- stępny mężczyzna, w Claire odżywała nadzieja.

Naturalnie Claire wierzyła w Bobby'ego Austina.

Meghann w żaden sposób nie była w stanie wpłynąć na decy- zję Claire, a co ważniejsze, na jej uczucia. Tak więc miała do



wyboru: albo udać, że daje jej swoje błogosławieństwo, albo trwać w stanie wojny. Pierwsze wyjście pozwoli im pozostać siostrami. Drugie stanowi zagrożenie dla ich, i tak już kruchego, związku.

- Ufam ci, Claire - powiedziała w końcu, co spotkało się z nikłym, niepewnym uśmiechem. - Skoro mówisz, że kochasz Bobby'ego Austina, więcej mi nie potrzeba.

Claire odetchnęła z ulgą.

- Dziękuję. Wiem, że ci niełatwo. - Pochyliła się i uściskała Meghann, lecz ona, zaskoczona tą spontaniczną reakcją, nie odwzajemniła uścisku.

Claire cofnęła się i wstała. Podeszła do kanapy i usiadła obok Bobby'ego, który natychmiast otoczył ją ramieniem i przytulił.

Meghann zastanawiała się, czym wypełnić kłopotliwą ciszę.

- A więc, jakie są ślubne plany? Sędzia pokoju? Mam przyjaciela, który jest sędzią..

- Nie ma mowy. - Claire się roześmiała. - Od trzydziestu pięciu lat czekam na ten dzień. Chcę pełen zestaw. Biała suknia. Uroczysty ślub w kościele. Tort weselny. Przyjęcie z tańcami. Wszystko od A do Z.

Meghann nie wiedziała, dlaczego czuje się zaskoczona. Przecież Claire należała do tych dziewczynek, które bez końca bawiły się w pannę młodą.

- W moim domu mieszka specjalistka od organizowania wesel. Zdaje się, urządziła wesele Billa Gatesa.

- Jesteśmy w Hayden, a nie w Seattle. Wynajmę salę w Klubie Weteranów i każdy z gości przyniesie coś do jedzenia. W Bon Marche jest już dział z sukniami ślubnymi i wszystkimi niezbędnymi akcesoriami. Będzie wspaniale. Zobaczysz.

- Goście będą przynosić jedzenie? - Meghann zerwała się z kanapy. Najwyraźniej, mimo wszystko, odziedzyczyła pewne cechy po matce. Nie pozwoli, aby jej siostra wystąpiła podczas ślubu w sukni z domu towarowego. - Ja zorganizuję wesele i zajmę się przyjęciem - rzuciła impulsywnie. Po tej propozycji odzyskała pewność siebie. Znowu coś kontrolowała.

Uśmiech Claire przybladł.

- Ty?

- Nie jestem towarzyską niezgułą. Potrafię to urządzić.

- Ale... ale... masz dużo pracy. Nigdy bym nie poprosiła, żebyś z mojego powodu zmieniła swój napięty harmonogram.

- Nie poprosiłaś. Sama zaproponowałam. Najwyraźniej czuję się... niedowartościowana w pracy. - Ten pomysł ją podniecił. Może dzięki temu zbliżą się do siebie. - Naprawdę byłoby idealnie. Claire, bardzo chciałabym coś dla ciebie zrobić.

- Och. - Claire nie wyglądała na zachwyconą. Meghann czytała w jej myślach: Meg jest jak słoń w składzie porcelany.

- Będę cię słuchać i zrobię wszystko, jak chcesz. To twoje wesele. Obiecuję.

- Uważam, że pomysł jest świetny - wtrącił Bobby z ujmującym uśmiechem. - Meghann, to bardzo miły gest.

Claire spojrzała czujnie na Meg.

- Dlaczego słyszę, jak w mojej głowie organy grają „Oto ojciec prowadzi pannę młodą?” Meg, ciębie zawsze ponosi.

Nagle Meghann poczuła się zagubiona i bezradna. Nie do końca rozumiała, dlaczego tak bardzo jej na tym zależy.

- Tym razem tak nie będzie. Szczerze.

- No dobrze - ustąpiła w końcu Claire. - Możesz mi pomóc przy planowaniu wesela.

Rozradowana Meghann klasnęła w dłonie.

- Doskonale. W takim razie zabieram się do roboty. Gdzie jest książka telefoniczna Hayden? Aha, którego jest ślub - dwudziestego trzeciego? W następną sobotę? Nie ma zbyt wiele czasu. - Poszła do kuchni, wróciła z kartką papieru i zaczęła sporządzać listę.

- O rany! - Usłyszała westchnienie siostry. - Stworzyłam potwora.

## 12

Pod koniec drugiego dnia pobytu w domu Joe odniósł wrażenie, że się dusi. Gdziekolwiek spojrzał, natrafiał na ślady swego dawnego życia. Nie wiedział, co dalej począć, ale jednego był pewien: dłużej nie może tu zostać.

Odczekał, aż Giną pójdzie do sklepu spożywczego, wepchnął rzeczy do plecaka, wrzucił kilka oprawionych zdjęć Diany, które stały w domu siostry, i skierował się do drzwi. W kuchni na szafce zostawił wiadomość.

*Nie mogę tu siedzieć. Przepraszam. To zbyt bolesne.*

*Wiem, że przeżywasz ciężki okres, więc nie odejdę daleko. Wkrótce zadzwonię. Kocham cię. Dziękuję.*

*J.*

Przeszedł kilka kilometrów w stronę miasta. Zbliżając się do Hayden, czuł się tak, jakby brnął przez błoto. Znowu był zmęczony i wyczerpany. Nie chciał uciekać, nie chciał wciąż na nowo zmagać się z poczuciem winy, przyczajony w zapuszczonym, ciasnym motelowym pokoju.

Gdy podniósł głowę, jego wzrok zatrzymał się na tablicy informacyjnej: „Cmentarz Mountain View”. Po plecach przebiegł mu dreszcz. Ostatnim razem, kiedy tam był, lał deszcz. Obok niego stało dwóch policjantów, którzy kontrolowali każdy jego ruch. Grupa żałobników trzymała się w pewnej odległości. Wyczuwał ich potępienie, słyszał szepty.

Chciał się wycofać w trakcie ceremonii, lecz policjanci szarpnięciem wciągnęli go do szeregu.

„Nie mogę na to patrzeć” - wyszeptał łamiącym się głosem. „Trudno” - odparł jeden z nich i przytrzymał go.

Powinien teraz pójść na cmentarz. Jednak nie był w stanie; nie mógł uklęknąć na soczystej zielonej trawie przy jej nagrobku.

Zresztą nie znalazłby jej na cmentarzu. Więcej jej było w jego sercu niż pod szarym kamieniem.

Ominął miasteczko i powędrował przez puste pola nad rzekę. Jej cichy plusk przywołał dziesiątki wspomnień z ich młodości: dni, kiedy urządzali pikniki na brzegu, oraz nocy, gdy kochali się w ciemnym wnętrzu dodge'a chargera, którym wtedy jeździł.

Opadł na kolana.

- Cześć, Di. - Zacisnął powieki, walcząc z poczuciem winy. - Jestem w domu. Co dalej?

Letni wiatr nie przywiał odpowiedzi ani zapachu perfum Red. A jednak wiedział. Była zadowolona, że zakończył włóczęgę.

Otworzył oczy i zapatrzył się na srebrne zmarszczki na wodzie.

- Nie jestem w stanie pojechać do naszego domu. - Na samą myśl o tym robiło mu się słabo. Trzy lata temu wyszedł z ich domu na wyspie Bainbridge, nie oglądając się za siebie. W szafie nadal wisały jej rzeczy. Jej szczoteczka do zębów ciągle leżała na umywalce.

Nie ma mowy o tym, aby mógł tam wrócić. Jedyłą nadzieję, o ile w ogóle jest jakaś nadzieja, da taktyka małych kroków. Nie musi wracać do dawnego życia, wystarczy, że przestanie przed nim uciekać.

- Mógłbym znaleźć pracę w Hayden - powiedział po dłuższym milczeniu. Wiedział, że niełatwo mu będzie tu żyć. Tyłu ludzi pamięta to, co zrobił. Będzie musiał znosić ich spojrzenia... plotki. - Spróbuję.

Po tym postanowieniu znowu mógł swobodniej oddychać.

Spędził nad rzeką jeszcze godzinę; klęcząc na trawie, oddał się wspomnieniom. Na koniec podniósł się ciężko z ziemi i skierował z powrotem do miasteczka.

Nieliczni przechodnie kręcili się po ulicach, niejeden z nich z chmurną miną spoglądał mu w twarz, ale nikt go nie zaczepił. Odgadywał, kiedy go rozpoznawano, miał świadomość, że na jego widok dawni znajomi robili uniki i schodzili z drogi. Był już gotów zrezygnować z szalonego pomysłu szukania pracy, gdy znalazł się na końcu miasta. Stanął naprzeciwko Riverfront Park i wtedy zatrzymał wzrok na samochodach ustawionych rzę-

dem na szutrowym placyku za ogrodzeniem z luźno wiszących łańcuchów. Na dachu blaszanego baraku widniała tablica z reklamą Smitty'ego: „Najlepszy warsztat samochodowy w Hayden”.

Do ogrodzenia przyczepiono kartkę: „Potrzebny pomocnik. Doświadczenie mile widziane, ale nie czarujmy się”.

Joe przeszedł przez jezdnię i podszedł do wejścia.

Zaszczekał pies. Teraz zauważył tabliczkę z napisem: „Uwaga, pies!”

Po paru sekundach miniaturowy biały pudel wyskoczył zza narożnika.

- Madonna, stul ten cholerny pysk! - Starszy mężczyzna wyłonił się z wnętrza blaszaka. Miał na sobie poplamiony olejem kombinezon, a na głowie baseballówkę Marinersów. Dolną połowę twarzy zakrywała długa, siwa broda.

- Proszę nie zwracać uwagi na psa. Czym mogę służyć?

- Zauważyłem ogłoszenie o pomocniku.

- Bez żartów. - Mężczyzna klepnął się po udzie. - Wisi tam, odkąd Jeremy Forman poszedł na studia. Będzie ze dwa lata. Ja... - zamilkł i zbliżył się, powoli ściągając brwi. - Joe Wyatt?

Joe zeszywniał.

- Witaj, Smitty.

- A niech mnie! - sapnął głośno Smitty.

- Wróciłem i rozglądam się za robotą. Jednak gdybyś przeze mnie miał utracić klientów, zrozumiem. Nie będę miał za złe.

- Chcesz przykręcać śrubki? Jesteś lekarzem...

- Tamte czasy minęły.

Smitty wpatrywał się w niego przez dłuższy czas, po czym zapytał:

- Pamiętasz mojego syna, Phila?

- Był znacznie starszy ode mnie, ale tak, pamiętam. Jeździł czerwoną camarą.

- Wietnam go wykończył. Zapewne poczucie winy. Pomagał tutaj... Ech, widziałem już uciekających ludzi. To nic nie daje. Jasne, że cię zatrudnię, Joe. W dalszym ciągu mam służbówkę. Chcesz z niej skorzystać?

- Tak.

Smitty skinął głową i przeprowadził go przez blaszak. Wyszli tylnymi drzwiami na spore, zadbane podwórko. Kępy kolorowych kwiatów rosły wzdłuż ścieżki. Pośród wysokich świerków stał, przesłonięty gałęziami, niewielki drewniany domek. Z dachem porośniętym mchem i niebezpiecznie zapadniętym gankiem.

- Byłeś nastolatkiem, kiedy tu mieszkałeś. Myliły mi się te wszystkie dziewczyny, które tu przychodziły.

- Dawne dzieje.

- Taa - westchnął Smitty. - Helga nadal utrzymuje domek w nieskazitelnym porządku. Ucieszy się, że zamieszkasz.

Joe wszedł za Smittym do służbówki.

Wewnątrz było czysto jak zawsze. W pobliżu kominka z polnych kamieni stała stara skórzana sofa przykryta wełnianym pledem w czerwone pasy i fotel na biegunach. Kuchnia z blatami z imitacji żółtego marmuru wydawała się całkiem nieźle wyposażona, a w jednoosobowej sypialni pyszniło się sporej wielkości łożo z kolumnkami.

Joe uściśnął potężną dłoń Smitty'ego.

- Dziękuję - powiedział, zdumiony, że czuje taką głęboką wdzięczność. Ze wzruszenia ścisnęło go w gardle.

- Joe, w tym mieście jest sporo życzliwych ci ludzi. Zdaje się, o tym zapomniałeś.

- Miło mi to słyszeć. A jednak będę szczęśliwszy, jeśli przez jakiś czas nikt nie będzie wiedział, że tu jestem. Ja... niezbyt dobrze czuję się między ludźmi.

- Pewnie potrzeba dużo czasu, żeby wrócić do siebie po czymś takim.

- Bardzo dużo.

Kiedy Smitty wyszedł, Joe wygrzebał z plecaka jedną z oprawionych fotografii, które zabrał z domu siostry.

- To pierwszy krok - powiedział, wpatrując się w uśmiechniętą twarz Diany.

\*

Meghann obudziła się zupełnie zdezorientowana. Po pierwsze w pokoju było ciemno. Po drugie zupełnie cicho. Żadnych klaksonów, syren czy ostrzegawczych sygnałów manewrujących samochodów dostawczych. Początkowo zdawało się jej, że w pokoju na końcu korytarza gra radio. Potem zorientowała się, że to śpiewają ptaki. Ptasie trele, niesamowite!

Dom Claire.

Usiadła na łóżku. Wystrój pokoju gościnnego działał kojąco. Wszędzie ręcznie robione ozdóbki - dowód, że sprawom małej wagi poświęca się tu dużo czasu - a także „dzieła” Ali. Każdy wolny kawałek powierzchni zastawiony był fotografiami w ramach. W innym miejscu i czasie Meghann zapewne parsknęłaby śmiechem na widok jajka z kartonu, które, oklejone pomalowanym makaronem, pełniło rolę szkatułki na biżuterię. Tutaj, w domu siostry, przywoływało uśmiech na usta. Kiedy na nie patrzyła, wyobraziła sobie, jak Ali małymi, pulchnymi łapkami smaruje makaron klejem, przyczepia go i maluje. Claire klaszcze w dłonie, kiedy jajko jest gotowe, a potem z dumą ustawia je w widocznym miejscu. Ich matka nigdy nie miała czasu na takie rzeczy.

Ciche pukanie do drzwi, a po nim nieśmiałość:

- Meg?

Spojrzała na zegar przy łóżku.

Piętnaście po dziesiątej.

Cholera! Przetarła oczy, bo z niewyspania miała piasek pod powiekami. Jak zwykle przez całą noc przewracała się z boku na bok.

- Nie śpię! - zawołała, odrzucając kołdrę.

- Śniadanie na stole - poinformowała Claire przez zamknięte drzwi. - Idę oczyścić basen. Wyruszamy około jedenastej, o ile nie zmieniłaś zdania.

Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, dokąd mają jechać. Obiecała, że wybierze się z Claire i z jej przyjaciółkami do miasta, aby poszukać sukni ślubnej. Wyprawa do Hayden w to-

warzystwie dojrzałych kobiet, które nazywają siebie Blueserkami.

- Będę gotowa! - odkrzyknęła.
- To na razie!

Meghann słuchała oddalających się kroków Claire. Jak długo będzie odgrywać rolę w tej farsie pod tytułem: „Jestem twoją siostrą, cieszy mnie twój ślub?”. Prędej czy później ją poniesie, albo, co gorsza, nie ugryzie się w porę w język i słowa polecą jak pociski: „Nie możesz za niego wyjść. Nie znasz go. Bądź mądrzejsza”.

Żadna z tych rad nie będzie mile widziana.

Ponieważ jednak nie może wrócić do pracy i nie ma przyjaciół, których mogłaby odwiedzić, ani żadnych sensownych planów na wakacje, zajmie się organizacją uroczystości ślubnych siostry. Prawdę mówiąc, czy jest ktoś, kto mniej od niej nadaje się do tego?

Nie pamięta nawet, kiedy ostatnio była na ślubie. Ależ nie, pamięta!

To był jej ślub.

Oczywiście to nie ślub doprowadził do rozstania, po prostu źle się dobrali.

Wstała z łóżka i podeszła do drzwi. Uchyliła je i wyjrzała przez szparę. Wszędzie cisza. Pobiegła korytarzem do małej łazienki na piętrze. Na umywalce czekała nierozpakowana turystyczna szczoteczka do zębów, z pewnością z minisklepiku na terenie kurortu. Umyła zęby, po czym wzięła szybki gorący prysznic.

Pół godziny później była gotowa do wyjścia. Ubrała się tak samo jak wczoraj; w białą bluzkę od Dolce Gabbany i w dzinsy biodrówki Marca Jacobsa, ozdobione szerokim brązowym paskiem z okrągłą, srebrną klamrą.

Prędko posprzątała po sobie w łazience, posłała łóżko i wyszła z domu.

Starannie utrzymane podwórze lśniło w słonecznym blasku.



Był koniec czerwca, najpiękniejszy okres na północnym zachodzie. Soczysta zieleń starannie przyciętych krzewów i gęstwiny drzew tworzyła oprawę dla kolorowych kwiatów. W oddali, a wydawało się, że zaledwie na wyciągnięcie ręki, wznosił się ku chmurom granitowy trójkąt Formidable Peak.

Meghann rzuciła torebkę na fotel dla pasażera i wsiadła do porsche. Silnik z warkotem obudził się do życia. Jechała powoli, starając się nie wzbijać kurzu na żwirowej drodze. Dom od budynku administracyjnego dzieliła niewielka odległość, może z pięćset metrów, ale sandałki na wysokich obcasach nie nadawały się do chodzenia po drobnych kamykach.

Zajechała przed recepcję i zaparkowała samochód. Weszła do środka, ostrożnie stąpając po wilgotnej od rosy trawie.

Pusto.

Podeszła do kontuaru, gdzie leżała książka telefoniczna Hayden, i poszukała hasła: Śluby, wesela. Znalazła tylko jedną firmę. Royal Event Planning. I wypisany ozdobną czcionką slogan reklamowy: „Udawaj, że za mąż wychodzi się tylko raz”.

Uśmiechnęła się. Jakaś cyniczka z poczuciem humoru. Któż lepiej może służyć jej radą? Zapisała numer i wsunęła kartkę do torebki.

Znalazła Claire w sanitariacie na terenie kempingu; przepychała zapchaną muszlę. Roześmiała się na widok przerażonej miny Meghann.

- Poczekaj na zewnątrz, gruba rybo. Za sekundę do ciebie dołączę.

Zgodnie z obietnicą Claire zjawiła się prawie natychmiast.

- Umyję się i możemy ruszać. - Spojrzała na porsche. - Przyjechałaś samochodem? - Oddaliła się ze śmiechem.

Meghann wsiadła do samochodu i uruchomiła silnik. Automatycznie włączył się odtwarzacz i ryknęła muzyka - „Hotel Kalifornia”. Opuściła dach i czekała.

Wreszcie na ścieżce pojawiła się Claire w dżinsach i w białym podkoszulku z napisem: „Kurort nad Brzegiem Rzeki”. Rzuciła płócienną torbę za fotel i wsiadła.

- To się nazywa jazda do miasta w wielkim stylu.

Meghann nie wiedziała, czy zamierzała ją tą uwagą obrazić, więc na wszelki wypadek milczała. To była jej nowa mantra: Zamknij się i uśmiechaj.

- Długo spałaś - zauważyła Claire, ścisząc muzykę. - Sądziłam, że zazwyczaj chodzisz do kancelarii na siódmą.

- Nie mogłam wczoraj zasnąć.

- Meg, proszę, nie martw się o mnie.

To ciche „proszę” ją rozbroiło. Nie mogła pozwolić, aby siostra myślała, że to z powodu jej wesela cierpi na bezsenność.

- Nie chodzi o ślub. Mam problemy z zasypianiem.

- Od kiedy?

- Chyba od czasów studiów. Kułam po nocach do egzaminów. Wiesz, jak to jest.

- Nie, nie wiem.

Meghann starała się oszczędzić siostrę, ukrywając fakt, że zaczęła cierpieć na bezsenność, gdy rozpadła się rodzina, lecz, niestety, studia okazały się złym wykrętem. Dla Claire było to kolejne przypomnienie o tym wszystkim, co je podzieliło; jeszcze jeden przykład wyższości Meghann. Przez lata Claire wymykały się uwagi na temat starszej zdolnej siostry, która wcześniej rozpoczęła studia. Temat był drażliwy.

- Z tego, co słyszałam, macierzyństwo też nie sprzyja wysypianiu się.

- Mama mówiła, że miałam kolki. To prawdziwa udręka.

- Jasne, mama wie najlepiej. Nie miałaś kolek. Przyplątało ci się zapalenie ucha. Kiedy byłaś chora, wyłaś jak potępieniec. Nosiłam cię taką ryczącą do samoobsługowej pralni. Jeśli usiadłam z tobą na rękach na suszarce, prędzej czy później zasypiałaś. Mama się dziwiła, gdzie znikają ćwierćdolarówki.

Meghann czuła na sobie spojrzenie Claire. Usiłowała znaleźć jakiś temat, skierować rozmowę na inne tory, ale nic jej nie przychodziło do głowy.

Wreszcie milczenie przerwał nieco gorzki śmiech Claire.

- Nic dziwnego, że godzę się na pranie. Skręć tutaj.

Znowu znalazły się na bezpiecznym gruncie; ona i Claire, każda na swoim brzegu.

- To tutaj. - Claire wskazała na stary wiktoriański budynek, pomalowany na słodki róż z detalami w kolorze lawendy. Żwirowa ścieżka biegła przez idealnie przycięty trawnik. Wzdłuż niej rosły krzaki róż obsypane paşowymi kwiatami. Na płocie z białych sztachet tkwił ręcznie namalowany szyld: „Szufladki panny Abigail. Zajrzyj do środka”.

Meghann spojrzała na fikuśny dom.

- Mogłybyśmy wyskoczyć do Escady albo do Nordstromu...

- Meg, znowu zaczynasz.

- Dobra. - Westchnęła. - Zamieniam się w Tammy Faye. Albo jeszcze lepiej w Smali Town Sally. Prowadź. Obiecuję trzymać buzię na kłódkę.

Wspięły się po chwiejnych schodkach i weszły do środka. Wszędzie leżały sztuczne kwiaty, ramki do zdjęć wyklejone muszelkami i ozdoby choinkowe z pokolorowanego ciasta. Na ekranie przed kominkiem płonęły wotywnie świece.

- Haloo! - zawołała Claire.

Natychmiast odpowiedział jej kobiecy głos i tupot ciężkich kroków.

Tęga, starsza kobieta wytoczyła się z narożnika. Siwe włosy skrócone w ciasne kędziorki podskakiwały jak u Cindy z „Brady Bunch”. Miała na sobie luźną, przymarszczoną na ramionach suknię w kwiaty, a na nogach papucie z pomponami.

- Claire Cavanaugh, cieszę się, że w końcu mogę cię zaprowadzić na pierwsze piętro.

- Na pierwszym piętrze są ślubne suknie - wyjaśniła Claire. - Abby już położyła na mnie krzyżyk.

Zanim Meghann zdążyła odpowiedzieć, dwie inne kobiety wbiegły do pomieszczenia. Jedna, niska w workowatej sukni bez zaznaczonej talii i w białych tenisówkach. Druga wysoka, chuda, ubrana elegancko w beżowe jedwabie.

Dwie z Blueserek. Meghann je kojarzyła, ale za żadne skarby nie potrafiła dopasować imion do twarzy.

Workowata kiecka, jak się dowiedziała, to Giną, beżowe jedwabie - Charlotte.

- Karen się dzisiaj nie wyrobiła - poinformowała Giną, zerkając spod oka na Meghann. - Willie ma wyznaczoną wizytę u ortodonta, a Dottie usiadła na okularach.

- Krótko mówiąc - podsumowała Charlotte - typowy dzień Karen.

Po czym wszystkie zaczęły mówić jednocześnie.

Meghann obserwowała, jak Claire oddała się w towarzystwie Charlotte i Abby. Rozmawiały o gipiurach, paj etach i welonach.

Meg chodziła po głowie tylko jedna myśl: Idealnym ślubnym dodatkiem jest intercyza. Dlatego czuła się o całe dziesiątki lat starsza od tych kobiet i nic jej z nimi nie łączyło.

- Tak więc, Meghann, ostatni raz widziałyśmy się, kiedy Alison była noworodkiem. - Giną stanęła przy niej niczym potężny dźwig. - Teraz przyjechałaś na ślub.

Przyjaciółki Claire miały ten szczególny dar niezbyt subtelnego przypominania Meghann, że tutaj nie należy.

- Cześć, Gino. Miło cię znowu widzieć.

- Jestem zaskoczona, że udało ci się wyrwać z kancelarii. Podobno jesteś najlepszą specjalistką od rozwodów w całym Seattle.

- Nie przepuściłabym ślubu Claire.

- Znam jedną panią mecenas od rozwodów. Sprawnie rozbija rodziny.

- To nasza praca.

Wyraz oczu Giny uległ zmianie.

- Czy czasami je scalacie? - zapytała ciszej.

- Raczej rzadko.

Twarz Giny jakby się zapadła, rysy ściągnęły i Meghann zrozumiała:

- Jesteś w trakcie rozwodu?

- Właściwie po. - Giną zdobyła się na uśmiech. - Powiedz mi, że się pozbieram.

- Pozbierasz się - zapewniła ją łagodnie Meghann - ale to

może trochę potrwać. Istnieją grupy wsparcia, to by ci mogło pomóc. - Sięgnęła do torebki.

- Od wypłakiwania się mam Blueserki, niemniej dzięki. Doceniam twoją szczerść. A teraz chodźmy na górę wybrać idealny ślubny strój dla twojej siostry.

- W Hayden?

Giną zbyła to pytanie śmiechem i poprowadziła Meg na górę. Kiedy tam weszły, Claire mierzyła już pierwszą suknię. Miała bufiaste rękawy i dekolt w kształcie serca, a spódnicę jak odwrócona filizanka. Meg usiadła na ozdobnym białym fotelu bujanym. Giną stanęła za nią.

- Och, cudowna! - zachwycała się Abigail. - Została przeceniona, trzydzieści trzy procent taniej.

Claire oglądała się ze wszystkich stron w wysokim tremo.

- Jak królowa z bajki - zauważyła Charlotte.

Claire spojrzała na siostrę.

- I jak?

Meghann nie była pewna, czego się od niej oczekuje. Szczerści czy wsparcia. Spojrzała jeszcze raz i już wiedziała, że nie jest w stanie wesprzeć Claire.

- Nic dziwnego, że tę suknię przeceniono. Jest koszmarna.

Claire zeszła z podwyższenia i udała się na poszukiwanie innych modeli.

Kiedy zniknęła, Charlotte i Abigail zmierzyły Meghann wzrokiem. Żadna się nie uśmiechała.

Była zanadto szczerza - częsta wada - a teraz stała się podejrzana. Obca.

Ani słowem nie skomentuje następnej sukni. W żadnym wypadku.

- Co sądzicie? - spytała Claire po chwili.

Meg niespokojnie poruszyła się w fotelu. To jakiś żart? Suknia wyglądała jak strój ludowy. Może nadawałaby się na rozdanie nagród na konkursie muzyki country. Brakowało jedynie skopka na mleko ozdobionego koralikami. Była okropna. Koniec, kropka. No i tandetna aż do bólu.

Claire w skupieniu przeglądała się w lustrze, kręcąc się to w lewo, to w prawo. Potem odwróciła się do Meghann.

- Coś taka cicha?

- Zbiera mi się na wymioty. Nie mogę rozmawiać.

Uśmiech Claire zamarł.

- Czyli na nie.

- Tania kiecka z Bon Marche musi być „na nie”. Ta szmatka upstrzona koronkami mówi jednoznacznie - zwi-jaj-my się stąd, bo chy-ba stra-ci-łaś ro-zum.

- Uważam, że to lekka przesada - uniosła się Abigail, wydymając usta jak barwna welonka.

- To jest jej ślub - powiedziała Meg - a nie przymiarka kostiumów do „Domku na prerii”.

- Moja siostra zawsze przesadza - zauważyła cicho Claire, wracając do przymierzami.

Meghann westchnęła. Znowu wszystko schrzaniła; jej uwaga była niczym uderzenie obuchem w głowę. Wsunęła się głębiej w fotel i zacisnęła usta.

Reszta popołudnia zmieniła się w ogłupiający pokaz tandety. Claire wbijała się w suknię, wysłuchiwała opinii, po czym się rozbierała i mierzyła następną. Nie pytała więcej Meghann o zdanie, a ona z kolei nie zamierzała się wychylać. Siedziała wyciągnięta, z głową opartą o ścianę.

Obudził ją szturchaniec pod żebro. Zamrugła i podskoczyła w fotelu. Charlotte, Abigail i Claire oddalały się w kierunku pomieszczenia z napisem: „Kapelusze i welony”.

Gina mierzyła ją wzrokiem.

- Słyszałam, że potrafisz być jędrą, ale żeby zasnąć, gdy własna siostra mierzy ślubne suknie, to doprawdy chamstwo.

Meghann przetarła oczy.

- To jedyny sposób, żeby nie zabierać głosu. Widziałam lepsze kreacje na kelnerkach U Danny'ego. Uwierz mi, oddałam jej przysługę. Czy coś wybrała?

- Nie.

- Aż mam ochotę powiedzieć „dzięki Bogu”, ale boję się, że

w mieście jest więcej sklepów. Dlaczego nazwałaś mnie jędzą? - zachnęła się. - Czy Claire tak o mnie mówi?

- Nie. Tak. Czasem. Wiesz, jak to jest, kiedy się pije margaryty w kiepski dzień. Karen mówi o swojej siostrze „Susan, bezduszną psychopatką”. Claire ma dla ciebie przydomek „Szczęki”.

Meghann zamierzała się uśmiechnąć, ale nic z tego nie wyszło.

- Uhm.

- Wiesz, pamiętam, kiedy się tu przeprowadziła - zaczęła z namysłem Gina. - Była cicha jak myszka i płakała, gdy tylko ktoś krzywo na nią spojrział. Przez wiele lat mówiła, że tęskni za siostrą. Dopiero po maturze dowiedziałyśmy się, co się stało.

- Chciałaś powiedzieć, co ja zrobiłam.

- Nie mnie osądzać. Cholera, też otarłam się w życiu o gówna, a macierzyństwo to najcięższa robota pod słońcem. Nawet jeśli dorostaś i jesteś do tego gotowa. Chcę powiedzieć, że Claire to wszystko mocno przeżywa, a kiedy jest jej naprawdę ciężko, zmienia się w Chodzącą Uprzejmość. Jest naprawdę miła, tyle że temperatura w pokoju spada o dwadzieścia pięć stopni.

- W takim razie przez cały dzień powinnam siedzieć w płaszczu.

- Nie zrażaj się. Czy ona się do tego przyznaje, czy nie, twoja obecność wiele dla niej znaczy.

- zaproponowałam jej, że zajmę się przygotowaniem wesela.

- Jesteś odpowiednią osobą.

- O tak - westchnęła. - Wielce romantyczną.

- Musisz jedynie słuchać, co mówi Claire. Naprawdę jej słuchaj, a potem zrób wszystko, żeby jej marzenie się spełniło.

- Może zajęłabyś się zdobywaniem informacji, a potem mi je przekazywała. Coś w rodzaju misji CIA.

- Kiedy ostatnio usiadłaś z siostrą przy drinku i po prostu porozmawiałaś?

- Powiedzmy, że byłyśmy za młode na picie wina do kolacji.

- Tak mi się wydawało. Zrób to teraz.

- Alison...

- Sam zajmij się Ali. Skontaktuję się z nim. - Otworzyła to-

rebkę i grzebała w niej jakiś czas, aż wyciągnęła skrawek papieru. Napisała coś na nim i podała Meghann. - To numer mojej komórki. Zadzwoń do mnie za godzinę, a dam ci znać, jak wygląda rozkład zajęć Ali.

- Claire nie będzie chciała ze mną wyjść. Nie po tym, jak obrzydziłam jej suknie.

- I w dodatku zasnęłaś. Chrapanie było szczególnie bezczelne. Z tego co słyszałam od Claire, potrzeby i pragnienia innych ludzi nie bardzo cię obchodzą.

- Nie owijasz niczego w bawełnę, prawda?

- I stąd rozwód. Zaproś Claire na kolację. Pójdźcie do kina. Pooglądajcie kwiaty na wiązankę. Zachowaj się jak siostra. Najwyższy czas.

## 13

Claire wiedziała, że z wyrazu jej zaciętych ust można wyczytać, jak bardzo jest niezadowolona. Do mistrzostwa doprowadziła umiejętność okazywania gniewu bez wypowiedzania słów, których mogłaby potem żałować. Jej tata często to komentował. „Rany, Claire - mawiał - nikt inny nie umie się na mnie wydzierać bez jednego słowa. Któregoś dnia cały ten tłumiony gniew zatka ci gardło i się udławisz”.

Zerkała na siostrę siedzącą za kierownicą. Prowadziła za szybko, czarne włosy powiewały jak u jakiejś wschodzącej gwiazdki filmowej. Oczy zasłaniały słoneczne okulary, które zapewne kosztowały więcej niż wszystko, co Claire miała na sobie.

- Dokąd jedziemy? - zapytała po raz czwarty.

- Zobaczysz. - Za każdym razem ta sama odpowiedź. Lakoiczna i bezceremonialna. Jakby Meghann bała się powiedzieć więcej.

Zasnęła.

Przecież nie oczekiwała od siostry za wiele. Do diabła, mija się z prawdą. Nie spodziewała się, że Meghann zechce uczestni-



czyć w zabawie, jaką miało być kupowanie sukni ślubnej. Meghann, która dobrze się bawi w towarzystwie jej przyjaciółek? Niemożliwe.

Najbardziej wkurzało ją to, że zapytała Meg o zdanie, mimo że były tam Gina i Charlotte. Wyraźnie ujawniła swoje pragnienia. „Meghann, jak sądzisz?”

Dwukrotnie ją zapytała. Po drugim razie naprawiła błąd i całkowicie zignorowała Meghann.

A potem usłyszała chrapanie.

Wtedy właśnie łzy zakręciły się jej w oczach.

Niewiele zmieniło to, że żadna z sukien się nie nadawała i że obecnie nawet brzydkie suknie są drogie, ani też to, że pod koniec popołudnia zaczęła się zastanawiać, czy biała letnia sukienka nie byłaby bardziej praktycznym rozwiązaniem. Właściwie wtedy jeszcze bardziej chciało jej się płakać. Natomiast teraz była wściekła. Meghann popsuje wesele, to pewne jak dwa razy dwa jest cztery. Jej siostra jest niczym wirus przenoszony przez powietrze. Dziesięć sekund w jej towarzystwie i człowiek zaczyna źle się czuć.

- Muszę wracać do Ali - oznajmiła Claire, również po raz czwarty.

- Wróć.

Claire zaczerpnęła powietrza. Dość tego.

- Posłuchaj, Meg, co do planowania wesela naprawdę, ty...

- Jesteśmy na miejscu. - Meg zaparkowała srebrne porsche na ulicy. Zanim Claire zdążyła cokolwiek powiedzieć, wysiadła z samochodu i podeszła do parkometru.

- Chodź!

Były teraz w centrum Seattle, na terytorium Meg. Zapewne zechce się pochwalić swoim dużym, drogim kondominium.

Claire nachmurzyła się. Samochód był zaparkowany u stóp długiej, łagodnie wznoszącej się pochyłości. Może z sześć przecznic przed nimi znajdował się Public Market. Za nimi, oddalona również o kilka przecznic, przystań promowa. Uliczny grajek wygrywał na saksofonie jakąś smutną melodię; muzyka płynęła

ponad ulicznym zgiełkiem. Po lewej stronie kamienne stopnie prowadziły na dziedziniec kompleksu kondominiów; po przeciwnej stronie ulicy Diamond Parking z wieloma pustymi miejscami o tej porze dnia.

- Tutaj mieszkasz? - zapytała Claire, kiedy wzięła torbę i wysiadła. - Zawsze wyobrażałam sobie ciebie w jakimś szklanym wysokościowcu.

- Wiele razy cię zapraszałam.

- Dwukrotnie. Zaprosiłaś mnie, kiedy mama przyjechała do miasta na zlot fanów i raz na Boże Narodzenie. Odwołałaś świąteczny obiad, bo złapałaś grypę, a mama wzięła nas na kolację do Canlis.

- Naprawdę? - Meghann wyglądała na zaskoczoną. - Wydawało mi się, że wiele razy cię zapraszałam, żebyś zobaczyła, jak mieszkam.

- Tak, ale nigdy nie zaproponowałaś konkretnego dnia ani godziny. Miałam wpaść do ciebie przy okazji wizyty w mieście. Ważna wiadomość: nigdy nie bywam w mieście.

- Wydajesz się nieco naburmuszona.

- Rzeczywiście? Nie rozumiem dlaczego. - Claire zarzuciła torbę na ramię i zrównała się z Meghann, która maszerowała pod górę jak generał Patton. - Musimy porozmawiać o ślubie. Twoje zachowanie dziś rano...

- To tu - oznajmiła Meghann, zatrzymując się przed wąskimi białymi drzwiami z wystawami po obu stronach. Napis na skromnej metalowej tabliczce głosił: „Modele znanych projektantów”. Za szybą mężczyzna w wytwornym czarnym garniturze w skupieniu zdejmował ubranie z manekina. Dostrzegł Meghann i zapraszająco skinął ręką.

- Co to za miejsce?

- Pozwoliłaś mi zająć się przygotowaniem wesela, tak?

- Właśnie usiłuję z tobą o tym pomówić. Niestety, masz słabo rozwiniętą umiejętność słuchania.

Meg otworzyła drzwi i weszła do środka.

Claire zawahała się.

- No, chodź! - Meghann czekała na nią przed windą.

Sekundę później zadźwięczał dzwonek i drzwi windy się rozsunęły. Weszły do środka, a drzwi zamknęły się bezszelestnie.

- Przepraszam za rano - powiedziała w końcu Meghann. -  
Wiem, że dałam plamę.

- Zdrzemnąć się to jedna rzecz, ale chrapanie to całkiem inna sprawa.

- Wiem. Przepraszam.

- I w tym właśnie problem, Meg. Nie masz jeszcze dość? Na zmianę ciągle się za coś przepraszamy, ale nigdy...

Winda otworzyła się.

Claire zaparło dech.

Meg położyła rękę na jej ramieniu i lekko pchnęła do przodu. Potykając się o próg, Claire wylądowała w sklepie.

Tylko że to nie był sklep. To tak, jakby ktoś nazwał Disneyland wesołym miasteczkiem.

Wszędzie stały upozowane manekiny w ślubnych sukniach tak precyzyjnych, jakich w życiu nie widziała.

- O mój Boże! - westchnęła, przesuwając się o krok. Przed sobą miała kreację z połyskliwego jedwabiu w kolorze kości słoniowej, o odsłoniętych ramionach, z długą, zebraną w tali spódnicą, opadającą miękkimi fałdami. Pogładziła materiał - chyba nigdy nie dotykała czegoś tak delikatnego - i zerknęła na metkę: Escada \$ 4,200.

Czym prędzej cofnęła rękę i odwróciła się ku Meghann.

- Chodźmy stąd. - Dusilo ją w gardle. Znowu była tamtą małą dziewczynką, która stojąc w korytarzu, podgląda rodzinę przy wspólnej kolacji.

Meghann przytrzymała ją za nadgarstek.

- Chcę, żebyś tutaj przymierzyła suknie.

- Nie mogę. Wiem, że to w twoim stylu, Meg. Ale... zanadto boli. Ja pracuję na lotnisku.

- Claire, nie mam ochoty powtarzać tego samego dwa razy, posłuchaj więc, proszę, i uwierz w to, co mówię. Spędzam w pracy osiemdziesiąt cztery godziny tygodniowo, a moi klienci płacą

mi blisko czterysta dolarów za godzinę. Nie przechwalam się. Tak to wygląda. Pieniądzy mi nie brakuje. Sprawisz mi radość, pozwalając sprezentować sobie suknię do ślubu. To, co rano oglądałyśmy, nie nadaje się dla ciebie. Przykro mi, że widzisz we mnie jędzę i snobkę, ale takie jest moje zdanie. Proszę cię. Pozwól mi to dla ciebie zrobić.

- Meghann Dontess! - odezwał się kobiecy głos, zanim Claire zdążyła odpowiedzieć. - W salonie ślubnym! Nie do wiary!

Wysoka, smukła jak trzcina kobieta w granatowej obcisłej sukience zmierzała ku nim energicznym krokiem, a jej niewiarygodnie wysokie obcasy stukały na marmurowej podłodze. Jasnoblond włosy z siwymi pasemkami układały się w puszystą fryzurę w stylu Meg Ryan.

- Witaj, Riso! - powiedziała Meg, wyciągając do niej rękę. Kobiety uściśniły sobie dłonie, po czym Risa przeniosła spojrzenie na Claire.

- To młodsza siostrzyczka naszej pani mecenas, tak?

Claire wychwyciła w jej wymowie ślad akcentu ze wschodniej Europy. Może nawet rosyjskiego.

- Jestem Claire.

- A Meghann wydaje cię za męża.

- Raczej odradza mi zamążpójście.

Risa zaśmiała się, odchylając głowę.

- Oczywiście, że odradza. Sama dwukrotnie słyszałam od niej takie uwagi i zapewne powinnam była usłuchać, ale miłość ma swoje prawa. - Odstąpiła o krok i zlustrowała Claire od stóp do głów.

Claire zacisnęła palce lewej ręki, ukrywając obrączkę z folii.

Risa postukała paznokciem pokrytym ciemnym lakierem w przednie zęby.

- Nie tak ją sobie wyobrażałam - zwróciła się do Meghann. - Mówiłaś, że siostra jest z prowincji i wychodzi za męża gdzieś na odludziu.

Claire nie wiedziała, czy ma się roześmiać, czy przyłożyć Meghann.

- Mieszkam w małym miasteczku. Podobnie jak kiedyś Meghann.

- Aaa, to pewnie tam zostawiła serce, tak? - Risa ponownie zabębniła paznokciem o zęby. - Jesteś śliczna - powiedziała na koniec. - Zdaje się, rozmiar dziesięć, ewentualnie dwanaście. No i nie będzie trzeba wypychać staniczka. - Odwróciła się do Meghann. - Czy dasz radę umówić ją z Renaldem? Włosy...

- Spróbuję.

- Musimy podkreślić te piękne oczy. Niesamowicie niebieskie. Przywodzą mi na myśl żonę Brada Pitta. Tę nerwową z „Przyjaciół”. Tak. Właśnie tak wygląda twoja siostra. Myślę, że najlepiej wybrać coś klasycznego. Prada. Valentino, Armani. Wang. Może któryś ze starszych modeli Azzaro. Chodźcie! - Odwróciła się i ruszyła przed siebie, chwytając po drodze jedną z sukien.

Claire spojrzała na Meghann.

- Armani? Vera Wang? - Potrząsnęła głową, nie potrafiąc się zdobyć na: Nie możesz tego zrobić. To byłaby właściwa reakcja, tak właśnie powinna postąpić, ale słowa protestu utknęły jej w gardle. Jaka dziewczynka nie marzyła o takiej chwili? Szczególnie taka, która wierzy w miłość mimo wielu złamanych obietnic.

- Zawsze możemy stąd wyjść, niczego nie kupując - uspokajała ją Meg. - Przymierz. Choćby dla zabawy.

- Dla zabawy.

- Pospieszcie się, panie! Nie mogę wam poświęcić całego dnia! - Donośny głos Risy zelektryzował Claire, każąc jej ruszyć przed siebie.

Meghann trzymała się z tyłu, kiedy Risa chodząc od wieszaka do wieszaka, zbierała naręczę sukien.

Kilka minut później Claire znalazła się w garderobie większej od jej sypialni, wyposażonej w lustra sięgające sufitu. Na środku znajdowało się małe podwyższenie.

- Proszę. Przymierz coś. - Risa delikatnie popchnęła ją do przymierzalni.

Weszła do środka, gdzie na wieszakach czekało na nią kilka ślubnych kreacji. Oszałamiająca suknia z białego jedwabiu od Ralpa Laurena ze stanikiem z gipiury wyszywanej koralikami. Romantyczny model Prądy w brzoskwiowym odcieniu z marszczonymi bufkami i nieco asymetryczną linią dołu. Był też futerał od Armaniego z białego jedwabiu; szczyt prostoty z głębokim dekoltem w szpic i z seksowną draperią z tyłu.

Claire powstrzymała się od zerkania na ceny. To była jej magiczna chwila. Mogła sobie pozwolić na wszystko. Ściągnęła pomięte dzinsy i roboczy podkoszulek i cisnęła je na podłogę. (Wolała nie patrzeć na sprany biustonosz z domu towarowego JCPenney i majteczki Jockey-for-Her).

Suknia Ralpa Laurena opadła jej na ramiona jak obłok i spłynęła po nagim ciele. Od szyi w dół wyglądała jak Kim Basinger w „Tajemnicach Los Angeles”.

- Chodź tu, kochanie! Pokaż się - poprosiła Risa.

Claire otworzyła drzwi i wyszła z przymierzalni.

Usłyszała szmer zachwytu. Potem Risa krzyknęła:

- Pantofle! - Szybko dokądś pobiegła.

Meghann stała z naręczem sukien. Z jej lekko rozchylnych ust wyrwało się ciche westchnienie.

Claire promieniała. Jednocześnie nie wiadomo, dlaczego zbierało jej się na płacz.

- Ten Ralph Lauren ma styl. Oczywiście mój samochód kosztował mniej od tej sukni. - Weszła na podwyższenie i przejrzała się w lustrze. Nic dziwnego, że Meghann pogardliwie potraktowała suknie, które zaproponowała Abigail.

Wróciła Risa, machając parą sandałów z białych paseczków na wysokich obcasach.

- Myślisz, że ja jestem Carrie Bradshaw? - Claire parsknęła śmiechem. - Na takich obcasach dostanę krwotoku z nosa. Nie mówiąc o tym, że kiedy się przewrócę, mogę złamać nogę.

- Cicho. Nałóż je.

Claire posłusznie wykonała polecenie i stanęła nieruchomo. Każdy oddech groził utratą równowagi i upadkiem z podium.

- Och! Ta wasza matka! Nie nauczyła cię chodzić na obcasach. To zbrodnia. Przyniosę czółenka. - Ostatniemu słowu towarzyszył lekki grymas.

- Mama nauczyła nas jedynie, jak chodzić w butach, z których się wyrosło. - Meghann zaśmiała się, kiedy Risa zniknęła.

- Ona zawsze miała nowe pantofle.

- O dziwo.

Wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, a gdy wróciły do tańniejszości, Claire poczuła ukłucie żalu.

- Wydaje mi się, że ten materiał jest za wiotki, nie sądzisz? - spytała.

Uznała, że najlepiej, jeśli znajdzie jakąś wadę w każdym z modeli, wtedy siostra nie będzie musiała wydać na nią tyle pieniędzy.

- Za wiotki? - obruszyła się Meghann. - Wyglądasz fantastycznie.

- Opiera się na każdej wypukłości. Musiałabym mieć pod spodem bieliznę zrobioną w zakładach Boeinga.

- Claire, to rozmiar dziesięć. Jeszcze jedna podobna uwaga • i uznam, że kwalifikujesz się do Ligi Żon Hollywoodu z Nerwicowymi Zaburzeniami Pokarmowymi.

Potem Claire przymierzyła wiele innych sukien; każda była piękniejsza od poprzedniej. Czuła się jak księżniczka, a odrzucanie wszystkich strojów po kolei wcale nie psuło jej przyjemności. W każdym modelu znajdowała jakiś mały defekt. „Rękawy za krótkie, za szerokie, zanadto przymarszczone... Dekolt za grzeczny, zbyt seksowny, zanadto klasyczny... W tej się nie czuję swobodnie”.

Widziała, że Meghann popada w coraz większą frustrację. Przynosiła kolejne naręcza sukien.

- Masz, przymierz jeszcze te - powtarzała za każdym razem, wykazując niezwykłą jak na nią cierpliwość.

Risa dawno poszła zająć się innymi klientkami.

Wreszcie Claire została już tylko jedna suknia. Meghann osobiście ją dla niej wybrała. Bardzo elegancka, biała, ze stanicz-

kiem na ramiączkach, wyszywanym gęsto koralikami, i spódnicą z jedwabnej tafty, która układała się w miękkie fałdy.

Claire zdjęła biustonosz i włożyła suknię. Wyszła z przymierzami, kończąc zaciągając zamek na plecach.

Meghann nie odezwała się słowem.

Claire zmarszczyła czoło. Słyszała donośny głos Risy pogrążonej w rozmowie z klientką w innym końcu salonu.

Popatrzyła na siostrę.

- Jesteś dziwnie cicha. Czy powinnam rozpocząć akcję ratunkową, żeby wydobyć obce ciało z tchawicy?

- Spójrz do lustra.

Claire uniosła ciężką spódnicę i wstała na podwyższenie. Powoli odwróciła się do wielkiego trema.

Kobieta, która na nią spoglądała, nie była Claire Cavanaugh. O nie. Ta kobieta nie zrezygnowała ze studiów w stanowym college' ^ wybierając kurs kosmetyczny tylko po to, żeby wkrótce go rzucić... nie urodziła nieślubnego dziecka, bo jej chłopak nie chciał się z nią ożenić... i na pewno nie prowadziła letniska, udając, że zarządza kurortem.

Ta kobieta jeździła limuzyną i piła szampana ze smukłych kieliszków. Sypiała w jedwabnej pościeli i zawsze miała ważny paszport.

To była kobieta, jaką mogłaby zostać, gdyby studiowała w Nowym Jorku, a potem odbyła staż w Paryżu. Może to była ta kobieta, którą jeszcze ma szansę się stać?

Jak to możliwe, żeby suknia podkreślała wszystko to, co w życiu się nie udało, a jednocześnie dyskretnie obiecywała widoki na przyszłość? Oczyma wyobraźni zobaczyła wyraz twarzy Bobby'ego, jak patrzy na nią, kiedy idzie nawa. Bobby'ego, który przyklęknął na kolano i poprosił, żeby została jego żoną. Gdyby zobaczył ją w tej sukni...

Meghann zbliżyła się i weszła na podwyższenie.

Stały teraz obok siebie, córki mamy; kiedyś bliższe sobie niż siostry, a teraz takie dalekie.

Meghann położyła dłoń na nagim ramieniu Claire.



- Nawet nie próbuj doszukiwać się jakiejś wady w tej sukni.
- Nie spozrzałam na cenę, ale...

Meghann przedarła metkę na pół.

- I nie spojrzysz. - Odwróciła się i skinęła ręką: - Riso! Możesz tu podejść?

Claire spojrzała na siostrę.

- Wiedziałaś, prawda? Sama ją wybrałaś.

Meg stłumiła śmiech.

- To Vera Wang, skarbie. Oczywiście, że wiedziałam. Wiedziałam też od początku, że przesadnie się bronisz, że nie chcesz, bym kupiła ci sukienkę.

- Nie tyle nie chcę...
- Claire, nie przejmuj się. Dla mnie fakt, że życzysz sobie, żebym była na twoim ślubie, ma ogromne znaczenie.

- Należysz do rodziny - odparła Claire po dłuższej pauzie. Ta rozmowa była niezręczna i przybierała nieco niebezpieczny obrót. Przypominała ślizganie się na łyżwach po kruchym lodzie na stawie, który w każdej chwili może się załamać pod ciężarem łyżwiarza. - Dziękuję ci za tę suknię. Jest... - Głos jej zadrżał. - Zawsze o takiej marzyłam.

Dopiero teraz Meg się uśmiechnęła.

- No wiesz, to, że nie wierzę w małżeństwo, wcale nie oznacza, iż nie potrafię urządzić bajeranckiego wesela.

Risa weszła do garderoby z zarumienionymi policzkami, niosąc w ramionach stos sukien.

- Wang - powiedziała cicho, kierując spojrzenie na Meg. - Od razu mówiłaś, że ją wybierze.

- Zgadłam.

- Wygląda jak kwintesencja miłości, czyż nie? - Risa odwieściła zbędne suknie i podeszła do Claire. - Hm, będziemy musiały zebrać ją trochę w biuście - odrobinę, nie sądzisz? - i wypuścić w tali. No i trzeba dobrać welon. Coś eleganckiego, tak? Niezbyt strojny. Jakie pantofelki nałożysz? - Zaczęła zbierać materiał i upinać go szpilkami.

- Te czółenka mi odpowiadają.

Risa przyklęła, żeby podpiąć dół.

- Nie będę skracać spódnicy na wypadek, gdybyś zmieniła zdanie w sprawie pantofli, co koniecznie musisz zrobić. Wszystko będzie w porę gotowe - obiecała na koniec, po czym pospiesznie się oddaliła.

Gdy zniknęła, Claire odczekała chwilę i zapytała:

- Skąd wiedziałaś, że wybiorę właśnie tę suknię?

- Podśluchałam, jak rozmawiałaś z Elizabeth na moim weselu. Powiedziałaś, że ślubna suknia powinna być prosta. Miałaś rację. Moja wyglądała jak strój z cyrku. - Meghann uśmiechnęła się na siłę. - Może dlatego Erie mnie zostawił.

Claire usłyszała żal w głosie siostry, ciekim, cichym i lekko drżącym. Zdziwiło ją to. Zawsze wyobrażała sobie Meg jako osobę twardą niczym stal.

- Zranił cię, prawda?

- Pewnie, że zranił. Najpierw złamał mi serce, a potem chciał mnie oskubać z pieniędzy. Byłoby o wiele łatwiej, gdybym spisała intercyzę. Albo jeszcze lepiej, żyła z nim na kocią łapę, zamiast się pobierać.

Claire musiała zareagować uśmiechem na tę niezbyt subtelną uwagę. W tym kontekście brzmiała sensownie.

- Jeśli ślub z Bobbym okaże się błędem, to ja ten błąd mam ochotę popełnić.

- Jasne. To właśnie typowe w miłości. Nieodmiennie towarzyszy jej optymizm. Nic dziwnego, że wybieram seks. Posłuchaj, co byś powiedziała, gdybyśmy kupiły coś na wynos w Wild Ginger i zjadły u mnie?

- Alison...

- ...je kolację u Zeke'a, a potem z Samem i Bobbym idzie do kręgielni. Zadzwoiłam do Giny z Everett.

- Bobby spędza wieczór w kręgielni. - Claire się uśmiechnęła. - I ty nie wierzysz w miłość. A teraz pomóż mi zdjąć suknię. - Claire zebrała śliską taftę i ruszyła ostrożnie do przymierzalni. Już miała zamknąć za sobą drzwi, gdy coś ją tknęło. - Meghann, twoja ślubna suknia była piękna i ślicznie w niej wy-

glądałaś. Mam nadzieję, że nie uraziłam cię tą uwagą. Byłyśmy z Elizabeth po kilku drinkach.

- Rękawy przypominały otwarte parasolki. Bóg jeden wie, dlaczego ją wybrałam. Nie, to nieprawda. Niestety, odziedziczyłam gust po mamie. Kiedy tylko zaczęłam porządnie zarabiać, wynajęłam profesjonalistkę do poważniejszych zakupów. Niemniej, dzięki za przeprosiny.

Claire zamknęła drzwi i przebrała się w swoje rzeczy. Następna godzina upłynęła im na przymierzaniu welonów i butów. Kiedy wszystko załatwiły, Meghann wzięła Claire pod rękę i wyprowadziła z salonu.

Zaparkowała przed Wild Ginger, blokując pozostawiony przy krawężniku samochód, pobiegła do restauracji i po trzech minutach wyłoniła się stamtąd z papierową torbą w dłoni. Rzuciła ją Claire na kolana, wskoczyła za kierownicę i nacisnęła na gaz.

Skreśliły w Pike Street i ostrym wirażem w lewo wjechały do podziemnego parkingu.

Claire podążyła za siostrą do windy, która zawiozła je na ostatnie piętro, i weszły do mieszkania.

Widok z okien zapierał dech w piersiach. Tłem było ametystowe niebo. Na północy migotały kolorowe światełka sennego osiedla Queen Anne, inne okno wypełniała barwami lata panorama Space Needle. Pozostałe wychodziły na granatową o tej porze zatokę, z refleksami świateł ulicznych na niezmaconej, ciemnej powierzchni wody.

- Ooch! - westchnęła Claire.

- Tak. Niezły widok - przyznała Meghann, rzucając papierową torbę na kuchenny blat z czarnego marmuru.

Gdziekolwiek Claire skierowała wzrok, widziała perfekcję wnętrza. Żaden z obrazów nie wisiał krzywo na ścianach pokrytych jedwabną tapetą, na stole nie leżał nawet skrawek papieru. No i oczywiście nie było kurzu.

Podeszła do małego biedermeierowskiego biurka w narożniku. Na lśniącym blacie stała oprawiona w ramki fotografia. Jedy-  
na w całym pokoju, o ile zdążyła się zorientować.

Zdjęcie Claire i Meghann sprzed wielu lat. Były jeszcze dziećmi. Miały może z siedem i czternaście lat, siedziały na końcu postępu, splecione ramionami. W rogu świecący punkcik palącego się papierosa, dowód, że sfotografowała je mama.

O dziwo, zrobiło jej się przykro, kiedy patrzyła na siebie i siostrę w tej pozycji. Spojrzała przez ramię na Meg, która w skupieniu rozkładała jedzenie.

Odstawiła fotografię i udała się na obchód mieszkania. Obejrzała sypialnię utrzymaną w bieli; takiego wyboru mogła dokonać jedynie kobieta bez dzieci i domowych zwierząt, oraz łazienkę, gdzie stało więcej kosmetyków niż na ladzie w drogerii Rite Aid. Kiedy tak chodziła, cały czas coś ją nurtowało.

Wróciła do kuchni.

Meg podała jej margaritę w oszronionym kieliszku.

- Z lodem. Bez soli. Może być?
- Idealnie. Masz wspaniały dom.
- Dom - zaśmiała się Meghann. - Zabawne. Nigdy o tym miejscu w ten sposób nie myślę, ale rzeczywiście. Dzięki.

No właśnie. To nie był dom. Tylko komfortowy apartament hotelowy. Niewątpliwie czterogwiazdkowy, ale nieprzytulny. Bezosobowy.

- Sama go urządziłaś?

- Chyba żartujesz? Ostatnią osobiście wybraną przeze mnie rzeczą była ślubna suknia z rękawami jak parasolki. Zatrudniłam dekoratorkę, Niemkę, która nie mówiła po angielsku. - Rozstała się z talerzem. - Proszę. Zjedźmy na tarasie. - Wyniosła talerz i drinka na zewnątrz. - Będziemy musiały siedzieć na posadzce. Dekoratorka wybrała najbardziej niewygodne meble ogrodowe pod słońcem. Zwróciłam je i dotąd nie miałam czasu sprowadzić nowych.

- Jak długo tu mieszkasz?
- Siedem lat.

Claire wyszła za siostrą na taras. Był piękny wieczór z niebem usianym gwiazdami.

Jadły w milczeniu. Meg próbowała wypowiadać jakieś cha-

otyczne uwagi, chcąc najwyraźniej przerwać milczenie, lecz powracało jak morska woda podczas przyływu.

- Czy podziękowałam ci już za suknię?

- Tak. Cała przyjemność po mojej stronie. - Meg odstawiła pusty talerz na posadzkę i oparła się plecami o ścianę.

- Zabawne - zauważyła Claire. - Głośno tu wieczorem; słychać samochody, syreny na promach i przejeżdżające pociągi, a jednocześnie wydaje się tak... pusto. Samotnie.

- Miasto może sprawiać takie wrażenie.

Claire spojrzała na Meghann i pierwszy raz nie zobaczyła szorstkiej, krytycznej starszej siostry, która zawsze miała rację. Nie widziała też starszej siostry, którą kiedyś tak bezgranicznie kochała. Miała przed sobą bladą, rzadko uśmiechającą się kobietę o życiu wypełnionym pracą. Samotną kobietę, której dawno temu złamano serce i dlatego od tamtej pory nie pozwalała sobie na wiarę w miłość.

Pomyślała o dawno minionych dniach, gdy były serdecznymi przyjaciółkami. Po raz pierwszy od wielu lat zastanawiała się, czy te czasy mogą powrócić. Jeśli tak, któraś z nich musi uczynić pierwszy krok.

- Może chciałabyś zatrzymać się u mnie na parę dni, kiedy będziesz planować wesele? - zaryzykowała.

- Naprawdę? - Meghann wydawała się szczerze zdziwiona.

- Pewnie jesteś bardzo zajęta?

- Właściwie, nie. Mam... coś w rodzaju przerwy pomiędzy sprawami. I rzeczywiście muszę spędzić trochę czasu w Hayden. No wiesz, zająć się przygotowaniem. Na jutro umówiłam się z konsultantką z firmy organizującej wesela. Ale nie chciałabym ci się narzucać.

Duży błąd, Claire. Kosmiczny błąd.

- W takim razie ustalone. Posiedzisz u mnie kilka dni.

Meghann zaparkowała samochód przy krawężniku i wysiadła. Jeszcze raz sprawdziła adres i obrzuciła wzrokiem ulicę.

Hayden pławiło się w migotliwych ciepłych promieniach słońca. Ludzie przechodzili przez jezdnię i spacerowali po chodnikach, machali do siebie na powitanie, tu i tam zatrzymywali się na plotki.

Po przeciwnej stronie ulicy stała samotna nastolatka o rubinowych włosach, ubrana w spodnie, których nie powstydziałaby się Shaquille O'Neal.

Meghann wiedziała, co czuje ta dziewczyna; była obca w tym ładnym miasteczku. Parkingi dla przyczep, jak Meghann wcześniej odkryła, zawsze znajdowały się w nieodpowiednich dzielnicach, obojętnie, gdzie je wytyczano. A jeśli dziewczyna nosiła niewłaściwe ubranie, a do tego miała jeszcze bardziej niewłaściwy adres, była traktowana jak dziwka, bez względu na to, czy nią była, czy nie. Prędzej czy później - w przypadku Meghann prędzej - dziewczyna poddawała się i stawała tym, za kogo ją brano.

Nic dziwnego, że mama nigdy nie zajeżdżała do miasteczek podobnych do Hayden. „Jedna tawerna i cztery kościoły? Myślę, że powinnyśmy jechać dalej”. Odpowiadały jej takie miejsca, gdzie nikt nie zna twojego nazwiska... gdzie nikt nie wie, jak cię odszukać, gdy zwijasz się w środku nocy, bo od trzech miesięcy zalegasz z czynszem.

Meghann przeszła dwie przecznice, po czym skręciła w prawo w Azalea Street. Bez problemu odnalazła adres: stał tam wąski wiktoriański dom z elewacją w kanarkowym kolorze i fioletowym wykończeniu. Na białym drewnianym płocie ukośnie zawieszono szyld. „Royal Event Planning”. Różowe litery w wianuszkach połyskliwych różyczek.

Miała ochotę minąć go i pójść dalej. Wykluczone, aby ktoś, kto używa błyszczącej farby, potrafił zaplanować bankiet z klasą.

To jednak uroczystość Claire, a ona życzy sobie małego, skromnego wesela.

- Słyszysz, Meg? Mówię serio.

Trzykrotnie to powtórzyła wczoraj wieczorem i jeszcze dwa razy dziś rano.

- Co? Nie będzie swingującego zespołu ani rzeźb z lodu? - droczyła się z nią Meg.

- Rzeźby z lodu?! Mam nadzieję, że nie mówisz poważnie. Meg, naprawdę. Zapamiętaj przymiotnik „skromne”. I nie zamawiajmy firmy cateringowej. Każdy przyniesie coś do jedzenia.

W tym miejscu Meghann postawiła weto.

- To wesele, a nie pogrzeb i chociaż dostrzegam spore podobieństwo pomiędzy tymi dwoma imprezami, nie pozwolę, powtarzam, nie pozwolę na składkowe przyjęcie.

- Ale...

- Parówki owinięte w ser Krafta i różowa galaretka w foremkach w kształcie ślubnych obrączek. - Wstrząsnęła się. - Nie ma mowy.

- Meg - Claire przybrała ostrzegawczy ton - znowu zaczynamy po swojemu.

- W porządku. Jestem prawnikiem. Potrafię pójść na kompromis. Potrawy nie będą wymyślne.

- A przyjęcie odbędzie się na dworze.

- Na dworze. Gdzie pada? I gryzą robale? Na takim dworze?

Claire zdążyła się już rozpogodzić.

- Na dworze. W Hayden - dodała.

- Dobrze, że zaznaczyłaś. Mogłabym przypadkiem wybrać Rezerwat Bloedel na wyspie Bainbridge. Tam jest uroczo. I łatwo dojechać.

- W Hayden.

- Niech będzie. Tylko może się zdarzyć, że ptak ci narobi na głowę podczas uroczystości.

Claire parsknęła śmiechem, lecz zaraz spoważniała.

- Nie musisz tego robić, wiesz o tym. Naprawdę. Urządzenie wesela w dziewięć dni wymaga mnóstwo pracy.

Meg wiedziała, że Claire nie chce, aby się zajęła organizacją wesela i ta świadomość ją zabolęła. Tym bardziej postanowiła się przyłożyć i dopiąć wszystko na ostatni guzik.

- Mam spotkanie w mieście, lepiej więc zacznę się zbierać.

- Nie zapomnij o wieczorku panieńskim - powiedziała Claire, kiedy była w drodze do wyjścia. - Jutro wieczorem u Giny.

Meghann zmusiła się do uśmiechu. Wieczorek dla „parzystych”. Niewątpliwie będzie jedynym singlem oprócz Giny.

Bardzo zabawne.

Otworzyła bramkę zamkniętą na haczyk i weszła do surrealistycznej Cukierkowej Krainy, niemal oczekując, że lada moment rzuci się na nią komik Pee-wee Herman wraz ze swymi kumplami. Doszła ścieżką ze sztucznego trawnika do stopni werandy, które ugięły się pod jej ciężarem. Zapukała do łososioworóżowych drzwi.

Uchyliły się, po czym odbiły o coś z łoskotem.

- Cholerne drzwi! - zaklął ktoś.

Przy drugiej próbie otwarły się na oścież.

Stara kobieta z różowymi włosami siedziała na elektrycznym wózku inwalidzkim. Obok niej butla z tlenem. Przezroczyście wężyki, wetknięte do dziurek w nosie, biegły wzdłuż zapadniętych policzków i ginęły za uszami.

- Mam zgadywać? - zapytała, marszcząc się groźnie.

- Słucham?

- Czego pani chce, kurka wodna. Zapukała pani do tych cholernych drzwi, nie?

- Och. Przyszłam do osoby zarządzającej przyjęcia.

- To ja. No to czego pani potrzeba? Striptizera?

- Oj, babciu! - dobiegł wysoki, męski głos z sąsiedniego pokoju. - Przecież wiesz, że dwadzieścia lat temu przeszłaś na emeryturę.

Kobieta wycofała wózek, zakręciła nim i odjechała.

- Erica ma kłopoty. Lepiej już pójde.

- Wybacz, babciu - zwrócił się do niej wysoki mężczyzna, który ukazał się w drzwiach. Miał kręcone jasnoblond włosy,



opaleniznę niczym z Kalifornii, a na nosie duże okulary w ciemnych oprawkach. Obcisłe spodnie z czarnej skóry oblepiały nogi, a turkusowy podkoszulek na ramiączkach eksponował cienkie, jak u stracha na wróble, ramiona.

- Od czasu do czasu zawodzi ją pamięć. Pani musi być Meghann Dontess. Jestem Roy Royal.

Usiłowała zachować powagę.

- No dalej, niech się pani nie wstrzymuje. Mam szczęście, że na drugie nie dali mi Al. - Wypiął biodro i oparł na nim dłoń. - Nieźle ciuchy, pani Dontess. Tutaj, w Hayden, rzadko się widuje rzeczy Marca Jacobsa. Nasze ulubione firmy to Levis i Wrangler. Ciekawe, co też panią do nas sprowadza?

- Jestem siostrą Claire Cavanaugh. Przyszłam w sprawie wesela.

- Claire! - zapiął, podskakując. - Jasne, dziewczyno! Zabierajmy się do roboty! Dla Claire wszystko co najlepsze! - Wprowadził ją do bawialni, kierując ku różowej aksamitnej sofce. - Naturalnie ślub w kościele episkopalnym. Przyjęcie w Moose Lodge, catering firma Chuck Wagon. Sztuczne kwiaty, całe tony z Target. Można ponownie użyć.

Meg powtarzała w myślach: małe i skromne, małe i skromne.

Nie mogła na to pozwolić.

- Chwileczkę.

Roy zawiesił podekscytowany głos w połowie zdania.

- Tak?

- To jest ślub w Hayden, prawda?

- Najwyższa półka. Jedyne Missy Henshaw miała bardziej wystawny i wysadziła się na przyjęcie w klubie na polu golfowym w Monroe. - Pochylił się do niej. - Podali szampana, nie piwo.

- A ile tu, w okolicy, kosztuje wesele?

- Nie takie jak u Missy, ale całkiem porządne z wszelkimi szykanami? Powiedzmy... z dwa tysiące dolarów. - Rzucił jej czujne spojrzenie. - Może ciut mniej, jeśli zdjęcia robiłby któryś z dzieciaków z college'u.

Teraz z kolei Meg przechyliła się ku niemu.

- Roy, czytasz magazyn „People” albo „In Style”?

Roześmiał się.

- Żartujesz! Od deski do deski!

- W takim razie wiesz, jak wyglądają śluby różnych osobistości. Szczególnie takie, o których się mówi „proste i eleganckie”.

Machnął ręką i strzelił palcami.

- Nie żartuj, złotko! Ślub Denise Richard nazwano skromnym, a miała tyle świeżych kwiatów, że wystarczyłoby ich na przystrojenie całej platformy podczas Parady Róż. „Skromny” w Hollywood znaczy bardzo, ale to bardzo drogi, tyle że bez drухen i przyjęcia na zewnątrz.

- Roy, potrafisz dotrzymać tajemnicy?

- Za Reagana musiałem się kamuflować. Wierz mi, złotko, wiem, kiedy milczeć.

- Chcę takiego wesela, jakiego to miasto jeszcze nie widziało. I najważniejsze - nikt, poza tobą i mną, nie może znać kosztów. Musisz dobrze wbić sobie do głowy zwrot: „Po okazyjnej cenie”. Umowa stoi?

- Jasne! - Uśmiechnął się szeroko i klasnął w dłonie. - Jaki jest budżet?

- Perfekcja. Wszystko jak w marzeniach małych dziewczynek.

- Innymi słowy...

- Pieniędzmi nie musisz się przejmować.

Pokręcił głową, ciągle się uśmiechając.

- Złotko, tego zdania nigdy dotąd nie słyszałem. Jesteś niewątpliwie najbardziej atrakcyjną kobietą, jaką zdarzyło mi się widzieć. - Sięgnął po leżący na stoliku egzemplarz magazynu „Bride”. - Powinniśmy zacząć od kreacji. To...

- Suknię już ma.

Spojrzał na nią wyczekująco.

- Vera Wang.

- Vera Wang - powtórzył z nabożną czcią i zamknął magazyn. - No, dobrze. W takim razie zabierzmy się do pracy.

- Przyjęcie ma się odbyć na zewnątrz.
- Aha. Namiot. Doskonale. Zaczniemy od oświetlenia...

Meghann ledwo słuchała, kiedy tokował bez końca o milionach szczegółów. Światła. Kwiaty. Dekoracja stołu. Tort, uuch, rany boskie!

Niewątpliwie podjęła słuszną decyzję, przychodząc tutaj. Pozostało jej jedynie wypisywać czek.

Joe zmieniał olej w starym traktorze, kiedy doszedł go warkot nadjeżdżającego samochodu. Czekał, aż odezwie się Smitty, który zawsze tubalnym głosem zapraszał klientów do warsztatu, ale słyszał jedynie ciche, ochryple dźwięki starej piosenki Hanka Williamsa, którą akurat nadawano w radiu.

- Jest tu kto?! - zawołał jakiś głos. - Smitty?

Joe wysunął się spod traktora i podniósł z ziemi. Akurat nakładał baseballową czapkę, naciągając daszek na oczy, kiedy do warsztatu wszedł rumiany zwały mężczyzna.

Rozpoznał go. To był Reb Tribbs, dawny drwal, który stracił rękę na wyrębie.

Joe nasunął daszek jeszcze niżej.

- Czym mogę służyć? - zapytał, nie patrząc mu w twarz.
- Moja ciężarówka znowu zdycha. Dopiero co odebrałem tego grata od Smitty'ego. Powiedział, że ją naprawił. Dobra robota, nie ma co. Nie zapłacę, dopóki nie będzie chodzić.
- Proszę to załatwić ze Smittym. Ale jeśli pan wjedzie do warsztatu, mogę...

- Czy ja cię znam? - zapytał Reb, marszcząc czoło, po czym nałożył kapelusz i postąpił parę kroków do przodu. - Nigdy nie zapominam głosu. Wzrok mam do niczego, ale słuch jak jakiś cholerny wilk.

„Czy ja cię znam?” To pytanie Joe słyszał w każdym mieście stanu Waszyngton.

- Mam już taką twarz. Ludziom często się wydaje, że mnie skądś znają. No więc, jeśli pan wjedzie...
- Joe Wyatt. Jasny gwint! - Reb zagwizdał. - To ty, zgadza się?

Joe westchnął zrezygnowany.

- Cześć, Reb!

Reb przez dłuższą chwilę przyglądał się Joemu w milczeniu, przechylając głowę na bok, jakby czegoś nasłuchiwał.

- Masz tupet, chłopie, żeby tu wrócić. Ludziska dobrze pamiętają, co zrobiłeś. Cholera, myślałem, że siedzisz!

- Nie. - Joe miał ochotę odejść. Został jednak i słuchał. Zasłużył na każde słowo.

- Lepiej się stąd zbieraj. Jej tata nie musi wysłuchiwać, że wróciłeś do miasta.

- Nie widziałem się z jej ojcem.

- Oczywiście, że nie. Taki tchórz jak ty nie ma na to odwagi. Lepiej zwijaj się stąd, Joe Wyatcie. To miasto nie potrzebuje kogoś takiego jak ty.

- Reb, dość tego! - zaprotestował Smitty. Stał w otwartych drzwiach warsztatu, z napoczętą kanapką w jednej ręce i puszką coli w drugiej.

- Wierzyć mi się nie chce, że zatrudniłeś tego śmiecia - zwrócił się do niego Reb.

- Powiedziałem: dość.

- Nie zostawię tu mojej ciężarówki, jeśli on ma przy niej robić.

- Myślę, że jakoś przetrwam bez interesów z tobą.

Reb splunął, obrócił się na pięcie i wymaszerował z warsztatu.

- Jeszcze pożałujesz, Zębie Smith! - wrzasnął, wsiadając do ciężarówki. - Takie ścierwo jak on nie pasuje do tego miasta.

Kiedy odjechał, Smitty położył Joemu dłoń na ramieniu.

- To on jest ścierwem. Zawsze był.

Joe, patrząc w okno, odprowadził wzrokiem czerwonego gruchota podskakującego na drodze.

- Stracisz klientów, kiedy się rozejdzie, że tu jestem.

- Nieważne. Dom spłaciłem. Działkę też. Wynajmuję kamienicę w mieście za pięćset dolarów miesięcznie. Oboje z Helgą dostajemy emerytury. Obejdę się bez klientów.

- Chodzi o twoją reputację.

Smitty zacieśnił uścisk na jego ramieniu.

- Ostatnim razem, kiedy mieliśmy z Helgą wiadomości o Phyllym, mieszkał w Seattle. Pod wiaduktem. Heroina. Przy życiu trzyma mnie nadzieja, że ktoś codziennie wyciąga do niego pomocną dłoń.

Joe pokiwał głową. Nie wiedział, co powiedzieć.

Smitty odezwał się pierwszy.

- Muszę pojechać do hurtowni. Myślisz, że dasz sobie radę sam w warsztacie przez dwie godziny?

- Nie, jeśli miernikiem jest Reb.

- Nie jest. - Smitty rzucił mu klucze. - Zamknij, kiedy tylko chcesz.

Joe wytrzymał do końca dnia, ale nie przestał myśleć o incydencie z Rebem. Słowa tego starego człowieka zdawały się wisieć w powietrzu jak trujący gaz.

„To miasto nie potrzebuje kogoś takiego jak ty”.

Kiedy zamknął warsztat, powróciło uczucie pustki. Wywołała je prawda płynąca ze słów Reba.

I wtedy przyszła mu na myśl Gina. Ma rodzinę, nie musi być sam.

Poszedł do biura i wybrał jej numer. Włączyła się automatyczna sekretarka. Odłożył słuchawkę, nie nagrywając wiadomości.

Pozamykał wszystko na noc i już miał skrócić do domku, gdy przypadkiem spojrzął na ulicę.

Jego uwagę przyciągnął neon „Redhook” w oknie baru Mo.

Nagle poczuł pragnienie. Naszła go chęć, aby wślizgnąć się do ciemnego, zadymionego baru i pić tak długo, aż ustąpi ból w piersi.

Nasunął daszek baseballówki na czoło i przeszedł na drugą stronę ulicy. Przed barem stał chwilę, modląc się, żeby nie spotkać nikogo znajomego, po czym pchnął odrapane drewniane drzwi.

Rozejrzał się, a kiedy nie dostrzegł żadnych znajomych twarzy, wreszcie odetchnął z ulgą. Wybrał stolik w głębi baru, poza kręgiem światła z lamp umieszczonych pod sufitem. Po kilku

minutach zjawiała się wyraźnie znużona kelnerka. Przyjęła zamówienie na dzban piwa i odeszła. Po chwili wróciła z piwem.

Napełnił kufel. Niestety, trzy puste krzesła przy stoliku przypomniały mu o innych czasach, innym życiu. Wtedy nigdy nie pił samotnie.

Ostatni raz Meghann była na wieczorku panieńskim ponad dziesięć lat temu. Jej koleżanki i współpracownice przez całe lata mieszkały ze swoimi mężczyznami, a potem niektóre z nich wychodziły za mąż bez rozgłosu. Nie miała pojęcia, jak się wtopić w to małomiasteczkowe towarzystwo, jak się do niego dostosować. Za żadne skarby nie chciała odstawać.

Wczoraj, po czterogodzinnej naradzie z Royem, spędziła kolejną godzinę w Too Many Cooks. Chociaż sama była kiepską kucharką, miała pojęcie o wszelkich kuchennych akcesoriach. Czasami, gdy w nocy nie mogła zasnąć, oglądała w telewizji programy o gotowaniu. Wiedziała, co może się przydać w kuchni. Kupiła Claire (i Bobby'emu, chociaż nie potrafiła myśleć o nich jak o parze) kuchenny robot.

Wróciła zmęczona do domu, a wspólny obiad okazał się mało relaksujący. W miarę trwania posiłku rosło jej poczucie wyobcowania, czuła się coraz bardziej samotna w rodzinnym gronie.

Próby nawiązania rozmowy przy stole okazały się trudne. Claire i Bobby prawie nie odrywali od siebie wzroku, a Alison mówiła bez przerwy, zwracając się głównie do matki i Bobby'ego. Gdy czasem przerywała monolog i Meg zdołała wtrącić parę słów, odpowiadała jej znudzona cisza.

- Słucham? - zapytał dwukrotnie Bobby, mrugając z roztagowaniem, kiedy odrywał spojrzenie od Claire.

W tym czasie Meghann zdążyła stracić wątek. Pamiętała jedynie, że źle wybrała temat. Nie powinna mówić o swojej pracy. Jedna niewinna uwaga o tatusiach, którzy wymigują się od alimentów, i Alison z miejsca spytała:

- Mamuś, czy ty i Bobby kiedyś się rozwiedziecie?

Claire nie wydawała się rozbawiona.

- Nie, skarbie. Nie słuchaj cioci Meg. Jest antychrystem, gdy chodzi o małżeństwo.

- Czym?

Bobby dostał takiego ataku śmiechu, że rozlał mleko. To z kolei rozbawiło Alison, a potem Claire. Zdumiewające, jak czyjś śmiech może pogłębić wrażenie wyobcowania.

Jedna Meghann się nie śmiała. Przeprosiła, wstała od stołu i pod pretekstem bólu głowy poszła do siebie na górę.

Teraz, prawie godzinę później, czuła się znacznie lepiej. Rzut oka na zegar przy łóżku - za dwadzieścia siódma.

No, Meg, wstawaj. Czas uczcić decyzję siostry o ślubie z trzykrotnym rozwodnikiem. Poczekaj! Daj im prezent! Wyszła na korytarz i skierowała się do łazienki, zwinęła czarne, gęste włosy w węzeł i nałożyła grubą warstwę makijażu, aby zamaskować oczy podkrążone z braku snu. Potem wróciła do sypialni i otworzyła szafę. Dumiała przez chwilę, w co się ubrać. Na szczęście przywiozła sporo rzeczy.

W końcu zdecydowała się na prostą, czarną sukienkę. Armani zawsze stanowił bezpieczny wybór. Do tego czarne rajstopy i czółenka.

Zeszła na dół. W domu panowała głucha cisza.

- Claire?

Brak odpowiedzi.

I wtedy dostrzegła kartkę na kuchennym stole.

*Droga Meg!*

*Szkoda, że się źle czujesz. Zostań w domu i odpocznij.*

*Całusy. C*

Pojechali bez niej. Spojrzała na zegarek. Siódma. Jasne, że pojechali. Przecież byli honorowymi gośćmi. Nie wypadało im się spóźnić.

- Cholera!

Może rzeczywiście powinna zostać?

„Przepraszam, Claire, ale...

...pomyliłam drogę.

...kiepsko się czułam po obiedzie.

...nie mogłam uruchomić samochodu".

Każda z tych wymówek byłaby równie dobra. Niewykluczono, że Claire ucieszyłaby się, gdyby Meg nie przyszła. Jednak jej nieobecność stałaby się kolejną cegłą w dzielącym je murze.

Tych cegieł i bez tego było sporo.

Wyłowiła z torebki jasnoławendowy kartonik z zaproszeniem. *Wieczorek dla par na cześć Claire i Bobby 'ego. Godzina 19.* Na odwrocie adres.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio tak się wlokła do samochodu, a jadąc, tak skwapliwie przestrzegała znaków ograniczenia szybkości. Niestety, Hayden to niewielkie miasto, a wskazówki na zaproszeniu dokładne. Zajechała przed dom Giny w niecałe dziesięć minut. Zaparkowała za poobijaną czerwoną furgonetką z półką na strzelbę pod przednią szybą i nalepką na zderzaku: „Chrzanić puszczyka”.

Ani chybi członek Greenpeace.

Wysiadła z samochodu i szła betonowym pochyłym podjazdem, który prowadził do rozłożystego drewnianego domu okolo-nego werandą. Czerwone geranium i fioletowa lobelia opadały kaskadą z wiszących doniczek. Wszędzie mieniły się kwiatostany rododendronów wielkości talerzy. Z otwartego okna doszedł ją szmer rozmów. W tle dudnił rytm starej piosenki zespołu Queen, „Another One Bites the Dust”.

Rozbawił ją ten wybór. Trzymając mocno pudło z prezentem pod pachą, wdrapała się na stopnie werandy i zapukała do drzwi. Dasz radę. Dopasujesz się do jej przyjaciół. Uśmiechaj się i przytakuj, no i poproś o dzbanek margarity.

Rozległ się tupot i drzwi się otwarły.

Stanęła w nich roześmiana Gina.

- Och! - Spoważniała na widok Meghann i usunęła się z przejścia. - Cieszę się, że już ci lepiej.

Meghann patrzyła na Ginę w rybaczkach z dżinsu i w obszer-nym podkoszulku. Stopy miała bosc. Świetnie.



- Chyba się niewłaściwie ubrałam.  
- Żartujesz? Gdybym nie przytyła siedmiu kilo po odejściu Reksa, też bym się wystroiła. Wchodź! Jesteś dzisiaj moją parą. - Uśmiechnęła się. - A już myślałam, że mnie wystawiłaś do wiatru.

Wzięła Meghann pod rękę i poprowadziła korytarzem w stronę, skąd dochodził gwar. Znalazły się w przestronnym pokoju, pełniącym funkcję salonu i jadalni, z oknami wychodzącymi na wypielęgnowany ogród.

- Claire, zobacz, kto przyszedł! - powiedziała głośno Gina, aby przebić się przez gwar głosów.

Ucichły rozmowy i wszystkie głowy zwróciły się ku nowo przybyłej. Całe towarzystwo było w dżinsach i podkoszulkach.

Z wyjątkiem Meghann, która wyglądała, jakby wybierała się na dancing do Space Needle.

Claire wysunęła się z ramion Bobby'ego i szybko podeszła do Meghann. Wyglądała kapitalnie w jasnoniebieskich spodniach i w sweterku z dekoltem w łódkę. Długie blond włosy zaczesła do tyłu i ściągnęła białą frotką. Uśmiechała się promiennie.

- Tak się cieszę, że jesteś. Myślałam, że masz migrenę. Kiedy mnie dopada ból głowy, jestem unieruchomiona przez kilka godzin.

Meghann czuła się jak Jackie Onasis na ludowym festynie.

- Nie powinnam była przyjeżdżać. Znikam stąd.

- Ależ nie - zaprotestowała jej siostra. - Cieszę się, że przyszedłaś. Szczerze.

Podszedł do nich Bobby, lawirując leniwie pośród gości, i stanął obok Claire, kładąc jej rękę na biodrze. Meghann musiała przyznać, że wyglądał korzystnie. Cholewnie korzystnie. On nie złamie jej siostrze serca, on roztrzaska je w drobny mak.

- Cześć, Meghann! - przywitał ją z szerokim uśmiechem. - Miło cię widzieć.

Ubodło ją, że ten prowincjusz zaprasza ją na przyjęcie jej siostry.

- Dzięki, Bobby.

Stali w kłopotliwym milczeniu, które w końcu przerwała Gina.

- Pewnie chętnie się czegoś napijesz?

Skinęła głową.

- Żebyś wiedziała.

- Chodź ze mną do kuchni. Zrobimy ci gigantyczną margaritę.

- Pośpieszcie się! - zawołała za nimi Claire. - Zaczynamy gry!

Meghann aż potknęła się z wrażenia.

Gry!

Teraz naprawdę bolała ją głowa.

Przycupnęła na brzegu kanapy, trzymając na ciasno złączonych kolanach papierowy talerzyk z ciasteczkami domowego wypieku. Reszta gości (w parach jak w arce Noego) rozsiadła się kołem na podłodze, opierając się o siebie nawzajem. Wszyscy mówili naraz, snując wspomnienia i przywołując zdarzenia z przeszłości, których Meghann nie znała.

„Pamiętacie, jak Claire wpadła do wody z trampoliny na IslandLakeCamp...

Albo kiedy schowała ulubioną linijkę pani Testem...

A kiedy ściągnęła specjalistów od trucizn, bo złapała Ali na jedzeniu dezodorantu z pojemnika na pieluchy...”

Lata gimnazjum i ogólniaka, okres beztróskich wygłupów i czasy Ali. Wszystko to było dla Meghann tajemnicą. Ona też mogłaby opowiedzieć parę historii o dziewczynce, która kiedyś obcięła włosy tuż przy skórze i wyglądała jak Buffy z „Family Affair”, o dziewczynce, która płakała każdego wieczoru ze strachu, że mama zapomni wrócić do domu, i spała wtulona w ramiona starszej siostry w przykrótkim łóżeczku.

- Duża siostra Claire! - powiedziała kasztanowowłosa kobieta w wyblakłych džinsach i w podkoszulku z logo domów towarowych Old Navy. W pierścionku zaręczynowym połyskiwał brylant wielkości gumki na końcu ołówka. Opadła na kanapę obok Meghann.

- Jestem Karen. Poznałyśmy się parę lat temu. Masz piękną sukienkę.

- Dziękuję.

- Podobno chcesz, żeby Claire spisała intercyzę.

- Czy to się stało przedmiotem towarzyskich pogwarek?

- Lubimy wiedzieć na bieżąco, co się u której z nas dzieje.

Szczerze mówiąc, Meghann była z tego zadowolona. Bóg świadkiem, że pod tym względem się nie sprawdziła. Dlatego siedziała teraz tutaj, nadmiernie wystrojona i całkiem obca, udając, że smakuje jej ciasteczka.

- To dobrze. Claire jest szczęściarą, mając takie przyjaciółki.

- Wszystkie mamy szczęście. Wiesz, ona niczego nie podpisze. Tak samo jej poradziłam.

- Ty?

Zatrzepotała palcami lewej ręki.

- Weteranka wojen rozwodowych. Ten facet, tam, co szamie jak wiewiórka, to Harold.

- Może byś pogadała z Claire. Niemądrze, że pakuje się w \*o bez zabezpieczenia.

- „To” jest małżeństwem i polega na zaufaniu. Twoja siostra wierzy w ludzi. Nie pozbawiaj jej tej wiary.

- Na studiach prawniczych zaufanie usuwa się chirurgicznie.

- Podejrzewam, że ty je straciłaś o wiele wcześniej. Nie patrz tak na mnie. Nie jestem jasnowidzem czy kimś w tym rodzaju. My sobie wszystko mówimy. Obie miałyście trudne dzieciństwo.

Meghann nerwowo poprawiła się na kanapie. Nie była przyzwyczajona, że ludzie cokolwiek o niej wiedzą. Ani przyjaciele, ani tym bardziej obcy. Nie rozmawiała o swoim dzieciństwie z żadną z koleżanek, nawet Elizabeth go nie znała. Zbyt dobrze pamiętała, że kiedy była dzieckiem, ludzie patrzyli na nią jak na wyrzutka. Nie chciała, żeby ta opinia poszła za nią w dorosłe życie.

Karen wyraźnie liczyła na jakąś odpowiedź. Cisza zdawała się nabrzmiewać. Serce Meghann przyspieszyło rytm. Nie miała

ochoty ciągnąć tej rozmowy. Te Blueserki są tak cholernie bezpośrednio.

- Słuchajcie, czas na gry! - zawołała Gina, zrywając się na równe nogi.

Meghann odetchnęła z ulgą.

- Gina uwielbia gry - wyjaśniła Karen. - Mam nadzieję, że nie każe nam się poniżać. Miło cię znowu widzieć. Muszę biec. Harold wygląda, jakby się miał za chwilę udławić.

I już jej nie było, w jednej sekundzie znalazła się przy mężu.

- Wychodzimy na zewnątrz! - rozkazała Gina, kierując wszystkich na podwórko, gdzie na obwisłej linie do prania dynały w pewnych odstępach pączki obsypane cukrem pudrem.

- Każdy wybiera pączek i ustawia się przed nim - dyrygowała Gina.

Goście rzucili się do przodu i stanęli rzędem.

Meghann zatrzymała się w drzwiach.

- Chodź, Meg! - zawołała Gina. - Dla ciebie też jest miejsce. Teraz wszyscy się na nią obejrzeni.

Szybko zesła z werandy na podwórko. Słodki zapach kapryfolium i róż wypełniał powietrze. Gdzieś w pobliżu musiał być staw, bo zbiorowo kumkały żaby. Ta oprawa nadawała wieczorowi nieco surrealistyczny charakter, a może sprawiał to widok kołyszących się na sznurkach pączków.

- Kiedy włączę stoper, zaczynacie zlizywać cukier. Dowiemy się, kto jest najbardziej całusny

Jeden z mężczyzn się zaśmiał. Meghann zdawało się, że to mąż Charlotte.

- Jeśli chcesz wiedzieć, kto ma najsprytniejszy język, powinniśmy lizać...

- Nie waż się dokończyć tego zdania - przerwała mu ze śmiechem Charlotte.

- Start! I nie wolno używać rąk.

Całe towarzystwo rzuciło się do pączków. Po paru sekundach wszyscy pękali ze śmiechu.

Meghann starała się, szczerze się starała, ale już za pierwszym

podejściem pączek trafił ją w nos i cukrowy pył obsypał przód czarnej sukienki od Armaniego.

- Pierwszy! - wrzasnął Bobby, wyrzucając ręce do góry jak zwycięski biegacz.

Claire zarzuciła mu ramiona na szyję.

- No i teraz już znacie prawdziwy powód, dlaczego za niego wychodzę!

Meghann odsunęła się od rozhuśtanego pączka. Znowu była jedyną osobą, która się nie śmiała. Milczenie zalegało na jej piersi jak szkarłatna litera A u Hester Prynne.

Giną wręczyła Bobby'emu płytę CD.

- Wygrałeś. I muszę ci wyznać, że od dziś będziemy inaczej na ciebie patrzyli. - Wbiegła do domu, po czym wróciła po chwili z dużą miską z białej porcelany. - Następną gra nazywa się „Prawda w M&M-kach”. Każdy bierze, ile chce, po czym siada na miejsce. - Obeszła towarzystwo, częstując cukierkami.

Jak Meghann zauważyła, nie ona jedna wykazała czujność. Nikt nie nabrał całej garści. Wzięła więc dwie drażetki i usiała na ostatnim stopniu werandy. Reszta rozlokowała się na trawie

- Za każdą drażetkę należy powiedzieć coś o narzeczonych i ułożyć przepowiednię na przyszłość.

Mężczyźni zaszemrali.

Harold przewrócił oczyma, a Karen kuksnęła go łokciem w bok.

- Ja zacznę! - odezwała się Charlotte. - Wzięłam trzy. Claire ma śliczny uśmiech i przewiduję, że Bobby sprawi, iż będzie się ciągle uśmiechać. Poza tym jest świetną kucharką, przepowiadam więc, że Bobby roztyje się przed czterdziestką. I na koniec: ona nie cierpi prania i dlatego Bobby będzie musiał polubić poplamione i wygniecione ubrania.

Claire roześmiała się najgłośniej ze wszystkich.

- Moja kolej - powiedziała Karen. - Odchudzam się, jak zwykle zresztą, wzięłam więc tylko jeden. Claire polubiła... elektryczne gadżety. Przepowiadam, że nie będą jej już potrzebne.

- Karen! - krzyknęła Claire, paśowiejąc pomimo rozba-  
wienia.

Zabawa trwała, a z każdym komentarzem rosło zdenerwowa-  
nie Meg. Nawet mężowie przyjaciółek zdawali się wiedzieć wię-  
cej od niej o Claire i była przerażona, że gdy przyjdzie kolej na  
nią wymknie się jej: Przewiduję, że złamie jej serce. Dopięła  
duszką drugą margaritę.

- Meg? Meg? - To Gina. - Teraz ty.

Spojrzała na dłoń. Pod wpływem potu drażetki zmieniły się  
w czerwoną papkę.

- Mam dwa. - Usiłowała się uśmiechnąć. - Claire jest... naj-  
lepszą mamą, jaką znam, przewiduję więc, że pokusi się o jesz-  
cze jedno dziecko.

Claire posłała jej uśmiech, przytuliła się czule do Bobby'ego,  
a on szepnął jej coś do ucha.

- Jeszcze jedna, Meg.

Skinęła głową.

- Claire kocha szczerze, ale trudno zdobyć jej miłość,  
w związku z tym przepowiadam - zawahała się i szybko dokoń-  
czyła na jednym oddechu - że to jest prawdziwa miłość. - Kiedy  
podniosła wzrok, zobaczyła niechętną minę Claire.

Nie wiedziała, gdzie popełniła błąd. Według niej zabrzmiało  
to radośnie i pogodnie, a nawet romantycznie. Tymczasem Claire  
była bliska płaczu.

- Jeszcze ja zostałam - przerwała ciszę Gina. - Mam tylko  
jedną drażetkę. Claire zupełnie nie ma słuchu. Przepowiadam, że  
Bobby nigdy nie pozwoli jej śpiewać w chórk.

Powróciły śmiech i gwar. Wszyscy podnieśli się z miejsc  
i otoczyli Bobby'ego i Claire ciasnym kołem.

Nie wiadomo dlaczego Meghann zakręciły się łzy w oczach.  
Wstała niezgrabnie ze stopnia i wtedy poczuła, że margarity były  
mocniejsze, niż sądziła.

Została na uboczu. Upicie się byłoby ostatnią kroplą, która  
przepełniłaby czarę goryczy. Gdy nikt nie patrzył, wycofała się  
i pobiegła do samochodu.

Zamierzała wrócić do domu, poczekać na Claire i przeprosić ją za swój ewentualny nietakt.

I wtedy zauważyła tawernę.

## 15

Meghann zdjęła nogę z pedału gazu; porsche zwolniło, tocząc się po jezdni.

Przez zmatowiałą od dymu szybę dostrzegła zarys sylwetek ludzi siedzących ciasno wzdłuż baru.

Łatwo wtopić się w taki tłum, gdzie nikt nikogo nie pyta, kim jest ani dlaczego przyszedł. Wiedziała, że jeśli tam zajdzie i wypije drinka - no, powiedzmy, dwa lub trzy - poczuje się lepiej.

Może pozna kogoś... a ten ktoś zaprosi ją do siebie na parę godzin i pomoże zapomnieć. Pomoże zasnąć.

Z doświadczenia wiedziała, że w takie noce jak ta, kiedy uczucie osamotnienia bolało jak odłamki szkła powbijane w skórę, będzie leżeć w łóżku, patrząc w sufit, i nie zmruży oka. A rano zobaczy w lustrze wymiętą twarz i smutne, zmęczone oczy.

Meghann nacisnęła na gaz. Warknął obudzony silnik. Szybko przejechała dwie przecznice, znalazła wolne miejsce i zaparkowała. Gdy zgasiła silnik i wysiadła z wozu, uderzyła ją cisza wieczoru. Dyszel Wielkiego Wozu wskazywał na rzekę.

Większość sklepów już pozamykano. Tylko nad kilkoma paliły się neony. Zielonkawe światło ze stojących co kilka metrów ulicznych latarni z kutego żelaza tworzyło koronkowe, postrzępione wzory na pociemniałym chodniku.

Meghann poprawiła na ramieniu pasek torebki, przycisnęła ją łokciem do boku i ruszyła w stronę tawerny. Nie zawahała się przed otwartymi drzwiami, po prostu skręciła i weszła.

Wnętrze przypominało setki innych tawern, w których wcześniej bywała. Dym unosił się pod sufit wyłożony dźwiękochłonymi płytkami i owijał wokół osadzonych w nim lamp niczym upiorne rękawy. Po prawej stronie sali wzdłuż ściany biegł cięż-

ki mahoniowy bar, który mógł liczyć i ze sto lat. Nad nim wisiało prawie dwumetrowe lustro, zmatowiałe ze starości i poznaczone siecią złotych żyłek. Odbite w nim ludzkie sylwetki wydawały się chudsze i wyższe - lustro z gabinetu śmiechu, a ludzie zbyt pijani, żeby zwracać uwagę na to, jak wyglądają.

Widziała gości siedzących jeden przy drugim na wysokich stołkach. W każdej ręce żarzył się papieros, a liczba dzbanów stojących na barze przewyższała liczbę spragnionych klientów, którzy już o dziesiątej rano wdrapywali się na stołki i okupowali je do zamknięcia lokalu.

W lewej części sali stały okrągłe stoliki, w większości pozajmowane. W głębi, za zasłoną z dymu, dostrzegła stół bilardowy, a stłumiony odgłos zderzających się bili świadczył o tym, że toczyła się gra. Z grającej szafy dobiegała stara piosenka Bruce'a Springstina „Glory Days”.

No, świetnie. Najprawdopodobniej wybrał ją facet w czerwono-białej kurtce zdobywcy akademickiej odznaki sportowej. Dawno temu zdążył stracić wszystkie włosy.

Weszła głębiej. Serce przyspieszyło rytm. Od dymu i napięcia zaczęły łzawić oczy. Podeszła do najbliższej luki przy kontuarze, gdzie barman o zmęczonym wyglądzie w skupieniu wycierał rozlane piwo. Mężczyzna westchnął i podniósł głowę. Jeśli nawet zaskoczył go jej widok, ukrył zdziwienie.

- Co podać? - Rzucił ścierkę i podniósł papierosa z popielniczki.

Meg uśmiechnęła się.

- Podwójne martini.

- To jest tawerna, proszę pani. Nie mamy licencji na mocne alkohole.

- Żartowałam. Poproszę kieliszek białego wina. Najchętniej Vouvraj, jeśli macie.

- Jest Inglenook i Galio.

- Inglenook.

Odwrócił się i odszedł w drugi koniec baru. Po chwili wrócił z kieliszkiem wina.



Rzuciła platynową kartę kredytową na blat.

- Proszę skasować.

W grającej szafie coś brzęknęło, a potem zaszumiało. Włączyła się piosenka grupy Aerosmith. Nagle powróciło wspomnienie z młodości. Stoi na środku hali sportowej Kingdome i histerycznie wykrzykuje miłosne deklaracje do solisty zespołu Stevena Tylera.

Wzięła kartę od barmana, schowała ją do torebki, po czym skierowała się do najbliższego stolika, przy którym trzech mężczyzn toczyło ożywioną rozmowę.

W innych okolicznościach wybrałaby wolny stolik, usiadła i czekała, aż ktoś do niej podejdzie, ale dziś była szczególnie niespokojna i spięta. Czuła się zmęczona samotnością.

- Cześć, chłopcy! - powiedziała, zajmując wolne krzesło pomiędzy dwoma mężczyznami.

Rozmowa urwała się. Nagła cisza dzwoniła w uszach. Meg zauważyła, że wszyscy trzej mają obrączki.

Uśmiechała się dalej, choć to nie było łatwe.

- Cześć! - odpowiedział jeden z mężczyzn, wierząc się niespokojnie na krześle.

- Cześć!

- Cześć! - powtórzyli za nim pozostali. Żaden z nich nie podniósł wzroku.

- Panowie, muszę uciekać - odezwał się ten pierwszy, odsuwając się od stolika.

- Ja również.

- Ja też.

I najzwyczajniej w świecie wszyscy trzej się ulotnili.

Meghann pomachała do ich pleców.

- Do zobaczenia wkrótce! Jedźcie ostrożnie! - rzuciła za nimi beztroskim tonem, na wypadek, gdyby ktoś zauważył jej poniżenie.

Policzyła w myślach do pięciu, po czym rozejrzała się. W niewielkiej odległości stał drugi stolik. Siedział przy nim tylko jeden mężczyzna. Pisał coś w żółtym prawniczym notatniku; naj-

wyraźniej robił notatki z otwartego podręcznika. Był tak skupiony na swoim zajęciu, że nie mógł widzieć jej kłęski.

Podeszła do niego.

- Mogę się dosiąść?

Kiedy podniósł głowę, zobaczyła, że jest bardzo młody. Miał może dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat. Jego spojrzenie cechował pewien naiwny optymizm, typowy dla jego wieku. To właśnie wydało jej się ogromnie pociągające i dodało otuchy.

- Przepraszam, psze pani. Nie dosłyszałem.

„Psze pani”.

- Mów mi Meg.

Ściagnął brwi.

- Wydajesz mi się znajoma. Jesteś koleżanką mojej matki? Sady Carlyle?

Poczuła się jak wiekowa dama z „Tytanica”.

- Nie. Nie znam jej. Poza tym... wzięłam cię za kogoś innego. Przepraszam.

Zacisnęła palce na kieliszku, zdesperowana.

Nie rezygnuj.

Ruszyła do następnego stolika. Kiedy znalazła się blisko, jakaś kobieta opadła na puste krzesło, przechyliła się i pocałowała swego towarzysza.

Meghann zrobiła półobrót w lewo, wpadając przy okazji na zarośniętego, zaniedbanego mężczyznę, który najwyraźniej wracał od baru.

- Przepraszam - powiedziała. - Powinnam była zasygnalizować, że zamierzam skrócić.

- Nic się nie stało.

Wrócił do stolika i usiadł. Zauważyła, że niezbyt pewnie trzyma się na nogach.

Stała samotnie na środku zatłoczonej tawerny. Trzech mężczyzn okupowało stół bilardowy. Dwaj, ubrani w czarne skóry i obwieszani łańcuchami, sprawiali niebezpieczne wrażenie. Trzeci miał tyle tatuaży na wygolonej czasce, że jego głowa wyglądała jak ziemia widziana z kosmosu.

Desperacja popychała ją do działania, niestety, z marnym skutkiem. To nie był jej wieczór. Będzie musiała wrócić do domu Claire, do wygodnego gościnnego pokoju, samotnie położyć się do łóżka i spędzić noc, miotając się w nim i zmagając z pragnieniem.

Spojrzała na zapuszczonego faceta. Miał szerokie bary; czarny podkoszulek opinał się na plecach. Pasek znoszonych, wyblakłych lewisów odstawał od ciała, jakby ich właściciel stracił na wadze i nie dbał, że należałoby kupić nowe, dopasowane spodnie.

Albo on... albo samotność.

Zbliżyła się do stolika i zatrzymała obok mężczyzny.

- Mogę usiąść?  
- Czym dla ciebie jestem? Piątym ślepym trafem? - zapytał, nie podnosząc głowy znad piwa.

- Liczyłeś?

- To nie takie znowu trudne, moja pani. Wymiatasz gości szybciej niż gliniarz z prywatki w akademiku.

Odsunęła krzesło i usiadła naprzeciwko. Szafa zaczęła grać „Lookin' for Love”. „We wszystkich tych niewłaściwych miejscach...”

Wreszcie podniósł głowę. Spod grzywy posiwiałych włosów, które musiał chyba przycinać scyzorykiem, patrzył na nią niebieskimi oczami. Uderzyło ją, że był niewiele starszy od niej i na swój sposób przystojny. Miał w sobie coś z bohaterów „obcy w mieście” kreowanych przez Sama Elliotta. Wyglądał na człowieka, który poznał ciemne strony życia.

- Czymkolwiek jest to, czego szukasz - odezwał się - tutaj tego nie znajdziesz.

Zamierzała nawiązać flirt, powiedzieć coś zabawnego, nieważkiego, lecz rozmyśliła się, zanim jeszcze otworzyła usta. Było w nim coś takiego...

- Czy myśmy się czasem już gdzieś nie spotkali? - zapytała, ścigając brwi. Szczyciła się niezawodną pamięcią. Rzadko zapominała twarze. Chyba że należały do mężczyzn, których czasami podrywała; te natychmiast wymazywała z pamięci. Boże,

proszą, niech się przypadkiem nie okaże, że już go kiedyś przeleciałam.

- Ludzie ciągle mi to mówią. - Westchnął. - Widocznie mam pospolite rysy.

Nie, to nie to. Była pewna, że już go widziała, lecz to właściwie nie miało znaczenia. Poza tym jej celem było zachowanie anonimowości, a nie nawiązywanie przyjaźni.

- Daleko im do pospolitych. Jesteś stąd?

- Jestem tu teraz.

- Czym się zajmujesz?

- Czy wyglądam na kogoś, kto się czymś zajmuje? Raczej staram się przetrwać, i tyle.

- Właściwie wszyscy to robimy.

- Niech pani posłucha...

- Meghann. Znajomi mówią mi Meg.

- Meghann. Nie zamierzam cię zaprosić do siebie. Czy to jasne?

Uśmiechnęła się.

- Nie pamiętam, abym cię o to prosiła. Zapytałam tylko, czy mogę się dosiąść. Ponosi cię wyobraźnia.

Odsunął się nieco, wyraźnie speszony.

- Przepraszam. Od jakiegoś czasu... jestem sam. To nie sprzyja rozwijaniu towarzyskich umiejętności.

Towarzyskie umiejętności. Prostacy nie używają takich zwrotów.

Pochyliła się nad stolikiem, chcąc mu się lepiej przyjrzeć. W przyćmionym świetle i powietrzu przesyconym dymem jego twarz budziła sympatię. Wystarczającą jak na jedną noc.

- A gdybym rzeczywiście chciała do ciebie pójść?

Kiedy podniósł głowę, gotowa była przysiąc, że zbladł. Oczy miał niebieskie jak woda w basenie.

Minęła cała wieczność, zanim się odezwał.

- Powiedziałbym, że to bez znaczenia. - Głos miał zdławiony. Wyglądał na przestraszonego.

- Masz na myśli seks? - Patrzyła na niego z natężeniem.

Skinął głową.

Poczuła nagły przypływ podniecenia, jaki musi towarzyszyć myśliwemu, który ściga zwierzynę. Serce przyspieszyło rytm. Wyciągnęła rękę i powiodła wskazującym palcem po jego dłoni.

- A gdybym powiedziała, że to mi odpowiada? Że nie chcę, aby miało jakiegokolwiek znaczenie?

- Odparłbym, że to smutne.

Cofnęła rękę, dotknięta tą uwagą. Nagle poczuła się przezroczysta; niebieskie oczy widziały ją na wskroś.

- Masz ochotę na seks czy nie? Żadnych zobowiązań. Żadnej przyszłości. Dzisiaj. Trochę czasu razem. - Słyszała swój napięty głos, wkradł się do niego niepewny, żalostny ton, więc zamilkła zawstydzona.

Minęła kolejna wieczność.

- Nie wiem, czy jestem w tym dobry - odezwał się w końcu.

- Ja jestem. - Zaciśnęła usta, aby nie wyrwało się z nich jakieś głupstwo. Śmieszne, ale naprawdę była zdenerwowana. Zależało jej, żeby ją chciał, i nie rozumiała, dlaczego tak jej na tym zależy. Był nikim, ot, kolejnym ogniwiem w łańcuchu obojętnych i puszcanych w niepamięć mężczyzn, których brała do łóżka od czasu rozvodu. Nie widziała w nim nic szczególnego, nic, co mogłoby usprawiedliwiać kołatanie w piersi. A jednak się bała, że ją odrzuci.

- Może moglibyśmy po prostu pomóc sobie przetrwać tę noc.

Podniósł się tak gwałtownie, że odsunięte krzesło zachybotало się i o mało nie wywróciło.

Nie dotknęła go, nie wzięła za rękę ani w żaden inny sposób nie zaznaczyła, że są razem. Żadnych gestów udawanej czułości.

- Pójdę za tobą - powiedziała jedynie.

Joe czuł jej obecność obok siebie, ciepło ciała, przypadkowe muśnięcia dłoni.

Zatrzymaj się, pomyślał. Odwróć się do niej i powiedz: Popełniłem błąd. Przepraszam. Jednak szedł przed siebie jak automat.

Wdychał zapach jej perfum. Ciężki, słodki i zmysłowy; budził

w nim skojarzenia z latem na głębokim południu. Z zapachem kwiatów i upalnymi, smolistymi nocami.

Traci kontrolę. Musi być bardziej pijany, niż sądził.

Nie może tego zrobić. Już nawet nie pamięta, jak to się robi. (Nie chodzi o seks, tego nie zapomniał, ale o całą resztę; rozmowy, dotyk, bycie z drugą osobą).

Nie wiadomo kiedy znalazł się przed swoim domkiem. Przeszli trzy przecznice, a on nie odezwał się słowem. Ona też milczała i nie wiedział, czy powinien być za to wdzięczny, czy nie. Gdyby paplała bez sensu, może znalazłby w sobie siłę, żeby się jej pozbyć pod byle pretekstem.

Jej milczenie osłabiało go.

- Tutaj mieszkam - oznajmił, co wydało mu się idiotyczne, oo przecież stali przed drzwiami.

- Teraz, tak?

Zaskoczyła go. Z krótkiej wymiany zdań wybrała akurat jedyną informację, która cokolwiek o nim mówiła. Musi uważać.

Otworzył drzwi i usunął się.

Nieznacznie zmarszczyła czoło, po czym przeszła obok niego, niknąc w ciemnościach.

Ruszył za nią, celowo nie zapalając światła. Wszędzie stały zdjęcia Diany. Nie miał ochoty wyjaśniać, dlaczego tak żyje - nie tej kobiecie w markowej sukience, noszącej drogą biżuterię z platyny i złota. Właściwie w ogóle nie chciał rozmawiać.

Zaszedł do kuchni po świece. Miał ich mnóstwo, trzymał je pod ręką na wypadek, gdyby podczas zimowych burz zabrakło prądu. Przyniósł je bez słowa i porozstawiał po całej sypialni, a potem zapalał jedną po drugiej. Kiedy skończył, odwrócił się i zobaczył, że kobieta stoi w nogach łóżka, ściskając torebkę, jakby się bała, że on ją ukradnie.

Wypuścił długo wstrzymywany oddech. Była piękną kobietą. Kruczoczarne włosy, jasna cera, zielone, skośne oczy i usta nieskore do uśmiechu. Co, u diabła, robi tu, u niego? A co on robi? Nie był z kobietą od czasów Diany.

Wyjęła coś z torebki...

Prezerwatywa. O Boże.

...a potem upuściła torebkę na podłogę. Kiedy szła ku niemu, lekko kołysząc biodrami, rozpięła zamek sukienki. Materiał zsunął się z ramion, ukazując czarny koronkowy stanik i kremowe ciało.

Chciał powiedzieć „odejź”, lecz zamiast tego wyciągnął do niej ramiona. Przyłgnęła do niego i zaczęła się lekko poruszać.

Kiedy znalazł w sobie siłę, żeby się od niej oderwać, drżał na całym ciele.

- Wszystko w porządku? - spytała.

Nie myśląc, bez słowa porwał ją na ręce i zaniósł na łóżko. Padli razem na zmiętą pościel; on na nią. Zaborczo przykrywał ją sobą i dobrze mu z tym było. Uniosła biodra, wychodząc mu naprzeciw.

Z jękiem pochylił się nad jej ustami. Dotyk miękkich, sprężystych warg zelektryzował go.

- Diana.

- Co powiedziałaś?

Odchylił się i spojrzał na nią.

Meghann.

Tym razem, całując ją, nie zamknął oczu. Zawziętość, z jaką oddawała pocałunki, zapierała mu dech w piersiach.

Wsunęła mu ręce pod podkoszulek. Koniuszkami palców drażniła brodawki.

- Ściągnij dzinsy. - Jej głos nabrał ochrypłej barwy. - Chcę cię dotykać.

Oderwali się od siebie. Zsunął się z łóżka i zaczął rozbierać. Drżące palce zawiodły przy pierwszej próbie rozpięcia guzików.

Nadzy z powrotem runęli na łóżko. Ocierał się o nią wzwidzionym członkiem, obsypywał pocałunkami rozchyłone usta, podbródek, powieki. Owinęła go nogami i przyciągnęła do siebie. Czuł na udzie jej wilgoć.

Potem sięgnęła w dół, zaniknęła na nim dłoń i poruszała nią rytmicznie. Poczuł, jak jednym wprawnym ruchem naciągnęła prezerwatywę.

Z gardłowym okrzykiem wbił się w jej dłoń na jeden cudowny moment i uciekł, zanim było za późno. Zaczął zsuwać się niżej, całując jej podbródek, szyję i piersi. Smakował sutek językiem, przywarł do niego ustami i ssał jego słodycz. Rozwarł jej uda i osuwając się, wodził wargami po pępku i włosach łonowych.

Usiłowała go odepchnąć.

Nie pozwolił i schodził pocałunkami coraz niżej, aż się w niej zanurzył. Z jękiem zamknęła w dłoniach jego głowę i rozrzuciła nogi. Jego język badał, smakował i drażnił.

- O Boże! - wyszeptała rwącym się głosem. - Teraz.

Błyskawicznym ruchem podciągnął ją ku sobie i wszedł. Przywarła do niego i wygięła się, wychodząc mu na spotkanie, odpowiadając na każdy ruch.

Joe nigdy dotąd nie zaznał tak intensywnego orgazmu.

- Uch! - sapnęła, odgarniając wilgotne włosy z twarzy. - Niezła jazda.

Oparł się o chybotałe wezgielce. Był słaby i drżał na całym ciele.

Popatrzyła na niego uśmiechnięta i ciągle jeszcze zdyszana.

- Jak masz na imię?

- Joe.

- Hm, Joe, było wspaniale.

Minęło trochę czasu, zanim odważył się ją objąć i przytulić. Trzymając ją w ramionach, przymknął powieki.

Po raz pierwszy od wielu lat zasnął z kobietą w objęciach.

Kiedy się obudził, znowu był sam.

## 16

- Ha! - Claire opadła na poduszkę. - Nie pamiętam, kiedy ostatnio spotkało mnie rano takie szczęście. - Odgarnęła włosy z oczu i uśmiechnęła się do Bobby'ego. - Naprawdę musisz być zakochany, skoro mnie pocałowałeś, zanim umyłam zęby.



Przewrócił się na bok. Jego przystojną twarz znaczyła siateczka różowych zmarszczek od snu.

- Ciagle cię to nurtuje, prawda?
- Nie - zaprzeczyła nadto skwapliwie.

Tak delikatnie pogładził ją po policzku, że aż westchnęła.

- Kocham cię, Claire Cavanaugh. Najchętniej skopałbym tyłek temu facetowi, przez którego boisz się mi zaufać.

W odpowiedzi uśmiechnęła się smętnie. To było silniejsze od niej.

- Nie chodzi wyłącznie o mężczyzn.
- Nie mogę sprać twojej matki czy siostry.

Roześmiała się rozbawiona.

- Po prostu udowodnij, że Meghann nie ma racji. Nic jej bardziej nie wkurzy.

- Wiesz, ją ponosi.

Claire usiadła na łóżku.

- Taak. Zauważyłam. Najpierw stwierdziła, że nie kocham ludzi, a potem wcześniej wyszła.

- No i kupiła ci suknię, która kosztuje więcej od mojego samochodu.

- Meg nie zależy na pieniądzach. Ma ich mnóstwo. Sam ją zapytaj.

Bobby oparł się o wezglowie. Koc zsunął się z nagiej piersi i sfałdował wokół bioder.

- Tak jak i ty spędziła dzieciństwo z waszą matką, z tą różnicą, że nie miała ojca, który by się nią zajął. Musiało jej być ciężko. Opiekowała się tobą przez te wszystkie lata, a potem zjawiał się Sam i przejął jej rolę.

- Nie chce mi się wierzyć, że stajesz w jej obronie. Powiedziała, że robię głupstwo, wychodząc za ciebie.

Posłał jej leniwy uśmiech, który sprawiał, że miękkły jej nogi w kolanach.

- Kochanie, nie możesz mieć jej tego za złe. Ona usiłuje cię chronić.

- Raczej kontrolować.

- Chodź do mnie - wyszeptał.

Pochyliła się nad nim. Nagie piersi musnęły jego tors, kiedy się pocałowali. Objął ją za szyję, przytrzymał i całował, aż zapomniała o tej rozmowie. Gdy się od niego oderwała, kręciło się jej w głowie i brakowało tchu.

- Coraz lepiej cię znam, Claire Cavanaugh, przyszła pani Austin - szeptał tuż przy jej ustach. - Rozboliła cię głowa po tym incydencie z mierzeniem sukni u Abigail i wczoraj znowu miałaś ból głowy. Za każdym razem, kiedy Meghann robi ci przykrość, udajesz, że cię to nie obchodzi i łykasz aspirynę. Kochanie, ja tu jestem. I wiem, że ci zależy, bo to twoja siostra. Jedyna, jaką masz.

Claire chciała zaproponować, ale to nie miało sensu. Rzeczywiście zależało jej na zbliżeniu się do Meghann. W ostatnich dniach coraz częściej łapała się na tym, że widzi tamtą dawną Meg. Wspomina, jak bardzo się kochały.

- Męczy mnie to, jak się teraz do siebie odnosimy - przyznała.

- No i?

- Nikt nie potrafi mnie tak wkurzać jak ona. Ma prawdziwy dar mówienia tego, czego nie należy.

- Taa. Mój ojciec też taki był. Nigdy nie potrafiliśmy się dogadać. Teraz go nie ma, a ja żałuję, że się bardziej nie starałem.

- Dobra, Zygmunście Freudzie. Spróbuję z nią porozmawiać. Jeszcze raz.

- I skończ z tą aspiryną.

Pochyliła się nad nim w długim, niespiesznym pocałunku i nago powędrowała do łazienki. Zanim wzięła prysznic i skończyła się ubierać, zdążył opuścić sypialnię.

Posłała łóżko i przeszła przez korytarz do pokoju Alison. Jej córka leżała w łóżeczku zakopana w stertę poduszek i prześcieradeł z niebiesko-zielonymi motywami z „Małej syrenki”.

- Cześć, skarbie - powiedziała, siadając na krawędzi łóżka. - Czas wstawać.

Alison przeciągnęła się i odwróciła na plecy.

- Kupiliśmy kotka?

- Nie. Dlaczego?
- Wydawało mi się, że rano słyszałam, jak miauczy.

Claire przygryzła wargę, żeby powstrzymać śmiech. Uwaga, żadnych hałaśliwych orgazmów.

- Nie, nie ma kotka. Musiało ci się coś przyśnić.
- I słyszałam, jak ktoś schodził po schodach.
- Uhm... to... ja zesłam na dół zaparzyć kawę.
- Aha. Moglibyśmy kupić pieska? Amy Schmidt dostała szczeniaczka, a jej mama ma „lenie na psy”.

- Co powiesz na złotą rybkę?

- Maamoo. Ostatnia złota rybka spłynęła z wodą w ubikacji.

- Zastanowię się, zgoda? A teraz biegnij na dół. Dziś na śniadanie racuszki z jagodami.

Claire zesłała do kuchni i zaparzyła kawę. Zanim przyszła Alison, ciągnąc za sobą Groovy Girl, jajka i racuszki czekały gotowe.

Alison wdrapała się na swoje krzesło, usadowiła lalkę na kolanach i zaczęła polewać racuchy syropem.

- Wystarczy tego syropu - powiedziała Claire, przewracając kolejny placek na teflonowym elektrycznym ruszcie.

- Ty, Bobby i ciocia Meghann braliście razem prysznic wczoraj wieczorem. Jak się pomieściliście?

- To nie jest taki prysznic z wody - zaśmiała się Claire. - Tak się nazywa impreza dla ludzi, którzy się mają pobrać. No wiesz, jak przyjęcie urodzinowe.

- Bawiliście się w gry?

- Naturalnie.

- Dostałaś prezenty?

- Jasne.

- Jakie?

Skórzaną bieliznę. Farbę do ciała z czekolady. Ogromne opakowanie prezerwatyw.

- Ciocia Meghann podarowała nam cuisinart. - Na widok niepewnej miny Alison, wyjaśniła: - To taki robot kuchenny z bajerami.

- Aha. Dziadek zabiera mnie dziś na ryby. Nad Tidwell Pond.  
- Będzie fajnie.  
- Powiedział, że masz do cholery dużo roboty z weselem.  
- Alison Katherine! Dobrze wiesz, że nie należy powtarzać za dziadkiem brzydkich słów.

- Ops! - Alison pochyliła się nad talerzem i zlizwała resztki syropu. - Wiedziałaś, że jak się przetnie robaka na pół, to on odrósł?

- Nie, tego nie wiedziałam.

Zsunęła się z krzesła.

- A Lily France ucięła palec i nie odrósł. - Zamyśliła się. - Chyba Bóg woli robaki od Lily. Pewnie dlatego, że wypycha się w kolejkę po drugie śniadanie na długiej przerwie.

- No wiesz, nie...

- Cześć, mamuś! - Alison posłała jej całusa i wybiegła z kuchni. Trzasnęły zamknięte z rozmachem drzwi z metalowej siatki. Po chwili Claire usłyszała cienki głosik córki.

- Tu jestem, dziadku! - wołała na całe gardło. - Szukałeś mnie?

Claire uśmiechnęła się i wyłączyła ruszt, po czym nalała sobie kawy i wyszła z filiżanką na tylną werandę. Ławeczka huśtawka wyglądała niezwykle kusząco.

Usiadła na niej i kołysząc się powoli, zapatrzyła na srebrną wstęgę wody, która wyznaczała granicę ich parceli. Dom stał na wzniesieniu w bezpiecznej odległości od rzeki i w dzień taki jak ten, z niebem w kolorze niezapominajek i trawą pożółkłą od słońca podczas tego wyjątkowo ciepłego tygodnia, trudno było sobie wyobrazić, jak niebezpieczna potrafiła być rzeka.

Drzwi z siatki zaskrzypiały i zamknęły się z trzaskiem. Na werandę weszła Meghann. Miała na sobie czarną luźną górę wykonaną frędzlami i dzinsy dzwony. Burza skręconych w pierścionki włosów opadała na plecy. Wyglądała prześlicznie.

- Cześć!

Claire szczerzej owinęła pled wokół nóg, żeby ukryć stare, powyciągane spodnie od dresu.

- Masz ochotę na racuszki?

Meg usiadła w ogrodowym fotelu naprzeciwko huśtawki.

- Nie, dzięki. Jeszcze nie strawiłam ciastek z wczorajszego wieczoru.

- Bardzo wczesnie wyszłaś z przyjęcia. - Claire nadała głosowi swobodny ton, nie chcąc, aby ta uwaga zabrzmiała jak wyrzut.

- To była udana impreza. Giną ma świetne poczucie humoru.

- Tak, to prawda.

- Musi być jej ciężko patrzeć, jak się szykujesz do ślubu, kiedy ona się właśnie rozwiodła.

Claire pokiwała głową.

- Przechodzi naprawdę trudny okres.

- Trudno jest przyjąć do wiadomości, że się wyszło za nieodpowiedniego mężczyznę.

- Byli małżeństwem przez piętnaście lat. To, że się rozwiedli, wcale nie musi oznaczać, że wyszła za niewłaściwego mężczyznę.

- Powiedziałabym, że dokładnie to właśnie oznacza.

- Erie nieźle ci dopiekł, co?

- Niewątpliwie.

Claire upiła łyk kawy. Przyszło jej do głowy, że lepiej puścić w niepamięć całą sprawę i postąpić z Meghann tak samo jak zawsze, czyli milczeć i udawać, że nic się nie stało. I wtedy przypomniała sobie słowa Bobby'ego.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie - zaczęła powoli. - Dlaczego tak szybko wyszłaś?

- Wcale nie było tak wczesnie. Jak tam prezenty?

- Fantastyczne. Dzięki za cuisinart. A wracając do tematu, dlaczego wyszłaś wcześniej?

Meg zamknęła oczy i powoli je otworzyła. Wyglądała na... przestraszona.

- Meg? - Poderwała się, zaskoczona.

- To przez tę grę w M&M-ki - wyznała. - Włączyłam się w nią, bo nie chciałam odstawać od reszty, a ponieważ mało cię

znam, najwyraźniej popełniłam nietakt. Cholera, nadal nie wiem, o co chodziło.

- Powiedziałaś, że kocham szczerze, ale trudno zdobyć moją miłość.

- Tak.

- Nie uważam, żeby to była prawda, i tyle, więc poczułam się dotknięta.

- A ja myślę, że tak jest - powiedziała Meg.

Claire wychyliła się do przodu. Wreszcie zaczęły krążyć wokół istotnego tematu.

- Czasami trudno cię kochać, Meg.

- Wiem o tym, możesz mi wierzyć. - Roześmiała się gorzkim, gardłowym śmiechem.

- Osądzasz ludzi... mnie... tak surowo. Twoje opinie przypominają smagnięcia biczem. Każda zostawia krwawy ślad.

- Ludzi, tak. Ale ciebie? Nie osądzam cię.

- Nie poszłam na studia. Przerwałam kurs kosmetyczny. Nigdy nie wyjechałam z Hayden. Kiepsko się ubieram. Mam nieślubne dziecko z facetem, który, jak się okazało, był żonaty. Teraz wychodzę za trzykrotnego rozwodnika i jestem głupia, bo nie chcę zabezpieczyć się intercyzą. Przerwij mi, kiedy cokolwiek zabrzmi znajomo.

- Czy ja ci to wszystko wytykałam? - zachnęła się Meg.

- A nie? Kiedy z tobą rozmawiam, czuję się jak śmieć. A ty oczywiście jesteś bogata i idealna.

- To akurat prawda. - Meg zauważyła, że próba obrócenia tej kwestii w żart nie powiodła się. - Moja psychoterapeutka uważa, że mam problemy z samokontrolą.

- Hm, jasne. Wiesz, jesteś bardzo podobna do mamy. Obie lubicie robić wkoło siebie dużo szumu.

- Różnica polega na tym, że ona jest psychicznie niezrównoważona, a ja jestem neurotyczką. Ale Bóg świadkiem, że odziedziczyliśmy po niej pecha do mężczyzn. - Meghann spjrzała na siostrę. - Przerwałaś złą passę?

Jeszcze wczoraj Claire rozżłościłoby to pytanie. Teraz je rozu-

miała. Dzięki matce przypadło jej w udziale przekonanie, że miłość prędzej czy później przemija. Meg odziedziczyła po niej jeszcze coś innego. Ona w ogóle nie wierzyła w miłość.

- Tak, Meg. Mówię szczerze.

Meg odpowiedziała uśmiechem, lecz jej oczy pozostały smutne.

- Chciałabym mieć twoją wiarę.

Choć raz Claire poczuła się jak silniejsza starsza siostra.

- Wiem, że istnieje prawdziwa miłość. Doświadczam jej w każdej chwili dzielonej z Ali i z tatą. Może gdybyś... gdybyś miała ojca, potrafiłabyś też w nią uwierzyć.

Claire zauważyła, jak Meg pobladła. Zrozumiała, że posunęła się za daleko.

- Poszczeniło ci się, że miałas Sama - powiedziała powoli.

Claire stanęło przed oczami tamto lato, kiedy tata chciał przekonać do siebie Meg. To był jeden wielki koszmar. Meg i tata licytowali się, krzycząc, kto bardziej kocha Claire i kto lepiej wie, co jest dla niej dobre. To właśnie ona, Claire, zakończyła najgorszą z awantur. Krzyknęła do Meg: „Przestań się wydierać na mojego tatę!”. Wtedy po raz pierwszy zobaczyła, jak jej siostra płacze. Następnego dnia Meg wyjechała. W końcu, po latach, skontaktowała się z Claire. Była już wtedy na studiach i miała własne życie.

- Tobą też chciał się zająć - przypomniała łagodnie Claire.

- Nie był moim ojcem.

Po tym stwierdzeniu zapadło milczenie, które drażniło Claire, chciała wypełnić je słowami, lecz nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

Uratował ją dzwonek telefonu. Poderwała się z huśtawki i pobiegła do domu.

- Halo?

- Jedną chwilę. Pani Eliana Sullivan na linii.

Claire usłyszała, że Meg staje przy niej. Poinformowała ją szeptem:

- Mama.

- Będzie dobrze - powiedziała Meg, nalewając filiżankę kawy.
- Halo? - odezwała się mama. - Halo?
- Cześć, mamó, to ja, Claire.

W słuchawce rozległ się gardłowy, zmysłowy, latami ćwiczony śmiech.

- Claire, chyba wiem, do której z moich córek dzwonię.
- Oczywiście - przytaknęła Claire, chociaż mama wiecznie je myliła. Nakładały się jej we wspomnieniach. Wszelkie uwagi na ten temat zbywała beztróskim: „Ach, co różnica, byliście jak papużki nierozłączki. Jakim cudem miałabym to wszystko dokładnie pamiętać?”.

- No, kochanie, o co chodzi? Mój służący powiedział, że nagrałaś wiadomość? Co się dzieje?

Claire nie znosiła jej południowego akcentu. Każda przeciągnięta sylaba przypominała, że mama traktuje ją jak swoją publiczność.

- Dzwoniłam, żeby ci powiedzieć, że wychodzę za męż.
- A niech to! Byłam przekonana, że umrzesz jako stara panna.
- Dzięki, mamó.
- Któż to taki?
- Mamó, będziesz zachwycona. To miły teksański chłopak.
- Chłopak? Myślałam, że w chłopcach gustuje twoja siostra. Szczerze rozbawiła tym Claire.
- Jest dorosły, mamó. Ma trzydzieści siedem lat.
- Ile zarabia?
- To dla mnie nieistotne.
- Czyli golec, tak? Poradziłabym ci coś, skarbie. Łatwiej wychodzi się za bogatych, ale co tam! Moje gratulacje. Kiedy ślub?
- W sobotę, dwudziestego trzeciego.
- Czerwca? W tę sobotę?
- No właśnie. Dowiedziałybyś się z odpowiednim wyprzedzeniem, gdybyś oddzwoniła.
- Robiłam Szekspira w plenerze. Z Charliem Sheenem, wyobraź sobie.



- Przez całą noc?
- Nie, skarbie. Wiesz, muszę dbać o fanów. Są moją siłą napędową. A przy okazji, czy widziałas moje zdjęcie w „People”?
- Podczas pogaduszek z Jules Asner?
- Przeoczyłam. Przepraszam.
- Przecież wykupiłam ci abonament. Co wy tam wszyscy robicie? Siedzicie z założonymi rękami?
- Pochłania mnie planowanie wesela.
- No dobrze. Hm, skarbie, trudno mi będzie się wyrwać w sobotę. Co powiesz na pierwszy weekend sierpnia?
- Mamo, przywiązuję ogromną wagę do twoich planów, jednak zaproszenia zostały już rozesłane. Meg zaangażowała się w przygotowanie całej uroczystości. Za późno na zmianę terminu.
- Meg planuje twoje wesele? - Mama parsknęła śmiechem. - Skarbie, to tak jakbyś poprosiła papieża, żeby zorganizował bar micwę.
- Ślub jest w sobotę. Mam nadzieję, że zdołasz przyjechać. - Na powrót stała się dawną Claire, oficjalną i sztywną, bo tak właśnie reagowała na stres.
- Meghann wręczyła jej aspirynę.
- Claire mimo woli się uśmiechnęła.
- Zawsze dostaję przez nią migreny - powiedziała Meg. - Czy nadal plecie te bzdury?
- Claire kiwnęła głową.
- Jakbym słyszała Annę Nicole Smith - wyszeptwała.
- Jeszcze jedna dziewczyna z Południa, która lubi się wynętrać - zauważyła Meg ze śmiechem.
- Claire? - zareagowała ostrym głosem mama. - Czy ty słuchasz, co mówię?
- Naturalnie, mamo. Każde twoje słowo jest jak perła.
- O której godzinie w sobotę? Drugi raz cię pytam.
- Ślub jest o siódmej. A po nim przyjęcie.
- Sobota - westchnęła mama. - Trzy miesiące temu zamó-

wiłam się na czesanie do Jose. Może będzie mógł przesunąć mnie na wcześniejszy termin.

Claire miała tego dość.

- Mamo, muszę biec. Będę w kościele episkopalnym w Hayden o siódmej w sobotę. Mam nadzieję, że przyjedziesz, ale zrozumieniem, jeśli będziesz zbyt zajęta.

- Jestem zajęta. Lecz jak często kobieta wydaje córkę za męża?

- W naszej rodzinie niezbyt często.

- Skarbie, powiedz mi szczerze. Czy myślisz, że to przetrwa?

Nie chciałabym rezygnować z wizyty u fryzjera z powodu...

- Mamo, śpieszę się. Pa!

- Dobrze, skarbie. Ja też. I gratuluję. Bardzo się cieszę.

- Dzięki, mamo. Cześć!

Claire usiłowała się uśmiechnąć do Meghann.

- Sobota nie bardzo jej pasuje.

- Co? Ma przesłuchanie do quizu „Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów Pyramid”?

- Wizyta w salonie fryzjerskim u Jose.

- Powinniśmy wysłać jej zaproszenie już po wszystkim.

- Nie wiem, dlaczego ciągle liczę, że się zmieni.

- Taa. - Meghann pokręciła głową. - Nawet samica aligatora dba o swoje jaja.

- Mama zrobiłaby z nich omlet.

Roześmiały się szczerze rozbawione.

Claire wyjrzała za okno. Barwne kwiaty mieniły się w promieniach słońca. Ten widok działał na nią kojąco; kojarzył się ze wszystkim, co dobre na tym świecie. Najlepiej zapamiętać o mamie.

- Porozmawiajmy o weselu - powiedziała po chwili.

- Doskonale. Mogłybyśmy zastanowić się nad menu.

Claire wyprostowała się.

- Jasne. Myślałam o takich podłużnych, wielkich kanapkach. Są bardzo syte, a mężczyźni je wprost uwielbiają. Do tego sałatka ziemniaczana Giny.

Meghann patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Sałatka ziemniaczana i ogromne kanapki. To byłoby... - zająknęła się - pyszne.

- Zawahałaś się.

- Tak? Wydawało mi się, że zaczerpnęłam powietrza.

- Znam te pauzy. Oznaczają krytykę.

- Ależ nie. Po prostu rozmawiałam już z jedną moją znajomą Carla. Rozwija firmę gastronomiczną - właśnie skończyła kurs - i jest bez grosza. Nie ma pieniędzy na czynsz. Zaproponowała, że zrobi trochę zakąsek po kosztach własnych plus symboliczne wynagrodzenie. Potrzebuje reklamy. Ale nie przejmuj się. Jeśli tak wolisz, mogę pojechać po gotowe rzeczy do Safeway.

Claire patrzyła na nią z napięciem.

- Czy to naprawdę mogłoby pomóc tej twojej znajomej, gdyby przygotowała jedzenie?

- Tak, ale w tej sytuacji nie ma znaczenia. Ważne, żeby wszystko było tak, jak chcesz.

- Ile by to kosztowało?

- Tyle samo co kanapki i sałatka ziemniaczana.

- Nie żartuj. Hm. Myślę, że pomysł jest niezły. Pod warunkiem, że do menu włączymy parówki zawijane w cięcie. Bobby je uwielbia.

- Świnki w koszulkach. Oczywiście. Na pewno też bym na to wpadła.

Claire wydawało się, że jej siostra znowu zawiesiła głos, lecz nie była do końca pewna.

- Tak się dziwnie składa - uśmiechnęła się Meg nieco na siłę - że znam również bezrobotną kobietę, z zawodu cukierniką, która mogłaby zrobić czteropiętrowy tort ozdobiony świeżymi kwiatami. Poleca fiołki, lecz, naturalnie, decyzja należy do ciebie.

- Wiesz co, Meg, jesteś niezdolna.

- Wiem. Krytyczna i nietolerancyjna.

- Właśnie, ale potrafisz przejąć kontrolę.

Uśmiech Meghann zgasł. Claire wiedziała, że siostra myśli

o tamtym lecie sprzed wielu laty, kiedy przejęła kontrolę i zmieniła ich życie.

- Nie miałam na myśli nic złego - powiedziała łagodnie Claire. - Cały czas stąpamy po polu minowym.

- Wiem.

- Wracając do tortu...

## 17

- Załatwiłem pozwolenie na parkowanie i zarezerwowałem namiot w wypożyczalni. Szczegóły dotyczące lokalizacji dogram jutro w drodze do Costco - oznajmił Roy, odchylając się z gracją na oparcie. - To tyle.

- A oświetlenie? - zapytała Meg, odhaczając namiot z listy.

- Dziesięć tysięcy białych choinkowych lampek, czterdzieści dwa chińskie lampiony i dwadzieścia wiszących lamp. Sprawdź!

Meghann punkt po punkcie przebiegła wzrokiem listę. Zgadza się. Wszystkie pozycje z listy zostały załatwione. Przez ostatnie dwa dni żyła jak w amoku, sprawdzając każdy najdrobniejszy szczegół. Załatwiła wszystko, czego życzył sobie Roy. Takiego wesela, zapewniał ją przynajmniej trzy razy na dzień, jeszcze w Hayden nie było.

Według Meghann przyjęcie będzie poniżej przyjętych standardów, ale wołała zatrzymać swe cyniczne uwagi dla siebie. Pracowała tak ciężko, że zaczęła sypiać nocami. Jedyнным problemem były sny.

Wyraźnie miały związek z Joem. Gdy zamykała oczy, wracało wspomnienie tamtej nocy. Widziała smutne niebieskie oczy... słyszała, jak coś szepnął, zdaje się imię, kiedy się kochali.

Kiedy się kochali.

Nigdy nie myślała o tym w ten sposób.

- Meghann? Znowu masz ten zamglony wzrok. Myślisz o przystawkach?

Uśmiechnęła się do Roya.

- Powinieneś widzieć minę Carli, kiedy zamówiłam u niej tacę świnek w koszulkach.

- Wiesz, ze wstydem muszę przyznać, że... one są naprawdę smaczne. Maczane w keczupie. Albo jeszcze lepiej z dodatkiem duszonej fasoli. Prawdopodobnie znikną na długo przed brie i pasztetem.

- Nie zamawiałam pasztetu. - Kolejny raz zerknęła na listę. Weszło jej w krew to nieustanne sprawdzanie wszystkiego.

Roy dotknął jej ramienia.

- Kochana, koniec pracy. Jeszcze tylko kolacja przedślubna dziś wieczorem, a potem dobrze się wyśpij.

- Dzięki, Roy. Nie wiem, jak poradziłabym sobie z tym wszystkim bez ciebie.

- Wierz mi, ta niespodziewana praca przy urządzaniu wesela sprawiła mi ogromną przyjemność. Kolejne zlecenie to piwny piknik ze składkowym jedzeniem na pastwisku u Clausensów z okazji przyjęcia małego Todda do college'u.

Po naradzie z Royem Meg ruszyła w stronę samochodu. Mięła kilka przecnic, zanim się zorientowała, że idzie w złym kierunku. Już miała zawrócić, gdy zobaczyła warsztat. Za nim, osłonięty drzewami, pośród wybujających krzewów gaulterii stał domek Joego.

Nabrała ochoty, żeby podejść do drzwi, powiedzieć „cześć, Joe” i zamknąć się z nim w sypialni. Seks z nim był udany. Cholera, bardziej niż udany. Było tak cudownie, że wymknęła się w środku nocy. Zawsze łatwiej jej przychodziło powiedzieć: „żegnaj!” niż „dzień dobry!”.

W kuchni rozbłysło światło. Cień przemknął po szybie, mignęły szpakowate włosy.

Mało brakowało, a podeszłaby do drzwi.

Mało brakowało.

Jednego była pewna, a okupiła tę wiedzę przykrymi doświadczeniami; odpowiadał jej wyłącznie anonimowy seks.

Zawróciła i ruszyła na poszukiwanie samochodu.

\*

Joe stał przy zlewie, wsłuchany w odgłos płynącej wody. Wpadała z bulgotem w zardzewiałe rury. Miał umyć naczynia po obiedzie, dlatego właśnie przyszedł do kuchni, ale nie był w stanie.

Ona stała po drugiej stronie ulicy i patrzyła na jego domek.

Meghann. „Przyjaciele mówią mi Meg”.

Stała nieruchomo, ze splecionymi ramionami, lekko zadzierając podbródek. Kaskada kwiatów z dużej, wiszącej tuż za nią donicy, muskała jej bark. Najwyraźniej tego nie czuła. Prawdopodobnie nie czuła również ich zapachu. Nie sprawiła na nim wrażenia kobiety romantycznej.

- Meghann - wymówił cicho jej imię, zaskoczony tęsknotą, jaka pojawiła się w jego głosie. Od tamtej nocy zbyt często myślał o tej kobiecie.

Tłumaczył sobie, że to bez znaczenia, ot, po prostu nadmiar hormonów w ciele, które od lat pozostawało w stanie uśpienia. Teraz jednak, patrząc na nią, pragnąc jej, wiedział, że się okłamuje.

Tam, po przeciwległej stronie ulicy, ona postąpiła krok do przodu.

Serce zabiło mu szybciej, zacisnął dłonie.

A potem odwróciła się i szybko odeszła.

- Dzięki Bogu! - powiedział, żałując, że to nieprawda.

Zakręcił kran i wytarł ręce. Powoli podszedł do gzymsu kominika i zatrzymał się przed fotografią Diany. Stoi przed Łukiem Triumfalnym w Paryżu i macha do niego. Uśmiecha się radośnie.

- Przepraszam - wyszeptał, dotykając szkła.

Poderwał go dzwonek telefonu.

Naturalnie domyślił się, kto dzwoni.

- Cześć, Gino! - powiedział, sięgając po robocze rękawice.

- Cześć, duży bracie! Wiem, że zawiadamiam cię w ostatniej chwili, ale dziś wieczorem będzie u mnie próba przyjęcia weselnego. Pomyślałam, że może miałbyś ochotę wpaść.

Próba przyjęcia. Wstęp do wesela.

- Nie, dzięki.
- To dla Claire Cavanaugh. W końcu wychodzi za mąż. Joe przymknął powieki, przywołując obraz Claire.
- Przepraszam, Gigi - powiedział po chwili. - Nie mogę. Jediną rzeczą gorszą od świętowania ślubu byłoby przekroczenie progu szpitala.
- Rozumiem, Joe. Naprawdę. Odezwę się w przyszłym tygodniu.

Claire siedziała w poczekalni gabinetu lekarskiego, przeglądając najnowszy numer magazynu „People”. No proszę, zdjęcie mamy w jakimś miejskim parku - otoczona fanami stoi w pełnym rynsztunku zdobywczyni kosmosu. Pod spodem napis: „Eliana Sullivan pośród wielbicieli w dwudziestą piątą rocznicę premiery »Gwiazdnej Bazy IV«”.

- No, nie. Miałam lepszy kostium na Halloween w drugiej klasie podstawówki.

- Co, mamuś?

Claire posłała uśmiech córce, która siedziała po turecku na burej wykładzinie i bawiła się pluszowym Panem Kotem w kapeluszu.

- Nic takiego, skarbie.

- Och! Jak długo jeszcze? Chce mi się jeść.

- Już niedługo. Doktor Roloff jest bardzo zajęty ludźmi, którzy naprawdę są chorzy. Widziałaś, jak wchodził Sammy Chan; ma złamaną rękę.

- Ale ty nie jesteś chora, prawda? - zaniepokoiła się Ali.

- Pewnie, że nie. To moja coroczna wizyta. Zawsze ze mną przychodzisz.

- No. - Ali z powrotem zajęła się zabawą.

Kilka minut później recepcjonistka, Monica Lundberg, zajęła do poczekalni. Wyglądała ślicznie jak zawsze. Tym razem miała na sobie jasnozieloną letnią sukienkę z dekoltem i odsłoniętymi ramionami.

- Doktor cię prosi.

Claire przeniosła spojrzenie na Alison.

- Posiedź tu, skarbie. Zaraz wracam.

- Popilnuję jej - zaproponowała Monica. - Idź do gabinetu numer cztery.

- Dzięki. - Claire poszła korytarzem do ostatnich drzwi po lewej stronie.

- Witaj, Claire! Jak tam przygotowania do ślubu?

Uśmiechnęła się do Bess, pielęgniarki, która od niepamiętnych czasów pracowała z doktorem Roloffem.

- Świetnie. To będzie skromny ślub.

- Naturalnie. - Bess zmierzyła Claire ciśnienie i temperaturę. - Ciśnienie w normie, dzieciśno. Musisz prowadzić zdrowy tryb życia. - Pobrała jej krew, a potem pogrzebała w szafce nad umywalką, skąd wyciągnęła plastikowy pojemnik. - Wiesz co i jak. Zostaw próbkę przy drzwiach łazienki. Doktor przyjmie cię, jak tylko będzie wolny.

- Dzięki, Bess.

- Do zobaczenia jutro! Pa! - Puściła do niej oko i zniknęła.

Claire przeszła przez korytarz, zostawiła pojemnik z moczem w łazience, wróciła do gabinetu, przebrała się w szpitalne gielezko i położyła na przykrytej jednorazowym prześcieradłem kozetce.

Jakiś czas później w gabinecie zjawił się doktor Roloff. Był wysokim, siwowłosym mężczyzną o surowym spojrzeniu i skorych do uśmiechu ustach. Był lekarzem rodzinnym Claire. Wyciągał ją z zapaleń ucha, trądziku i prowadził w ciąży. Teraz czuwał również nad Alison. Leczył także Sama.

Usiadł na obrotowym stołku i przysunął bliżej.

- Jak tam przygotowania do ślubu?

- Doskonale. Mam nadzieję, że ty i Tina przyjdziecie?

- Za nic w świecie nie opuścilibyśmy takiej okazji. - Zamilkł i na chwilę pochylił głowę. Claire wiedziała, że myśli o córce, którą utracił. - Dianę bardzo by ucieszył twój ślub.

To prawda. To smutne, że na ślubie zabraknie Diany, pomyślała Claire. Blueserki wszystko robiły razem.

- Powtarzała, że czekam na królewicza.



Doktor Roloff podniósł głowę. Posłał jej smutny, pełen rezygnacji uśmiech.

- Słyszałaś o Joe? Jest w mieście.

- Wiem. Jak on sobie radzi?

- Nie mam pojęcia. - Westchnął ciężko doktor Roloff i dodał: - Nie przyszedł zobaczyć się ze mną i z Tiną. - Wyraźnie miał o to żal.

- Na pewno się pojawi.

- Tak. Zapewne. - Poprawił okulary i wyprostował się. - No, dość o tym. - Otworzył kartę Claire i przeglądał ją z uwagą. - Wszystko w porządku?

- Tak.

- Twoja wizyta kontrolna przypada dopiero za kilka miesięcy. Czemu ją przyspieszyłaś? Zazwyczaj musimy wysyłać ponaglenia i dzwonić, żeby cię ściągnąć.

- Pigułki antykoncepcyjne - wyznała, czując, jak rumieniec wypływa jej na policzki. Śmieszne, miała trzydzieści pięć lat. Nie powinna czuć się zażenowana, a jednak była. - Nie chcemy za szybko mieć dziecka.

Ponownie obejrzał jej kartę i pokiwał głową.

- Wolałbym, żebyś nie łykała ich całymi latami, ale na razie nie widzę przeciwwskazań. Zaczniemy od tych z małą dawką hormonów.

- Świetnie.

Lekarz odłożył kartę.

- Zrobimy cytologię.

Kiedy pobrał wymaz, Claire usiadła na kozetce.

- Wiem od twego taty, że w zeszłym tygodniu miałaś bóle głowy - powiedział Roloff, ściągając rękawiczki. - I że skręciłaś nogę w kostce.

Claire westchnęła. Życie w małym mieście. Odkąd sięgała pamięcią, wystarczył zadziór przy paznokciu czy ruszający się ząb, a tata już biegł do lekarza. Wejście w dorosłe życie nie zmieniło jego postępowania.

- W zeszłym roku uznał, że mam chorobę Meniere'a, bo po jeździe na diabelskim młynie kręciło mi się w głowie.

Doktora rozbawiła ta uwaga.

- Sam niewątpliwie jest bardzo wyczulony na punkcie zdrowia, to prawda. Powinnaś go zobaczyć, kiedy byłaś mała. Dzwonił ze trzy razy w tygodniu z pytaniem, czy to i owo jest normalne. Trzy kichnięcia z rzędu budziły jego niepokój. Co jednak nie oznacza, że jest zwariowany. Czy te bóle mają związek z cyklem?

- Mam trzydzieści pięć lat - odparła ze śmiechem. - Czasem mi się wydaje, że wiecznie albo owuluję, albo miesiączkuję. A więc, być może.

- Czy kiedykolwiek uprawiałaś jakieś sporty?

- Kiedykolwiek? W dziewiątej klasie byłam bardzo aktywna. Biegałam i grałam w siatkówkę.

Zanotował coś w karcie. Zapewne: leniwiec kanapowy.

- Sypiasz dobrze?

- Jak niemowlę. Odkąd poznałam Bobby'ego... - Znowu się zarumieniła. - No wiesz. Nie mam problemów ze snem.

- To świetnie. Stresy?

- Jestem samotną matką, która po raz pierwszy ma wyjść za mąż. Siostra, którą bardzo słabo znam, przygotowuje wesele, a w dodatku grozi mi przyjazd matki. Czyli tak, jestem trochę zestresowana.

- No, dobrze. Powiedz tacie, że wszystko w porządku. Nic złego się nie dzieje. Jednak nie zaszkodziłoby trochę gimnastyki. Ruch jest najlepszym lekarstwem na stres. Poza tym masz lekką anemię. To również może być przyczyną bólów głowy. Zacznij łykać żelazo, zgoda?

- Tak jest.

- A teraz zabierz do domu tę swoją śliczną córeczkę i szykuj się do ślubu. Całe miasto niecierpliwie na to czeka.

- Tak to jest, gdy się wychodzi za mąż piętnaście lat po koleżankach z klasy.

- Mało brakowało, a w mieście okrzyknięto by cię starą panną. Nie wiem, o kogo Bess i Tina będą się teraz martwić. - Oczy za małymi okragłymi okularami błysnęły wesoło.

- Dzięki, doktorze.

Poklepał ją po ramieniu.

- Claire, bardzo się cieszę. Wszyscy się cieszymy.

## 18

Po południu zaciągnęło się i pochłodziło. Podmuchy wiatru miały rozpylonym, niewidocznym dla oka deszczem.

Claire spędziła resztę dnia, markując pracę.

- Claire, idź do domu - przekonywał ją Sam za każdym razem, kiedy zaglądał do biura.

- Mam robotę - odpowiadała niezmiennie, wywołując tym jego śmiech.

- Jasne. Wielka dziś z ciebie pomocnica. Idź, wykup się. Zrób paznokcie.

Była zanadto zdenerwowana, żeby się wykapać czy zająć paznokciami. Pierwszy ślub w wieku trzydziestu pięciu lat? Czy na pewno podjęła słuszną decyzję?

Gdy nurtowały ją wątpliwości, wychodziła za próg lub uchylała drzwi i zerknęła na Bobby'ego. Kiedy wyjrzała po raz pierwszy, malował płot wokół pralni, później zdierał starą farbę z kajaków. Za każdym razem podnosił wzrok znad roboty.

- Hej, skarbie! - wołał do niej uśmiechnięty. - Kocham cię!

Wystarczyło tych kilka krzepiących słów i oddychała z ulgą przez godzinę lub dwie, zanim znowu popadła w rozterkę.

W końcu, około trzeciej, poddała się i wróciła do domu. Na trawniku przed frontowym wejściem leżały porozrzucane zabawki: na wpół rozebrana Barbie, różowe plastikowe wiaderko z łopatką i czerwona obora z całym zestawem domowych zwierząt. Pozbierała to wszystko i weszła do domu.

- O, jesteś! - zareagowała Meghann na jej widok.

- Hej! - odpowiedziała z westchnieniem, podeszła do skrzyni i wrzuciła zabawki.

- Jak się czujesz?

- Dobrze. - Zdecydowanie nie miała ochoty na roztrząsanie swoich przedślubnych rozterek z Panną Intercyzą.

Meghann podniosła się z miejsca. Claire czuła na sobie jej spojrzenie; wnikliwe, wręcz profesjonalne. Nie było w nim nic siostrzanego.

- Właśnie miałam zrobić sobie mrożoną herbatę. Napijesz się?

- Wolałabym margaritę.

- Nie ma sprawy. Siadaj.

Claire opadła na kanapę, opierając stopy na ławie zarzuconej czasopismami.

Meg błyskawicznie wróciła z dwoma kieliszkami.

- Proszę bardzo.

Claire wzięła od niej kieliszek i zamoczyła usta.

- Pycha. Dzięki.

Meg usiadła r.a bujanym fotelu przy kominku.

- Boisz się - powiedziała łagodnie.

Claire poderwała się z miejsca.

- Każdy by się bał. - Upiła kolejny łyk, uciekając wzrokiem w bok. Czuła się jak wiewiórka w konfrontacji z kobłą.

Meg podeszła do kanapy i usiadła obok.

- To normalne, uwierz mi. Gdybyś się teraz nie bała, sprawdziłabym ci puls.

- Uważasz, że powinnam być przerażona?

- Pamiętam ślub Elizabeth i Jacka. Nie widziałam bardziej zakochanej pary. A jednak ona potrzebowała dwóch kieliszków martini, żeby przejść przez nawę. Claire, tylko głupiec się nie boi. Może dlatego właśnie śluby odbywają się w kościele, bo przecież każdy z nich jest aktem wiary.

- Kocham go.

- Wiem.

- A jednak powinnam spisać intercyzę, żeby ochronić majątek w razie rozwodu.

- Jestem prawnikiem. Z racji zawodu bronię ludzi.
- Obcych. Rodzina to co innego.

Meghann wpatrzyła się w kieliszek.

- Być może - powiedziała cicho.

Claire żałowała, że nie może cofnąć tych paru okrutnych słów. Co takiego zaszło w ich przeszłości, że musiały się bezustannie ranić?

- Wiem, że starasz się mi pomóc, ale jak masz to zrobić? Nie wierzysz w miłość ani w małżeństwo.

Upłynął jakiś czas, zanim Meghann odpowiedziała bardzo cichym głosem.

- Nigdy nie widziałam pisklęcia wrony.

- Co?!

- W drodze do pracy widuję wrony siedzące rzędem na drutach telefonicznych w parku nad rzeką. Oczywiście wiem, że wiosną mają gdzieś gniazda pełne malutkich piskląt.

- Meg, odbiło ci?

- Chcę przez to powiedzieć, że są takie rzeczy, których nigdy nie widziałam, oraz przeżycia, których nie doświadczyłam. Jedną z nich jest miłość. Usiłuję w nią uwierzyć ze względu na ciebie.

Claire domyślała się, ile jej siostrę kosztowało to wyznanie. Nikomu, kto dorastałby w cieniu ich matki, wiara w miłość nie przyszłaby łatwo. To, że Meghann starała się ze względu na Claire, miało ogromne znaczenie.

- Dziękuję ci. I dzięki za urządzenie wesela. Nawet jeśli ukrywasz w tajemnicy każdy szczegół.

- Nie sądziłam, że sprawi mi to taką przyjemność. Czułam się, jakbym była w komitecie zarządzającym studniówkę, chociaż nigdy nie brałam w niej udziału.

- A ja zostałam królową balu na studniówce. - Claire się uśmiechnęła. - Naprawdę. I Księżniczką Rododendronów podczas Święta Górali.

Meghann się roześmiała. Zmiana tematu na lżejszy wyraźnie sprawiła jej ulgę.

- Co robi taka księżniczka?

- Siedzi na tylnym siedzeniu furgonetki fordą z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku w cukierkoworóżowej sukience i macha do ludzi. Za nami szli w pochodzie członkowie Klubu Hodowców Kóz. Padał rześisty deszcz, pod koniec wyglądałam jak Tim Curry w końcówce „Rocky Horror Picture Show”. Tata wypstrykał trzydziestosześcioletni film i umieścił wszystkie zdjęcia w albumie.

Meghann znowu zapatrzyła się w swoją margaritę.

- To miłe wspomnienie - powiedziała po chwili.

Claire natychmiast pożałowała tych wynurzeń. Sprawily, że Meghann jeszcze dotkliwiej odczuła brak ojca.

- Przepraszam.

- Poszczęściło ci się, że masz Sama. A Alison, że ma ciebie. Jesteś wspaniałą matką.

- Żałujesz? - spytała Claire, zaskakując je obie intymnością tego pytania. - No, że... nie masz dzieci.

- Jako rozwiedziona prawniczka stałam się bezpłodna.

- Meghann - upomniała ją Claire spokojnym tonem.

Wreszcie Meg popatrzyła na siostrę.

- Powiedzmy, że nie uważam, abym się do tego nadawała.

- Byłaś dla mnie dobrą matką. Przez jakiś czas.

- Właśnie, „przez jakiś czas”.

Claire przechyliła się ku siostrze.

- Chciałabym, abyś zajęła się Alison w przyszłym tygodniu, kiedy wyjedziemy z Bobbym w podróż poślubną.

- Myślałam, że nigdzie się nie wybieracie.

- Tata się uparł. W prezencie ślubnym wykupił nam tygodniowy pobyt na Kauai.

- I chcesz, żebym przypilnowała Ali?

Claire uśmiechnęła się.

- Bardzo mi na tym zależy. Ali musi ciebie lepiej poznać.

Meghann wypuściła drżący oddech. Wyglądała na zdenerwowaną.

- Zaufałabyś mi?

- Naturalnie.

Meg odchyliła się na oparcie. Niepewny uśmiech wypłynął jej na usta.

- Zgoda.

- Tylko nie zaprowadź jej na strzelnicę ani nie ucz skakać na *bungee* - zaśmiała się Claire.

- Czyli skoki z opóźnionym otwarciem spadochronu wykluczone. A możemy przejechać się na kucyku?

Jeszcze się śmiały, gdy otwarły się drzwi i do salonu wszedł Sam. Zdażył się przebrać na próbę wesela w czarne, starannie wyprasowane spodnie i w niebieską koszulę z džinsu z wyhaftowanym na kieszonce logo Kurortu nad Brzegiem Rzeki. Kasztanowe włosy, niedawno przycięte, były zaczesane do góry i gdyby Claire tak dobrze go nie znała, mogłaby pomyśleć, że okiełznał je za pomocą pianki.

- Cześć, tatusiu! Świetnie wyglądasz.

- Dzięki. - Posłał onieśmielony uśmiech jej siostrze. - Hej, Meg!

- Witaj, Sam! - odparła sztywno Meg, podnosząc się z kanapy. - Muszę się przebrać. Do zobaczenia!

- Kiedy na mnie patrzy, czuję się, jakbym miał sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. - Pokręcił głową z westchnieniem, gdy Meghann zniknęła na piętrze.

- Znam to uczucie. Tato, co tu robisz? Muszę się ubierać. - Spojrzała za niego. - Myślałam, że grasz z Ali w warcaby.

- Bobby usiłuje zapleść jej francuski warkocz.

Claire wybuchnęła śmiechem i ruszyła w kierunku schodów.

- Przeczeseś ją przed wyjściem. Zajedziesz po mnie za czterdzieści pięć minut?

- Najpierw muszę z tobą porozmawiać. Jedną minutkę. Nie wiem, czy nie powinienem jednocześnie pomówić z Bobbym...

- Mam nadzieję, że to nie będzie mocno spóźnione uświadomienie. - Uśmiechnęła się.

- Rozmawiałem z tobą o seksie.

- „Nie rób tego” nie jest rozmową.

- Mądrała. - Gestem ręki wskazał kanapę. - Usiądź i bądź cicho. To zajmie chwilę. - Przysiadł na ławie. - Już były margaryty? - spytał, zerkając na kieliszek Meg.

- Trochę się denerwowałam.

- To mi przypomina ślub z twoją mamą.

- Niech zgadnę: piła ostro od rana.

- Oboje piliśmy. - Uśmiechnął się tak smutno, że Claire zamilkła.

Sięgnął do kieszeni, wyjął małe, czarne puzderko i otworzył je. Wewnątrz znajdował się żółty owalny brylant osadzony na szerokiej platynowej obrączce.

- To pierścionek babci Myrtle. Chciała, żebyś go nosiła.

Iskrzący się pierścionek wywołał mnóstwo ciepłych wspomnień. Za każdym razem, kiedy babcia tasowała karty, ten brylant rzucał kolorowe refleksy na ściany.

Ojciec ujął jej dłoń.

- Nie mogłem pozwolić, aby moje małżeństwo zostało zaślubione obrączką z cynfolii.

Przymierzyła go. Pasował jak zrobiony na miarę. Pochyliła się i wzięła ojca w ramiona.

- Dziękuję, tato.

Tak jak zawsze pachniał dymem z ogniska i wodą po goleniu o zapachu rumu i teraz, kiedy tuliła twarz do jego policzka, przypomniawszy sobie wiele wydarzeń z czasów, kiedy była nastolatką. Wieczory, gdy razem jechali na kręgle, a potem jedli kolację w barze u Zeke'a... Światło zapalające się na werandzie dziesięć sekund po tym, jak z którymś z kolejnych chłopaków zajeżdżała przed dom... Historie, które jej opowiadał przed zaśnięciem, kiedy czuła się przestraszona i samotna i tęskniła za starszą siostrą.

Pojutrze będzie mężatką. Inny mężczyzna znajdzie się w centrum uwagi, w innych ramionach będzie szukać oparcia. Będzie żoną Bobby'ego, a nie małą dziewczynką Sama Cavanaugh.

Gdy tata wysunął się z jej objęć, w oczach miał łzy; wiedziała, że myślał o tym samym co ona.



- Zawsze - szepnęła.
- Pokiwał głową ze zrozumieniem.
- Zawsze.

## 19

Meghann za żadne skarby nie powinna się była zgodzić, żeby Giną zaplanowała i urządziła u siebie przedślubną kolację. Każda chwila stanowiła piekło.

„Jesteś sama?”

„A gdzie mąż?”

„Nie masz dzieci? Szczęściara, czasem chętnie pozbyłabym się moich”. - Po tej uwadze następował zakłopotany chichot.

„Niezależna, tak? Pewnie fajnie być niezależnym”. - Z kolei tym słowom towarzyszyło uniesienie brwi.

Meghann zdawała sobie sprawę, że koleżanki Claire usiłują nawiązać z nią rozmowę i zwyczajnie nie bardzo wiedzą, co powiedzieć. Bo i skąd miały wiedzieć? W tym kręgu kobiet bez końca rozprawiało się o rodzinach. Rozmowy zdominował temat letnich obozów, a także letnisk przyjaznych dzieciom; należały do nich te położone nad jeziorem Chelan, a także wzdłuż wybrzeża Oregon. Meghann nie miała pojęcia, co znaczy „przyjazne dzieciom”. Być może do każdego posiłku podaje się keczup.

Szczególnie Blueserkom zależało na wciągnięciu jej w rozmowę, lecz im bardziej starały się włączyć ją do swego grona, tym bardziej czuła się wyobcowana. Potrafiła dyskutować o wielu sprawach - o polityce światowej, o sytuacji na Bliskim Wschodzie, o miejscach, gdzie można najkorzystniej kupić modele znanych projektantów, o rynku nieruchomości i o Wall Street. Nie umiała rozprawiać o problemach rodzinnych. Ani o dzieciach.

Stała przy kominku w ślicznie urządzonej domu Giny, sącząc drugą margaritę. Podobnie jak pierwszy drink, ten również zbyt szybko zniknął. Wszędzie - na tarasie, w salonie, przy stole

w jadalni - rozmawiały grupki rozbawionych ludzi. Claire stała w odległym końcu pomieszczenia przy pomocniku, pełniącym jednocześnie rolę kuchennej szafki oraz barku, i jedząc chrupki, rozmawiała z Giną. Akurat kiedy Meghann spojrzała w tamtą stronę, Bobby podszedł do Claire i szepnął jej coś do ucha. Natychmiast znalazła się w jego ramionach. Pasowali do siebie jak dwa elementy układanki, a kiedy Claire patrzyła na narzeczonego, jej twarz promieniała.

Miłość.

Była obecna w całej swej złudnej chwale.

Boże, proszę, modliła się w duchu po raz pierwszy od wielu lat, spraw, niech to będzie prawdziwa miłość.

- Poproszę o chwilę uwagi! - zawołała Gina, wchodząc do salonu. - Czas na drugą część wieczoru.

Zapadła cisza. Wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę.

Gina uśmiechnęła się.

- Hector specjalnie dla nas otwiera kręgielnię! - obwieściła. - Wyruszamy za piętnaście minut.

Kręgle. Wypożyczone buty. Koszule z poliestru. Podział na dwie drużyny.

Meg oderwała się od ściany. Przechylając kieliszek, zauważyła, że wysączyła go do dna.

- A niech to!

- Właściwie nie mieliśmy jeszcze okazji się poznać. Jestem Harold Banner, mąż Karen.

Meghann drgnęła zaskoczona. Nie słyszała, kiedy podszedł.

- Cześć, Harold!

Był wysokim, szczupłym mężczyzną z czarnymi, krzaczastymi brwiami i uśmiechem, który wydawał się nieco za szeroki, jakby miał za dużo zębów.

- Podobno jesteś prawnikiem?

- Tak.

- Czy w związku z tym mogłabyś mi...

Stłumiła jęk.

Ryknął śmiechem.

- Żartowałem. Jestem lekarzem. Mam to samo. Ilekroć spotykam się z ludźmi, opowiadają mi o swoich chorobach lub o bólu.

Pewnie w dupie. Pokiwała głową i skupiła wzrok na pustym kieliszku.

- Rozumiem, że męża zostawiłaś w domu, co? Udało mu się. Karen każe mi wszędzie ze sobą chodzić.

- Jestem sama. - Starła się nie zacisnąć zębów, bo chyba po raz dziesiąty tego wieczoru czyniła to wyznanie.

- O, luzak. Pełna wolność. Szczęściara. A dzieci?

Wiedziała, że stara się być miły i próbuje znaleźć temat do rozmowy, ale nie dbała o to. Ten wieczór okazał się brutalny. Po raz kolejny uświadomiła sobie, że jest sama na świecie, i chciało jej się wyć. Zazwyczaj była dumna ze swej niezależności. To małomiasteczkowe towarzystwo sprawiło, że poczuła, iż brakuje jej czegoś istotnego.

- Przepraszam, Haroldzie. Czas na mnie.

- A kręgle?

- Nie gram w kręgle. - Meg przecięła salon i podchodząc do Claire, delikatnie położyła jej dłoń na ramieniu.

Claire odwróciła się. Wyglądała na taką szczęśliwą, że Meg zabrakło tchu.

- Niech zgadnę. - Zaśmiała się na widok Meghann. - Nie grasz w kręgle.

- Ależ nie, wprost uwielbiam w nie grać. Szczerze - dodała, widząc pełne niedowierzania spojrzenie. - Mam nawet własną kulę. - Powiedziawszy to, poczuła, że się zagalopowała.

- Taak? - Claire oparła się o Bobby'ego, który prowadził ożywioną rozmowę z mężem Charlotte.

- Niestety, muszę dopiąć parę drobiazgów w związku z jutrem. Czekam na ranne wstanie.

Claire pokiwała głową.

- Rozumiem, Meg. Jasne.

- Pomyślałam, że może jeszcze raz zadzwonię do mamy.

Radosny nastrój Claire pierzchł.

- Sądzisz, że przyjedzie?

Meghann pragnęła ochronić Claire przed mamą.

- Postaram się ją ściągnąć.

Claire skinęła głową.

- No to, pa! Powiem Ginie, dlaczego wychodzę.

Piętnaście minut później Meghann pędziła wiejską drogą do Hayden. Złożyła dach i chłodne nocne powietrze smagało jej włosy.

Chciała zapomnieć o przedślubnej kolacji, odciąć się od przykrych wspomnień, ale nie potrafiła. Dobre intencje przyjaciół Claire sprawiły, że jeszcze dotkliwiej odczuła pustkę w życiu.

Dostrzegła szyld Fireside Tavern Mo i mocno nacisnęła na hamulec. Wiedziała, że to zły pomysł. Będą z tego jedynie kłopoty. A jednak...

Zaparkowała samochód i weszła do zadymionego baru. Było tłoczno.

No tak. Piątek.

Mężczyźni obsiedli wszystkie stoliki i wszystkie wysokie stołki. Zauważyła kobiety, ale było ich cholernie mało.

Przeszła przez salę, wyzywająco przyglądając się każdemu z mężczyzn. Liczba przesyłanych w odpowiedzi uśmiechów świadczyła o tym, że tego wieczoru miałyby z czego wybierać.

Gdy obeszła bar i skierowała się do wyjścia, olśniło ją, dlaczego tu zajrzała.

- Joe. - Zaskoczona, wymówiła półgłosem imię. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy z tego, że go pragnie.

Niedobrze.

Na ulicy wciągnęła głęboko w płuca balsamiczne górskie powietrze. Nigdy nie sypiała dwukrotnie z tym samym mężczyzną. No, owszem, zdarzało się. Jak to ujęła jej przyjaciółka Elizabeth, czasem Meghann w ramach noworocznego postanowienia obiecuje więcej nie bzykać się ze smarkaczami z uczelni, po czym przez tydzień lub dwa umawia się z wyłysiałymi facetami i to jest jej tak zwane życie emocjonalne.

Zdumiewające, że nie miała ochoty zaczepić w barze jakiegoś faceta i zabrać go do domu.

Chciała...

Joego.

Stała przy samochodzie i patrzyła na mały domek w głębi ulicy. W oknach odbijała się poświata od lampy.

- Nie - powiedziała na głos. Nie powinna tego robić, tymczasem nie wiadomo kiedy przeszła na drugą stronę ulicy i znalazła się na podwórku pachnącym kapryfolium i jaśminem. Przystanęła przed drzwiami, zastanawiając się, co, u diabła, wyprawia.

A potem zapukała. Czekwała przez jakiś czas. Żadnej reakcji.

Nacisnęła klamkę i weszła. Wewnątrz było ciemno i cicho. Jedna lampa rzucała stłumione światło, trzaskał ogień w kominku.

- Joe? - Ostrożnie postąpiła do przodu.

Odpowiedziała jej cisza.

Dreszcz przebiegł jej po krzyżu. Czuła, że jest gdzieś blisko i obserwuje ją, kryjąc się w mroku jak ranne zwierzę.

Jest śmieszna. Nie ma go w domu. I ona też nie powinna tu być.

Odwróciła się powoli i zamierzała wyjść, gdy jej wzrok padł na fotografię. Stały wszędzie - na ławie, na bocznym stoliku, na parapetach, na gzymsie kominka.

Oglądała zdjęcia w skupieniu, chodząc od miejsca do miejsca. Na wszystkich widniała ta sama kobieta, śliczna blondynka w typie Grace Kelly. Wydała się jej znajoma. Wzięła do ręki jedno ze zdjęć i przesunęła palcem po tandetnej ramce z pleksiglasu. Kobieta na fotografii najwyraźniej robiła ciasto. Wszystko było w mące. Miała fartuszek z napisem „Pocałuj kucharkę” i uroczy uśmiech. Meghann bezwiednie uśmiechnęła się do twarzy na fotografii.

- Masz zwyczaj włamywać się ludziom do domu i grzebać w ich rzeczach?

Odskoczyła jak oparzona. Na ułamek sekundy straciła czucie w palcach, lecz to wystarczyło, by fotografia z trzaskiem upadła na podłogę.

- Joe? To ja, Meghann. - Poszukała go wzrokiem.

- Wiem, że to ty.

Siedział rozparty w rogu pokoju z jedną nogą wyciągniętą przed siebie. Blask z kominka oświetlał szpakowate włosy i połowę twarzy. Może sprawił to półmrok, a może rzeczywiście miał podkrążone oczy. Bił od niego smutek, zastanawiała się, czy przypadkiem nie płakał.

- Nie powinnam była wchodzić. W ogóle nie powinnam była tu przyjść - przyznała skruszona. - Przepraszam. - Odwróciła się, kierując do wyjścia.

- Napij się ze mną.

Odetchnęła, pojmując teraz, jak bardzo chciała, żeby ją zatrzymał.

- Co ci podać?

- Martini?

Zaśmiał się. To był suchy, ochrypły śmiech bez śladu rozbawienia.

- Mam whisky. Tylko whisky.

Obeszła ławę i usiadła na zniszczonej skórzanej kanapie.

- W takim razie poproszę whisky.

Podniósł się i przeszedł przez pokój. Teraz zobaczyła, dlaczego pozostawał niewidzialny; miał na sobie czarne, znoszone dżinsy i czarny podkoszulek.

Doszedł ją chłupot płynu i chrzęst lodu. Gdy był zajęty robieniem drinka, rozejrzała się po pokoju. Paraliżował ją widok tych wszystkich zdjęć kobiety o urodzie Grace Kelly. One nie zdołały pokonać, ich wszechobecność wyraźnie nosiła znamiona obsesji. Usiłowała przypomnieć sobie, gdzie widziała tę kobietę, lecz bez skutku.

- Proszę.

Stał przed nią. Dwa górne guziki lewisów były rozpięte, a spod rozdartego przy szyi podkoszulka wystawały czarne włosy na piersi.

- Dziękuję - powiedziała.

Napił się prosto z butelki i otarł usta wierzchem dłoni.

- Nie ma za co. - Nie odsunął się i stał tak, patrząc w dół, na nią. Chwiał się przy tym lekko na nogach.

- Jesteś pijany - zauważyła, podnosząc się z kanapy.

- Jest... dwudziestego drugiego czerwca. - Uśmiechnął się lub raczej chciał uśmiechnąć, lecz smutek w oczach udaremnił wysiłek.

- Masz coś przeciwko dwudziestemu drugiemu?

Jego wzrok pomknął ku bocznemu stolikowi przy kanapie, na rozstawione fotografie.

- Byłaś tu któregoś dnia. - Błyskawicznie przeniósł spojrzenie na Meg. - Nie weszłaś.

Czyli widział, jak stała na ulicy tamtego popołudnia, wpatrzona w jego domek. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc podniosła szklanę do ust.

Usiadł obok niej.

Odwróciła się ku niemu, zbyt późno zdając sobie sprawę z małej odległości, jaka ich dzieli. Czuła na wargach jego oddech. Spróbowała się odsunąć.

Pochwycił ją za nadgarstek.

- Nie odchodź.

- Nie zamierzałam wyjść. Chociaż być może powinienam.

Momentalnie puścił jej dłoń.

- Może powinnaś. - Znowu pociągnął długi łyk z butelki.

- Joe, kim ona jest? - spytała półgłosem, lecz w cichym pokoju słowa zabrzmiały zbyt głośno, nazbyt natarczywie. Drgnęła, żałując, że zadała to pytanie, zaskoczona własną ciekawością.

- To moja żona, Diana.

- Jesteś żonaty?

- Już nie. Ona... odeszła.

- Dwudziestego drugiego czerwca.

- Skąd wiesz?

- Wiem dużo o rozwodach. Rocznicę stanowią piekło. - Patrzyła w jego potwornie smutne oczy, starając się nie dopuszczać do siebie żadnych uczuć. Tak było lepiej, bezpieczniej. Jedno-

cześnie, siedząc tuż przy nim, na tyle blisko, aby znaleźć się w jego ramionach, poczuła... tęsknotę. Może nawet desperację. Nagle zapragnęła od Joego czegoś więcej niż seks.

- Może powinnam sobie pójść. Zdaje się, że chcesz być sam.
- Jestem sam.

Słyszała w jego głosie udrękę biorącą się z samotności i tym ją ujął-

- Ja też.

Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

- Meghann, nie mogę ci niczego ofiarować.

Sposób, w jaki wymówił jej imię, smutno i jakby z wahaniem, sprawił, że przeszedł ją dreszcz. Chciała zapewnić go, że nic od niego nie chce poza spędzeniem nocy w jego łóżku, lecz, o dziwo, te słowa nie przeszły jej przez usta.

- Nie ma sprawy.
- Powinnaś więcej chcieć.
- Ty też.

Niespodziewanie poczuła się krucha, jakby ten mężczyzna, którego ledwo ;:nała, był w stanie złamać jej serce.

- Joe, pada za dużo słów. Pocałuj mnie.

Polano osunęło się w kominku i stuknęło o ruszt. Na pokój sypnęły iskry.

Z chrapliwym westchnieniem wzięła ją w ramiona.

## 20

Następnego ranka pogoda w Hayden była piękna. Jaskrawe słońce stało wysoko na bezchmurnym chabrowym niebie. Lekki, orzeźwiający wietrzyk poruszał gałęziami drzew, szumiąc w ciemnozielonych liściach klonów.

Dochodziła piąta, Claire mogła się zacząć przebierać. Rzecz w tym, że nie była w stanie uczynić ruchu.

Za jej plecami rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołała, wdzięczna, że ktoś przerwie ten stan.



W drzwiach stanęła Meghann z naręczem sukien w plastikowych pokrowcach. Wyglądała na zdenerwowaną i, co w jej przypadku niezwykle, onieśmiałoną.

- Pomyślałam, że mogłybyśmy razem się przebrać. - Ponieważ Claire nie od razu odpowiedziała, rzuciła: - Pewnie uważasz, że to głupi pomysł. - Wycofała się na korytarz.

- Poczekaj! Myślę, że byłoby fajnie.
- Naprawdę?
- Tak. Muszę tylko wziąć prysznic.
- Ja też. Za dziesięć minut będę z powrotem.

I rzeczywiście wróciła po dziesięciu minutach owinięta ręcznikiem. W pokoju włożyła stanik i figi, po czym wysuszyła włosy i zwinęła je we francuski kok.

- Wygląda bosko - zachwyciła się Claire.
- Mogę cię uczesać, jeśli chcesz.
- Naprawdę?
- Jasne. Zawsze to robiłam, kiedy byłaś mała.

Claire tego nie pamiętała, ale przeszła przez pokój i automatycznie uklękła przy łóżku.

Meghann usiadła za nią i zaczęła szczotkować jej włosy. Nućiła przy tym jakąś melodię.

Claire przymknęła powieki. Przyjemnie być czesanym.

Na nutach melodii przypłynęły wspomnienia.

*Będiesz najładniejszą dziewczynką w całym przedszkolu Barstow, Claire-Misiaczkę. Wplotę ci tę różową wstążkę w warkoczyk i ona będzie cię chronić.*

*Jak magiczna wstążka?*

*Tak. Właśnie tak. A teraz siedź spokojnie i pozwól mi skończyć.*

- Rzeczywiście czesałaś mnie, kiedy byłam mała.

Szczotka zawisła na ułamek sekundy i znowu zaczęła muskać włosy.

- Tak.
- Szkoda, że tak mało pamiętam z tamtych lat.
- A ja wolałabym mniej pamiętać.

Claire nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, na wszelki wypadek zmieniła temat.

- Mama się odezwała?

- Nie. Wczoraj zostawiłam jej trzy wiadomości. Jej chłopaczek powiedział, że oddzwoni w odpowiednim czasie.

- Nie ma sensu się na nią wściekać. Jest, jaka jest.

- Taak.

- Skończona aktorka i nieudana matka.

- Nie darowałyby ci tej „skończonej aktorki” - zaśmiała się Claire.

- To prawda. Przecież grała Szekspira w Cleveland. No już. Gotowe.

Claire podniosła się z klęczek i ruszyła do łazienki.

- Zaczekaj! - Meghann pociągnęła ją z powrotem na łóżko. - Usiądź! Żadna kobieta nie powinna sama robić sobie makijażu w dniu ślubu. - Wstała, pobiegła do swej sypialni i po minucie wróciła z pudłem, w którym z powodzeniem zmieściłby się sprzęt wędkarski.

Claire usiadła z niechętną miną.

- Ale nie za mocno. Nie chcę wyglądać jak Tammy Faye.

- Naprawdę? A myślałam, że chcesz. - Meghann otworzyła przybornik. Wewnątrz leżało mnóstwo błyszczących, czarnych kompaktów ozdobionych dwiema splecionymi literkami C, logo Coco Chanel.

- Coś mi się wydaje, że za często zaglądasz do sieci Nordstrom - zauważyła z uśmiechem Claire.

- Zamknij oczy.

Claire posłusznie spełniła polecenie. Mięciutkie pędzelki muskały jej powieki i policzki.

*Nazywam je pocałunkami elfów.*

*Halloween. Tamtego roku mieszkały w Medford, w Oregonie. Mama za dnia pracowała jako kelnerka, a wieczorami tańczyła w klubie ze striptizem.*

*Meggy, potrafisz sprawić, żebym wglądała jak księżniczka? - pytała Claire, patrząc łakomie na ogromną kosmetyczkę mamy.*

*Oczywiście, głuptasku. Zamknij oczy.*

- No już. Skończyłam.

Claire podniosła się z podłogi na lekko chwiejnych nogach. Popatrzyła na Meghann, kucającą na podłodze, obok otwartej szkatułki z kosmetykami, i na ułamek sekundy stała się na powrót tamtą sześćioletnią księżniczką, ściskającą rękę swej dużej siostry w wieczór Halloween.

- Idź, zobacz.

Claire weszła do łazienki i spojrzała w lustro.

Blond włosy były luźno zaczesane do tyłu i zwinięte w elegancki koczek. Fryzura podkreślała kości policzkowe i sprawiała, że oczy wydawały się ogromne. Nigdy dotąd nie wyglądała tak pięknie. Nigdy.

- Och!-westchnęła jedynie.

- Nie podoba ci się? Mogę to zmienić. Wróc tu.

Claire odwróciła się do siostry. Zawsze to samo; błędnie interpretowały swoje reakcje, wyobrażając sobie najgorsze.

- Bardzo mi się podoba - wyznała.

- Szczerze? - rozpromieniła się Meg.

Claire postąpiła krok w jej stronę.

- Meg, co się z nami stało?

Uśmiech Meghann przygasł.

- Wiesz, co się stało. Proszę cię. Nie mówmy o tym teraz. Nie dziś.

- Od lat powtarzamy „nie dziś”. Ta strategia nie sprawdza się w naszym przypadku.

Meghann westchnęła ciężko.

- Niektóre sprawy są zbyt bolesne, żeby o nich rozmawiać.

Claire o tym wiedziała. Ta zasada ukształtowała ich wzajemną relację. Niestety, sprawiła, że stały się sobie obce.

- Czasami najbardziej rani milczenie. - Słyszała żal w swoim głosie; nie potrafiła go ukryć.

- Zapewne jesteście tego żywym dowodem.

Patrzyły na siebie.

Nagle drzwi otwarły się z impetem.

- Mamo! - Ali wpadła do pokoju, ubrana w sukienkę druhny z bładoniebieskiego jedwabiu. - Mamo, szybko, chodź, zobacz! - Chwyliła Claire za rękę i pociągnęła do drzwi.

- Jedną sekundę, skarbie! - Claire rzuciła Meghann szlafrok, a sama włożyła nocną koszulę i pobiegła za Ali na parter. Przed domem na podjeździe tata, Bobby i Ali stali wokół cukierkowo czerwonego kabrioletu.

Claire szła ku nim, nic z tego nie rozumiejąc. I wtedy dostrzegła różową kokardę na masce.

- O co tu chodzi?

Tato wręczył jej kartkę.

*Droga Claire i Bobby!*

*Wszystkiego najlepszego w Waszym wielkim dniu.*

*Mam nadzieję, że zdążę przyjechać.*

*Całuję Was mocno.*

*Mama*

Claire stała jak wryta ze wzrokiem wbitym w samochód. Wiedziała, co to znaczy. Mama nie przyjedzie na ślub. Prawdopodobnie wybrała od dawna zamówioną wizytę u fryzjera.

Meg podeszła i położyła jej dłoń na ramieniu.

- Niech zgadnę: ślubny prezent od mamy.

- To w mamy stylu podarować mi dwuosobowy samochód - westchnęła Claire. - Czy Ali ma biec z tyłu?

Na koniec parsknęła śmiechem. Co więcej jej pozostało?

Claire stała w szatni niewielkiego kościoła episkopalnego na Front Street. Ostatnia godzina upłynęła na gorączkowych przygotowaniach. Nie znalazły z Meghann pięciu minut, żeby spokojnie porozmawiać.

Blueserki co chwila wbiegały do środka, „ochając” i „achając” nad jej suknią, a Meghann z notatnikiem w ręce sprawdzała w skupieniu wszystkie szczegóły. Ali co najmniej dwunasty raz pytała, na którym stopniu ma stanąć.

Wreszcie zapanowała kojąca cisza. Claire stała przed dużym lustrem, z niedowierzaniem patrząc na swoje odbicie. Suknia pasowała idealnie, opadając ku ziemi kaskadą białego jedwabiu, a welon sprawił, że naprawdę wyglądała jak księżniczka.

Dzień jej ślubu.

Aż trudno uwierzyć. Odkąd poznała Bobby'ego, każdego wieczoru, kładąc się spać, zastanawiała się, czy zobaczy go rano. Gdy wschodziło słońce, dziwiła się po cichu, że nadal był.

Prawdopodobnie jeszcze jedno obciążenie z dzieciństwa.

Wkrótce zostanie panią Austin.

Ktoś zapukał do drzwi.

To była Meghann.

- Kościół jest pełen. Gotowa?

- Tak. - Claire z trudem przełknęła ślinę.

Meghann wzięła delikatnie siostrę pod łokieć i zaprowadziła ją przed zamknięte drzwi kościoła. Był tam już jej tato, czekał razem z Ali.

- Och, Ali-Kotku, wyglądasz jak księżniczka - powiedziała Claire, kucając, żeby ucałować córkę.

- Mamuś, ale mam śliczną sukienkę! - Ali zachichotała, kręcąc pirueta.

Za drzwiami rozległa się muzyka. Nadszedł czas.

Meghann pochyliła się nad Alison.

- Skarbie, jesteś gotowa? Idź powolutku, tak jak ćwiczyłyśmy, dobrze?

- Jestem gotowa. - Ali podskakiwała jak piłka.

Meghann uchyliła drzwi. Ali wsunęła się przez szparę i znikła.

Sam odwrócił się do Claire. W oczach miał łzy.

- Już nie będziesz moją małą córeczką.

- Przygotujcie się - poleciła Meghann, a kiedy sekundę później organy zagrały „Oto idzie panna młoda”, otworzyła drzwi.

Claire ujęła ojca pod ramię i powoli szli razem wzdłuż nawy. Na końcu czekał Bobby, wystrojony w czarny smoking. Towarzyszył mu brat, Tommy Clinton. Obaj mężczyźni uśmiechali się radośnie.

Tata przystanął i odwrócił się do Claire. Uniósł welon, pocałował ją w policzek, odsunął się i wtedy jego miejsce zajął Bobby, wziął ją pod rękę i zaczął prowadzić do ołtarza.

Popatrzyła na niego; kochała go tak bardzo, że napawało ją to lękiem. Niebezpiecznie jest kochać tak mocno...

- Nie bój się - szepnął, ściskając jej dłonie.

Skupiła uwagę na jego ręce w swoich dłoniach, na jego krzepiącej obecności.

Ojciec Tim mówił coś rozwlekłe, lecz ona słyszała tylko bicie własnego serca. Gdy nadszedł czas na przysięgę małżeńską, ogarnęła ją panika, że nie usłyszy słów lub nie zdoła ich spałmiętać.

Niepotrzebnie. Kiedy powiedziała „tak”, jej serce zdawało się wypełniać pierś. W oczach zakręciły się łzy, gdy stała przed swymi przyjaciółmi i rodziną, patrząc w niebieskie oczy Bobby'ego.

Ojciec Tim uśmiechnął się do nich, po czym zaczął formułę:

- A teraz ogłaszam was mężem i...

W tym momencie drzwi kościoła rozwarły się z trzaskiem.

Ukazała się w nich kobieta z rozpostartymi ramionami i z pierosem w dłoni. Suknia ze srebrnej lamy podkreślała figurę. W kruchcie zaroilo się od ludzi; kłębił się tam z tuzin ochroniarzy, reporterów i fotografów.

- Nie mogę uwierzyć, że zaczęliście beze mnie!

Przez tłum przeszedł szmer.

- To ona! - szepnął ktoś.

Bobby ściągnął brwi.

Claire westchnęła i osuszyła oczy. Powinna się była tego spodziewać.

- Bobby, masz okazję poznać mamę.

- Ja ją zabiję! - Meghann wytarła niespodziewane łzy i zerwała się na równe nogi. Mruczając pod nosem „przepraszam”, przecisnęła się obok zszokowanych gości, wydobyła z ławki i ruszyła nawą.

- Oto moja druga dziewczynka! - Mama rozłożyła ramiona. Ponownie oślepiający błysk fleszy.

Meghann chwyciła matkę za ramię i wyciągnęła za drzwi. Ożywieni paparazzi ruszyli hurmem za nimi. Po drodze mama zachwiała się na idiotycznie wysokich obcasach i Meghann ogarnął strach, że poleci na twarz, a cały ten orszak runie na nie, tworząc malownicze kłębowisko ciał na czerwonym dywanie, ale wzmocniła uścisk, w porę zażegnując nieszczęście.

Słyszała, jak za zamkniętymi drzwiami ojciec Tim niepewnie ponawia próbę ogłoszenia Bobby'ego i Claire mężem i żoną. Po chwili w kościele rozległy się wiwaty.

Meghann wciągnęła mamę do szatni i zatrzasnęła drzwi.

- No i co?! - pisnęła mama, bezowocnie usiłując podkreślić oburzenie mimiką. Niewątpliwie przeszkodził nadmiar boksu.

Szczeknął pies. Mama spojrzała na podręczną torbę podróżną wyszytą koralikami, którą trzymała w ramionach.

- Spokojnie, maleńki. Meggy robi z igły widły.

- Przywiozłaś psa?!

Mama przycisnęła dłoń do obfitej piersi.

- Wiesz, Elvis nie cierpi zostawać sam.

- Mamo, od lat nie jesteś sama. Pomijając tego żalostnego dupka, z którym obecnie sypiasz, masz do dyspozycji trzech ogrodników, dwie gospodynie, asystentkę i służącego. Na pewno któreś z nich mogło popilnować psa.

- Nie muszę opowiadać się przed tobą z mojego stylu życia, moja panno. A teraz, z jakiej racji, do jasnej cholery, wyrzuciłaś mnie ze ślubu mojej rodzonej córki?!

Meghann poczuła przypływ bezsilnego gniewu. Zupełnie jak z dzieckiem. Nie da sobie wytłumaczyć, że źle postąpiła.

- Spóźniłaś się!

Mama zbyła zarzut machnięciem ręki.

- Skarbie. Jestem sławna. My zawsze się spóźniamy.

- Dzisiaj to Claire miała być gwiazdą. Mamo, czy ty nie potrafiś tego zrozumieć?! To jej dzień. A ty zjawiasz się w naj-

ważniejszym momencie i wszystko psujesz. Co robiłaś tam, na zewnątrz - czekałaś na odpowiednią chwilę, żeby mieć efektowne wejście?!

Mama na sekundę uciekła spojrzeniem w bok, lecz to wystarczyło, aby potwierdzić podejrzenie Meghann. Matka z góry zaplanowała wielkie wejście.

- Och, mamo! - westchnęła, kręcąc głową. - Istnieją pewne zasady. Obowiązują nawet ciebie. A kim są ci wszyscy ludzie? Uważasz, że potrzebujesz ochroniarzy na ślubie w Hayden?

- Zawsze z lekceważeniem traktowałaś moją karierę, ale moi fani są wszędzie. Czasem napawają mnie lękiem.

Meghann zbyła to wyznanie śmiechem.

- Zachowaj swe gierki dla magazynu „People”.

- Widziałaś artykuł? Dobrze wyszłam na zdjęciu, nie sądzisz? - Mama natychmiast podeszła do lustra i zaczęła sprawdzać makijaż.

- Gdy tylko ludzie wyjdą z kościoła, porozmawiam sobie z twoim orszakiem. Przyjechali samochodami, mogą więc siedzieć w nich do końca wesela. Osobiście osłonię cię przed nachalnymi fanami.

- A niech cię, Meggy! Kto będzie robić mi zdjęcia na weselu? Kobieta w moim wieku potrzebuje filtrów. - Mama sięgnęła do wieczorowej torebki, ozdobionej kryształkami i wyjęła pomadkę w czarnej oprawce. Przybliżyła twarz do lustra.

- Mamo - wycodziła Meghann - Claire bardzo długo czekała na ten dzień.

- Niewątpliwie. Już zaczynałam się obawiać, że ona i te jej przyjaciółki to lesby. - Mama zakręciła pomadkę i uśmiechnęła się do swego odbicia.

- Chodzi o to, że dziś musimy skupić uwagę na Claire. Na jej potrzebach.

Mama odwróciła się raptownie.

- No, nie, to przesada! Czy kiedykolwiek przedkładałam własne sprawy nad potrzeby moich dzieci?

Meghann odebrało mowę. Najbardziej zdumiewające w całej



tej scenie jak z filmu science fiction było to, że mama naprawdę wierzyła w swoje słowa.

- Posłuchaj, mamó - Meghann wysiliła się na uśmiech - nie chcę się z tobą kłócić w tym szczególnym dniu. Pójdziemy razem na przyjęcie weselne i powiesz Claire, jak bardzo się cieszysz z jej szczęścia.

- Cieszę się. Wyjście za mąż to najpiękniejsza rzecz na świecie. Pamiętam, że kiedy poślubiłam jej tatę, roznosiło mnie ze szczęścia.

„Częściej cię roznosiło niż błotnisty brzeg rzeki”. Meghann zacisnęła usta, cały czas rozciągając je w uśmiechu. Nie przypomniała matce, że jej małżeństwo z Samem trwało niecałe sześć miesięcy i że uciekła od niego w środku nocy, wysyłając go wcześniej po tampony do marketu. Przez lata widziała oczyma wyobraźni, jak Sam wraca w tamtą deszczową noc na pole kempingowe Chief Sealth w Concrete, w stanie Waszyngton i stoi na pustym miejscu po ich przyczepie z pudełkiem tamponów w ręce. Niemal przez dziesięć lat - do chwili gdy Meghann do niego zadzwoniła - nie wiedział, że ma córkę.

- I tak będzie, mamó. Czy ci się podoba, czy nie. Możesz natomiast - podeszła bliżej, patrząc w pozbawioną zmarszczek dzięki skalpelowi twarz matki - zabrać ze sobą jednego fotografa. Słownie jednego. Żadnych ochroniarzy i psów. Ta decyzja nie podlega negocjacji.

- Meghann, straszna z ciebie jędza - oświadczyła mama. Jej akcent stał się tak wyraźny, że tylko wytrenowane ucho było w stanie zrozumieć słowa. - Nic dziwnego, że nie potrafisz utrzymać przy sobie mężczyzny.

- I to mówi kobieta, która była mężatką ile - z sześć razy? Wkrótce zaczniesz się wymieniać mężami z Liz Taylor, bo nie będziesz ich miała skąd brać.

- Nie masz w sobie krzty romantyzmu.

- Ciekawe dlaczego, skoro wzrastałam otoczona miłością. Stały blisko siebie, mierząc się wzrokiem.

I nagle mama się roześmiała. Tym razem szczerze, nie tym wystudiowanym hollywoodzkim śmieszkiem, przypominającym

pomiaukiwanie kociaka, lecz gardłowym śmiechem, jaki słyhać w tawernach i z jakim się urodziła.

- Meggy, skarbie, zawsze mi dokładałaś. Czy ci kiedykolwiek mówiłam, że jak miałaś osiem miesięcy, pokazałaś mi „pieprz się”?

Meghann mimo woli się uśmiechnęła. Zawsze tak było. Jak można złościć się na kobietę tak pustą jak mama? Pozostaje tylko uśmiechnąć się i machnąć ręką.

- Nie sędzę, mammo.

Mama otoczyła Meghann ramieniem i przyciągnęła do siebie. Przypomniały jej się czasy, kiedy była dzieckiem, a potem nastolatką. Żyły z mamą jak pies z kotem, a na koniec się śmiały. Prawdopodobnie obie wołały śmiech od łez.

- Nie. Popatrzyłaś na mnie, uśmiechnęłaś się i pokazałaś palec. Nigdy tak się nie ubawiłam.

- Od tamtego czasu kilkakrotnie zdarzyło mi się pokazać ten gest.

- Och, nie wątpię. Masz to we krwi. Wiedziałybyś więcej na ten temat, gdybyś miała dzieci.

- Mammo, nie zaczynaj.

- Ha, sru-tu-tu-tu! Nie będziesz mi rozkazywać, co mam robić czy mówić, moja panno. Macierzyństwo wymaga odwagi. Ty jej nie masz. Przypomnij sobie, w jakim stylu pozbyłaś się siostry. Nie ma się czego wstydzić.

- Mammo, nie sędzę, że akurat ty powinnaś mi robić wykłady o macierzyństwie. Może przypomnę ci kilka faktów, których wolisz nie pamiętać. Na przykład, że wychowywanie Claire było twoim obowiązkiem, a nie moim.

- A więc idziemy na przyjęcie weselne czy nie? O północy odlatuję do domu. I nie przejmuj się, taka gwiazda jak ja nie ma nawet dwóch wolnych godzin. Przed jedenastą muszę być w Sea Tac.

- Czyli powinnaś stąd wyjechać około wpół do dziewiątej. W takim razie chodźmy. Ale mammo, uprzedzam, zachowuj się.

- Kochana, przecież wiesz, że my, dziewczyny z Południa, rodzimy się z dobrymi manierami.

- Och, proszę, jesteś tak samo z Południa jak Tony Soprano.
- Słowo honoru, powinnam cię była zostawić przy drodze w Wheeling, w Wirginii Zachodniej - prychnęła mama.
- Przecież mnie tam zostawiłaś!
- Zawsze byłaś harda i pamiętliwa. To wada, Meggy. Naprawdę. No i co się stało, po prostu źle policzyłam dzieci. To się zdarza. Popełniłam błąd, wracając po ciebie.

Meghann westchnęła. Zawsze ostatnie słowo należało do mamy.

- Chodźmy. Claire pewnie myśli, że cię zamordowałam.

## 21

Claire postanowiła nie myśleć o przykrym incydencie z mamą. Przytulona do ramienia Bobby'ego, dała się ponieść nastrojowi chwili. Otaczała ją roześmiana, gwarna gromada składających gratulacje. Nigdy w życiu nie czuła się taka ważna i tak w pełni kochana. Prawie całe miasteczko przyszło na ślub i wszyscy ją teraz zatrzymywali, żeby powiedzieć, iż nie widzieli piękniejszej panny młodej.

Takie rzeczy uderzają kobiecie do głowy jak szampan. W zamęcie, jaki towarzyszy życiu samotnej matki, zapomina się, jak to jest znaleźć się w centrum uwagi.

Bobby przygarnął ją do siebie, ciasno obejmując w talii.

- Czy już ci mówiłem, jak pięknie wyglądasz?

Zatrzymała się i przytuliła do niego. Goście weselni poszturchiwali ich, przeciskając się obok.

- Mówiłeś.

- Kiedy szłaś nawą, zaparło mi dech. Kocham cię, pani Austin.

Znowu łzy zakręciły się jej w oczach. Nic dziwnego. Od rana była skora do płaczu.

Objęci w pół szli powoli, podążając za tłumem.

- Nie rozumiem, dlaczego wszyscy się uparli, żeby stawiać samochody przy parku Riverfront. Przecież przed kościołem jest

zwykle mnóstwo miejsca. Moglibyśmy się zabrać kilkoma samochodami na pole kempingowe.

- Po prostu idę za tłumem. - Bobby wzruszył ramionami. - Giną powiedziała, że przed parkiem ma czekać na nas limuzyna.

- Tylko Meghann mogła wynająć limuzynę, żeby przejechać piętnaście kilometrów - zaśmiała się Claire. Jednocześnie musiała przyznać, że perspektywa była podniecająca. Jeszcze nigdy nie siedziała w limuzynie.

Tłum przed nimi zatrzymał się i rozstał się jak na komendę, tworząc ciemny szpaler.

- Chodźcie! - zawołała Giną, przywołując ich skinieniem dłoni.

Claire pochwyciła Bobby'ego za rękę i pociągnęła za sobą. Goście klaskali i wiwatowali. Posypał się deszcz ryżu, ziarenka spadały im na głowy i chrzęściły pod stopami.

Dotarli do końca szpaleru.

- O rany! - Claire odwróciła się, szukając w tłumie Meghann, lecz nigdzie jej nie dostrzegła.

Nie wierzyła własnym oczom. Park Riverfront, miejsce, gdzie spędziła dzieciństwo, złamała nogę w kostce podczas gry w dwa ognie, gdzie całowała się po raz pierwszy, uległo transformacji.

W ciemnościach gęsty trawnik nabrał odcienia głębokiej czerni. Po prawej stronie w wiecznie niespokojnej rzece, która przypominała teraz matową, srebrzystą wstęgę, odbijała się poświata księżyca.

W parku rozstawiono ogromny biały namiot. Tysiące białych choinkowych lampek zdobiło podpory i prowizoryczny sufit. Claire z daleka widziała stoły rozstawione pod namiotem. Każdy nakryty udrapowanym srebrzystym obrusem. Chińskie lampiony załamywały światło, rzucając na ziemię i ściany cienie w kształcie gwiazdek i sierpów księżyca.

Ruszyła przed siebie. Zapach róż unosił się w powietrzu, wypełniając je słodyczą. Zauważyła, że środek każdego stołu zdobiła kwiatowa kompozycja - prosta szklana waza pełna świeżych, białych róż. Na długim stole pod ścianą stało mnóstwo

srebrnych naczyń na podgrzewaczach i platerowych półmisek. W rogu trzech muzyków w białych smokingach grało cicho liryczną i rzewną melodię z czasów drugiej wojny światowej.

- Ooch! - sapnął Bobby, wchodząc za Claire do namiotu.

Zespół zaczął grać „Isn't It Romantic?”.

- Pani Austin, czy mogę prosić do tańca?

Dała mu się porwać w ramiona i powieść na parkiet. Na oczach przyjaciół i rodziny tańczyła z mężem.

Kiedy muzyka przestała grać, Claire wreszcie dostrzegła siostrę. Podążyła za mamą, pochłoniętą witaniem i pozdrawianiem weselników.

- Bobby, chodź! - Claire wzięła go za rękę i sprowadziła z parkietu. Przedzieranie się wśród ciżby gości, z których każdy miał coś do powiedzenia, zdawało się trwać wieki. Wreszcie dotarli do bufetu, gdzie królowała mama, częstując gromadę wielbicieli filmowych gwiazd opowiadkami o życiu na pokładzie „USS Star Seeker”.

Mama zauważyła ich i przerwała w pół zdania.

Szczery uśmiech wypłynął na jej twarz.

- Claire! - zawołała, wyciągając obie ręce. - Kochanie, przepraszam za spóźnienie, ale gwiazdy nie rządzą własnym życiem. Byłaś najpiękniejszą panną młodą, jaką widziałam. - Jej głos trochę się załamał. - Naprawdę, Claire - dodała ciszej, bo pozostałe słowa były przeznaczone wyłącznie dla uszu Claire. - Jestem z ciebie taka dumna.

Patrzyły sobie w oczy. Claire ogarnęło wzruszenie, gdy w ciemnych oczach mamy dostrzegła szczerą radość.

- A teraz... - rzuciła szybko mama, ponownie się uśmiechając - gdzież się podziewa mój nowy zięć?

- Tutaj jestem, pani Sullivan.

- Mów mi Ellie. Wszyscy w rodzinie tak mnie nazywają. - Podeszła bliżej. - Fiuu! - zagwizdała. - Z taką urodą nadajesz się do Hollywood.

To był największy komplement w ustach mamy.

- Dziękuję, proszę pani.

Grymas irytacji przebiegł przez jej twarz; pojawił się i natychmiast znikł.

- Oj, proszę! Mów mi Ellie. Słyszałam, że śpiewasz. Meggy nie potrafi powiedzieć, czy jesteś dobry.

- Jestem.

Wzięła go za rękę.

- Jeśli śpiewasz w połowie tak dobrze, jak wyglądasz, raz-dwa znajdziesz się w radiu. Chodź! Zatańczymy, a ty opowiesz mi o swojej karierze.

- Będę zaszczycony, mogąc zatańczyć z moją teściową. - Bobby posłał uśmiech Claire i oddalił się.

Wreszcie Claire miała okazję zamienić kilka słów z Meghann, która w milczeniu przysłuchiwała się rozmowie.

- Wszystko w porządku?

- Mama przywozła psa. Nie wspomnę już o orszaku ochroniarzy.

- W każdej chwili mogą ją opaść hordy fanów - stwierdziła Claire, parodiując południowy akcent.

Meghann roześmiała się i natychmiast spoważniała.

- Musi wyjechać o wpół do dziewiątej.

- Manikiur u Rollo?

- Prawdopodobnie. Cokolwiek to jest, należy zmówić modlitwę dziękczynną.

Zespół zaimprovizował liryczną, sentymentalną wersję „As Time Goes By”.

Claire wpatrywała się w siostrę, szukając słów, które oddałyby to, co czuła.

- Ten ślub... - zaczęła i głos ją zawiódł.

- Zrobiłam coś źle, tak?

Claire ogarnął smutek, gdy uświadomiła sobie, że straciły wiele lat.

- Wydałaś majątek - powiedziała.

- Nie. - Meghann pokręciła głową. - Prawie wszystko pochodzi z wyprzedaży. Lampki są moje. Namiot...

Claire uciszyła siostrę, kładąc jej palec na ustach.

- Staram się powiedzieć dziękuję.
- Ach!
- Szkoda... - Nie potrafiła wyrazić nagłej tęsknoty. Wydawała się zbyt wielka, by udźwignęły ją słowa.
- Wiem - przytaknęła cicho Meghann. - Może teraz między nami inaczej się ułoży. Ten czas spędzony razem... sprawił, że przypomniałam sobie, jak bardzo byliśmy sobie bliskie.
- Byłaś moją najlepszą przyjaciółką - wyznała Claire, osuszając ostrożnie oczy, żeby nie rozmazać makijażu. - Tęskniłam za tobą, kiedy... wyjechałaś. - Nie mogła użyć ostrzejszego słowa, nie w tej chwili.
- Ja też za tobą tęskniłam.

- Mamo! Mamo! Zatańcz z nami!

Claire odwróciła się i zobaczyła za sobą tatę z Alison.

- Zgodnie ze zwyczajem panna młoda powinna zatańczyć z ojcem - powiedział, wyciągając do niej stwardniałą od pracy dłoń.

- I z córką! Dziadek mnie weźmie na ręce! - Alison podskakiwała z podniecenia.

Claire oddała kieliszek z szampanem Meghann, która zachęcała ją, szepcząc:

- Idź.

Ojciec zaprowadził Claire na parkiet, a kiedy znaleźli się wśród tańczących, wyszeptał jej do ucha:

- Kiedyś Ali wyjdzie za mąż, a wtedy zobaczysz, jakie to uczucie. Wszystkie emocje naraz mieszają się w człowieku.

- Dziadku, podnieś mnie!

Sam pochylił się i wziął Alison na ręce. Wszyscy troje, przytuleni do siebie, kołysali się w rytm „The Very Thought of You”.

Claire odwróciła głowę, żeby uniknąć pytania Alison, dlaczego płacze. Na lewo od niej mama miotwała po parkiecie biednym Bobbym. Claire parsknęła głośnym śmiechem, dobrze teraz rozumiejąc, co tata miał na myśli.

Wszystkie emocje naraz.

To właśnie przyniósł dzisiejszy wieczór. Całe życie będzie

wracać do niego myślami i wspominać, jakie dobre było życie, jak mocno kochała odwzajemnioną miłością.

Właśnie to ofiarowała jej Meghann.

Meghann zapatrzyła się na aksamitnoczarny trawnik w parku Riverfront imienia Edgara Peabody. Po przeciwnej stronie ulicy stał skapany w księżycowym blasku blaszany hangar. Za jej plecami muzycy składali sprzęt. Zostało już tylko paru najwytrwalszych gości. Mama, podobnie jak Sam i Ali, pożegnała się wiele godzin temu. Większość weselników, a także nowożeńcy opuścili przyjęcie około północy. Meghann została, żeby nadzorować sprzątaninę, ale teraz robota była skończona.

Popiła szampana i ponownie spojrzała na drugą stronę ulicy. Samochód stał zaparkowany na wysokości domku Joego. Zastanawiała się teraz, czy celowo wybrała to miejsce.

Prawdopodobnie spał.

Wiedziała, że złożenie mu wizyty to bzdurny, a może nawet i niebezpieczny pomysł, lecz atmosfera tej nocy miała w sobie coś szczególnego. Połączenie romansu i magii uderzało do głowy. Pachniało jak róże i sprawiało, że kobieta była gotowa uwierzyć, iż wszystko jest możliwe. Przynajmniej dziś.

Wolała nad tym zbyt długo się nie zastanawiać. Jeśli będzie za dużo myśleć, wyzwie się od idiotek i zrezygnuje. Nucać melodię, którą grał zespół, ruszyła żwirową alejką. Kiedy dotarła do czarnej wstęgi asfaltu, skręciła w prawo.

Przystanąła przed bramką. W domku paliło się światło.

To do niej niepodobne.

Odsunęła od siebie tę refleksję i podeszła do drzwi. Wahala się minutę czy dwie, zanim zapukała.

Joe otworzył po chwili. Włosy miał potargane, jakby spał, i był w samych dżinsach. Wyraźnie czekał, że coś powie, lecz głos odmówił jej posłuszeństwa. Stała jak kołek i gapiła się na jego nagą pierś.

- Masz zamiar tak stać?

Uniosła prawą rękę, pokazując butelkę szampana.



Patrzył na nią w milczeniu. Kiedy cisza stała się nieznośna, chwycił czarny podkoszulek z kanapy, wciągnął go i wrócił do drzwi.

- Pewnie jesteś napalona. Dlatego przyszłaś, tak?

Zagotowało się w niej. Miała ochotę się obruszyć, może nawet trzasnąć go w twarz, ale każda z tych reakcji byłaby wyłącznie na pokaz. Kobieta, która pieprzy się z nieznajomymi, dawno straciła prawo do podobnych gestów. Był szczery, lecz kryło się za tym coś więcej. Odniosła wrażenie, że jest na nią zły. Nie rozumiała dlaczego. Co gorsza, uświadomiła sobie, że się tym przejmuje.

- Nie, pomyślałam, że moglibyśmy gdzieś pójść.

- Masz na myśli randkę? O pierwszej w nocy?

- Jasne. Dlaczego nie?

- Stosowniej sze pytanie - dlaczego tak?

Gdy spotkały się ich spojrzenia, poczuła, jak przyspiesza jej puls. Żadne stosowne słowa nie przychodziły na myśl. Wolała zanadto nie analizować, co pchnęło ją do przyjscia.

- Posłuchaj, Joe. Miałam dobry humor. Być może za dużo wypiałam. - Głos jej się załamał; wzbierało w niej pożądanie. Zażenowana, zamknęła oczy. - Nie powinnam była przychodzić. Przepraszam. - Kiedy otworzyła oczy, zauważyła, że podszedł bliżej. Jeden nieznacznym ruch i mógłby ją pocałować.

- Nie mam ochoty wychodzić.

- Cóż.

- Ale nie miałbym nic przeciwko temu, żebyś wstąpiła.

Rozpogodziła się.

- Świetnie.

- Natomiast jestem zdecydowanie przeciwny budzeniu się samotnie - dodał. - Nie chcesz zostać na noc, w porządku, lecz nie wymykaj się jak dziwka.

A więc o to chodziło.

- Przepraszam.

Uśmiechnął się. Uśmiech rozjaśnił mu całą twarz, odejmując z dziesięć lat.

- Nie ma za co. Wchodź!  
Dotknęła jego ramienia.
- Pierwszy raz widzę, jak się uśmiechasz.
- Taak - przyznał cicho, chyba ze smutkiem. - Minęło trochę czasu.

Meghann przespała całą noc. O świcie wyrwały ją ze snu promienie słońca, sączące się do wnętrza przez małe zakurzone okna. Zazwyczaj rano była nerwowa i rozbita - normalny stan po bezsennej nocy - tym razem jednak czuła się wypoczęta i zrelaksowana. Nie pamiętała, kiedy ostatnio trafił jej się taki dobry poranek.

Czuła na udach ciężar gołej nogi Joego. Opasywał ją ramionami, przytrzymując przy sobie. Nawet przez sen gładził ją opuszką wskazującego palca.

Powinna zniknąć. Przez lata doprowadziła ten manewr do perfekcji; burzące intymność wysunięcie z ramion, cichy tupot bosych stóp, bezgłośnie ubieranie i niewidzialne wyjście.

Wieczorem powiedział: „Jestem zdecydowanie przeciwny budzeniu się samotnie”.

Nie mogła się wymknąć.

O dziwo, wcale nie miała ochoty. Intuicja podpowiadała jej, że powinna ze względu na własne dobro, a tak przyjemnie było znaleźć się znowu w męskich ramionach. Gdy leżała, nasłuchując jego spokojnego, równego oddechu, i czuła dotyk opasujących ją ramion, uzmysłowiła sobie, jak mało intymności zaznała w życiu. Zawsze pod kontrolą, parła wyznaczoną przez siebie ścieżką i nigdy nie zwalniała na tyle, żeby dopuścić do głosu uczucia. Oczywiście ta intymność między nią i Joem nie była prawdziwa. Mało się znali, niewiele ich łączyło, lecz dla Meghann nawet namiastka emocji była czymś nowym.

Ostatniej nocy kochali się inaczej. Delikatniej, łagodniej. Wcześniej dopadali do siebie gorączkowo, a tym razem zachowywali się tak, jakby mieli przed sobą wieczność. Jego niespieszne, długie pocałunki rozpały ją do szaleństwa. To nie

było zwykłe pożądanie; tak przynajmniej jej się wydawało w chwili uniesienia. Wyobraziła sobie, że łączy ich coś więcej.

I to ją niepokoiło. Rozumiała pożądanie, akceptowała je. Było smolistoczną plamą na tle szarości życia.

Emocje były czymś zupełnie innym. Nawet jeśli nie stanowiły preludium do miłości, oznaczały kłopoty. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było liczenie się z drugą osobą.

Ajednak...

Nigdy siebie nie oszukiwała i teraz, leżąc nago w jego ramionach, musiała przyznać, że coś ich jednak łączy. Nie miłość, to pewne, ale coś. Gdy ją całował, czuła się tak, jakby przedtem nikt jej nie całował.

Dla niej to jasne jak słońce; oto zapowiedź cierpienia.

Początek.

Wemknął się zdradziecko. Otworzyła drzwi z napisem „Anonimowy seks” i znalazła się w pokoju pełnym nieoczekiwanych możliwości.

Możliwości, które potrafią złamać kobiecie serce.

Jeśli od niego ucieknie, stanie się dla niej ładnym wspomnieniem. Może trochę bolesnym, lecz będzie to słodko-gorzki, niemal przyjemny ból. Zdecydowanie lepszy od cierpienia, jakie niewątpliwie stanie się jej udziałem, gdy wzmówi sobie, że wierzy w coś więcej niż seks.

Musi natychmiast zakończyć tę historię, zanim odcisnie na niej swe piętno.

Uzmysłowienie sobie tego faktu zasmuciło ją i pogłębiło poczucie osamotnienia.

Spontanicznie pochyliła się i pocałowała go. Chciała szepnąć „kochaj się ze mną”, ale wiedziała, że zdradziłyby ją głos.

Zamknęła więc oczy, udając, że śpi. Nie pomogło. Myślała tylko o jednym; jak to będzie, kiedy go zostawi.

Wiedziała, że odejdzie bez pożegnania.

Joe przebudził się z Meghann w ramionach, leżeli nadzy, spleceni w uścisku. Wspomnienia ostatniej nocy uczyniły go dziw-

nie beztroskim. Najbardziej wrył mu się w pamięć jej ochrypły, rozpaczliwy głos, gdy wykrzyczała jego imię.

Poruszył się ostrożnie i odsunął na tyle, by móc lepiej jej się przyjrzeć. Czarne włosy wiły się potargane; pamiętał, jak w przyptywie namiętności wczepił w nie palce, a potem gładził przez sen. Błede policzki wydawały się jeszcze bledsze na tle szarawej bawełnianej poszewki. Nawet we śnie wokół oczu i ust czaił się smutek, jakby przeżywała swoje zmartwienia nie tylko na jawie, ale i przez sen.

Ale się dobrali! Spędzili ze sobą trzy noce i prawie nic o sobie nie wiedzą.

Zdumiewające, że znowu jej pragnął. I nie chodziło wyłącznie o ciało. Chciał ją poznać i już sama ta chęć była niezwykła. Była niczym światło w miejscu, które dotąd było zimne i ciemne.

A jednocześnie napawała go lękiem.

Przenikało go poczucie winy. Towarzyszyło mu nieustannie przez ostatnie lata, wżarło się w kości i ścięgna. Podczas tyłu nocy, że nie potrafił ich zliczyć, dawało mu siłę, która utrzymywała go przy życiu; dopadało go z samego rana i nie opuszczało, dopóki nie zasnął.

Jeśli pozbędzie się poczucia winy - nie do końca, oczywiście, lecz na tyle, aby odważyć się na nowe życie u boku nowej kobiety - czy zatrą się również wspomnienia? Czy pamięć o Dianie jest tak spleciona z wyrzutami sumienia, że może zachować jedno i drugie albo nic? A jeśli tak jest, czy naprawdę mógłby rozpocząć nowe życie, inne od tego, które wiódł z kobietą, którą kochał przez tyle lat?

Nie wiedział.

Teraz, kiedy patrzył na Meghann i czuł na skórze jej delikatny oddech, zapragnął spróbować. Wyciągnął rękę i odgarnął jej z twarzy jedwabiste pasmo. To był ten rodzaj dotyku, na jaki nie odważył się od lat.

Obudziła się, mrużąc oczy.

- Dzień dobry! - powiedziała schrypniętym głosem.

Pocałował ją lekko.

- Dzień dobry! - wyszeptał.

Odsunęła się zbyt szybko i odwróciła.

- Muszę iść. O dziewiątej mam odebrać siostrzenicę. - Odrzuciła kołdrę i wstała z łóżka. Naga, chwyciła poduszkę i zasłaniając się nią, pobiegła do łazienki. Zanim wróciła w swojej kosztownej sukience z jedwabiu w kolorze lawendy, on już zdążył się ubrać.

Wzięła sandaalki w rękę i przerzuciła rajstopy przez ramię.

- Naprawdę muszę iść. - Spojrzała na drzwi i powoli się odwróciła.

Chciał ją zatrzymać, ale nie wiedział jak.

- Cieszę się, że wczoraj przyszłaś.

- Ja też - zaśmiała się. - Podwójnie.

- Nie... - zaczął, idąc do niej. Nie miał pewności, co -jeśli w ogóle - między nimi było, ale wiedział, że to nie żarty.

Ponownie spojrzała na drzwi, a potem na niego.

- Joe, nie mogę zostać.

- W takim razie do zobaczenia.

Czekał na odpowiedź, lecz ona się nie odezwała. Zamiast tego pocałowała go. Mocno. Brakowało mu tchu, kiedy się odsunęła.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Joe - wyszeptała i już jej nie było.

Podszedł do okna i odprowadził ją wzrokiem.

Podbiegła do samochodu, a potem przystanęła i obejrzała się na domek. Z daleka wydała mu się smutna. Uzmysłował sobie, jak mało ją zna.

Zaprzagnął to zmienić, chciał uwierzyć, że mimo wszystko istnieje nadzieja na przyszłość. Może nawet z nią.

Najpierw musiał uwolnić się od przeszłości.

Nie wiedział, jak się z tym wszystkim uporać, jak zacząć nowe życie i uwierzyć w odmianę losu, natomiast wiedział, od czego powinien zacząć. Zawsze to wiedział.

Musiał porozmawiać z rodzicami Diany.

Meghann zaparkowała samochód i wysiadła. Jeden rzut oka na dom podpowiedział jej, że nikogo tam nie ma. W żadnym z okien nie paliło się światło. Wcisnęła rajstopy do torebki i bosy przebiegła przez trawnik, po czym weszła cicho do mrocznego wnętrza.

W pół godziny wykapała się, przebrała w podkoszulek i dżin-sy oraz spakowała rzeczy. Zanim wyszła, napisała parę słów do Claire i położyła kartkę na blacie w kuchni.

*Claire i Bobbyl*

*Witajcie w domu.*

*Całusy*

*Meghann*

Ozdobiła podpis zabawnym rysunkiem dwóch kieliszków do martini, potem przystanęła i po raz ostatni ogarnęła spojrzeniem dom, który wydał jej się taki ciepły. Nagle zrobiło jej się przykro, że wyjeżdża. W porównaniu z tym domem jej kondominium było niezamieszkane i zimne.

Wreszcie wsiadła do samochodu i przejechała powoli przez teren lotniska.

We wczesny niedzielny poranek na kempingu panowała cisza. Dzieci nie pluskały się w basenie, nie spacerowali letnicy. Samotna dwójka wędkarzy - sądząc z wyglądu ojciec i syn - zarzucali wędki z brzegu rzeki.

Na skraju lotniska skręciła w prawo na rozjeżdżoną szutrową drogę. Tu drzewa tworzyły gęsty szpaler, a ich rozłożyste konary przepuszczały jedynie pojedyncze promienie porannego słońca. Na koniec wyjechała na polanę w kształcie podkowy, porośniętą ogromnymi rododendronami i kępami monstrealnych paproci. Na środku stała wsparta na cementowych bloczkach duża, szara przyczepa kempingowa, z ładnym cedrowym tarasem przed wejściem. Wszędzie doniczki z czerwonym geranium i fioletowymi petuniami.

Meghann zatrzymała samochód i wysiadła. Jak zawsze na myśl o spotkaniu z Samem poczuła skurcz żołądka. Musiała bardzo się starać, żeby nie myśleć o przeszłości.

„Wyjedź. Zostaw nas w spokoju”.

„Jesteś taka sama jak twoja matka”.

Zacisnęła dłoń na pasku torebki i weszła na taras, gdzie w czerwcowy poranek unosił się zapach kapryfolium i jaśminu.

Delikatnie zapukała do drzwi. Ponieważ nikt nie otwierał, zapukała ponownie. Tym razem bardziej zdecydowanie.

Drzwi otwały się na oścież, skrzypnęły zawiasy, wejście wypełnił sobą Sam w powyciąganych spodniach od dresu i bladoniebieskim podkoszulku z napisem „Kurort nad Brzegiem Rzeki”. Ciemne włosy tworzyły nieokiełznaną fryzurę jak u Alberta Einsteina.

- Meg! - odezwał się, wyraźnie siląc się na uśmiech. Usunął się na bok. - Wejź!

Ominęła go i weszła do zaskakująco przytulnego saloniku.

- Dzień dobry, Samie! Przyjechałam po Alison.

- Tak. - Spochmurniał. - Jesteś pewna, że chcesz ją zabrać w tym tygodniu? Z chęcią się nią zajmę.

- Nie wątpię - odparła dotknięta. To zbyt mocno przypominało sytuację z przeszłości.

- Nie miałem na myśli nic złego.

- Oczywiście, że nie.

- Przecież wiem, jaka jesteś zajęta.

Spojrzała mu prosto w twarz.

- Nadal uważasz, że mam zły wpływ, czy tak?

Postąpił krok i przystanął.

- Nigdy nie powinienem był tak myśleć. Claire opowiedziała mi, jak o nią dbałaś. Wtedy niewiele wiedziałem o małych dziewczynkach, a już na pewno nie znałem się na nastolatkach, które...

- Proszę. Nie kończ. Masz dla mnie listę? Alergie. Jakies leki. Coś, co powinnam wiedzieć?

- Chodzi spać o ósmej. Lubi, żeby jej poczytać. Ukochana bajka to „Mała syrenka”.

- Świetnie. - Meg zerknęła w głąb korytarza. - Jest gotowa?
- Tak. Właśnie żegna się z kotem.

Meg czekała. Gdzieś w przyczepie tykał zegar; minęła minuta, potem druga.

- W sobotę jest zaproszona na urodziny. Jeśli przywieziesz ją do południa, to zdąży na nie pójść - przerwał milczenie Sam. - W ten sposób byłaby w domu, kiedy Claire i Bobby wrócą w niedzielę.

Meghann знаła ustalenia.

- Będzie na czas. Czy poszukać z nią jakiegoś prezentu?
- Jeśli to nie jest kłopot dla ciebie.
- Nie jest.
- Ale nic drogiego.
- Myślę, że poradzę sobie z zakupami. Dzięki.

Znowu zaległo milczenie, zakłócanie jedynie tykaniem zegara. Meghann szukała w myślach jakiejś niewinnej uwagi, gdy Alison wbiegła do korytarza, taszcząc w objęciach czarnego kota, który zwisał niemal do ziemi.

- Lightning chce jechać ze mną. Miauczał do mnie. Ciciu Meg, mogę go zabrać? Mogę?

Meg nie miała pojęcia, czy u niej w budynku wolno trzymać koty.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Sam przyklęknął przed wnuczką i ostrożnie oswobodził kota z jej ramion.

- Skarbie, Lightning musi zostać. Przecież wiesz, jak on lubi bawić się ze swymi kolegami i polować na myszy w lesie. To wiejski kot. Nie spodobałoby mu się w mieście.

Oczy Alison wydawały się ogromne w stosunku do bladej buzi w kształcie serca.

- Ja też nie jestem dziewczynką z miasta - stwierdziła, wydymając dolną wargę.

- Nie - przyznał Sam - ale jesteś poszukiwaczem przygód tak jak Mulan i księżniczka Jasmine. Myślisz, że oni denerwowaliby się przed podróżą do miasta?

Ali potrząsnęła głową.



Sam przygarnął ją do siebie i mocno uściskał. Kiedy wypuścił ją z objąć, podniósł się powoli i spojrzał na Meghann.

- Dobrze się opiekuj moją wnuczką.

Mniej więcej coś takiego powiedziała do Sama wiele lat temu, zanim na dobre wyjechała. „Opiekuj się moją siostrą”. Tyle że tamtym słowom towarzyszyły łzy.

- Obiecuję.

Alison schwyciła plecaczek z napisem „Mała syrenka” i podniosła niedużą walizkę.

- Jestem gotowa, ciociu Meg.

- W takim razie chodźmy. - Meg wzięła od niej walizkę i skierowała się do drzwi. Wyjeżdżały już na szutrową drogę, gdy nagle Alison krzyknęła: - Stop!

Meg z całej siły nadepnęła na hamulec.

- Co się stało?

Alison wygramoliła się z fotela, otworzyła drzwi i pędem pobiegła z powrotem do przyczepy. Wróciła po chwili, przyciskając do piersi zmechaniczny różowy kocyk. Oczy szkliły się jej od łez.

- Nie mogę szukać przygód bez kosmaczka.

Claire do końca życia będzie pamiętać pierwsze wrażenie z Kauai.

Gdy samolot zatoczył łuk w lewo i obniżył kurs, ujrzała białe piaszczyste plaże otoczone turkusową wodą. Pod jej powierzchnią czarno połyskiwały rafy.

- Och, Bobby! - zawołała, odwracając się do męża. Chciała mu powiedzieć, co dla niej, dziewczyny wychowanej w przyczepie, która marzyła o palmach, znaczy ta chwila, lecz słowa cisnące się na usta były nieadekwatne i banalne.

Godzinę później siedzieli już w wynajętym samochodzie - mustangu kabriolecie - i zmierzali na północ.

O dziwo, z każdym pokonywanym kilometrem wyspa stawała się coraz bardziej zielona i bujniej porośnięta. Gdy dotarli do sławnego mostu Hanalei, gdzie przypominające ogromne patch-

worki pola kolokazji leżą u stóp wznoszących się stromo, czarnych gór, znaleźli się w innym świecie. Jak okiem sięgnąć, żadnych zabudowań ani dróg. Po prawej stronie pośród gęstych zarośli upstrzonych kwiatami wiła się rzeka Hanalei, a po niej płynęły leniwie kajaki niesione prądem. W oddali od niebieskiego tła nieba odcinały się ciemne góry; kilka pierzastych chmur zapowiadało na jutro deszcz, lecz w tej chwili pogoda była idealna.

- Tutaj! Tu skreć! - powiedziała Claire, gdy dojeżdżali do przecznicy za kościołem.

Domy stały wzdłuż plaży na sporych parcelach graniczących z wodą. Claire obawiała się, że zobaczy rezydencje w stylu Bel Air. Niepotrzebnie. W większości były stosunkowo stare i bezpretensjonalne. Przy parku skrećili ponownie i tam właśnie stał dom, który wynajął tata. Oddalony o jeden kwartał od plaży, w ślepej uliczce, mógł sprawiać wrażenie przeciętnego lokum.

Nic bardziej błędnego. Ten dom pomalowany na charakterystyczny dla tropików intensywny niebieski kolor, z białymi, lśniącoymi okiennicami, wyglądał jak inkrustowana szkatułka ukryta w egzotycznym krajobrazie. Z trzech stron granicę posesji wyznaczał gęsty zielony żywopłot, skutecznie zasłaniając całość przed sąsiadami.

W białych wnętrzach z podłogami z sosnowych desek stały barwne hawajskie meble. Na piętrze znajdowała się sypialnia urządzona bardziej kolorowo, z balkonem z widokiem na góry. Stojąc na balkonie, Claire widziała górę oznaczoną wstęgami wodospadów i słyszała stłumiony szum fal.

Bobby objął ją w pól.

- Może kiedyś mi się powiedzie i zamieszkamy tu na stałe.

Oparła się o niego. Całymi latami snuła podobne marzenia, lecz teraz wydawały się mało istotne.

- Bobby, nie dbam o to, czy się powiedzie, czy nie. Cieszymy się tym, co jest, to więcej niż mi się kiedykolwiek śniło.

Odwrócił ją ku sobie. W jego oczach malował się nietypowy dla niego smutek.

- Claire, ja cię nie opuszczę. Jak możesz w to nie wierzyć? Pragnęła się uśmiechnąć, nadać słowom lekki ton.
- Wierzę.
- Nie. Jeszcze nie. Kocham cię, Claire. Będę ci to ciągle powtarzać. Nigdzie się nie wybieram.
- A co powiesz o pójściu na plażę?

Szli drogą nad morze, trzymając się za ręce. W pawilonie, który był jednocześnie jednym z wielu wejść na publiczną plażę, spora grupa Hawajczyków zebrała się na rodzinne spotkanie. Ciemnowłose, miedzianoskóre dzieciaki w jaskrawych strojach kąpielowych bawiły się na trawie, a dorośli siedzieli wewnątrz przy zastawionym stole. Ktoś gdzieś grał na ukulele.

Zatoka Hanalei miała kształt rozłożonego wachlarza, a ponaddwukilometrowy pas białej plaży tworzył gigantyczną podkowę. Od północy wznosiły się góry, różowe teraz w blasku zachodzącego słońca.

Małe fale z grzbietami z białej piany spychały rozbawione dzieci na piach. Nieco dalej kilku nastoletnich chłopców pływało na dużych deskach surfingowych. Ich instruktor, przystojny mężczyzna w słomkowym kapeluszu, popychał deski, jeśli któraś z fal wyglądała obiecująco.

Resztę dnia spędzili na wygrzanej plaży przy zatoce Hanalei, podziwiając zachód słońca i rozmawiając. Kiedy ucichł gwar na plaży i spowiły ją ciemności i tylko gwiazdy odbijały się w czarnej wodzie, wrócili do domu. Razem przyrządzili kolację i zjedli ją przy piknikowym stole na zadaszonym patiu na tyłach domu, do którego drogę oświetlały latarnie i świece odpędzające komary. Gdy zjedli kolację i zmyli naczynia, Bobby chwycił Claire w ramiona i zaniósł na górę. Roześmiana obejmowała go mocno za szyję i uwolniła dopiero, gdy upuścił ją na łóżko. Natychmiast podniosła się i uklękła, nie odrywając od niego oczu.

- Jesteś taka piękna - powiedział, wsuwając palec pod ramiączko stanika kostiumu kąpielowego. Żar tego dotyku na chłodnym, pokrytym gęsią skórka ciała zaparł jej dech w piersi.

Pochylając się, zsunął spodenki kąpielowe i stanął przed nią. Widok nagiego ciała, napiętego i gotowego przyprawił ją o dreszcz. Wyciągnęła ramiona.

Podszedł do łóżka. Czują pożądlliwe drżenie jego rąk, kiedy wyłuskał ją z kostiumu i dotknął piersi. Potem obsypał pocałunkami powieki, szyję, sutki.

Zarzuciła mu ręce na szyję i pociągnęła na siebie. Czują, jak jego dłonie muskają wnętrze ud, odnajdują wilgoć. Otworzyła się dla niego z gardłowym pomrukiem. Gdy przywarł do niej, wbiła palce w sprężyste pośladki i wygięła się, wychodząc mu na spotkanie. Jednocześnie osiągnęli spełnienie, wykrzykując nawzajem swoje imiona.

Później Claire przytuliła się do wilgotnego, gorącego ciała męża i zasnęła wsłuchana w jego równy oddech i monotony szum wentylatora pod sufitem.

Meg wzięła Alison na wycieczkę po centrum Seattle. Poszły do akwarium, oglądały i karmiły foki oraz wydry. Meghann bohatercko podwinęła rękawy markowej sukienki, zanurzyła ręce w zbiorniku i podobnie jak cała wycieczka dzieciaków z prowincji oraz Alison dotykała morskie anemony, omułki i rozgwiazdy.

Potem kupiły hot dogi i spacerowały po nabrzeżu. W Ye Olde Curiosity Shoppe oglądały skurczone głowy egipskich mumii i tanie pamiątki. (Meg nie zwróciła uwagi Alison na dwuipółmetrowego skamieniałego członka wieloryba, który wisiał pod sufitem; wyobrażała sobie bowiem, co Ali opowiadałaby później koleżankom). Poszły na kolację do Red Robin Hamburger Emporium i zakończyły dzień filmem Disneya w Pacific Place Theater.

Gdy dotarły do kondominium, Meg była wykończona.

Niestety, Ali nadal miała sporo energii. Kursowała po pomieszczeniach, podnosiła różne przedmioty, oglądała je z zainteresowaniem, od czasu do czasu wydając okrzyki podziwu, jak w przypadku elektrycznej szczoteczki do zębów.

Meg leżała wyciągnięta na kanapie ze stopami opartymi na ławie, kiedy Alison wpadła do salonu z wazą Lalique w rękę.

- Ciociu Meg, widziałaś? Te dziewczynki nie mają ubrań! - Zachichotała.

- To anioły.

- One są gołe. Billy powiedział, że jego tata ma takie pisma z gołymi dziewczynami. Fe!

Meg podniosła się i ostrożnie wyjęła wazę z rąk siostrzenicy.

- To zależy od percepcji. - Zaniosła wazę na miejsce. Kiedy wróciła do salonu, Alison intensywnie nad czymś myślała.

- Co to jest percepcja? Czy to jak recepcja na lotnisku?

Meg była zbyt zmęczona, żeby silić się na inteligentne odpowiedzi.

- Mniej więcej.

Ułożyła się na kanapie. Jak ona dawała sobie radę jako nastolatka?

- Wiesz, że orlęta zjadają wymioty taty orła?

- Nie żartuj. Nawet moje gotowanie jest od tego lepsze.

Ali zachichotała.

- Mama smacznie gotuje. - W tej samej chwili jej buzia wygięła się w podkówkę. Zielone oczy zaszyły łzami i była teraz tak bardzo podobna do Claire, że Meg zaparło dech w piersi. Stały jej przed oczyma tamte wieczory, kiedy pocieszała małą siostrzyczkę, tuliła ją i obiecywała, że „niedługo, wkrótce, wszystko będzie dobrze... i mama wróci do domu”.

- Ali, chodź do mnie - poprosiła przez zaciśnięte gardło.

Dziewczynka wahała się przez moment, ale to wystarczyło, aby Meghann uświadomiła sobie, jak mało znają się z siostrzenicą.

Alison przysiadła na kanapie, jakieś trzydzieści centymetrów od niej.

- Chcesz zadzwonić do mamy? Ma telefonować o szóstej, ale...

- Tak! Tak! - Alison podskakiwała na poduszce.

Meghann udała się na poszukiwanie telefonu. Znalazła go na

nocnej szafce. Sprawdziła pobieżnie grafik dnia, po czym wybrała numer domu na Kauai i wręczyła słuchawkę siostrzenicy.

- Mamuś? - zapytała Alison kilka sekund później. - Cześć, mamuś! To ja, Ali-Kotek.

Meghann z uśmiechem wyszła do kuchni i zaczęła rozpakowywać torby ze sprawunkami, jakich nie kupowała od lat - Frosted Flakes, Pop-Tarts, herbatniki Oreo oraz produkty, o istnieniu których nie miała pojęcia, czyli sok w srebrzystych opakowaniach i jogurty, które się samemu przyrządza. Najważniejszym zakupem była interaktywna książka dla dzieci. Postanowiła, że Alison długo będzie pamiętać ten tydzień.

- Ciociu Meg, mama chce z tobą rozmawiać! - zawołała Alison, wpadając do kuchni.

- Dzięki! - Meg wzięła słuchawkę. - Halo?

- Cześć, duża siostrzyczko, jak leci? Pomilczała przez chwilę?

- Nie, nawet w trakcie jedzenia - zaśmiała się Meg.

- Cała Ali.

Alison pociągnęła Meg za nogawkę spodni.

- Mama mówi, że piasek wygląda jak cukier. Cukier! Mogę wziąć ciasteczka?

Meg wręczyła jej jedno oreo.

- Jeden herbatnik przed spaniem - oświadczyła, po czym wyznała Claire: - Nie obęde się bez margaryty.

- Dasz sobie radę.

- Wiem. Nachodzą mnie myśli...

- O czym? - zapytała cicho Claire.

- O nas. O tobie. Patrzę na Ali i chwilami widzę nas.

- W takim razie ona się w tobie zakocha.

Meg przymknęła powieki. Jak dobrze rozmawiać z Claire normalnie, jak z siostrą, z którą łączy coś więcej niż podłe dzieciństwo.

- Tęskni za tobą.

- Wieczory mogą okazać się trudne. Poczytaj jej. Może cię nieźle przetrzymać - ostrzegła ją Claire ze śmiechem.

- W takim razie wezmę „Moby Dicka”. Trzeba być na amfie, żeby przy tym nie zasnąć.

Alison znowu szarpnęła ją za nogawkę.

- Chyba będę... - I zymiotowała na buty Meg.

- Claire, muszę kończyć. Baw się dobrze. Jutro pogadamy.

Rozłączyła się i położyła słuchawkę na blacie.

- Ops! - Alison zachichotała, spoglądając w górę na Meg.

- Coś mi się zdaje, że podwójny *banana split* nie był najlepszym pomysłem. - Wysunęła stopy z butów, wzięła Alison na rękę i zaniósła do łazienki.

Dziewczynka wydawała się kruszyną w ogromnej marmurowej wannie.

- Jak w basenie - stwierdziła, nabierając wody w usta i wypływając ją na kafelki.

- Nie będziemy pić wody z kąpieli, zgoda? To, między innymi, odróżnia nas od ssaków niższego rzędu. Na przykład mężczyzn.

- A dziadek mi pozwala.

- No właśnie. Chodź tu, umyję ci włosy. - Sięgnęła po opakowanie szamponu dla dzieci. Jego zapach przywołał uśmiech. - Kiedyś takim szamponem myłam głowę twojej mamie.

- Leci mi do oczu.

- Ona to samo mówiła. - Meghann uśmiechała się jeszcze, płucząc włosy Alison i pomagając jej wydostać się z wanny. Wytarła ją do sucha, przebrała w różową flanelową piżamkę i zaniósła do gościnnego pokoju.

- Jakie duże łóżko - zauważyła Alison, nadymając buzię.

- Bo ono jest przeznaczone wyłącznie dla księżniczek.

- Jestem księżniczką?

- Jesteś. - Meghann kucnęła w dworskim ukłonie. - Wasza Wysokość - zwróciła się do niej uroczystym tonem. - Co rozkażesz?

Alison, chichocząc, wsunęła się pod kołdrę.

- Poczytaj mi bajkę. Chcę „Wyprawę profesora Wormboga do Zipperump-a-Zoo”.

Meg przejrzała zabawki i książki w walizce, znalazła tę, której szukała, i zaczęła czytać.

- Musisz siedzieć na łóżku - oznajmiła Alison.
- Aha. - Meghann weszła na łóżko i usiadła wygodnie. Alison natychmiast przytuliła się do niej, opierając policzek na bezcennym kosmaczku.

Meg zaczęła czytać.

Po godzinie i sześciu bajkach Alison wreszcie zasnęła. Meg pocałowała siostrzenicę w różowy policzek i wyszła z pokoju, na wszelki wypadek zostawiając otwarte drzwi.

Bała się włączyć telewizor czy wieżę, żeby jej nie zbudzić, więc wzięła do ręki czasopismo. Ponieważ już po paru minutach zaczął morzyć ją sen, podreptała do sypialni, przebrała się w koszulkę Seahawks, umyła zęby i położyła się do łóżka.

Zamknęła oczy i przebiegła w myślach plany na jutro. Senność pierzchła, dziś znowu nie zaśnie.

Woodland Park Zoo.

BFG w Teatrze dla Dzieci.

GameWorks.

Sklep z zabawkami F.A.O. Schwarz.

Wesołe miasteczko Fun Forest w Seattle Center.

Z Fun Forest przeniosła się myślami do National Forest, do Hayden, do Joego.

Joe.

Pocałował ją tak delikatnie tamtego ostatniego ranka. Sprawił, że poczuła się całkowicie bezbronna.

Chciała go zobaczyć. Nie tylko ze względu na seks.

W takim razie po co?

Wybrała go przede wszystkim dlatego, że był nieprzystępny.

Co on wtedy powiedział, jakie słowa padły na samym początku?

„Nie zamierzam cię zaprosić do siebie”.

Coś w tym rodzaju. Prosto z mostu oznajmił, że nie jest zainteresowany.

Zdobyła go, ale cała ta historia nie miała szans wyjść poza sypialnię. Był małomiasteczkowym mechanikiem, który nadal opłakiwał rozwód.



Nie mieli widoków na przyszłość.

A jednak... kiedy zamknęła oczy, był, czekał, żeby ją pocałować, czaił się w ciemnych zakamarkach umysłu.

- Ciociu Meg?

Zerwała się i zapaliła światło.

- Co takiego?

Ujrzała Alison, tulącą do siebie kosmaczka. Buzię miała wilgotną od łez, oczy zaczerwienione. W otwartych drzwiach wydawała się niewiarygodnie mała.

- Nie mogę spać.

Tak bardzo przypominała Claire...

- Chodź tu, skarbie. Śpij ze mną. Będę nad tobą czuwać.

Alison przebiegła przez sypialnię, wdrapała się na łóżko i przytuliła do Meg, a ona ją mocno objęła.

- Twoja mamusia spała ze mną, kiedy się czegoś bała, wiedziałas o tym?

Alison włożyła kciuk do ust i zamknęła oczy. I niemal natychmiast zasnęła.

Jej zapach, ta słodka kombinacja zapachu szamponu i dziecięcego ciała podziałała na Meghann kojąco. Przytuliła do siebie siostrzenicę i przymknęła powieki, pewna, że wróci do planów na jutro.

O dziwo, bez trudu zasnęła.

Telefon wyrwał Claire ze snu. Usiadła półprzytomna.

- Która godzina? - Rozejrzała się w poszukiwaniu zegarka przy łóżku. Za piętnaście szósta. - Bobby, telefon...

Pochyliła się ponad nim i podniosła słuchawkę.

- Halo? Meghann? Czy coś z Ali?

- Witaj, skarbie. Jak się masz?

Claire westchnęła ciężko i wstała z łóżka.

- Dobrze, mam. Na Kauai jest piąta czterdzieści pięć.

- Naprawdę? Myślałam, że to ta sama strefa czasowa co w Kalifornii.

- Mamo, jesteśmy w połowie drogi do Azji.

- Claire, zawsze miałaś skłonności do przesady. Nie dzwonię bez powodu, wiesz.

Claire wyjęła podomkę z szafy, narzuciła ją i wyszła na balkon. Niebo różowiało. Przez trawnik na podwórku dumnie przeszedł kogut, za nim podreptało stadko rozgdakanych kur. Poranne powietrze pachniało egzotycznymi kwiatami i morską solą.

- A co takiego?

- Wiem, że uważasz, iż kiepska ze mnie matka.

- Nieprawda. - Ziewnęła, zastanawiając się, czy ma jeszcze szansę na trochę snu. Spojrzała przez okno na Bobby'ego, który siedział teraz na łóżku i patrzył na nią niespokojnym wzrokiem.

- Tak jest. Ty i Chodząca Doskonałość bez przerwy mi przypominacie, że mało wysiłku włożyłam w wasze wychowanie. Uważam to, delikatnie mówiąc, za wielce niesprawiedliwe, bo macierzyństwo, jak wiesz, niesie ze sobą wiele ciężarów, cóż, mój błąd.

- Mamo, to zbyt wczesna pora na dramatyzowanie. Czy mogłabyś...

- Chcę powiedzieć, że w pewnych sprawach jestem bezradna, lecz w innych dobrze sobie radzę. Pod tym względem jestem jak wszyscy zwykli ludzie.

- Tak, mamo - westchnęła Claire.

- Po prostu chcę, żebyś o tym pamiętała. I powtórz to swojej przemyślanej siostrze. Obojętnie, co zapamiętałyście lub wydaje się wam, że pamiętacie, ja was kocham. Zawsze kochałam.

- Wiem, mamo. - Uśmiechnęła się do Bobby'ego. - Mama - poruszyła ustami i dodała: - Zrób kawę.

- A teraz daj do telefonu swego męża.

- Co takiego?

- Masz w łóżku mężczyznę, tak?

- No tak - zaśmiała się.

- Chcę z nim porozmawiać.

- O czym?

Mama odpowiedziała teatralnym westchnieniem.

- To mój kolejny krzyż, że zostałam obdarzona podejrzliwy-

mi córkami. Chodzi o ślubny prezent, jeśli chcesz wiedzieć. Podobno nie spodobał się wam samochód.

- Nie ma w nim miejsca dla Alison.
- A czy ona musi wszędzie z wami jeździć?
- Mamo...
- Daj Bobby'ego. To prezent dla niego, skoro ty okazałaś się

taka niewdzięczna.

- Dobrze, mamo. Jak sobie życzysz. Jedną sekundę. - Weszła do sypialni. - Chce z tobą rozmawiać.

Bobby usiadł na łóżku.

- To nie wróży nic dobrego - szepnął, odbierając słuchawkę.  
- Jak się ma najbardziej seksowna teściowa pod słońcem? - Po chwili jego uśmiech znikł. - Co?! Nie mówisz poważnie! Jak to zrobiłaś?

Claire przybliżyła się i oparła mężowi dłoń na ramieniu.

- O co chodzi?

Potrząsnął głową.

- To niesamowite, Ellie. Naprawdę. Nie wiem, jak ci dziękować. Kiedy? - Ściągnął brwi. - No, ale jesteśmy tutaj - och! Taa. Rozumiem. W kasie na lotnisku. Tak. Dobrze. Oczywiście, że z miejsca damy znać. I dziękuję. Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy. Tak. Do widzenia.

- Co ona zrobiła? - zapytała Claire, kiedy Bobby odłożył słuchawkę.

Pod wpływem euforycznego uśmiechu całą twarz Bobby'ego pokryły mimiczne zmarszczki.

- Załatwiła mi przesłuchanie u Kenta Amesa w Down Home Records. Nie mogę uwierzyć. Przez dziesięć lat grałem w różnych spelunkach, czekając na taką okazję.

Claire objęła go za szyję. Tłumaczyła sobie, że to idiotyczne martwić się i bać, niemniej trzęsły jej się ręce. Jak przypuszczała, na skutek wielu złych lat z mamą. Zawsze spodziewała się najgorszego.

- Rzucisz ich na kolana.

Wirował z nią w ramionach, aż oboje wybuchnęli śmiechem.

- I właśnie o to chodzi, Claire!

Śmiała się jeszcze, gdy postawił ją na podłodze.

- Ale... - zaczął, poważniejąc.

- Co? - podchwyciła, na nowo niespokojna.

- Przesłuchanie jest w czwartek. Potem Kent wyjeżdża na miesiąc.

- W ten czwartek?

- W Nasłwille.

Claire popatrzyła na męża, czytając w jego twarzy jak w otwartej księdze. Wiedziała, że gdyby zaprotestowała, gdyby powiedziała „do tego czasu nasz tydzień miodowy jeszcze się nie skończy”, pocałowałby ją i ustąpił. „Dobrze, w takim razie zadzwonię do twojej mamy i zobaczę, czy można przesunąć przesłuchanie o miesiąc”. Dlatego tak łatwo zdobyła się na odpowiedź.

- Zawsze chciałam zobaczyć Opryland.

Bobby wziął ją w ramiona.

- Byłem gotów zrezygnować - wyznał cicho.

- Niech to będzie dla ciebie nauką - odpowiedziała pogodnie. - A teraz podaj mi telefon. Lepiej uprzedzić tatę i Meghann, że nasz wyjazd może przeciągnąć się o dzień lub dwa.

Dni z Alison nabrały wygodnej rutyny. Trzeciego popołudnia Meghann zrezygnowała z obsesyjnej potrzeby oprowadzania siostrzenicy po wszystkich atrakcjach dla małych w mieście. Zamiast tego poprzestały na prostych zajęciach. Wypożyczały filmy, piekły ciasteczka i grały w Candy Land, dopóki Meghann nie błagała o litość.

Każdego wieczoru Meg zasypiała z Ali w ramionach i każdego ranka budziła się pełna nieoczekiwanej chęci do życia. Dawno zdążyła zapomnieć, ile radości daje troska o drugą osobę.

Gdy Claire zadzwoniła, żeby zawiadomić o przedłużonym wyjeździe, Meg wiedziała, że zaskoczyła siostrę zapewnieniem, iż z ochotą zajmie się Alison przez kilka dodatkowych dni. Niestety, szyki pokrzyżowało bardzo ważne przyjęcie urodzinowe.

Kiedy nadeszła sobota, Meghann była zdumiona głębią własnych emocji. Przez całą drogę do Hayden starała się zachować uśmiech. Ali mówiła bez przerwy, podskakując w fotelu. W domu Ali rzuciła się Samowi w ramiona i opowiadała z przejęciem o tygodniu u cici. Meg pocałowała siostrzenicę na pożegnanie i czym prędzej wyszła z przyczepy. Tej nocy marnie spała. Wyraźnie dokuczała jej samotność.

W poniedziałek wróciła do pracy.

Godzina wlokła się za godziną i coraz silniej odczuwała znużenie. O trzeciej była tak zmęczona, że z trudem funkcjonowała.

Licyła, że Harriet tego nie zauważy.

Naturalnie nadzieja okazała się płonna.

- Kiepsko wyglądasz - przywitała ją, gdy Meghann zajęła miejsce w znajomym fotelu.

- Dziękuję.

- Jak się udało wesele?

- Nieźle - odparła, wpatrując się w swoje dłonie. - Nawet mamie nie udało się go zrujnować. Wiesz, że ja wszystko zorganizowałam?

- Ty?

- Co cię tak szokuje? Posłuchałam twojej rady i nabrałam wody w usta. Claire i ja... na nowo się zbliżyłyśmy. Nawet opiekowałam się siostrzenicą podczas ich tygodnia miodowego. Ale teraz...

- Co teraz?

Meg wzruszyła ramionami.

- Wróciłam do rzeczywistości. - Podniosła głowę. - Ta cisza w moim mieszkaniu. Nigdy przedtem jej nie zauważałam.

- Twoja siostrzenica jest taka hałaśliwa?

- Buzia jej się nie zamyka. Milczy jedynie, kiedy śpi. - Meg poczuła ucisk w piersi. Będzie jej w nocy brakować obecności Ali, będzie tęsknić do małej dziewczynki, którą mogła się opiekować.

- To przypominało ci Claire.

- Ostatnio wszystko przywodzi mi na myśl tamte czasy.

- Dlaczego?
- Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami.
- A teraz?

Meghann westchnęła.

- Jest mężatką. Ma swoją rodzinę. Wszystko wróciło do normy. Prawdopodobnie odezwie się dopiero w moje urodziny.

- Telefon działa w obie strony.

- Taak. - Meghann zerknęła na zegarek. Nie chciała dłużej ciągnąć tego tematu. Okazał się zbyt bolesny. - Harriet, muszę iść. Na razie!

Meghann patrzyła na swoją klientkę z nadzieją, że jej uśmiech nie wygląda aż tak sztucznie, jak się tego obawiała.

Robin O'Houlihan przechadzała się wzdłuż okna. Chuda jak patyk, wytapetowana bardziej niż Terence Stamp w „Priscilli, królowej pustyni”, była kliszą hollywoodzkiej żony. Zbyt szczupła, nazbyt pazerna, pod każdym względem „zbyt”. Meghann dziwiło, dlaczego żadna z tych kobiet nie dostrzega, że w pewnym wieku nie powinno się być chudym. Im więcej traciły na wadze, tym mniej atrakcyjnie wyglądały ich twarze, a włosy Robin, tlenione od wielu lat, przypominały perukę z siana.

- To nie wystarczy. Kropka. Koniec dyskusji.

- Robin - zaczęła Meghann, usiłując mówić spokojnym, wyważonym tonem - on proponuje dwadzieścia tysięcy dolarów miesięcznie, dom nad jeziorem Waszyngton i kondominium w La Jolla. Uczciwie mówiąc, po dziewięciu latach małżeństwa, przy braku dzieci, uważam...

- Ja chciałam mieć dzieci - obruszyła się, kierując agresję na Meghann. - To on nie chciał. Za to też powinien zapłacić. Zabrał mi najlepsze lata na prokreację.

- Robin. Masz czterdzieści dziewięć lat.

- Chcesz powiedzieć, że jestem za stara na urodzenie dziecka?

No, nie. Sześciokrotnie byłaś mężatką, a szczerze mówiąc, pod względem emocjonalnym i umysłowym przypominasz dwulatkę. Uwierz mi, twoje nienarodzone dziecko mówi ci „dziękuję”.

- Oczywiście, że nie, Robin. Sugeruję jedynie, że argument dotyczący dzieci nie pomoże. Pamiętaj, że w stanie Waszyngton udziela się rozwodów bez orzekania o winie. Przyczyna rozvodu nie gra roli.

- Chcę psy.

- Mówiliśmy już o tym. Miał te psy, zanim się pobraliście. Rozsądek nakazuje...

- To ja przypominałam Lupe, żeby je karmił i dawał im wodę. Beze mnie te rasowe lhasa apsos zmieniłyby się w kłębki skudłonej sierści. Zdechłyby na brzegu basenu. Chcę je. I powinnaś przestać ze mną wojować. Jesteś moim adwokatem. Ledwo się utrzymam, mając dwadzieścia tysięcy na miesiąc. - Zaśmiała się gorzko. - Zostaje mu odrzutowiec, posiadłość w Aspen, letni dom na Malibu i wszyscy nasi znajomi. - Głos jej się załamał i przez ułamek sekundy Meghann ujrzała kobietę, jaką Robin O'Houlihan kiedyś była. Przerażoną, prostą dziewczynę z Snohomish, która uwierzyła, że kobieta może zdobyć prestiż poprzez małżeństwo.

Meghann chciała być delikatna, powiedzieć coś krzepiącego. Dawniej byłoby to łatwe. Lecz tamte czasy minęły, rozniosła je na obcasach setka rozjuszonych żon, które nie miały ochoty pracować i podobno nie były w stanie się utrzymać za dwadzieścia tysięcy na miesiąc.

Przymknęła na chwilę powieki, usiłując uspokoić wzburzone myśli. Lecz zamiast kojących ciemności, zobaczyła pana O'Houlihana siedzącego spokojnie w salce konferencyjnej z dłońmi splecionymi na stole. Zaskoczyła ją szczerść, z jaką udzielał odpowiedzi na wszystkie pytania.

„Nie, nie ma intercyzy. Wierzyłem, że zawsze będziemy razem”.

„Kochałem ją”.

„Moja pierwsza żona umarła. Poznałem Robin prawie dzieś sięć lat później”.

„O tak. Chciałem mieć więcej dzieci. Robin nie”.

To była jedna z tych niezręcznych sytuacji, które czasami zbi-

jaja z tropu adwokata. Przykra konstatacja, że stoi po niewłaściwej stronie.

Krótko mówiąc, wydał się jej wiarygodny. A to nie pomagało.

- Heej! Mówię do ciebie. - Robin wyjęła papierosa z pikowanej kopertówki Chanel. Przypominając sobie nagle, że w kancelarii się nie pali, wsunęła go z powrotem do torebki. - No więc, co zrobić, żebym dostała dom w Aspen? I psy?

Meghann w zamyśleniu obracała pióro między kciukiem i wskazującym palcem. Od czasu do czasu stuknęła nim w otwarty żółty notatnik przed sobą. To bębnienie budziło skojarzenia z odgłosem wojennych werbli.

- Skontaktuję się z Grahamem i spróbuję renegocjować. Uwierz mi, Robin, twój mąż wykazuje dużo dobrej woli. Ludzie wkurzają się ze znacznie błahszych powodów niż ukochane pieski. Jeżeli masz zamiar stoczyć batalię o Fluffy'ego i Scrufrzy'ego, bądź przygotowana, że możesz dużo stracić. Twój mąż w jednej chwili jest w stanie wyrwać domy z listy. Zastanów się, czy te psy mają dla ciebie aż takie znaczenie.

- Chcę mu dopiec.

Meghann pomyślała o mężczyźnie, który odwiedził jej biuro ponad miesiąc temu. Sądząc z wyglądu, był przygnębiony, może nawet zdruzgotany.

- Myślę, że już to zrobiłaś, o ile to dla ciebie jakaś pociecha.

Robin postukała długim, karminowym paznokciem w przednie zęby, zapatrzona na wyspę Bainbridge.

- Niepotrzebnie przespałam się z chłopakiem od basenu.

I z dostawcą mięsa oraz z dentystą, który wybielił ci zęby.

- Pamiętaj, że w tym stanie nie orzeka się winy.

- Nie mówię o rozwodzie. Mam na myśli małżeństwo.

- Ach. - Kolejny raz spod grubej warstwy kosztownego makijażu wyłoniła się na moment prawdziwa osoba. - Łatwo jest patrzeć na życie z perspektywy. Szkoda, że nie możemy przeżyć go wstecz. Zdaje się to Kierkegaard sformułował taką myśl.

- Taak? - Robin wykazała całkowity brak zainteresowania. - Zastanowię się nad psami i dam ci znać.



- Pospiesz się. Graham powiedział, że oferta jest ważna trzydzieści sześć godzin. Potem, jak to ujął, spotkamy się na ringu. Pierwsza runda.

- Jesteś okropnie miękka jak na kogoś, kogo nazywają Wiedźmą z Belltown.

- Nie miękka. Pragmatyczna. A jeśli wolisz, żeby reprezentował cię ktoś inny...

- Nie. - Robin przewiesiła torebkę przez ramię i ruszyła do wyjścia. - Jutro zadzwonię - oznajmiła, otwierając drzwi. Wyszła, nie oglądając się za siebie. Drzwi zatrzasnęły się z cichym stuknięciem.

Meghann ciężko westchnęła. Poczowała się znużona.

Kiedy odkładała akta, znowu stanął jej przed oczami pan O'Houlihan.

„Nie, nie ma intercyzy. Wierzyłem, że zawsze będziemy razem”.

Ta sprawa wyrwie mu serce z piersi. Bo złamanie serca nie wystarczy, o nie. Meghann i Robin posuną się o krok dalej i pokażą mu prawdziwy charakter kobiety, którą poślubił. Wątpliwe, czy będzie umiał komukolwiek zaufać.

Wzdychając, sprawdziła swój grafik. Wizyta Robin stanowiła ostatni punkt. Dzięki Bogu. Nie sądziła, aby w tej chwili była w stanie wysłuchać kolejnej smutnej historii o miłosnym zawodzie. Spakowała dokumenty, chwyciła torebkę oraz teczkę i opuściła biuro.

Wyszła na wieczorne powietrze pachnące wczesnym latem. Jak zwykle w godzinie szczytu jezdnie blokowały sznury samochodów. Na rynku turyści nadal oblegali stragany z rybami. Sprzedawcy w białych fartuchach przerzucali się trzydziestokilogramowymi królewskimi łososiami; przy każdym podrzucie turyści pstrykali zdjęcia.

Meghann nie zwróciła większej uwagi na znajome widowisko. Minęła rybny targ i dopiero gdy przeszła przez część wazrywną, zorientowała się, jaką trasę wybrała.

Tuż obok znajdowało się wejście do Athenian.

Przystanąła przed drzwiami, wciągając w nozdrza ciężką woń dymu z papierosów wymieszana z zapachem przypalonego tłuszczu i wsłuchiwała się w szmer rozmów, które zawsze sprowadzały się do: Jesteś tu sama?

Sama.

Ten przymiotnik zdecydowanie najbardziej trafnie opisuje jej życie. Jeszcze trafniej, odkąd nie ma Ali. Zdumiewające, jak wielką pustkę zostawiła po sobie mała siostrzenica.

Nie miała ochoty wchodzić do Athenian, podrywać faceta i zaciągać go do łóżka. Chciała...

Joe.

Wraz z jego imieniem pojawiła się melancholia, jeszcze bardziej pogłębiając uczucie osamotnienia.

Wycofała się sprzed drzwi i ruszyła w stronę domu.

W holu pozdrowiła machnięciem ręki odźwiernego, który coś do niej mówił. Zignorowała go i weszła do windy. Na ostatnim piętrze brzdęknął dzwonek, rozsunęły się drzwi i wyszła do holu.

Mieszkanie było otwarte.

Usiłowała sobie przypomnieć, czy tak je rano zostawiła.

Nie.

Już miała wycofać się do windy, gdy z drzwi wyłoniła się ręka z butelką tequili.

Na progu stanęła Elizabeth Shore.

- Usłyszałam transatlantyckie wołanie o pomoc i przybywam z najbardziej pożądanym remedium na babskie kłopoty.

Ku swemu przerażeniu Meghann się rozpłakała.

## 23

Koniec pracy na dziś. Joe był zadowolony, bo musiał załatwić parę spraw i zobaczyć się z kilkoma osobami.

Dobrze jest na coś czekać, nawet jeśli musi to przynieść ból. Tak długo dryfował samotnie, że już samo wejście na wytyczony szlak niosło ukojenie.

Leżał teraz na plecach pod brudnym podwoziem starej impali.

- Hej tam!

Wyteńczył słuch. Zdawało mu się, że coś usłyszał, ale nie był do końca pewien. Radio na stole w warsztacie grało zbyt głośno. Willie Nelson ostrzegał mamy, że ich maleństwa mogą wyrosnąć na kowboi.

Ktoś kopnął go w but.

Joe wysunął się spod samochodu.

Zobaczył małą piegowatą uśmiechniętą buzię i wpatrzone w siebie zielone oczy. Oczy były zmruczone, w pierwszej więc chwili przeszło mu przez myśl, że być może dziewczynce przydałyby się okulary, a potem się zorientował, że robocza lampa świeci jej prosto w twarz. Zgasił ją.

- Smitty jest w biurze - powiedział.

- Wiem. Zawsze tam jest. A wiesz, że piasek na Hawajach wygląda jak cukier? Smitty pozwala mi bawić się narzędziami. Kim jesteś?

Podniósł się, wytarł dłonie o kombinezon.

- Jestem Joe. A teraz zmykaj stąd.

- Mam na imię Alison. Moja mama nazywa mnie Ali. Jak Ali-gator.

- Miło mi cię poznać, Ali. - Spojrzał na zegar. Czwarta. Czas się zbierać.

- Brittani Henshaw zawsze do mnie mówi: „See you later, Ali Gator”. Kapujesz?

- Jasne. A teraz...

- Mamusia nie pozwala mi rozmawiać z nieznajomymi, ale ty jesteś Joe. - Zadarła głowę i przypatrywała mu się z ciekawością. - Dlaczego masz takie długie włosy? Jak dziewczynka?

- Bo takie mi się podobają. - Joe podszedł do zlewu i zmył smar z rąk.

- Mam plecak z Ariel. Chcesz zobaczyć? - Nie czekając na odpowiedź, wybiegła z warsztatu. - Nigdzie nie odchodź!

Był w połowie drogi do domku, kiedy go dogoniła.

- Widzisz Ariel? Na tej stronie jest księżniczką, a na drugiej syrenką.

Zawahał się, ale nie przystanął.

- Idę do domu. Lepiej, żebyś sobie poszła.

- Musisz zrobić kupkę?

Zaskoczony parsknął śmiechem.

- Nie.

- I tak byś mi nie powiedziała.

- Zdecydowanie nie. Muszę się przygotować do wyjścia. Niemniej, miło było cię poznać - powiedziała, nie zwalniając kroku.

Deptąca mu po piętach, opowiadając z ożywieniem o jakiejś swojej koleżance, Molan, która obcięła włosy i bawiła się nożami.

- Takimi sprawami zajmują się szkolni pedagodzy.

Zachichotała i dalej ciągnęła swoje opowiadanie.

Joe wszedł na stopnie werandy i otworzył drzwi.

- No, Ali, tu się...

Minęła go i wbiegła do środka.

- Alison! - Przybrał surowy ton. - Musisz już iść. Nie wypada, żebyś...

- Śmiesznie tu pachnie. - Usiadła na kanapie, podskakując jak piłka. - Kim jest pani na tych wszystkich zdjęciach?

Odwrócił się na moment, a kiedy ponownie na nią spojrzął, stała już przy oknie i brała do ręki fotografię z parapetu.

- Zostaw je - polecił ostrzej, niż to było konieczne.

Naburmuszona odstawiła zdjęcie na miejsce.

- Ja też nie lubię, jak ktoś rusza moje rzeczy. - Przebiegła wzrokiem wystawkę ze zdjęć. Trzy stały rzędem na parapecie i dwa na kominku. Nawet dziecko jest w stanie rozpoznać obsesję.

- Ta pani na zdjęciach to moja żona, Diana. - To imię wymówione na głos nadal sprawiało mu ból. Jeszcze nie nabrał dystansu.

- Ładna.

Zapatrzył się na oprawioną w ramki kompozycję ze zdjęć, stojącą na stole. Gina zrobiła je na sylwestrowej prywatce.

- Tak. - Odkasznął. Była za kwadrans piąta. Robiło się późno. - Czy ty przypadkiem dokąds się nie wybierasz?

- Taak - westchnęła dramatycznie. - Muszę oddać Marybeth moją Barbie. Moją!

- Czemu?

- Bo urwałam głowę jej Barbie. Dziadek mówi, że muszę ją przeprosić i oddać moją lalkę. Będę się lepiej czuła.

Przykucnął, żeby popatrzeć jej w oczy.

- Cóż, Ali Gatorze. Mam wrażenie, że mimo wszystko łączy nas pewne podobieństwo. Ja też zepsułem coś cennego i muszę pójść przeprosić.

- To fatalnie - westchnęła ponuro.

Podniósł się, opierając dłonie na udach.

- Dlatego muszę się zbierać.

- Dobrze, Joe. - Podeszła do drzwi. - Myślisz - odwróciła się w otwartych drzwiach - że Marybeth będzie się ze mną bawić, jak ją przeproszę?

- Mam nadzieję - odparł.

- Cześć, Joe!

- *Seeyou later, Ali Gator.*

Odpowiedziała mu śmiechem i znikła.

Joe stał przez minutę, patrząc na zamknięte drzwi. Wreszcie wykonał półobrót i ruszył korytarzem. Przez następną godzinę, kiedy się golił, kąpał i przebierał w najporządniejsze ze znoszonych rzeczy, układał w myślach różne zdania, które ewentualnie wypowie. Spróbował ładnych słów - po śmierci Diany coś się we mnie załamało; ostrych określeń - spieprzyłem sprawę; bolesnych wynurzeń - nie mogłem patrzeć, jak umiera.

Żaden z tych scenariuszy nie wydawał się odpowiedni; żadne słowa nie oddawały dokładnie tego, co czuł.

Nic nie wymyślił, kiedy szedł podjazdem ani gdy parę minut później znalazł się przy skrzynce do listów.

„Henry i Tina Roloffowie”.

Dłoń sama powędrowała do skrzynki, opuszki palców pogładziły wypukłe złote litery na ścianie. W Bainbridge mie-

li podobną skrzynkę, tylko napis był inny: „Joe i Diana Wyattowie”.

Wieki temu.

Patrzył na dom byłych teściów. Wyglądał dokładnie tak jak tamtego czerwcowego dnia przed wieloma laty, gdy Joe i Di brali ślub w ogrodzie, otoczeni przez rodzinę i przyjaciół.

Ogarnęła go panika, był gotów zawrócić.

Ucieczka niczego nie rozwiąże. Wybrał drogę; to ona doprowadziła go z powrotem do tego miejsca, do tego domu, do ludzi, których kiedyś szczerze kochał, żeby im powiedział...

Przepraszam. Tylko tyle.

Szedł ścieżką z kostki ułożonej w zawiłe wzory ku domowi z białą kolumnadą, który pani Roloff zaprojektowała na podobieństwo Tary. Po obu stronach piał się przystrzyżony żywoplot i rosły róże, których słodki zapach przyprawiał o zawrót głowy. Wejścia strzegły dwa żelazne lwy.

Joe nie pozwolił sobie na chwilę wahania czy zastanowienia. Wyciągnął rękę i nacisnął dzwonek.

Po chwili drzwi się otworzyły. Stał w nich Henry Roloff z fajką w dłoni, w płóciennych spodniach i w granatowym pulo- werze z wycięciem w serek.

- Czym mogę...

Na widok Joego uśmiech znikł z jego twarzy, a ręka z fajką zaczęła drżeć.

- Doszły nas słuchy, że wróciłeś.

Joe ze wszystkich sił pragnął się uśmiechnąć.

- Kto przyszedł?! - zawołała Tina gdzieś w głębi domu.

- Nie uwierzysz - odpowiedział Henry głosem nieco głośniejszym od szeptu.

- Henry?! - zawołała ponownie. - Kto tam jest?

Henry usunął się na bok. Uśmiech wzruszenia wypłynął mu na twarz, tworząc bruzdy na policzkach.

- Wrócił do domu, matko! - zawołał. A potem powtórzył cicho z oczyma pełnymi łez: - Wrócił do domu.

\*

- Jesteś pewna, że to tequila? Jakaś słaba. - Meghann słyszała, jak rozwleka i połyka słowa. Przeszła już stan wskazujący na spożycie i zbliżała się do fazy upojenia alkoholowego, co bardzo jej odpowiadało.

- To droga tequila. Dla mojej przyjaciółki wszystko, co najlepsze. - Elizabeth pochyliła się po kawałek pizzy. Kiedy go podniosła, ser i farsz zsunęły się z ciasta i wylądowały na betonowej posadzce. - Ops!

- Nie przejmuj się. - Meghann zebrała kleistą maź i wyrzuciła ją za balustradę. - Pewnie właśnie zabiłam turystę.

- Coś ty. Jest dziesiąta. Seattle świeci pustkami.

- Racja.

Elizabeth odgryzła kawałek ciasta.

- No, to co z tobą, dzieciaku? Ostatnie wiadomości brzmiały depresyjnie. Poza tym zwykle nie uderzasz w płacz na mój widok.

- Niech się zastanowię. Nie cierpię mojej pracy. Mąż klientki usiłował mnie zastrzelić, kiedy go puściłam z torbami. Moja siostra wyszła za piosenkarza country, który jest naciągaczem. - Podniosła głowę. - Mam mówić dalej?

- Proszę.

- Opiekowałam się siostrzenicą, podczas gdy Claire była w podróży poślubnej, i teraz mój dom wydaje się beznadziejnie pusty. No i poznałam faceta...

Elizabeth powoli odłożyła kawałek pizzy.

Meghann spojrzała na przyjaciółkę, czując, jak ogarnia ją poczucie bezradności.

- Ptaszku, ze mną jest coś nie tak - zdobyła się na ciche wyznanie. - Czasem budzę się w środku nocy i mam wilgotne policzki. Nawet nie wiem, czemu płaczę.

- Jeszcze czujesz się samotna?

- Co masz na myśli, mówiąc „jeszcze”?

- Daj spokój, Meg. Przyjaźnimy się od ponad dwudziestu lat. Pamiętam cię z czasów, gdy byłaś skromną, świeżo upieczoną, najmłodszą na roku studentką Waszyngtońskiego Uniwersytetu

Stanowego. Jednym z tych cudownych dzieci, które jak się powszechnie uważa, albo się zabija, albo wymyślą lekarstwo na raka. Wtedy co noc płakałaś. Nasze łóżka stały obok siebie, pamiętasz? Serce mi krwawiło, gdy słuchałam twego cichego szlochu.

- Czy dlatego zaczęłaś chodzić razem ze mną na zajęcia?

- Zapraǳnęłam się tobą zaopiekować, my, kobiety z Południa, mamy to we krwi, nie wiesz o tym? Całe lata czekałam, aż mi powiesz, dlaczego płaczesz.

- Kiedy przestałam? No wiesz, płakać.

- Na trzecim roku. Ale wtedy było już za późno na pytania. Gdy wyszłaś za Erica, myślałam - miałam nadzieję - że w końcu znajdziesz szczęście.

- Stare dzieje.

- Ciagle liczę, że kogoś poznasz, spróbujesz jeszcze raz.

Meghann nalała czystej tequila do kieliszków. Pijąc, oparła się o balustradę. Rzeński nocny wiatr muskał jej włosy. Z dołu dołatywały odgłosy ulicy.

- Poznałam.... kogoś.

- Jak się nazywa?

- Joe. Nawet nie znam jego nazwiska. Żałosne, nie?

- Wydawało mi się, że odpowiada ci seks z nieznanymi.

Meghann widziała, jak bardzo Elizabeth stara się nie nadać głosowi mentorskiego tonu.

- Lubię kontrolować sytuację, budzić się sama i żyć tak, jak mi się podoba.

- W takim razie w czym problem?

Meghann ponownie poczuła się bezradna.

- Lubię kontrolować sytuację... budzić się sama i żyć tak, jak mi się podoba.

- Czyli Joe sprawił, że coś w tobie drgnęło?

- Może.

- Zakładam, że nie widziałaś się z nim od czasu tego odkrycia.

- Aż tak łatwo mnie rozgryźć?



Elizabeth roześmiała się.

- Dosyć. Joe cię przestraszył, więc uciekłaś. Powiedz, że się mylę.

- Jesteś zdziwą, wiesz?

- Przebiegłą i inteligentną zdziwą.

- No właśnie, a to najgorszy gatunek.

- Pamiętasz moje urodziny w zeszłym roku?

- Wszystko do trzeciego martini. Potem jak przez mgłę.

- Powiedziałaś ci, że nie wiem, czy nadal Kocham Jacka.

Kazałaś mi z nim zostać. Stwierdziłaś, że ja utracę wszystko, a on się ożeni z pomocą kuchenną z Hooters.

Meghann przewróciła oczyma.

- Oto wspaniały przykład moich humanitarnych zapędów. Ty mówisz o miłości, a ja w odpowiedzi sugeruję ugodę. Jestem taka z siebie dumna!

- Rzecz w tym, że ja umierałam w tym związku. Wyczerpałam mi się zapas kłamstw, którymi od lat się częstowałam. Ukazało się dno.

- A jednak udało się. Ty i Jack jesteście jak nowożeńcy. Co, szczerze mówiąc, jest obrzydliwe.

- Wiesz, jak mi się udało zakochać w nim na nowo?

- Jakiś specyfik?

- Zrobiłam to, czego się najbardziej bałam.

- Odeszłaś od niego.

- Meg, nigdy nie byłam sama. Tak się bałam zostać bez Jacka, że z początku ledwo mogłam oddychać. Ale zrobiłam to, a ty trwałaś przy mnie. Tamtej nocy, kiedy zjawiałaś się w domku na plaży, uratowałaś mi życie.

- Zawsze byłaś silniejsza, niż sądziłaś.

Elizabeth rzuciła jej spojrzenie mówiące: ty też.

- Musisz przestać bać się miłości. Może należy zacząć od tego Joe.

- Pod każdym względem jest dla mnie nieodpowiedni. Nie śpiam z mężczyznami, którzy mogą coś ofiarować.

- Ty w ogóle z nimi nie „sypiasz”.

- Powraca zdzira.
- Dlaczego jest taki nieodpowiedni?
- To mechanik z małego miasteczka. Mieszka w zrujnowanym domku, który należy do jego pracodawcy. Obcina włosy scyzorykiem. Wybieraj, co chcesz. Aha, i jeszcze jedno: chociaż nie przywiązuje wagi do ozdób, obstawił cały dom zdjęciami żony, która się z nim rozwiodła.

Elizabeth spojrzała na nią, nie mówiąc ani słowa.

- No dobra, to wszystko nie jest takie ważne. To znaczy te zdjęcia są koszmarnie, natomiast nie obchodzi mnie, czym się zajmuje. I w pewnym sensie podoba mi się Hayden. Miłe miasto, tylko że...

- Tylko że?

Meghann wyczytała smutne zrozumienie w wyrazie oczu Elizabeth; to spojrzenie dodało jej otuchy.

- Wyjechałam stamtąd bez słowa. Nie powiedziałam nawet „do widzenia”. Trudno coś takiego odkręcić.

- Ty nigdy nie szłaś na łatwiznę.

- Z wyjątkiem seksu.

- Nigdy bym nie pomyślała, że seks z nieznajomymi jest łatwy.

- Nie jest - przyznała cicho Meg.

- Więc zadzwoń do niego. Udaj, że sprawy zawodowe zmusiły cię do wyjazdu.

- Nie znam jego numeru.

- A warsztat?

- Mam zadzwonić do niego do pracy? Sama nie wiem. To wydaje się takie osobiste.

- Pewnie zrobiłaś facetowi laskę, ale telefon jest zbyt osobisty.

Meghann roześmiała się w odpowiedzi. Musiała przyznać, że wykazała się pokrętnym rozumowaniem.

- Gadam jak potłuczona.

- Dobrze. W porządku, Meghann. Oto, co zrobimy. I mówię poważnie. Jutro obie pojedziemy do Salish Lodge, gdzie zarezer-

wowałam dla nas zabiegi w spa. Porozmawiamy, popijemy, pośmiejemy się i ułożymy plan działania. Zanim zaczniesz zręzczyć, pozwól, że cię poinformuję, iż już telefonicznie powiadomiłam Julie, że jutro nie będzie cię w kancelarii. Na koniec odwieziesz mnie na lotnisko i ruszysz na północ. Zatrzymasz się dopiero przed drzwiami Joego. Zrozumiano?

- Nie wiem, czy starczy mi odwagi.
- Mam pojechać z tobą? Powiedz tylko słowo.
- Oto dlaczego kobiety nazywa się stalowymi magnoliami.

Elizabeth roześmiała się.

- Bo to prawda, złotko. Nigdy nie mów dziewczynie z Południa, że rezygnujesz z przystojnego faceta.

- Uwielbiam cię, wiesz?

Elizabeth sięgnęła po kawałek pizzy.

- Meg, zapamiętaj to zdanie. Prędeż czy później może się przydać. A teraz opowiedz mi o ślubie Claire. Nie do wiary, że pozwoliła ci się nim zająć.

## 24

- W tym klubie odkryto Gartha Brooksa.

Claire uśmiechnęła się do Kenta Amesa, fiszy w Down Home Records, i jego asystenta Ryana Turnera. W ciągu ostatniej godziny każdy z nich trzykrotnie podzielił się z nią tą cenną informacją. Nie była pewna, czy obaj mają taką słabą pamięć, czy też biorą ją za idiotkę, która nie jest w stanie zrozumieć ich słów za pierwszym razem.

Od dwóch dni siedzieli z Bobbym w Nasłville. Powinna uważać ten pobyt za bardzo udany. Mieszkali w pięknym pokoju w hotelu Loews. Chodzili na wystawne, romantyczne kolacje do restauracji, a śniadania jedli w łóżku. Zwiedzili Opryland i obejrzeli Country Music Hall of Fame. A co najważniejsze, Bobby doskonale wypadł podczas przesłuchań. Wszystkich czterech. Pierwsze odbyło się w wilgotnej norze bez okna w obecności ja-

kiegoś szeregowego pracownika. Bobby wyszedł stamtąd przygnębiony, narzekając, że jego wielkiego przeboju słuchał jakiś przyszczaty smarkacz bez gustu. Tamtego wieczoru pili szampana i udawali, że się tym nie przejmują. Claire tuliła się do niego i szeptała, że bardzo go kocha.

Następnego ranka o ósmej czterdzieści pięć odezwał się telefon i w tej samej chwili ruszyło koło fortuny. Bobby'ego przesłuchiwali jeden po drugim coraz wyżsi rangą aranżerzy aż znalazł się w dużym narożnym biurze, którego okna wychodziły na marzenie wszystkich piosenkarzy country, a mianowicie na Musie Row. Każdy z kolejnych przesłuchujących przedstawiał „swoje” odkrycie decydentowi, który stał wyżej w hierarchii.

W ciągu dwudziestu czterech godzin ich życie uległo całkowitej odmianie. Bobby stał się „kims”. Człowiekiem, który bywa w różnych miejscach.

Claire, Bobby oraz szefowie z branży siedzieli przy stoliku w pobliżu estrady w małym bezpretensjonalnym klubie. Za niecałą godzinę przypadał występ Bobby'ego. Miał być okazją do pokazania bossom „jego repertuaru”.

Bobby bardzo swobodnie rozmawiał z tymi mężczyznami. Właściwie usta im się nie zamykały. Mówili o rzeczach zupełnie obcych Claire: o nagraniach demo, czasie studyjnym, tantiemach i warunkach kontraktów.

Pragnęła to wszystko zrozumieć. W swoich fantazjach była nie tylko żoną Bobby'ego, ale także jego partnerką, jednak nie potrafiła się skupić. Niekończąca się podróż samolotem z Kauai do Oahu, a stamtąd do Seattle oraz Memphis i Nashville pozostawiła ślad w postaci tępego bólu głowy, którego w żaden sposób nie mogła się pozbyć. Poza tym ciągle wracała myślami do Ali, bardzo rozczarowanej wiadomością, że mamusia przedłużyła pobyt poza domem.

Nie pomagał jej dym w klubie ani dudniąca muzyka i głośny gwar rozmów. Ścisnęła Bobby'ego za rękę, a gdy któryś z rozmówców zwracał się do niej, kiwała głową, licząc po cichu, że uśmiecha się przy tym w miarę przekonująco.

- Bobby wchodzi za czterdzieści pięć minut - poinformował ją z uśmiechem Kent Ames. - Wykonawcy zazwyczaj czekają latami, żeby zaśpiewać na tej scenie.

Kiwnęła głową, uśmiechając się szerzej.

- Wiesz, tu odkryto Gartha Brooksa. Niestety, nie mnie to szczęście przypadło w udziale.

Claire poczuła mrowienie w prawej ręce. Dopiero przy drugiej próbie udało jej się podnieść kieliszek z margaritą. Wypiła ją duszkiem, mając nadzieję, że alkohol uśmierzy ból głowy.

Niestety, nic takiego się nie stało. A co gorsza, wywołał mdłości. Zsunęła się ze stołka i ze zdziwieniem stwierdziła, że się chwieje. Musiała wypić o jeden kieliszek za dużo.

- Przepraszam. - Zauważyła, że przeszkodziła w rozmowie, gdyż wszyscy mężczyźni jak na komendę skierowali na nią wzrok.

- Claire? - Bobby zerwał się z miejsca.

Usiłowała się uśmiechnąć. Połowa ust wygięła się w lekki grymas.

- Przepraszam, Bobby. Boli mnie głowa. Chyba powinnam się położyć. - Pocałowała go w policzek. - Rzuć ich na kolana, kochanie - szepnęła.

Objął ją ramieniem i przytulił.

- Odprowadzę żonę do hotelu.

- Ale twój występ... - zaproponował Ryan.

- Wyprosiłem dla ciebie tę szansę - zauważył chłodno Kent.

- Wróć na czas - zapewnił ich Bobby.

Podtrzymując Claire, wyprowadził ją z klubu na gwałną, ruchliwą ulicę.

- Bobby, nie musisz ze mną iść. Naprawdę.

- Nic nie jest ważniejsze od ciebie. Nic. Lepiej, żeby ci faceci się dowiedzieli, co się dla mnie najbardziej liczy.

- Ktoś tu się robi czupurny. - Opierała się o niego, kiedy szli ulicą.

- Ostatnio sprzyja mi szczęście. Od czasu występów w Cowboy Bob.

Szybko przeszli przez hol i wjechali na swoje piętro. Bobby rozebrał Claire delikatnie, położył ją do łóżka, po czym sprawdził, czy ma na nocnej szafce aspirynę i wodę.

- Prześpij się, kochanie - wyszeptał, całując ją w czoło.
- Powodzenia, skarbie. Kocham cię.
- I właśnie dlatego los mi sprzyja.

Wiedziała, kiedy wyszedł. Podpowiedziało jej ciche stuknięcie drzwi oraz wrażenie pustki i chłodu w pokoju. Zmobilizowała się, żeby zadzwonić do domu. Siląc się na entuzjastyczny ton, opowiedziała Ali i Samowi o podniecającym dniu i przypomniała, że wraca za dwa dni. Kiedy odłożyła słuchawkę, westchnęła ciężko i przymknęła powieki.

Rano obudziła się bez bólu głowy. Czuła się ociężała i zmęczona, ale usta same układały się w uśmiech, kiedy Bobby zdawał relację z występu.

- Claire, oszaleli z zachwytu! Poważnie. Kent Ames aż się ślinił, roztaczając przede mną widoki na przyszłość. Zaproponował nam kontrakt. Uwierzysz?!

Oboje w puszystych hotelowych szlafrokach siedzieli z podwiniętymi nogami na kanapce pod oknem. Jasne poranne słońce wdzierało się przez szyby do wnętrza. Bobby wyglądał tak przystojnie, że Claire zapierało dech w piersi.

- Oczywiście, że wierzę. Słyszałam, jak śpiewasz. Zaslugujesz, żeby zostać megagwiazdą. Jak to wszystko ma teraz wyglądać?

- Przypuszczalnie pobyt w Nasłwille zajmie około miesiąca. Trzeba ułożyć repertuar, zebrać zespół, takie tam rzeczy. Kent powiedział, że nierzadko jedna piosenka na trzy tysiące okazuje się odpowiednia. Kiedy nagram demo, oni zajmą się promocją. Chcą, żebym wrzesień i październik przeznaczył na tournée. Alan Jackson szuka kogoś na otwarcie swego występu. Alan Jackson! Ale nie martw się. Powiedziałem im, że przy układaniu programu muszę wziąć pod uwagę rodzinę.

W tej chwili Claire kochała Bobby'ego mocniej, niż sądziła,

że to w ogóle możliwe. Chwyliła go za poły szlafroka i przyciągnęła do siebie.

- W twoim autobusie oprócz mężczyzn mają być wyłącznie brzydkie kobiety. Widziałam filmy o takich objazdach.

Złożył na jej wargach długi namiętny pocałunek. Gdy oderwał się od jej ust, kręciło jej się w głowie.

- Claire, czym ja sobie na ciebie zasłużyłem?

- Pokochałeś mnie - odparła, rozchylając mu szlafrok. - A teraz zanieś mnie do łóżka i kochaj się ze mną.

Dzień w spa nie przyniósł Meghann odprężenia. Pomiedzy masażami, maseczkami i relaksującymi kąpielami w jacuzzi prowadziła z Elizabeth niekończące się rozmowy. Za każdym razem, kiedy usiłowała sprowadzić je na inne tory, powracał ten sam temat.

Joe.

Elizabeth okazała się nieugięta. Pierwszy raz w życiu Meghann odkryła, jakie to uczucie znaleźć się pod presją.

„Zadzwoń do niego. Nie bądź takim tchórzem!” Ta rada powtarzana na tysiąc sposobów sprowadzała się do jednego: „Skontaktuj się z nim!”

Szczerze mówiąc, Meghann z radością odwiozła przyjaciółkę na lotnisko. Cisza spływała na nią słodkim ukojeniem. Jednak kiedy wróciła do pustego kondominium, nadal prześladował ją głos Elizabeth, postanowiła więc zagłuszyć go, oddając się jakiemuś zajęciu. Kupiła na kolację pizzę i udała się na spacer po nabrzeżu, gdzie oglądała wystawy sklepów, wmieszana w strumień turystów, którzy schodzili z promów i ciągnęli pochyłymi uliczkami z Public Market.

Było wpół do dziewiątej, kiedy wreszcie znalazła się w domu. Ponownie przywitała ją głucha cisza.

- Muszę kupić kota - stwierdziła na głos, rzucając torebkę na kanapę. Obejrzała „Seks w wielkim mieście” i powtórkowy odcinek „Kancelarii adwokackiej” (Bobby Donnell znowu się popłakał). Zdegustowana wyłączyła telewizor.

Taak. Adwokaci faceci to mazgaje, uznała.

Położyła się spać.

Noc przeleżała z szeroko otwartymi oczami.

„Zadzwoń do niego. Nie bądź takim tchórzem!”

Wpół do siódmej podniosła się z łóżka, wzięła prysznic, ubrała się w skromną czarną garsonkę i w lawendową jedwabną bluzkę.

Rzut oka do lustra wystarczył, by przypomnieć, że w najlepszym wypadku przespała dwie godziny. Jakby musiała oglądać zmarszczki, aby o tym pamiętać.

O siódmej trzydzieści siedziała już przy biurku, przeglądając zeznania Pernoda.

Co kwadrans zerkała na telefon.

„Skontaktuj się z nim!”

W końcu o dziesiątej poddała się i zadzwoniła do sekretarki.

- Tak, pani Dontess?

- Znajdź mi numer warsztatu samochodowego w Hayden, w stanie Waszyngton.

- Jakiego warsztatu?

- Nie znam nazwy ani dokładnego adresu. Wiem, że znajduje się naprzeciwko parku Riverfront, Front Street.

- Muszę...

- ...być pomysłowa. To małe miasto. Wszyscy wszystkich znają.

- Ale...

- Dziękuję. - Meghann przerwała połączenie.

Minęło dziesięć rozwlekłych minut. Wreszcie na pierwszej linii odezwał się brzęczyk Rhony.

- Podaję numer. To warsztat Smitty'ego.

Meghann zapisała numer i zapatrzyła się na niego. Serce bilo jej w przyspieszonym tempie.

- To idiotyczne. - Podniosła słuchawkę i wybrała numer. Przy każdym kolejnym sygnale walczyła z chęcią rzucenia słuchawki.

- Warsztat Smitty'ego.

Z trudem przełknęła ślinę.



- Czy zastałam Joego?

- Jedną sekundę. Joe!

Stuknęła odłożona słuchawka, potem ktoś ją podniósł.

- Halo?

- Joe? Tu Meghann.

Długa cisza.

- Myślałem, że zniknęłaś na dobre.

- To nie takie łatwe. - Żart nie spotkał się z odzewem. - Ja... uhm... musiałam pojechać na przesłuchanie do hrabstwa Snohomish w piątek po południu. Na pewno nie będziesz miał ochoty... Nie powinnam dzwonić, ale pomyślałam, że może moglibyśmy zjeść razem kolację.

Nie zareagował.

- Mniejsza z tym. Jestem idiotką. Już się rozłączam.

- Mogę kupić steki i pożyczyć grilla od Smitty'ego.

- Poważnie?

Zaśmiał się cicho, a ona poczuła, jak rozluźniają się jej napięte mięśnie karku.

- Czemu nie?

- Będę około szóstej. Pasuje?

- Idealnie.

- Przywiozę wino i deser.

Meghann uśmiechała się jeszcze, odkładając słuchawkę. Dziesięć minut później ponownie odezwał się brzęczyk Rhony.

- Pani Dontess, ma pani siostrę na drugiej linii. Mówi, że to pilne.

- Dzięki. - Meghann nałożyła słuchawki i nacisnęła guzik. - Cześć, Claire! Witaj w domu. Samolot musiał przylecieć punktualnie. Nie do wiary. Jak się udał...?

- Jestem na lotnisku. Nie wiedziałam, do kogo jeszcze mogłabym zadzwonić. - Głos Claire drżał, chyba mówiła przez łzy.

- Claire, co się dzieje?

- Nie pamiętam przelotu z Nashville. Nie pamiętam, żebym odbierała bagaż, ale mam go przy sobie. Nie pamiętam, że poszłam po kluczyki i do garażu, a siedzę w moim samochodzie.

- Nie rozumiem.
  - Ja też nie, do cholery! - krzyknęła Claire, po czym się rozszlochała. - Nie wiem, jak dojechać do domu.
  - O mój Boże! - Meghann zamiast wpadać w panikę, z miejsca przejęła inicjatywę. - Masz jakąś kartkę?
  - Tak. Pod ręką.
  - Coś do pisania?
  - Tak. - Szloch przycichł. - Meg, jestem przerażona.
  - Pisz. Post Alley osiemset dwadzieścia dziewięć. Masz?
  - Tak.
  - Trzymaj tę kartkę w ręce. A teraz wysiądź z auta i idź w stronę terminalu.
  - Boję się.
  - Cały czas będę się z tobą kontaktować przez telefon.
- Usłyszała trzask zamykanych drzwi. A potem odgłos rolek ciągniętej walizki.
- Zaraz. Nie wiem, w którą stronę...
  - Widzisz przed sobą zadaszony pasaż z tablicą rozkładu lotów powyżej?
  - Tak. Jest napis „Alaska i Horizon”.
  - Idź przed siebie. Claire, jestem przy tobie. Nie rozłączę się. Zjedź schodami jedno piętro. Widzisz ruchome schody?
  - Tak.
- Mówiła takim słabym głosem. Meghann była przerażona.
- Wyjdź na zewnątrz. Podnieś słuchawkę telefonu z napisem „Taxi”. Jaki jest numer nad drzwiami, którymi wysłaś?
  - Dwanaście.
  - Powiedz taksówkarzowi, żeby podjechał do wyjścia numer dwanaście i że chcesz jechać do centrum.
  - Poczekaj.
- Meghann słyszała, jak Claire rozmawia przez telefon.
- Dobrze - powiedziała na koniec i znowu się rozpłakała.
  - Claire, jestem przy tobie. Nie denerwuj się.
  - Kto mówi?
- Meghann przebiegł zimny dreszcz paniki.

- To ja, Meghann. Twoja siostra.
- Nie pamiętam, żebym do ciebie dzwoniła.

O Jezui! Meghann zacisnęła powieki. Siłą woli wydobyła głos z krtani.

- Czy stoi przed tobą taksówka?
- Tak. Skąd się wzięła?
- Jest dla ciebie. Usiądź na tylnym siedzeniu. Podaj taksówkarzowi kartkę, którą trzymasz w ręce.
- Boże, Meg! Skąd wiesz, że mam kartkę? Co się ze mną dzieje?
- Wszystko w porządku, Claire. Jestem przy tobie. On cię wysadzi przed moim biurem. Będę na ciebie czekać.

Taksówka podjechała do krawężnika. Zanim Claire zdążyła powiedzieć chociażby „dziękuję”, otworzyły się przednie drzwi od strony pasażera. Meghann rzuciła w stronę kierowcy zwitek banknotów i zatrzasnęła je.

Potem otworzyły się drzwi przy Claire.

- Hej, Claire, wysiadaj! - Meghann już stała przy niej.
- Claire chwyciła torebkę i wydobyła się z taksówki. Była roztrzęsiona i zdezorientowana.

- Gdzie masz bagaż?

Rozejrzała się wokół siebie.

- Musiałam zostawić w moim samochodzie na lotnisku. - Zaśmiała się, lecz ten śmiech nawet dla niej zabrzmiał niepewnie. - Słuchaj, Meg, czuję się już o wiele lepiej. Nie wiem... To chyba z nadmiaru emocji. Lot był okropny, a na lotnisku w Memphis zrobili mi osobistą kontrolę. Już tęsknię za Bobbym, a nie będzie go kilka tygodni. Pewnie miałam atak paniki czy coś w tym rodzaju. Po prostu zaproś mnie do jakiejś cichej restauracji na filiżankę kawy. Prawdopodobnie powinnam się dobrze wyspać.

Meg patrzyła na nią wzrokiem naukowca, któremu nie powiódł się eksperyment.

- Atak paniki? Chyba żartujesz. Claire, możesz mi wierzyć, poznałam ataki paniki. Nie zapomina się drogi do domu.

- Jasne. Ty się na wszystkim najlepiej znasz. - Stres w związku z jej... niedyspozycją... dawał o sobie znać. Czuję się wyczerpana. - Nie chcę się z tobą kłócić.

- I bardzo dobrze. Wsiadamy do samochodu i jedziemy do szpitala.

- Nic mi nie jest. Naprawdę. Prawdopodobnie mam zapalenie zatok. W domu pójdę do lekarza.

Meghann zbliżyła się o krok.

- Wybieraj. Albo grzecznie wsiądziesz do tego samochodu i pojedziemy, albo urządzę ci scenę. Wiesz, że potrafię.

- Bardzo proszę. Zawieź mnie do szpitala, spędzimy tam cały dzień i wydamy dwieście dolarów tylko po to, żeby się dowiedzieć, że mam ostre zapalenie zatok, którego nabawiłam się w samolocie.

Meg wzięła ją pod rękę i usadowiła w obitym czarnym pluszem wnętrzu lincolna.

- Limuzyną do oddziału pomocy doraźnej. Jaki szpan.

- To nie jest limuzyna. - Meghann przyglądała się jej badawczo. - Naprawdę jest ci lepiej?

Claire wzruszył niepokój w głosie siostry. Przypomniała sobie nagle, że Meghann zawsze pokrzykiwała i złościła się, kiedy się bała. Reagowała tak od dzieciństwa.

- Przykro mi, że cię przestraszyłam.

Wreszcie Meg się uśmiechnęła.

- Udało ci się - wyznała cicho, opadając na oparcie.

Wymieniły spojrzenia i Claire zaczęła się odprężyć.

- Bobby świetnie wypadł podczas przesłuchań. Zaproponowali mu duży, intratny kontrakt.

- Nie podpisze go, zanim go nie przejrzę, zgoda?

- Standardowa odpowiedź brzmi: Gratulacje.

Meghann spiekła raka.

- Gratulacje. To naprawdę jest coś.

- Według mnie powinni to pokazać w serialu „Niewiarygodny świat Ripleya” w odcinku zatytułowanym „Eliana Sullivan robi dobry uczynek”.

- Dobry uczynek, który wykorzysta. Wiesz, dzięki sławnemu zięciowi znajdzie się w świetle jupiterów. Pomyśl tylko o tych wywiadach w stylu: „To ja go odkryłam i odmieniłam jego życie”. - Meg przycisnęła dłoń do piersi i naśladując południowy akcent, powiedziała: - Rodzina zawsze jest na pierwszym miejscu.

Claire parsknęła śmiechem. Nagle zauważyła, że powróciło uczucie mrowienia w prawej ręce. Kiedy na nią zerknęła, palce zwinęły się w pięść. Przez ułamek sekundy nie mogła ich wyprostować. Ogarnęła ją panika. Boże, proszę...

Skurcz ustąpił.

Samochód zjechał przed szpital.

W recepcji oddziału pomocy doraźnej siedziała młoda, otyła kobieta z zielonymi włosami i kolczykiem w skrzydełku nosa.

- W czym mogę pomóc? - spytała.

- Chcę się zobaczyć z lekarzem.

- Co się dzieje?

- Bardzo boli mnie głowa.

Meghann pochyliła się nad biurkiem.

- Proszę pisać: Silny ból głowy. Chwilowa utrata pamięci.

- No tak. Zapomniałam. - Claire uśmiechnęła się niepewnie.

Recepcjonistka odpowiedziała niechętnym grymasem i podsunęła formularz.

- Proszę to wypełnić i dać mi kartę ubezpieczeniową.

Claire wyjęła dokument z portfela i wręczyła go recepcjonistce.

- Mój lekarz domowy uważa, że powinnam więcej ćwiczyć.

- Oni wszyscy tak mówią - zauważyła recepcjonistka z pobłażliwym śmiechem. - Proszę usiąść i poczekać na wezwanie.

Minęła godzina, a one nadal czekały. Meghann była bliska ataku szału. Trzykrotnie nakrzyczała na recepcjonistkę, a w cią-

gu ostatnich dwudziestu minut najczęstszym zwrotem w jej ustach było: „Pozwę ich!”.

- Mają czelność nazywać to miejsce oddziałem pomocy doraźnej.

- Popatrz na to z jasnej strony. Pewnie uznali, że nie jestem tak bardzo chora.

- Zapomnij o bólu głowy. Obie umrzemy ze starości, zanim ktoś się tobą zajmie. Jasna cholera! - Meghann zerwała się z miejsca i zaczęła przemierzać poczekalnię.

Claire chciała uspokoić siostrę, lecz wymagało to zbyt wiele wysiłku. Ból głowy się nasilił, o czym zdecydowanie nie zamierzała informować Meg.

- Claire Austin! - zawołała wymuskana pielęgniarka w niebieskim uniformie.

- Najwyższy, pieprzony czas! - Meghann w sekundę znalazła się przy Claire i pomogła jej wstać z krzesła.

- Niezwykle mnie uspokajasz - zauważyła Claire, wsparta na jej ramieniu.

- Ma się ten dar - mruknęła Meg, podprowadzając ją do drobnej pielęgniarki o ptasiej urodzie, która czekała przed dwuskrzydłowymi białymi drzwiami oddziału pomocy doraźnej.

Kobieta-ptak podniosła wzrok.

- Claire Austin?

- To ja.

- Pani tu poczeka - zwróciła się do Meghann.

- Nie.

- Słucham?

- Wchodzę z siostrą. Jeżeli lekarz każe mi wyjść podczas badania, posłucham go.

Claire wiedziała, że powinna być zła. Meg jak zwykle wtrącała się w nie swoje sprawy, lecz szczerze mówiąc, nie chciała zostać sama.

- Proszę bardzo.

Claire trzymała siostrę za rękę, kiedy przekroczyły podwójne drzwi i znalazły się w przerażającym białym świetle pachnącym

środkami dezynfekcyjnymi. W małym gabinecie Claire przebrała się w cienką szpitalną koszulę, a pielęgniarka zadała jej kilka pytań, zmierzyła ciśnienie i pobrała krew.

Potem znowu czekały.

- Gdybym była naprawdę chora, od razu by przybiegli - zauważyła Claire po jakimś czasie. - To chyba dobry znak, że czekamy.

Meghann stała oparta o ścianę, ciasno splatając ramiona, jakby się bała, że jeśli się poruszy, roztrzaska coś w drobny mak.

- Masz rację - powiedziała. I ciszej dodała: - Zasrańcy.

- Zastanawiałaś się kiedyś nad karierą w służbie zdrowia? Masz cechy samarytanki. Naprawdę, bardzo podnosisz mnie na duchu.

- Przepraszam. Obie wiemy, jaka jestem cierpliwa.

Claire położyła się na kozetce i wbiła wzrok w sufit z dźwiękochłonnych płytek.

Wreszcie ktoś zapukał i otworzył drzwi. Do gabinetu wszedł jakiś młokos w białym fartuchu.

- Jestem doktor Lannigan. Co pani dolega?

Meghann wydała z siebie gniewny pomruk.

- Dzień dobry, doktorze! - Claire usiadła na kozetce. - Naprawdę, nie powinnam tu przychodzić. Jestem tego pewna. Boli mnie głowa, a moja siostra uznała, że z migreną trzeba zaraz biec na oddział. Po wyczerpującym locie przydarzyło mi się coś w rodzaju ataku paniki.

- Przy czym zapomniała, jak dojechać do domu - dodała Meghann.

Lekarz nawet nie spojrział na Meghann. Nie patrzył również na Claire. Studiował jej kartę. Następnie poprosił o wykonanie kilku poleceń - musiała podnieść jedną rękę, potem drugą, poruszać głową, zamrugać oczami i odpowiedzieć na parę banalnych pytań: jaki mają rok, kto jest prezydentem i tym podobne rzeczy.

- Często miewa pani bóle głowy? - zapytał na koniec.

- Tak, kiedy żyję w stresie. Chociaż ostatnio się nasiliły - wyznała.

- Czy w pani życiu nastąpiły jakieś zmiany?
- Mnóstwo - zaśmiała się Claire. - Właśnie po raz pierwszy wyszłam za męża. Mego męża nie będzie przez cały miesiąc. Został w Nashville, nagrywa płytę.
- Och! - Uśmiechnął się. - No cóż, pani Austin, morfologia jest w normie, podobnie jak ciśnienie i tętno. Nie ma pani również podwyższonej temperatury. Według mnie to stres. Moglibyśmy wykonać parę kosztownych badań, ale nie sądzę, żeby to było konieczne. Wypiszę receptę na tabletki przeciwko migrenie. Kiedy zacznie panią boleć głowa, proszę przyjąć dwie i popić dużą ilością wody. - Uśmiechnął się ponownie. - Gdyby jednak bóle nie ustąpiły, radziłbym udać się do neurologa.

Uszczęśliwiona Claire skinęła głową.

- Dziękuję, doktorze.
- O nie! Nie ma mowy! - Meghann oderwała się od ściany i natarła na doktora. - To nie wystarczy.

Lekarz odstąpił do tyłu, bo znalazła się zbyt blisko.

- Przypilnuję was. Powinniście przynajmniej zrobić jej tomografię komputerową. Albo rezonans magnetyczny czy EEG. Kilka podstawowych badań. Musi natychmiast przejść badanie neurologiczne.

- To są kosztowne badania - obruszył się lekarz. - Nie możemy wykonywać tomografii u każdego pacjenta, który uskarża się na ból głowy, lecz jeśli pani nalega, mogę zlecić konsultację neurologiczną. Proszę zarejestrować się na wizytę.

- Jak długo jest pan lekarzem?
- Rozpocząłem pierwszy rok stażu.
- Zamierza pan dotrwać do drugiego roku?
- Oczywiście. Nie rozumiem...

- Chcę się zobaczyć z pańskim przełożonym. Natychmiast. Nie po to sterczałyśmy tu trzy godziny, żeby jakiś nieopierzony doktorek stwierdził, że Claire jest w stresie. Ja żyję w stresie. Pan też. Mimo to potrafimy trafić do domu. Proszę wezwać prawdziwego lekarza. Neurologa. I nie będziemy się umawiać na żadną wizytę. W tej chwili chcemy się widzieć ze specjalistą.



- Sprowadzę konsultanta. - Złapał podkładkę pod dokumenty i czym prędzej wyszedł.

- Znowu pokazałaś, co potrafisz. - Claire westchnęła. - To jest stres.

- Mam nadzieję, ale nie poprzestanę na słowie tego króla balu absolwentów.

Jakiś czas później ponownie ukazała się pielęgniarka. Tym razem jej uśmiech wyglądał na wymuszony.

- Doktor Kensington przejrzała wyniki. Chce zrobić pani tomografię komputerową.

- A więc mamy do czynienia z kobietą. Dzięki Bogu - podsumowała Meghann.

Pielęgniarka skinęła głową.

- Proszę za mną.

Claire spojrzała na Meghann, która odpowiedziała uśmiechem i wzięła ją pod rękę.

- Należy uważać nas za nierozłączki.

Claire przywarła do ramienia Meghann. Szły - jak się zdało - bez końca. Przeszły jeden korytarz, potem drugi, pojechały windą na wyższe piętro i pokonały jeszcze jeden pasaż, zanim stanęły przed Centrum Medycyny Nuklearnej.

Claire poczuła, jak palce Meghann zaciskają się na jej ramieniu.

- To tu. - Pielęgniarka zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami. - Tam jest krzesło - zwróciła się do Meghann. - Nie może pani wejść, lecz obiecuję, że zaopiekuję się siostrą, zgoda?

Meghann zawahała się, zanim skinęła głową.

- Będę tu na ciebie czekać.

Claire weszła za pielęgniarką do krótkiego korytarza, który prowadził do pomieszczenia, gdzie stało urządzenie przypominające wyglądem ogromny, biały pączek. Pielęgniarka ułożyła ją na łóżku umieszczonym na wysokości otworu w „pączku”.

Znowu czekała. Czekanie się przedłużało. Pielęgniarka zaglądała co jakiś czas, mruzczyła coś pod nosem o lekarce i zniknęła.

Claire zaczynała marznąć. Powrócił strach, który dotąd w miarę skutecznie tłumiała. To miejsce budziło najgorsze obawy.

Wreszcie drzwi się otwały i do gabinetu wszedł mężczyzna w białym kitlu.

- Przepraszam, że musiała pani czekać. Coś nam wypadło. Jestem doktor Cole, radiolog. Proszę leżeć i absolutnie się nie ruszać, a szybko się z tym uwiniemy.

Claire odpowiedziała wymuszonym uśmiechem. Wołała nie myśleć o tym, że wszyscy wokół mają ołowiane fartuchy, a ona leży osłonięta jedynie cienką bawełnianą koszulą.

- Już po wszystkim. Dobrze się pani sprawowała - pochwalił ją lekarz po skończonym badaniu.

Claire była tak wdzięczna, że prawie zapomniała o bólu głowy, który nasilał się systematycznie, gdy leżała wewnątrz urządzenia.

Meghann była wyraźnie zła.

- Co się stało? Powiedzieli, że to zajmie godzinę.
- I tyle to trwało, kiedy wreszcie ściągnęli lekarza.
- Złamasy!

Claire parsknęła śmiechem. Z takim wsparciem z miejsca się lepiej poczuła.

- Jak widzę, na prawie uczą precyzyjnego języka.
- Lepiej, żebyś nie wiedziała, co precyzyjnie myślę o tym miejscu.

Podążyły za pielęgniarką do innego gabinetu.

- Mam się ubierać? - zapytała Claire.
- Jeszcze nie. Zaraz przyjdzie doktor.
- Akurat - burknęła Meghann.

Pół godziny później pielęgniarka wróciła.

- Doktor zaordynował jeszcze jedno badanie. RM. Proszę za mną.

- Co to jest RM? - spytała Claire, którą znowu ogarnął niepokój.

- Rezonans magnetyczny. Pozwala na dokładną diagnozę. Standardowe badanie.

Kolejny korytarz, następny długi spacer ku zamkniętym drzwiom. Znowu Meg została na zewnątrz.

Tym razem Claire musiała zdjąć obrączkę, kolczyki, łańcuszek, a nawet wyjąć spinkę z włosów. Technik spytał, czy ma jakieś metalowe uzupełnienia kości lub rozrusznik. Kiedy zaprzeczyła i zapytała, dlaczego chce to wiedzieć, odparł:

- Nie chciałbym patrzeć, jak z pani wylatują, kiedy to włączę.

- Ładna perspektywa - mruknęła Claire. - Mam nadzieję, że nic nie grozi moim plombom.

Technik roześmiał się i pomógł jej wejść do wnętrza kapsuły, która wyglądem przypominała trumnę. Zauważyła, że oddycha niespokojnie. Łóżko było zimne i twarde, i tak wyprofilowane, że uwierało ją w plecy. Technik przymocował ją pasami.

- Nie wolno się pani poruszyć.

W pomieszczeniu panował chłód, marzła potwornie, ale leżała bez ruchu.

Urządzenie, gdy je włączył, dudniło jak młot pneumatyczny na ulicy.

Cicho, Claire. Leż spokojnie. Nie ruszaj się. Zamknęła oczy i prawie nie oddychała. Zorientowała się, że płacze, dopiero kiedy po skroniach spłynęły kropelki wilgoci.

Jednogodzinne badanie przeciągnęło się do dwóch godzin. Przerwano je w połowie i podano jej zastrzyk dożylny. Ukłucie w przedramię i kontrast rozlał się w ciele, potęgując uczucie zimna. Była gotowa przysiąc, że czuje, jak ciecz wpływa pod ciśnieniem do mózgu. Wreszcie pozwolono jej wstać. Wraz z Meghann wróciły do gabinetu lekarskiego w Centrum Medycyny Nuklearnej, gdzie zostały jej rzeczy. Potem skierowano je do kolejnej poczekalni.

- No oczywiście - mruknęła Meghann.

Spędziły tam następną godzinę. W końcu w poczekalni pojawiła się wysoka kobieta o znużonym wyrazie twarzy w białym laboratoryjnym fartuchu.

- Claire Austin?

Claire zerwała się z miejsca. Gwałtowny ruch wywołał zawrót głowy. Upadłaby, gdyby Meghann jej nie podtrzymała.

- Jestem doktor Sheri Kensington, ordynator Oddziału Neurologicznego - przedstawiła się z uśmiechem.

- Claire Austin. A to moja siostra, Meghann.

- Miło mi. Poproszę za mną. - Doktor Kensington zaprowadziła je krótkim korytarzem do gabinetu pełnego książek, dyplomów oraz rysunków wykonanych dziecięcą ręką. Za jej plecami na podświetlonych negatioskopach wisiały zdjęcia rentgenowskie.

Claire zapatrzyła się na nie, zastanawiając się, co na nich widać.

Lekarka usiadła za biurkiem i wskazała im miejsce naprzeciw siebie.

- Przepraszam za scysję z doktorem Lanniganem. To, jak zapewne panie wiedzą, jest szpital uniwersytecki i czasami nasi stażyści nie wykazują należytej wnikliwości. Pani żądanie sprowadzenia lekarza starszego rangą będzie stanowić nauczkę dla doktora Lannigana.

Claire skwapliwie pokiwała głową.

- Meghann potrafi walczyć o swoje. Czy mam zapalenie zatok?

- Nie, Claire. To tumor.

- Co?

- Tumor. Guz. W mózgu. - Doktor Kensington podniosła się powoli, podeszła do zdjęć rentgenowskich i wskazała biały punkt. - Wygląda na to, że jest wielkości piłki golfowej, mieści się w prawym płacie skroniowo-czołowym i przechodzi przez linię środkową.

Guz.

Claire poczuła się tak, jakby wypchnięto ją z lecącego samolotu. Nie mogła złapać oddechu, ziemia zbliżała się w szalonym tempie.

- Z przykrością muszę wyjaśnić - ciągnęła doktor Kensington - że skonsultowałam się z neurochirurgiem i oboje uwa-

żamy, że guz jest nieoperacyjny. Naturalnie będzie pani chciała zasięgnąć dodatkowych opinii. Musi pani pójść także do onkologa.

Cholera.

Meghann zerwała się z krzesła i zawiła pochylona nad biurkiem, jakby zamierzała chwycić lekarkę za gardło.

- Mówi pani, że ona ma guz mózgu?

- Tak. - Lekarka usiadła z powrotem na swoim miejscu.

- I nie możecie nic z tym zrobić?

- Uważamy, że guz jest nieoperacyjny, ale nie twierdzimy, iż nie można spróbować terapii.

- Meg, proszę. - Claire ogarnął absurdalny lęk, że siostra jeszcze pogorszy sytuację. Spojrzała błagalnie na lekarkę. - Czy pani mówi, że... mogę umrzeć?

- Musimy wykonać więcej testów, żeby określić naturę guza, lecz biorąc pod uwagę jego wielkość i usytuowanie, rokowania nie są najlepsze.

- Nieoperacyjny oznacza, że nie chcecie operować - podsumowała Meg, przybierając ton, który mówił „lepiej ze mną nie igray”.

Doktor Kensington wyglądała na zaskoczoną.

- Nie sądzę, aby ktokolwiek się tego podjął. Konsultowałam się z jednym z najlepszych neurochirurgów. Potwierdził moją diagnozę. Operacja byłaby zbyt ryzykowna.

- Ach tak? Mogłaby ją zabić, prawda? - Meghann była zdeustowana. - Kto podejmie się takiej operacji?

- Nikt w tym szpitalu.

Meg chwyciła torebkę.

- Claire, idziemy! Jesteśmy w niewłaściwym szpitalu.

Claire przeniosła bezradne spojrzenie z doktor Kensington na siostrę.

- Meg - zaczęła błagalnie - nie wiesz wszystkiego. Proszę...

Meghann podeszła i uklękła przed nią.

- Claire, wiem, że się nie znam na wszystkim, i zdaję sobie sprawę, że jestem w gorącej wodzie kapana. Wiem też, że

w przeszłości cię zawiodłam, ale teraz to wszystko nieważne. Od tej chwili liczy się tylko twoje życie.

Claire zbierało się na płacz. Nienawidziła własnej słabości, ale nic nie mogła na to poradzić. Nagle poczuła się tak, jakby już umierała.

- Oprzyj się na mnie.

Claire popatrzyła siostrze w oczy i przypomniała sobie, że kiedyś Meg była dla niej całym światem. Powoli pokiwała głową. Znowu potrzebowała starszej siostry.

Meghann pomogła jej się podnieść, po czym zwróciła się do lekarki:

- Niech pani dalej uczy doktora Lannigana odczytywać termometr. My idziemy poszukać lekarza, który potrafi ją uratować.

## 25

Kilka lat temu Claire przechodziła okres fascynacji filmem europejskim. W każdą sobotę podrzucała Alison tacie, wsiadała do samochodu i jechała do małego, stylowego, starego kina, gdzie bez reszty pochłaniały ją szaro-czarne obrazy na ekranie.

Tak właśnie czuła się teraz. Była pozbawiona koloru bohaterką poruszającą się w obcym, szarym świecie. Odgłosy miasta wydawały się przytłumione i odległe; na dobrą sprawę słyszała jedynie równe i głośne bicie własnego serca.

Jak coś takiego mogło się jej przytrafić?

Na zewnątrz dopadł ją realny świat. Wycie syren, hałas klaksonów i pisk hamulców. Walczyła z chęcią zasłonięcia uszu.

Meghann pomogła jej wsiąść do samochodu. Powitała błogosławioną ciszę westchnieniem.

- Jak się czujesz? - zapytała Meghann i Claire odniosła wrażenie, że siostra już wcześniej kilkakrotnie ją o to pytała. W jej głosie brzmiały napięcie i niepokój.

Spojrzała na Meg.

- Czy ja mam raka? Czy tym właśnie jest guz?

- Cholera, nie wiemy, co masz. A już na pewno nie wiedzą tego ci pieprzeni lekarze.

- Meg, widziałaś tamten cień na zdjęciu? Był ogromny. - Claire nagle ogarnęło znużenie. Zaprażyła zamknąć oczy i zasnąć. Może rano wszystko inaczej będzie wyglądać. Może okaże się, że to pomyłka.

Meghann chwyciła ją za ramiona i mocno nią potrząsnęła.

- Do diaska, posłuchaj mnie. Musisz być teraz twarda. Żadnych uników i rezygnacji. To nie jest kurs kosmetyczny czy uniwersytet, nie możesz wybrać łatwiejszej drogi i tak po prostu sobie odejść.

- Ja mam guza mózgu, a ty mi wypominasz porzucenie studiów. Zdumiewasz mnie. - Claire chciała się na nią rozżłościć, ale nie była w stanie. Myślenie sprawiało trudność. - Ja się nawet nie czuję chora. Wszyscy miewają bóle głowy.

- Jutro zasięgnemy opinii innych lekarzy. Najpierw pojedziemy do szpitala Johnsa Hopkinsa. Potem spróbujemy Sloan-Kettering w Nowym Jorku. Musi gdzieś być jakiś chirurg, który ma ją. - W oczach Meghann zakręciły się łzy, głos zdrzął.

Widok załamanej Meg pogłębił strach Claire.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała automatycznie; pocieszenie innych było łatwiejsze od myślenia. - Zobaczysz. Musimy nastawić się pozytywnie.

- Wiara. No, tak - odezwała się Meghann po dłuższej chwili. - Wiarę zostawiam tobie, a ja się zajmę tym wszystkim, co należy wiedzieć o twoim przypadku. W ten sposób zabezpieczymy podstawy. Bóg i nauka.

- Chcesz powiedzieć, że stanowimy zespół?

- Ktoś musi być przy tobie w takiej sytuacji.

- Ale... ty?

Nagle całe ich dzieciństwo stanęło między nimi; wszystkie dobre chwile, a co ważniejsze, również i te złe.

Claire popatrzyła z napięciem na siostrę.

- Skoro się deklarujesz, musisz zostać przy mnie, gdy sprawy przybiorą zły obrót.

Meghann odprowadziła spojrzeniem przejeżdżający samochód.

- Możesz na mnie liczyć.

Claire dotknęła podbródka siostry, zmuszając ją, aby odwróciła głowę i spojrzała jej w twarz.

- Patrz na mnie, kiedy to mówisz.

Meghann patrzyła jej teraz prosto w oczy.

- Zaufaj mi.

- Muszę być bliska śmierci, skoro się zgadzam. Boże, j3omóż mi. - Claire zasepiła się. - Nie chcę nikomu o tym mówić.

- Dlaczego miałabyś o tym mówić, dopóki nie mamy pewności?

- Tato by się zmartwił, a Bobby wrócił do domu. - Zamilkła na chwilę i głośno przełknęła ślinę. - Wolę nie myśleć, co miałabym powiedzieć Ali.

- Oznajmimy wszystkim, że wyjeżdżamy na tydzień do spa. Uwierzą?

- Bobby tak. No i Ali. Tata... sama nie wiem. Może jeśli mu powiem, że musimy spędzić ze sobą trochę czasu. Od lat mu zależało, żebyśmy się znowu do siebie zbliżyły. Tak. Kupi to.

Kiedyś Joe przeczytał artykuł o pewnym gatunku żab, które żyją na równinie Serengeti w Afryce. Podobno te żaby składają skrzek na błotnistych brzegach rzek w czasie monsunów, gdy ziemia jest czarna i nasiąknięta wilgocią. Potem jednak nadchodzi pora sucha, a na Serengeti susza potrafi trwać bez końca. Skrzek może leżeć latami zasklepiony w twardej, wyschniętej ziemi. O dziwo, kiedy wreszcie spadną deszcze, nowo narodzone żabki wychodzą z błota i udają się na poszukiwanie partnerów, żeby powtórzyć życiowy cykl.

Wtedy pomyślał, że przystosowanie się do takich warunków jest niemożliwe.

A jednak teraz czuł się trochę jak tamte żaby. Spotkanie z rodzicami Diany coś w nim zmieniło. Nie pozbył się poczucia winy, na pewno nie do końca, niemniej ich zrozumienie i wybaczenie sprawiło, że zelżał przygniatający go ciężar. Po raz pierw-



szy od śmierci żony mógł chodzić z podniesioną głową. Uwierzył, że jest wyjście. Nie myślał o powrocie do medycyny. Nigdy więcej nie mógłby przez to przechodzić, z bliska patrzeć na śmierć. Ale musi być coś...

No i jest Meghann. Nie mógł uwierzyć, że zadzwoniła. Chciała się z nim spotkać. Po raz pierwszy od piętnastu lat umówił się na randkę.

Nie bardzo wiedział, jak się do tego przygotować.

Meghann nie przypominała Diany. Brakowało jej czułości. Żadna chwila z nią niczego nie obiecywała, a już na pewno nie gwarantowała następnej wspólnej chwili. Nawet w najbardziej intymnych sytuacjach, kiedy był w niej, zdarzało się, że odwracała głowę, by nie widział jej twarzy.

Wiedział, że najmądrzej byłoby zapomnieć o Meghann i o pragnieniach, jakie w nim wzbudziła. Mądre, ale niemożliwe. Zupełnie jakby liczyć, że małe żabki obudzone upragnionym deszczem pozostaną w swych bezpiecznych kryjówkach na brzegu rzeki. Tysiące lat ewolucji ukształtowało instynkt, z którym nie da się walczyć.

To przede wszystkim Meghann przywróciła go do życia. A teraz nie potrafił się od niej wyzwolić.

To z jej powodu odważył się - w końcu - pójść do miasta. Podczas przerwy na lunch szedł szybkim krokiem po Main Street ze spuszczoną głową i baseballówką nasuniętą na oczy. Minał dwóch starszych mężczyzn siedzących przed sklepem żelaznym i kobietę, która na siłę wyciągała dwójkę maluchów z łodziarni. Był świadomy, że ludzie pokazują go sobie i szepcą.

Wreszcie wszedł do starego zakładu fryzjerskiego i zajął wolny fotel.

- Przydałoby mi się strzyżenie - powiedział, uciekając wzrokiem, by nie patrzeć w oczy Frankowi Hillowi, który po raz pierwszy strzygł go w czwartej klasie, kiedy szykowali się do grupowego zdjęcia.

- Niewątpliwie. - Frank zamiótł podłogę, po czym chwycił

grzebień oraz nożyczki. Zawiązał mu peleryną i zaczął rozczesywać włosy. - Głowa do góry.

Joe powoli unióśł głowę. W lustrze ujrział swoją twarz. Ostatnie kilka lat wycisnęło na niej swe piętno. Smutek i poczucie winy zostawiły ślad w postaci siateczki zmarszczek wokół oczu. Przez następne trzydzieści minut siedział sztywno w fotelu, zaciskając pięści i czując skurcz żołądka. .

Po strzyżeniu zapłacił Frankowi i skierował się prosto do drzwi. Ledwie zdążył je otworzyć, gdy Frank zawołał:

- Joe, zawsze możesz tu wpaść! Nadal masz przyjaciół w tym mieście.

To zaproszenie dodało mu odwagi; poszedł jeszcze do Swain's Mercantile i zrobił zakupy. Kilku dawnych znajomych zareagoowało na jego widok uśmiechem.

Wrócił do warsztatu o pierwszej i wziął się do roboty.

- Chyba z dziesiąty raz spojrzaleś na zegar w ciągu ostatniej półgodziny - zauważył Smitty o wpół do piątej. Siedział przy stole i składał deskorolkę dla wnuka na urodziny.

- Muszę... zdążyć... w... jedno miejsce - odparł Joe.

- Coś takiego. - Smitty sięgnął po klucz francuski.

Joe zatrzasnął pokrywę silnika ciężarówki.

- Mógłbym wyjść parę minut wcześniej?

- Nie mam nic przeciwko temu.

- Dzięki. - Joe spojrział na swoje dłonie; były czarne od smaru. Nie wyobrażał sobie, aby mógł nimi dotknąć Meghann, choć smar pod paznokciami wcale jej nie przeszkadzał. To mu się w niej podobało. Kobiety, które znał w przeszłości, patrzyły z góry na takich mężczyzn, jakim on był teraz.

- A co masz w planach, o ile wolno zapytać? - Smitty podszedł bliżej.

- Znajoma przychodzi na kolację.

- Znajoma, która jeździ porsche?

- Taa.

Smitty uśmiechnął się.

- Może chcesz pożyczyć grilla? Zerwać kilka kwiatów z ogrodu Helgi?

- Nie wiedziałem, jak zapytać.

- Cholera, Joe! Zwyczajnie. Otwórz usta i powiedz „proszę”. Tak się to robi między sąsiadami i współpracownikami.

- Dziękuję.

- Helga upiekła wczoraj sernik. Założę się, że się z tobą podzieli.

- Moja znajoma ma przywieźć deser.

- Aaa. Składkowa kolacja, co? Za moich czasów inaczej to wyglądało. Oczywiście, wtedy my, mężczyźni, nie zajmowaliśmy się gotowaniem. - Puścił oko. - Przynajmniej nie w kuchni. Przyjemnego wieczoru, Joe. - Nucąc skoczną melodię, wrócił do pracy nad deskorolką.

Joe wepchnął wyplamioną olejem szmatę do tylnej kieszeni dżinsów i wyszedł z warsztatu. W drodze do siebie zatrzymał się przed domem Smitty'ego, zamienił kilka słów z Helgą i wyszedł od niej z małym, przenośnym grillem. Ustawił go na werandzie i nasypał brykietów, które przed południem kupił w Swain's.

Rozejrzał się po domu, sporządzając w myślach listę spraw do załatwienia.

Ziemniaki polać oliwą, zawinąć w folię i ponakłuwać.

Obrać kukurydzę.

Doprawić steki.

Wstawić kwiaty do wazonu.

Nakryć stół.

Spojrzał na zegar.

Będzie tu za półtorej godziny.

Wziął prysznic, ogolił się, przebrał w świeżo kupione ubranie i poszedł do kuchni.

Przez następną godzinę krzątał się po domu: włożył ziemniaki do piekarnika, garnek z kukurydzą ustawił na kuchence, włożył kwiaty do wazonu i zapalił świece.

Wreszcie wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Nalał so-

bie kieliszek wina i przeszedł do salonu, żeby tam czekać na Meghann.

Usiadł na kanapie i wyciągnął nogi.

Diana uśmiechała się do niego ze swego miejsca na gzymsie kominka.

Ogarnęło go poczucie winy, jakby robił coś złego. To głupie, przecież jej nie zdradzał.

A jednak...

Odstawił kieliszek na ławę i podszedł do kominka.

- Cześć, Di - szepnął, biorąc zdjęcie do rąk. Należało do jego ulubionych; zrobili je w sylwestra w Whistler Mountain. Diana była w białej futrzanej czapie i srebrzystej puchowej kurtce. Wyglądała niezwykle młodo i pięknie.

Przez trzy lata odsłaniał przed nią swe serce, zwierzał się jej, a teraz nie przychodziły mu na myśl żadne słowa. Za jego plecami migotały świece na stole nakrytym dla dwojga.

Dotknął zdjęcia. Szkło było zimne i śliskie w dotyku.

- Zawsze będę cię kochał.

Mówił prawdę. Diana na zawsze pozostanie jego pierwszą, może największą miłością.

Jednak chce spróbować jeszcze raz.

Pozbierał wszystkie zdjęcia, zostawiając jedną oprawioną w ramki fotografię na stoliku przy kanapie. Tylko jedną. Pozostałe wyniósł do sypialni i starannie poukładał. Przy okazji odda część siostrze.

Gdy wrócił na kanapę w salonie, myśli o Meghann sprawiły, że się uśmiechnął. Myślał o wspólnym wieczorze.

O wpół do dziesiątej już się nie uśmiechał.

Siedział samotnie, podpity, a pusta butelka po winie stała obok. Ziemiaki dawno się rozdużyły, a po świecach zostały ogarki. Frontowe drzwi stały gościnnie otwarte, lecz na ulicy nie było nikogo.

O północy położył się do łóżka. Sam.

W ciągu ostatnich dziewięciu dni Meghann i Claire odwiedziły kilku specjalistów. Zdumiewające, jak chętnie lekarze przyjmują pacjenta, który ma guza mózgu oraz mnóstwo pieniędzy. Neurologzy. Neurochirurdzy. Onkolodzy. Radiolodzy. Ze szpitala Johns Hopkinsa udały się do Sloan-Kettering, a stamtąd do Scripps. Czas upływał im na przelotach, wyczekiwaniu w szpitalnych poczekalniach i wizytach w gabinetach. Poznały mnóstwo przerażających słów. *Glioblastoma*. *Anaplastic astrocytoma*. *Craniotomia*. Niektórzy lekarze byli życzliwi i pełni współczucia, w większości jednak pozostawali obojętni, nieprzystępni i zanadto zajęci, by poświęcić więcej czasu na rozmowę. Opisywali przygnębiająco podobne sposoby leczenia i powoływali się na statystyki, które nie pozostawiały zbyt wiele nadziei.

Wszyscy zgodnie powtarzali: nieoperacyjny. Nieważne, czy złośliwy, czy łagodny, guz Claire był śmiertelny. Większość specjalistów uważała, że to *glioblastoma multiforme*. Nazywali ją terminatorem. Ha, ha!

Za każdym razem, gdy opuszczały jakieś miasto, Meghann wiązała nadzieję z wizytą w następnym ośrodku.

Tak było, dopóki neurolog w Scripps nie wziął jej na stronę.

- Proszę posłuchać - powiedział - marnuje pani cenny czas. W tej sytuacji najlepsze rokowania w przypadku pani siostry daje radioterapia. Dwadzieścia pięć procent guzów mózgu reaguje pozytywnie na naświetlania. Jeżeli guz się odpowiednio zmniejszy, być może będzie można pomyśleć o operacji. Proszę ją zabrać do domu. Zamiast walczyć z diagnozą, trzeba zająć się walką z nowotworem.

Claire zgodziła się wrócić do domu. Następnego dnia Meghann zawiozła siostrę do Szwedzkiego Szpitala, gdzie kolejny onkolog powtórzył to samo, a jego opinię poparł jeszcze radiolog. Ustalono, że nazajutrz rozpoczną się naświetlania.

Raz dziennie przez cztery tygodnie.

- Muszę tu zostać na czas terapii - powiedziała Claire, siedząc na marmurowej podstawie kominka w kondominium Meghann. - Za daleko stąd do Hayden.

- Naturalnie. Zadzwoń do Julie i przedłużę urlop.
- Nie musisz. Mogę dojeżdżać autobusem do szpitala.
- Nie zniżę się do dyskusji na ten temat. Nawet ja nie jestem aż taką suką.

Claire spojrzała za okno.

- Moja koleżanka przeszła chemioterapię i naświetlania... - Patrzyła na rozjarzone miasto, ale tak naprawdę widziała Dianę, która-marniała w oczach, tracąc ducha razem z włosami. Terapia jej nie uratowała. - Nie chcę, żeby Ali mnie taką oglądała. Niech zostanie z tatą. Będziemy ich odwiedzać w weekendy.

- Wynajmę Bobby'emu samochód. W ten sposób będziecie mogli się swobodnie poruszać.

- Nie zamierzam nic mówić Bobby'emu. Przynajmniej na razie.

- Co? - Meghann ze zdziwienia uniosła brwi.

- Nie zadzwonię do świeżo poślubionego męża z wiadomością, że mam guza mózgu. Przyjechałby do domu, a ja bym tego nie zniosła. - Claire spojrzała na Meghann. - Całe życie czekał na taką okazję. Nie chcę, żeby przeze mnie ją zmarnował.

- Jednak skoro cię kocha...

- Pewnie, że kocha - odparła z naciskiem. - W tym rzecz. Ja też go kocham. Chcę, żeby miał tę szansę. Poza tym pozostałoby mu wyłącznie trzymać mnie za rękę.

- Sądziłam, że miłość polega na wspieraniu się w trudnych chwilach.

- Właśnie to robię.

- Ach tak? Według mnie ty się boisz, że nie zechce przyjechać.

- Zamknij się.

Meghann podeszła i usiadła obok niej.

- Claire, wiem, że jesteś przerażona. Wiem też, że kiedyś i ja, i mama zawiodłyśmy ciebie. Wiem... że cię zraniłyśmy. Jednak musisz dać Bobby'emu szansę na...

- W tym wypadku przeszłość nie ma znaczenia.

- Moja psychoterapeutka uważa, że przeszłość zawsze się liczy, i zaczynam w to wierzyć. Bo widzisz...

- Nie mów mi, co się liczy w moim życiu. Proszę cię. - Głos Claire się załamał. - To ja mam guza. Ja. Nie narzucaj mi niczego ani nie krytykuj moich wyborów, dobrze? Kocham Bobby'ego i nie zamierzam od niego żądać, aby wszystko dla mnie poświęcił. - Claire wstała. - Czas na nas. Muszę powiadomić tatę o tym, co się dzieje.

- A co z mamą?

- A co z nią?

- Chcesz do niej zadzwonić?

- Żeby usłyszeć, że nie może odwiedzić chorej córki, bo właśnie jest zajęta wybieraniem obicia na kanapę? Nie, dzięki. Zadzwonię do niej, gdy mi się pogorszy. Wiesz, jak bardzo nie lubi zbędnych scen. No, zbierajmy się!

Dwie godziny później Meghann wjechała na River Road i po chwili były na miejscu. Promienie popołudniowego słońca ślizgały się po ścianach z żółtego sidingu i zmieniały różowe kwiaty róż w pomarańczowe. Cały ogród mienił się kolorami. W wysokiej trawie leżał trójkołowy rowerek.

- O rany... - szepnęła Claire.

- Dasz radę - powiedziała Meg. - Naświetlania cię uratują. Tak jak to omówiliśmy. Pomogę ci.

Claire uśmiechnęła się niepewnie.

- Sama muszę to zrobić.

Meg ją rozumiała. To była rodzina Claire, nie jej.

- Jak chcesz.

Claire wysiadła z samochodu i ociągając się, szła ścieżką. Meg trzymała się krok z tyłu, gotowa w każdej chwili służyć jej pomocą.

Przed wejściem Claire przystanęła i wzięła głęboki oddech.

- Poradzę sobie. Mamusia jest chora.

- A lekarze pomogą jej wyzdrowieć.

Spojrzała bezradnie na Meghann.

- Jak mogę to obiecać? A jeśli...

- Claire, rozmawialiśmy o tym. Masz przyrzec. O , jeśli" będziemy martwić się później.

Claire skinęła głową.

- Racja. - Siłąc się na uśmiech, otworzyła drzwi.

Sam siedział na kanapie w swym znoszonym kombinezonie. Na ich widok uśmiechnął się.

- Hej, moje panny, spóźniłyście się. Jak się udał tydzień w spa? - Jego uśmiech zgasł w połowie zdania. Spojrzał na Claire, potem na Meghann. Powoli podniósł się z kanapy. - Co się dzieje?

Alison bawiła się na podłodze zwierzęcą farną.

- Mamuś! - Zerwała się na równe nogi i podbiegła do Claire, która osunęła się na kolana i chwyciła córkę w ramiona.

Meghann, widząc, jak jej siostra drży na całym ciele, zapragnęła wyciągnąć ręce i przytulić ją tak, jak to robiła, kiedy były dziećmi. Na nowo ogarnął ją gniew. Dlaczego akurat Claire? Jak jej siostra da radę spojrzeć córce w oczy i powiedzieć: „Jestem chora”, nie załamując się przy tym jak cieniutkie włókno cukrowej waty?

- Mamuś, dusisz mnie! - Alison wyswobodziła się z uścisku. - Przywiozłaś mi prezent? Pojedziemy na Hawaje w Boże Narodzenie? Dziadek mówi...

Claire wstała i nerwowo obejrzała się na Meghann.

- Podjedź po mnie o szóstej, dobrze? - Po czym uśmiechając się, przeniosła spojrzenie na ojca i córkę. - Muszę z wami porozmawiać.

Meghann nigdy jeszcze nie była świadkiem aktu takiej odwagi. „Sama muszę to zrobić”.

Wycofała się, schroniła w samochodzie i odjechała.

Nie wiedziała, dokąd zmierza, zanim nie znalazła się u celu.

Domek był ciemny, wyglądał jak niezamieszkanym.

Zaparkowała na ulicy i zgasiła silnik. Zostawiła torebkę w samochodzie, przecięła jezdnię i podeszła do drzwi.

Zapukała.

Otworzył.

- No wiesz, chyba żartujesz.

W tym momencie przypomniała sobie, że byli umówieni



w zeszyły piątek. Miała przywieźć wino i deser. Wydawało jej się, że od tamtej pory minęły całe wieki. Zerknęła poza niego i dostrzegła na ławie bukiet zwiędłych kwiatów. Miała nadzieję, że nie kupił ich specjalnie na tamten wieczór. Oczywiście, że tak. Jak długo czekał, zanim samotnie zjadł kolację?

- Przepraszam. Zapomniałam.

- Podaj jeden przekonujący powód, żebym nie zatrzasnął ci drzwi przed nosem.

Poczuła się taka słaba, że nawet oddychanie stało się trudne.

- Moja siostra ma guza mózgu.

Widząc bolesne zrozumienie w jego oczach, zastanawiała się, po jakich ciemnych ścieżkach wodziło go życie.

- O Jezu!

Otworzył ramiona, a ona wtuliła się w jego objęcia. Po raz pierwszy pozwoliła sobie na płacz.

Joe stał na werandzie zapatrzony w zapadający zmierzch. W parku po przeciwnej stronie ulicy rozpoczął się mecz baseballu. Od czasu do czasu w ciszy wybuchały okrzyki kibiców. Poza tym jedynym odgłosem był szelest liści wiciokrzewu poruszanych powiewem chłodnej bryzy.

Teraz zrozumiał, że byłoby dla niego lepiej, gdyby nadal był zły na Meghann i wykreślił ją z życia za to, że wystawiła go do wiatru. Gdy wsunęła się w jego ramiona i spojrzała na niego przez łzy, rozpaczliwie zapragnął jej pomoc.

„Moja siostra ma guza mózgu”.

Zacisnął powieki, nie chcąc pamiętać tego, co poczuł.

Tulił Meghann prawie przez godzinę. Płakała, dopóki nie zabrakło jej łez, a potem zapadła w niespokojny sen. Podejrzewał, że nie spała od wielu dni.

Znał to. Po takiej diagnozie albo śpi się jak w letargu, albo wcale.

Nie rozmawiali o niczym istotnym. Po prostu gładził ją po głowie i pozwolił się wypłakać w ramionach.

Teraz nie potrafił o tym myśleć bez skrępowania.

Za plecami skrzypnęły drzwi z metalowej siatki, szczęknęła klamka. Znieruchomiał, nie mając odwagi odwrócić się i spojrzeć jej w twarz. Kiedy w końcu się przemógł, zobaczył, że jest zakłopotana.

Policzki miała zaróżowione, a piękne włosy w nieładzie. Usiłowała się uśmiechnąć i ta próba jeszcze bardziej go wzruszyła.

- Zgłoszę cię do orderu „Purpurowego Serca”.

Pragnął znowu wziąć ją w ramiona, ale się nie odważył. Teraz układ między nimi uległ zmianie, chociaż ona o tym nie wiedziała.

Szpital. Nowotwory. Śmierć, agonía i choroba.

Nie chciał ponownie w tym uczestniczyć. Ledwie zdążył się otrząsnąć.

- Nie ma nic złego w płaczu.

- Być może, ale nie bardzo pomaga. - Podeszła do niego. Zastanowiło go, czy uświadamia sobie, że wykręca palce.

Domyślał się, że czas spędzony w jego ramionach wpłynął na nią kojąco, a zarazem rozdrażnił. Jakby się bała zdradzić, że tego właśnie potrzebowała. Rozumiał ją, bo dostatecznie długo był sam.

- Chcę ci podziękować za... No, nie wiem. Za to, że mogłam tu przyjść. Nie powinnam się narzucać ze swymi problemami.

Wiedział, że czeka, aby zaprzeczył, powiedział: Dobrze, że przyszłaś.

Ponieważ milczał, cofnęła się, marszcząc czoło.

- Taak, za dużo, za szybko. W pełni cię rozumiem. Też nie znoszę biadolenia. Cóż, będę się zbierać. Jutro Claire zaczyna naświetlania.

- Gdzie? - nie wytrzymał.

Przystanęła i odwróciła się do niego.

- W Szwedzkim Szpitalu.

- Konsultowałaś się z innymi lekarzami?

- Żartujesz? Mamy opinie najlepszych specjalistów w kraju. Owszem, zdarzały się rozbieżności, lecz wszyscy zgodnie powtarzali: nieoperacyjny.

- Jest taki jeden gość. Neurochirurg w UCLA. Stu Weissman. Jest dobry.

Meghann przyjrzała mu się z uwagą.

- Wszyscy są dobrzy. I wszyscy mówią to samo. Skąd znasz Weissmana?

- Studiowaliśmy razem.

- W college'u?

- Co cię tak dziwi? To, że prowadzę taki tryb życia, wcale nie oznacza, iż zawsze tak było. Zrobiłem dyplom z literatury amerykańskiej.

- Nic o sobie nie wiemy.

- Może to i lepiej.

- W normalnych okolicznościach chętnie bym do tego wróciła. Ale dziś jestem trochę przymulona. To się zdarza dziewczynie, której siostra ma nowotwór mózgu. Udawajmy, że to było błyskotliwe - zakończyła nieco łamiącym się głosem, po czym odwróciła się i wyszła.

W miarę jak się oddalała, narastała w nim chęć, aby pobiec za nią, przeprosić i wyznać szczerze, kim jest i co przeżył. Wtedy, być może, zrozumiałaby, dlaczego omija pewne miejsca. A jednak się nie poruszył.

Wchodząc do domu, natrafił wzrokiem na jedyne zdjęcie Dianny obserwującej go z gzymsu kominka. Po raz pierwszy zauważył pretensję w jej oczach.

- No co? - zapytał. - W żaden sposób nie mogę pomóc.

Alison z uwagą wysłuchiwała wyjaśnień Claire o tym, że ma w głowie „aułka” wielkości piłki golfowej.

- Piłka do golfa jest mała - podsumowała na koniec.

- Tak. Jest mała - przytaknęła z uśmiechem Claire.

- I z takiego specjalnego pistoletu będą strzelać w nią magnetycznymi promieniami, aż całkiem zniknie? To tak jak pocierać lampę Aladyna?

- Zupełnie tak samo.

- Dlaczego musisz mieszkać u cioci Meg?

- Bo stąd jest za daleko do szpitala. Nie mogę co dzień jeździć tam i z powrotem.

- No dobrze. - Ali dała się wreszcie przekonać. Potem zerwała się z miejsca i pobiegła na górę. - Mamuś, zaraz wracam! - zawołała ze schodów.

- Ani razu nie spojrzałaś na mnie - odezwał się Sam, kiedy Ali zniknęła.

- Wiem.

Wstał, przeszedł przez pokój i usiadł obok Claire. Poczowała znajome, kojące ciepło jego ciała, kiedy otoczył ją ramieniem i przygarnął do siebie. Oparła głowę na jego twardym barku. Łzy popłynęły po policzkach.

- Wiesz, woziłbym cię tam i z powrotem - powiedział cicho i ogromnie go za to kochała. Nie chciała jednak słabnąć na jego oczach. Czytały z Meghann o radioterapii; gdy celem był mózg, naświetlaniom często towarzyszyło fatalne samopoczucie. Oddałyby wszystko, żeby tylko nie utracić sił podczas terapii. Nie mogła każdego wieczoru wracać do domu i patrzeć na siebie oczyma ojca.

- Wiem. Zawsze byłeś przy mnie, gdy cię potrzebowałam.

Westchnął ciężko, ocierając oczy.

- Zawiadomiłaś Bobby'ego?

- Jeszcze nie.

- Ale zrobisz to?

- Naturalnie. Gdy tylko skończy nagrania w Nashville...

- Nie zwlekaj.

Popatrzyła na ojca, zaskoczona szorstkim tonem.

- Co?

- Nie wiedziałem, że twoja mama jest w ciąży, mówiłem ci o tym wcześniej?

- Mówiłeś.

- Pewnego wieczoru wyszedłem do sklepu, a kiedy wróciłem, już jej nie było. Usiłowałem ją odnaleźć, ale znasz Ellie, jeśli znika, to na dobre. Podjąłem na nowo pracę w piapierni i starałem się o niej zapomnieć. Wiele czasu mi to zajęło.

Claire nakryła ręką jego dłoń.

- Ja to wszystko wiem.

- Nie, nie wiesz wszystkiego. Kiedy Meg do mnie zadzwoniła, żebym cię zabrał, w ciągu jednej rozmowy telefonicznej przemieniłem się z samotnego faceta w ojca dziewięcioletniej córki. Nie wyobrażasz sobie, jaką nienawiść poczułem do Ellie. Minęło wiele lat, zanim przestałem ją nienawidzić za to, że odmówiła mi prawa do twego dzieciństwa. Bez przerwy myślałem o tym, co mnie ominęło - o twoich narodzinach, pierwszych słowach, krokach. Nigdy tak naprawdę nie trzymałem cię na rękach.

- Co to wszystko ma wspólnego z Bobbym?

- Claire, nie można decydować za innych ludzi, a szczególnie za tych, którzy cię kochają.

- Lecz można się dla nich poświęcić. Czy nie na tym polega miłość?

- Mógłbym ją zabić za to, co zrobiła tobie i Meg.

- To nie ma związku z porzuceniem nas przez mamę - powiedziała Claire, szczerze w to wierząc. - Rzecz w tym, że bardzo kocham Bobby'ego. Nie chcę, żeby dla mnie zrezygnował ze swojej wielkiej szansy.

Zanim Sam zdążył cokolwiek powiedzieć, do pokoju wbiegła Alison, ciągnąc swój stary, złachany kocyk z czasów niemowlęstwa, ten, z którym spała każdej nocy.

- Masz, mamuś, możesz trzymać mojego kosmaczka, dopóki nie wyzdrowiejesz.

Claire wzięta do rąk poszarzały, różowy kocyk. Nie potrafiła się pohamować - przycisnęła go do twarzy i wciągnęła w nozdrza cudowny zapach małego dziecka.

- Dzięki, Ali - powiedziała zdławionym głosem.

Alison wdrapała się jej na kolana i zarzuciła ramionka na szyję.

- Mamuś, już dobrze. Nie płacz. Jestem dużą dziewczynką. Mogę spać bez kosmaczka.

Meghann siedziała w poczekalni, usiłując się skupić na najświeższym wydaniu magazynu „People”. Tym z rankingiem najgorzej i najlepiej ubranych sławnych postaci. Bóg świadkiem, że nie widziała różnicy. W końcu rzuciła pismo na tandetny drewniany stolik. Wskazówka na ściennym zegarze przesunęła się o kolejną minutę.

Znowu podeszła do biurka.

- To już trwa ponad godzinę. Czy na pewno z moją siostrą wszystko w porządku? Chodzi o Claire...

- Austin, tak, wiem. Rozmawiałam z radiologiem pięć minut temu. Niedługo skończą.

Meghann powstrzymała się od uwagi, że dokładnie taką samą odpowiedź usłyszała przed kwadransem. Zmilczała jednak, westchnęła ciężko i wróciła na miejsce. Jedynym pismem, jakie pozostało, był „Field & Stream”. Dała sobie spokój z czytaniem.

Nareszcie Claire wyłoniła się z gabinetu.

Meghann powoli podniosła się z krzesła. Spozregła po prawej stronie głowy siostry niewielkie wygolone miejsce.

- Jak poszło?

Claire pomacała się po pozbawionej włosów skórze.

- Wytatuowali mnie. Jestem jak Damien - ten dzieciak z „Omenu”.

- Mogę tak ci ułożyć włosy, że nawet nie będzie widać... no, wiesz.

- Łysiny? Świetnie.

Patrzyły na siebie przez jakąś minutę.

- Cóż, chodźmy - zdecydowała w końcu Meghann.

Przeszły szpitalnymi korytarzami na podziemny parking.

Podczas krótkiej drogi do domu Meghann zastanawiała się, co powiedzieć. Musi być bardzo ostrożna, starannie dobierać słowa.

- Nie bolało - poinformowała ją Claire.

- Naprawdę? To dobrze.

- Ale trudno wytrzymać bez ruchu.

- No... taa. Zapewne.

- Zamknęłam oczy i wyobrażałam sobie, że te promienie to słońce, że mnie uzdrawiają. Tak jak w tamtym artykule, który mi dałaś.

Meghann przyniosła jej cały stos literatury o pozytywnym myśleniu i wizualizacji. Do tej chwili nie była pewna, czy Claire do niej zajrzała.

- Cieszę się, że pomogło. Sprzedawczyni u Freda Hutcha ma mi przysłać jeszcze jeden karton z podobnymi publikacjami.

Claire odchyliła się na oparcie i patrzyła za okno.

Jej lewy profil wyglądał zupełnie normalnie. Meghann pragnęła powiedzieć coś istotnego; tak wiele spraw między nimi pozostawało niedopowiedzianych.

Z westchnieniem wjechała na podziemny parking i ustawiła samochód w swojej zatoczce.

Ciągle milcząc, wjechały na górę. W mieszkaniu odwróciła się do Claire. O sekundę za długo zatrzymała wzrok na łysym miejscu.

- Masz ochotę coś zjeść?

- Nie. - Claire przelotnie dotknęła Meghann; palce miała lodowate. - Dzięki, że pojechałaś ze mną. Samej byłoby mi ciężko.

Ich spojrzenia spotkały się. Po raz kolejny Meghann zaciążył dystans, jaki między nimi panował.

- Chyba się położę. Niezbyt dobrze spałam w nocy.

A więc obie leżały z otwartymi oczami, patrząc w sufit w oddzielnych sypialniach. Teraz Meghann żałowała, że w nocy nie poszła do pokoju Claire, nie usiadła na łóżku i nie porozmawiała z nią o rzeczach, które miały znaczenie.

- Ja też.

Claire pokiwała głową. Odczekała jeszcze chwilę, a potem poszła do swojej sypialni.

Meghann patrzyła, jak powoli zamykają się dzielące je drzwi. Stała, nasłuchując kroków siostry za drzwiami. Zastanawiała się, czy porusza się teraz wolniej, a strach zaćmiewa jej wzrok.

A może ogląda w lustrze zaróżowione miejsce na pozbawionej włosów skórze? Czy odwaga opuściła ją w zaciszu pokoju?

Oby tak się nie stało, modliła się, wchodząc do trzeciej sypialni, przerobionej na gabinet. Kiedyś na biurku leżały stosy teczek z aktami i dokumenty. Teraz szklany blat zarzucony był książkami medycznymi, kronikami choroby, artykułami z „The Journal of the American Medical Association” i klinicznymi opisami terapii. Codziennie przychodziły nowe kartony z wydawnictw Barnes & Noble.com oraz z Amazon.

Meghann usiadła przy biurku. Aktualnie czytała pracę o walce z rakiem. Książka leżała otwarta na pierwszej stronie rozdziału zatytułowanego „Nie przestawaj rozmawiać w chwili, gdy należy podjąć rozmowę”.

Zagłębiła się w lekturze. „Ten tragiczny okres może stać się szansą dojrzewania i rozwoju. I to nie tylko dla pacjenta, ale także dla jego rodziny. W tym czasie może dojść do zacieśnienia więzi pomiędzy chorym a jego bliskimi”.

Meghann zamknęła książkę i sięgnęła po artykuł z „Journal of the American Medical Association” o wpływie tamoxifenu na wchłanianie się guzów.

Otworzyła żółty prawniczy blok i zaczęła robić notatki. Pracowała zawzięcie, zapełniając pismem kolejne strony. Kilka godzin później, gdy podniosła głowę znad papierów, zobaczyła Claire, która, stojąc w drzwiach, obserwowała ją z uśmiechem.

- Czy zamierzasz sama przeprowadzić operację?
- Już wiem więcej na temat twego przypadku niż idiota, który przyjął nas w szpitalu.

Claire weszła do pokoju, ostrożnie stawiając kroki ponad pustymi kartonami i odrzuconymi periodykami. Popatrzyła na zapełnione pismem strony w notatniku i wypisane cienkopisy.

- Nic dziwnego, że jesteś najlepszą adwokatką w mieście.
- Potrafię zbierać materiały. Naprawdę zaczynam rozumieć twój przypadek. Zrobiłam dla ciebie coś w rodzaju streszczenia - wyciąg ze wszystkiego, co do tej pory przeczytałam.
- Nie powinnam sama poczytać?



- Niektóre z tych informacji są... trudne.

Claire wyciągnęła rękę po żółty segregator stojący na biurku po lewej stronie. Na nalepce widniał wypisany czerwonym atramentem napis: Nadzieja.

- Nie - zaprotestowała Meg. - Dopiero zaczynam.

Claire otworzyła segregator. Był pusty. Spojrzała na Meghann.

- Umieszczę w nim te notatki - powiedziała szybko Meg, wrywając kilka kartek z notatnika. - Tamoxifen.

- Lek?

- Muszą być ludzie, którzy pokonali nowotwór mózgu - stwierdziła z uporem Meghann. - Znajdę ich co do jednego i dołączę ich historie. Właśnie do tego ma służyć ten segregator.

Claire pochyliła się i wzięła czystą kartkę. Napisała na niej swoje imię i nazwisko, wpięła kartkę do segregatora i odstawiła go na miejsce.

Meg patrzyła na siostrę z pełnym podziwu zdumieniem.

- Wiesz? Jesteś niesamowita.

- My, kobiety z rodziny Sullivanów, jesteśmy twarde.

- Musiałyśmy takie być.

Meg miała uśmiech na twarzy. Poczuła, że po raz pierwszy tego dnia może swobodnie oddychać.

- Może chcesz obejrzeć film?

- Byle nie „Love Story”.

Meg podniosła się zza biurka.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

Skrzywiła się.

- Kto to może być?

- Zachowujesz się tak, jakby nikt cię nie odwiedzał.

Meg ominęła Claire i skierowała się do drzwi. Zanim zdążyła do nich dotrzeć, rozległo się kolejnych osiem dzwonek.

- Cholernie dobry portier - burknęła pod nosem, otwierając drzwi.

Stały w nich zbite w gromadkę Gina, Charlotte i Karen.

- A gdzie nasza dziewczynka?! - zawołała Karen.

Na widok Claire powstał rwetes. Karen z Charlottą rzuciły się

do przodu i, mimochodem mówiąc „cześć” Meghann, zamknęły Claire w objęciach.

- Sam do nas zadzwonił - wyjaśniła Giną, kiedy została z Meghann w holu. - Jak ona się czuje?

- Chyba dobrze. Myślę, że nieźle zniosła naświetlanie. Ma chodzić na zabieg codziennie przez cztery tygodnie. - Na widok przerażenia na twarzy Giny dodała: - Nie chciała was martwić.

- Taak, jasne. Nie można jej zostawić samej w takiej sytuacji.

- Ma mnie - odparła Meghann urażonym tonem.

Giną ścisnęła ją za ramię.

- Potrzebuje nas wszystkich.

Meghann pokiwała głową.

- Dzwoni do mnie o każdej porze - powiedziała półgłosem Giną.

- Dzięki.

Następnie Giną zręcznie ominęła Meghann i wchodząc do salonu, głośno oznajmiła:

- Słuchajcie, mam tu koszyk obfitości; popcorn w lukrze, śmieszne filmy, no i oczywiście gry. Od czego zaczniemy?

Meghann przyglądała się spotkaniu przyjaciółek; wszystkie cztery mówiły naraz. Nie dołączyła do nich, a one jej nie zawołały.

Wróciła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi. Kiedy siedziała nad najnowszą literaturą na temat chemio- i radioterapii, doszedł ją dźwięczny, pogodny śmiech siostry.

Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Elizabeth.

- Cześć - powiedziała cicho, kiedy przyjaciółka odebrała telefon.

- Co się dzieje? - spytała Elizabeth. - Coś taka cicha?

- Claire... - zdążyła wydusić, zanim się rozpłakała.

Joe sączył piwo, wpołężąc na kanapie. Trzecie. Starał się o niczym nie myśleć. Rozwiała się ulotna nadzieja na odmianę losu, która przez tydzień jawiła mu się niczym oaza na końcu długiej, gorącej pustynnej drogi. Powinien był przewidzieć, że

ma do czynienia z mirażem. Nie będzie nowego początku. Brakuje mu odwagi. Wierzył, że przy Meghann stanie się silniejszy.

- Meg - powiedział cicho jej imię, przymykając oczy. Odmówił modlitwę za nią i za jej siostrę. To wszystko, co mógł w tej chwili zrobić.

Meg.

Nie potrafił przestać myśleć o Meghann. Bez przerwy ją wspominał, pragnął jej. I dlatego właśnie sięgał po kolejne piwa.

Do diabła, przecież nawet nie znał jej nazwiska! Nie miał pojęcia, gdzie mieszka ani co robi w wolnym czasie.

To wyobrażenie o niej budziło w nim tęsknotę. Na parę chwil - niespodziewanych i cudownych - odważył się zabłądzić na dawne szlaki. Pozwolił sobie na pragnienia, uwierzył w przyszłość.

Pociągnął kilka sporych łyków. Nie pomogło.

W kuchni odezwał się telefon. Podniósł się ociężale i poszedł go odebrać. To pewnie Gina dzwoni, żeby sprawdzić, jak on się czuje. Nie miał pojęcia, co jej powiedzieć.

Jednak to nie była Gina. Dzwonił Henry RolorT.

- Joe? Możemy się spotkać na kawie? Powiedzmy za godzinę?  
- Czy coś się stało?  
- Co powiesz na Whitewater Dinner? O trzeciej?  
- Jasne. - Miał nadzieję, że potrafi iść prosto. Odłożył słuchawkę i wziął prysznic.

Godzinę później przebrany w nowe ubranie szedł Main Street. Nadal piwo szumiało mu w głowie, ale może to i lepiej. Czuł na sobie spojrzenia przechodniów, słyszał ich szepty.

Siłą woli przywołał uśmiech na twarz, gdy kelnerka, na szczęście nieznajoma, prowadziła go do boksu.

Henry już na niego czekał.

- Cześć, Joe! Dzięki, że tak szybko przyszedłeś.  
- Nie miałem nic szczególnego do roboty. Jest sobota. Warsztat nie działa. - Usiadł na krześle.

Przez parę minut Henry rozprawiał o ogrodzie Tiny i o zimowym urlopie, który spędzili w St. Croix. Joe wiedział, że omija właściwy temat. Poczuł, jak napinają mu się mięśnie.

- Henry, o co chodzi? - zapytał w końcu, nie mogąc dłużej wytrzymać napięcia.

Henry przerwał w pół zdania.

- Chcę cię prosić o przysługę - odparł.

- Dla ciebie zrobię wszystko, wiesz o tym. W czym rzecz?

Henry sięgnął pod stolik i wyjął dużą żółtą kopertę.

Joe wiedział, co to jest. Odsunął się, unosząc rękę, jakby chciał się osłonić przed ciosem.

- Wszystko, jednak nie to - zaprotestował. - Nie mogę do tego wrócić.

- Chcę jedynie, żebyś rzucił okiem. Ojcem jest... - W tej samej chwili odezwał się pager Henry'ego. - Jedną sekundę. - Henry wyjął komórkę i wystukał numer.

Joe nie spuszczał wzroku z koperty. Czyjeś wyniki badań. Zapis bólu i cierpienia.

Nie potrafił wrócić do tamtego świata. W żadnym wypadku. Jeśli ktoś, tak jak on, stracił całą ufność i wiarę, nie było odwrotu. Poza tym nie mógł już praktykować. Jego licencja wygasła.

Podniósł się z miejsca.

- Przykro mi, Henry - powiedział, przerywając rozmowę. - Nie udzielam konsultacji.

- Zaczekaj! - poprosił Henry, unosząc dłonie.

Joe podniósł się zza stolika, obrócił na pięcie i wyszedł z restauracji.

Chociaż naświetlania trwały zaledwie kilka minut dziennie, zmonopolizowały życie Claire. Czwartego dnia pojawiło się uczucie zmęczenia i mdłości. Jednak objawy uboczne nie były w połowie tak trudne do zniesienia jak rozmowy telefoniczne.

Codziennie, dokładnie w południe, dzwoniła do domu. Ali zawsze podnosiła słuchawkę po pierwszym sygnale i pytała, czy z „aułkiem” już lepiej, a potem do telefonu podchodził Sam i zadawał to samo pytanie innymi słowami. Odwaga potrzebna do utrzymywania pozorów topniała z każdą chwilą.

Meghann zawsze towarzyszyła siostrze podczas tych rozmów.

Mało czasu spędzała w kancelarii. Wpadała tam najwyżej na trzy godziny. Resztę dnia przesiadywała nad książkami i artykułami lub serfowała po Internecie. Atakowała zagadnienia związane z nowotworem z taką samą zawziętością, z jaką dawniej ściagała nieodpowiedzialnych mężów i tatusiów.

Claire doceniała jej starania; czytała wszystko, co Meghann jej podsuwała. Bez protestów piła KGM - koktajl na guza mózgu - którego skład Meghann opracowała na podstawie swoich studiów. Napój zawierał wszelkie niezbędne witaminy i minerały.

Codziennie rozmawiały o terapii, rokowaniach i testach. Natomiast w ogóle nie mówiły o przyszłości. Claire nie odważyła się wyznaczyć „boję się”, natomiast Meghann nigdy o to nie zapytała.

O drugiej po południu Meghann najchętniej znikaby z domu. To była pora „telekonferencji” z Bobbym.

W kuchni zabrzączał minutnik nastawiony na czternastą. Claire akurat siedziała w salonie. Meg jak zwykle znalazła wymówkę, żeby wyjść z pokoju.

Claire podniosła słuchawkę i wybrała numer nowej komórki Bobby'ego.

Podniósł w trakcie pierwszego sygnału.

- Cześć, mała - przywitał ją. - Spóźniłaś się całe dwie minuty. - Głos Bobby'ego zdawał się wlewać w jej potwornie zziębnięte ciało i rozgrzewać ją.

Usiadła wygodnie, wsparta na miękkich poduszkach kanapy.

- Opowiedz mi, co dziś robiłaś.

Odkryła, że słuchanie przychodzi łatwiej niż mówienie. Z początku potrafiła się zmobilizować i odpowiadała śmiechem na jego historie oraz wymyślała zgrabne kłamstwa. Później umysł nie pracował już tak sprawnie, a zmęczenie mocno dawało się jej we znaki. Zastanawiała się, ile jeszcze minie czasu, zanim Bobby się zorientuje, że on mówi, a ona tylko słucha, albo zauważy, że za każdym razem przy słowach „kocham cię” łamie się jej głos.

- Poznałem dziś George'a Straita. Dasz wiarę?! Przyniósł

piosenkę „Dark Country Corners”, a potem wspomniał, że mój głos dobrze by do niej pasował. Posłuchałem jej, jest kapitalna. - Zaczął ją dla niej nucić.

Szloch uwiązał jej w gardle. Musiała go powstrzymać, zanim rozpłakałaby się na głos.

- Jest piękna. Murowane miejsce na Top Ten.

- Maleńka, dobrze się czujesz?

- Doskonale. Wszyscy mamy się świetnie. Dużo czasu spędzam z Meg; byłbyś zaskoczony. Ali i Sam serdecznie cię pozdrawiają.

- Uściskaj ich ode mnie. Tęsknię za tobą, Claire.

- Ja też za tobą tęsknię. Zostało zaledwie kilka tygodni.

- Kent uważa, że do końca tego tygodnia powinniśmy ustalić cały repertuar. Wtedy zaczniemy nagrania w studiu. Sądziś, że mogłabyś na ten czas do mnie przyjechać? Bardzo bym chciał zaśpiewać ci te piosenki.

- Kto wie - odparła, zastanawiając się jednocześnie, co wymyśli. Była zbyt znużona, żeby teraz to roztrząsać.

- Czy cieszy cię każda chwila, którą tam przeżywasz?

- Na tyle, na ile może mnie cieszyć bez ciebie. Ale przyznam, że tak.

Słusznie postępowała. Miała rację.

- Kochanie, muszę biec. Meg zabiera mnie na lunch. A potem jedziemy na manikiur do Gene Juarez Spa.

- Wydawało mi się, że wczoraj robiłaś manikiur?

Claire zacisnęła powieki.

- Och. To był pedikiur. Kocham cię!

- Ja też cię kocham. Claire... czy wszystko w porządku?

Znowu łyzy zakreśliły jej się w oczach.

- W idealnym.

- Przygotowałam dla nas piknik - oznajmiła Meghann naza-jutrz przed południem, po kolejnej terapii.

- Nie jestem głodna - odparła Claire.

- Wiem. Tak sobie pomyślałam...

Claire przemogła się - trzeba brać pod uwagę potrzeby innych. Niestety, coraz trudniej jej to przychodziło.

- Masz rację. Jest piękny dzień.

Meghann podprowadziła ją do samochodu. W parę minut znalazły się na autostradzie. Po lewej stronie tafla jeziora Union srebrzyła się w promieniach słońca. Minęły gotyckie ceglane gmachy Waszyngtońskiego Uniwersytetu Stanowego i przemknęły po pływającym moście. Na jeziorze panował spory ruch. Motorówki śmigały tam i z powrotem, ciągnąc za sobą amatorów nart wodnych.

Na wyspie Mercer Meghann zjechała z autostrady na wąską obrosniętą drzewami drogę. Zatrzymała się przed piękną willą z szarego kamienia.

- To dom mojej współpracownicy. Zaproponowała, żebyśmy spędziły tu popołudnie.

- Dziwię się, że jeszcze z ciebie nie zrezygnowała - jesteś gościem w kancelarii.

Meghann pomogła Claire wysiąść z auta i poprowadziła ją przez trawnik na drewniany pomost.

- Pamiętasz jezioro Winobee? - zapytała, kierując Claire na koniec pomostu i pomagając jej usiąść, żeby nie upadła.

- Tamtego lata, gdy dostałam różowy kostium kąpielowy?

Meghann postawiła piknikowy koszyk i usiadła obok siostry. Obie machały nogami w powietrzu. Woda z chlupotem uderzała o pale. Obok kołysała się łagodnie kolorowa żaglówka „Wytchnienie”, jej liny skrzypiały przy każdym ruchu.

- Ukradłam tamto bikini - wyznała Meghann. - Z domu towarowego Freda Meyera. Po powrocie do domu byłam tak przerażona, że zwymiotowałam. Mama się nie przejęła; podniosła tylko głowę znad „Variety” i powiedziała: „Lepkie paluszki mogą wpakować dziewczynę w kłopoty”.

Claire odwróciła się i zapatrzyła na profil siostry.

- Wierzyłam, że wrócisz. Tata powtarzał „Nie martw się Claire-Misiaczk, to twoja siostra. Ona wróci”. Czekałam i czekałam. Co się stało?

Meghann westchnęła ciężko, jakby wcześniej przewidziała, że tej rozmowy nie da się dłużej uniknąć.

- Pamiętasz, jak mama pojechała na przesłuchanie do „Gwiezdnej Bazy IV”?

- Tak.

- Nie wróciła. Przywykłam, że nie ma jej jeden, dwa dni, ale po pięciu dniach wpadłam w panikę. Skończyły się pieniądze. Byliśmy głodne. Zaczęła węszyć opieka społeczna. Bałam się, że wezmą nas do Izby Dziecka. I wtedy zadzwoniłam do Sama.

- Meg, ja to wszystko wiem.

Meghann mówiła dalej, jakby tego nie usłyszała.

- Powiedział, że zabierze nas obie.

- I tak zrobił.

- Ale on nie był moim ojcem. Usiłowałam wrosnąć w Hayden. Optymistka! Wpadłam w nieodpowiednie towarzystwo, zaczęły się kłopoty. Psycholog nazwałby to popisami. Próbą zwrócenia uwagi. Za każdym razem, kiedy patrzyłam na ciebie i Sama razem... - Wzruszyła ramionami. - Pewnie czułam się opuszczona. Miałam tylko ciebie i nagle się okazało, że cię utraciłam. Któregoś wieczoru wróciłam pijana i Sam się wściekł. Wykrzyzczał, że taka starsza siostra jest gównem warta, i oznajmił, że albo się uspokoję, albo mam się wynosić.

- Więc się wyniosłaś. Dokąd?

- Przez jakiś czas włóczyłam się po Seattle, rozczulając się nad sobą. Sypiałam po klatkach schodowych i w opuszczonych budynkach, robiłam rzeczy, z których nie jestem dumna. Mało brakowało, a stoczyłabym się na dno. Pewnego dnia przypomniałam sobie o nauczycielu, który kiedyś się mną zajął, panu Earharcie. To on przeniósł mnie do klasy wyżej, gdy mieszkaliśmy w Barstow, przekonał, że jedynie dzięki nauce wyrwę się z dzielnicy przyczep i nie pójdę w ślady mamy. Właśnie dlatego miałam same piątki. Zadzwoniłam do niego i dzięki Bogu, okazało się, że nadal uczy w tej samej szkole. Załatwił, że mogłam wcześniej skończyć szkołę i podejść do testu, który zdałam śpie-



wajaco. Maksymalna liczba punktów. Uniwersytet Stanowy przyznał mi pełne stypendium. Resztę znasz.

- Moja genialna siostra - powiedziała Claire. Tym razem w jej głosie pobrzmiwała duma, a nie gorycz.

- Wmówiłam sobie, że tak będzie najlepiej dla ciebie, że już nie potrzebujesz starszej siostry. Ale... zdawałam sobie sprawę, jak bardzo cię zraniłam. Chyba łatwiej mi było trzymać się od ciebie z daleka. Podejrzywałam, że nigdy mi nie wybaczysz, wołałam więc nie stwarzać okazji. - Meg dopiero teraz spojrzała na Claire. Uśmiechnęła się nieśmiało. - Muszę zawiadomić moją psychoterapeutkę, że wreszcie zarobiła swoje honorarium. To wyznaczenie kosztowało mnie około dziesięciu tysięcy dolarów.

- W tym wszystkim jedyną złą rzeczą było to, że trzymałaś się ode mnie z daleka - powiedziała cicho Claire.

- Teraz jestem przy tobie.

- Wiem. - Claire zapatrzyła się na niebieską, migotliwą wodę. - Bez ciebie nie dałabym rady.

- Nieprawda. Nie znam drugiej osoby tak dzielnej jak ty.

- Wcale nie jestem dzielna, możesz mi wierzyć.

Meghann przechyliła się, żeby otworzyć kosz.

- Czekałam na odpowiedni moment, żeby ci to dać. - Wyjęła żółty segregator i podała go Claire. - Masz.

- Meg, nie teraz. Jestem zmęczona.

- Proszę.

Claire z westchnieniem wzięła od niej segregator oznaczony napisem „Nadzieja”. Spojrzała z pretensją na Meg, ale nie odezwała się słowem. Ręce się jej trzęsły, kiedy go otwierała.

Wewnątrz było około dziesięciu sprawozdań ludzi, którzy mieli *glioblastoma multiforme*. Każdemu z nich dawano niecały rok życia - co najmniej siedem lat temu.

Claire zacisnęła powieki, ale łzy i tak popłynęły.

- Bardzo tego dzisiaj potrzebowałam.

- Odniosłam takie wrażenie.

Claire głośno przełknęła ślinę, zanim odważyła się popatrzeć na siostrę.

- Tak bardzo się boję. - To długo tłumione wyznanie przyniosło jej ulgę.

- Ja też - powiedziała cicho Meghann, a potem pochyliła się i objęła Claire.

Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa Claire znalazła się w ramionach starszej siostry. Meghann gładziła ją po włosach tak samo jak dawniej, kiedy była dzieckiem.

Pukiel wysliznął się spod dłoni Meghann i zawisł w powietrzu.

Claire odsunęła się i zobaczyła pasemka swych ładnych, jasnych włosów oplatanie na palcach siostry. Sfrunęły do wody, ginąc jej z oczu. Patrzyła, jak odpływają niesione prądem.

- Nie chciałam ci mówić, że wypadają. Każdego ranka, kiedy się budzę, poduszka jest cała we włosach.

- Może powinnyśmy wrócić do domu - zaproponowała Meghann.

- Naprawdę czuję się zmęczona.

Meghann pomogła jej wstać. Claire szła niepewnie, powłócząc nogami, mocno wsparta na jej ramieniu.

Przez całą powrotną drogę jechała z twarzą zwróconą do okna.

W domu Meghann pomogła jej przebrać się we flanelową piżamę i położyć do łóżka.

- To tylko włosy - powiedziała Claire, opierając się o stertę poduszek.

Meghann umieściła segregator z napisem „Nadzieja” na nocnym stoliku.

- Odrosną.

- Taa - westchnęła Claire i przymknęła powieki.

Meghann wycofała się z sypialni. Przystanąła na progu.

Claire leżała z zamkniętymi oczami, oddychała płytko, ledwo dostrzegalnie. Włosy wiły się na poduszce. Bardzo powoli, nie otwierając oczu, uniosła ręce i obracała na palcu ślubny pierścionek. Łzy toczyły się po policzkach, strużki wilgoci wsiąkały w poduszkę.

Meghann wiedziała już, co musi zrobić.

Zamknęła drzwi i podeszła do telefonu. Obok leżał notes Claire ze spisem ważnych numerów.

Meghann wybrała numer Bobby'ego i niecierpliwie czekała.

W ciągu ostatniej doby włosy Claire przerzedziły się prawie o połowę. Prześwitywała spod nich zaogniona, szorstka skóra. Rankiem, gdy szykowała się do wyjścia na zabieg, niemal przez pół godziny zawijała jedwabną chustkę w rodzaj turbanu.

- Przystań się tak przejmować - powiedziała Meghann, kiedy weszły do poczekalni Centrum Medycyny Nuklearnej. - Dobrze wyglądasz.

- Jak cygańska wróżka. Nie rozumiem, dlaczego nalegałaś, żebym się umalowała. Mam czerwoną skórę, wyglądam zupełnie jak Martha Philips.

- Kto to jest?

- Koleżanka z ósmej klasy. Zasnęła pod kwarcówką. Przez dwa tygodnie wołałyśmy na nią „Pomidor”.

- Dzieci potrafią być bardzo miłe.

Claire wróciła z naświetlań po trzydziestu minutach. Nie nałożyła zawoju. Skóra na głowie zrobiła się nadwrażliwa.

- Chodźmy gdzieś na kawę - zaproponowała.

- Wymiotujesz po kawie.

- A po czym nie wymiotuję? Tak czy owak, chodźmy.

- Muszę pojechać do biura. Zaplanowałam na dziś spisywanie zeznań.

- Och. - Claire podreptała za Meghann szpitalnym korytarem, usiłując dotrzymać jej kroku. Ostatnio czuła się potwornie zmęczona, musiała uważać, żeby nie powłóczyć nogami jak starszuszka. W samochodzie zapadła w drzemkę.

Meghann przystanąła z kluczem w ręce przed wejściem do domu.

- Staram się robić to, co jest dla ciebie dobre - zwróciła się do niej - najlepsze.

- Wiem.

- Czasami wychodzi na opak, bo uważam, że wszystko wiem najlepiej.

- Szukasz zaczepki? - Claire się uśmiechnęła.

- Chcę tylko, żebyś o tym pamiętała. Staram się podejmować właściwe decyzje.

- Dobrze, Meg. Będę pamiętać. Leć już do pracy. Nie chcę przepuścić programu „Sędzia Judy”. Przypomina mi ciebie.

- Spryciara. - Meg popatrzyła na nią jeszcze przez chwilę, po czym otworzyła frontowe drzwi. - Cześć!

- To najdłuższe pożegnanie w historii. Cześć, Meg! Ruszaj do roboty.

Meghann skinęła głową i odeszła.

Kiedy brzęknął dzwonek windy, Claire weszła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi.

Wieża była włączona. Było słychać piosenkę Dwighta Yoakama „Pocket of a Clown”.

Claire wyszła zza narożnika i wtedy go zobaczyła.

Bobby.

Ręka bezwiednie powędrowała do łyszego miejsca na głowie.

Rzuciła się do łazienki, podniosła klapę sedesu i zwymiotowała.

Stał za nią, odgarniając to, co zostało z włosów, i uspokajał.

- Jestem przy tobie, Claire. Jestem tu.

Zacisnęła powieki, powstrzymując łzy poniżenia cisnące się do oczu przy każdym konwulsyjnym oddechu.

Bobby gładził ją po plecach.

Potem podeszła do umywalki i umyła zęby. Dopiero wtedy odwróciła się do męża.

- Witaj w moim koszmarze - zdobyła się na uśmiech.

Zbliżył się do niej. Z trudem powstrzymała się od płaczu, widząc, że patrzy na nią z miłością.

- W naszym koszmarze, Claire.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Bała się, że jeśli otworzy usta, wybuchnie płaczem, a tak bardzo chciała być przy nim silna.

- Nie miałaś prawa ukrywać tego przede mną.  
- Nie chciałam wszystkiego zepsuć. I myślałam.... że mi się polepszy. Od dawna marzyłeś o śpiewaniu.

- Taak. Chciałem stać się gwiazdą. Lubię śpiewać, ale kocham ciebie. Co by było, gdyby...

Claire przygryzła wargę.

- Przepraszam.

- Nie zaufałaś mi. Wiesz, jakie to uczucie? - mówił przez ściśnięte gardło, obcym, niepodobnym do swego głosem.

- To wszystko z miłości.

- Nie jestem pewien, czy wiesz, czym jest miłość. Skarbie, codziennie chodzę do szpitala. Walczę o życie, ale nie przejmuję się, śpiewaj sobie dalej te głupie piosenki. Za kogo ty mnie bierzesz?

- Bobby, przepraszam. Ja tylko...

Pochwyił ją, przygarnął do siebie i przytulił tak mocno, że ledwo chwytała powietrze.

- Kocham cię, Claire. Kocham - powtarzał gorączkowo. - Kiedy to wreszcie do ciebie dotrze?

Zarzuciła mu ramiona na szyję i przylgnęła do niego, jakby chciała obronić się przed upadkiem.

- Pewnie guz stał na przeszkodzie. Ale teraz dotarło, Bobby. Teraz już wiem.

Kilka dobrych godzin później, kiedy Meghann wróciła do domu, światła w mieszkaniu były pogaszone. Poruszała się w ciemnościach na palcach.

Gdy dotarła do salonu, rozbłysła lampa.

Oboje leżeli na kanapie, przytuleni do siebie. Bobby lekko pochrapywał.

- Czekałam na ciebie - odezwała się Claire.

Meghann rzuciła teczkę na krzesło.

- Claire, musiałam do niego zadzwonić.

- Skąd wiedziałas, jak się zachowa?

Meghann popatrzyła na Bobby'ego.

- Akurat był w studiu. Nagrywał piosenkę. Szczerze mówiąc, nie wierzyłam, że przyjedzie.

Claire zerknęła na śpiącego męża i zatrzymała wzrok na Meghann.

Wymieniły spojrzenia; był w nich smutek wyniesiony z dzieciństwa.

- Taak - powiedziała. - Ja też nie.

- Claire, on się ani chwili nie wahał. Nawet przez sekundę. Powiedział, cytuję: „Pieprzyć piosenkę. Jutro będę”.

- To drugi mężczyzna, którego wezwałaś, żeby mnie ratował.

- Masz szczęście, że jesteś aż tak kochana.

- Tak - przyznała Claire i uśmiechnęła się, patrząc jej w oczy. - Mam szczęście.

## 27

Joe siedział na kanapie, wpatrzony w ekran małego, białoczonego telewizora. Był tak pochłonięty programem, że nie od razu usłyszał odgłos kroków na ścieżce.

Wyprostował się, napinając mięśnie.

Zazgrzytał klucz i drzwi otwarły się na oścież. Na progu stała Gina, biorąc się pod boki.

- Cześć, duży bracie! Masz ciekawy sposób kontaktowania się z ludźmi.

- Smitty dał ci klucz - westchnął.

- Martwiliśmy się o ciebie.

- Byłem zajęty.

Zatrzymała wzrok na stosie puszek po piwie oraz opakowań po pizzy i uśmiechnęła się smętnie.

- Zbieraj się! Jedziemy do mnie. Mam pieczeń i wypożyczyłam „Bezlitosnych ludzi”. Napijemy się wina i posmiejemy. - Jej głos złagodniał. - Przyda mi się odrobina rozrywki.

Ogarnął go wstyd. Zapomniał o jej problemach. Za bardzo pochłoneńo go pławienie się w morzu własnych smutków.

- U ciebie wszystko w porządku?

- No, dalej! - nie odpowiedziała na pytanie. - Smitty kazał mi wywlec stąd twój smętny tyłek - to jego słowa. Właśnie zamierzam to zrobić.

Wiedział, że nie ma sensu się spierać - znał ten wyraz jej twarzy - i prawdę mówiąc, wcale nie miał ochoty. Był zmęczony samotnością.

- Zgoda.

Poszedł za nią do samochodu i w parę minut znaleźli się w jej jasnej, przestronnej kuchni.

Podawała mu kieliszek merlota.

Kiedy podlewała pieczeń i przewracała ziemniaki, przechadzał się po kuchni. W rogu stała otwarta maszyna do szycia. Obok leżał zwinięty kupon wzorzystego pięknego materiału. Podniósł go, sądząc, że szyje sobie sukienkę, gotowy pochwalić wybór, gdy zorientował się, co trzyma w ręku. Poznał po rozcięciu na plecach.

- Szpitalna koszula - odezwała się Giną, stając za nim. - Powinam była to schować. Wyleciało mi z głowy. Przepraszam.

Pamiętał dzień, w którym Giną przyniosła do szpitala eleganckie koszule, podobne do tej.

„Nie musisz wyglądać jak wszyscy” - powiedziała do Diany, a ona przyjęła prezent ze łzami w oczach.

Tamte koszule wiele dla Diany znaczyły. Niby drobnostka, kawałek szmatki, a przywróciły jej uśmiech.

- Dla kogo to?

- Dla Claire. Przechodzi serię naświetlań.

- Claire - powtórzył cicho, czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Los bywa tak cholernie niesprawiedliwy. - Dopiero co wyszła za męża.

- Nie mówiłam ci, bo... hm... wiedziałam, że to wywoła wspomnienia.

- Gdzie chodzi na te naświetlania?

- Do Szwedzkiego.

- To najlepsze miejsce. - Radioterapia. Pamiętał wszystko

dokładnie - skóra, która wyglądała jak poparzona słońcem, obrzęki, wypadające włosy. Z początku pojedyncze pasma, a potem całe garście.

Oboje z Giną spędzili dużo czasu na oddziale onkologicznym. Nie potrafił sobie wyobrazić, że Giną może przechodzić przez to wszystko jeszcze raz.

- Claire obleciała całe Stany, odwiedziła najlepszych lekarzy. Wiem, że się z tego wylize. Nie będzie tak jak... no wiesz.

- Z Dianą - dokończył.

Giną podeszła bliżej i dotknęła jego ramienia.

- Usiłowałam cię przed tym ochronić. Przykro mi.

Zapatrzył się na podwórko urządzone z myślą o dzieciach. Kiedyś marzyli z Dianą, że będą tu przyprowadzać swoje maluchy.

- Może chciałbyś zobaczyć się z Claire.

- Nie - zaprotestował szybko, wiedząc, że Giną zrozumie. - Skończyłem ze szpitalami.

- Taak - westchnęła Giną. - Chodźmy obejrzeć zabawny film.

Otoczył siostrę ramieniem i przytulił.

- Nie zaszkodzi trochę się pośmiać.

Meghann siedziała w fotelu, który kiedyś wydawał jej się taki wygodny, i patrzyła na doktor Bloom.

- To wszystko bzdety - stwierdziła z goryczą. - Te wszystkie moje sesje z tobą. Otwierałaś zawór bezpieczeństwa, pozwalając kobiecie, która ma obsesję na własnym punkcie, głądzić o błędach życiowych. Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś, że tamto wszystko nie ma znaczenia?

- Bo tak nie jest.

- Nie. Miałam szesnaście lat, gdy się to działo. Szesnaście! Nic z tamtych spraw nie ma znaczenia - ani mój strach, ani poczucie winy, ani jej żal.

- Dlaczego to już nie ma znaczenia?

Meghann przymknęła powieki, szukając w sobie pokładów goryczy. Czuła jednak wyłącznie znużenie.



- Jest chora.
- Och. - Słowo popłynęło z westchnieniem. - Tak mi przykro.
- Harriet, boję się - wyznała wreszcie Meghann. - Co będzie jeśli... nie dam rady?
- Nie dasz rady?
- Stać przy jej łóżku, trzymać ją za rękę i patrzeć, jak umiera. Przeraza mnie myśl, że znowu ją zawiodę.
- Nie zawiedziesz jej.
- Skąd wiesz?
- Och, Meghann. Jedyłą osobą, którą kiedykolwiek zawiodłaś, jesteś ty sama. Zostaniesz przy niej. Zawsze mogła liczyć na twoje wsparcie.

To nie do końca prawda. Niestety. A przecież pragnęła być kimś, na kim można polegać.

- Meghann, nie przychodzi mi na myśl żadna osoba, którą chciałabym mieć przy sobie, gdybym zachorowała. Tak bardzo pochlania cię pławienie się w dawnych smutkach, że zapominasz się z nich wynurzyć. Pogodziłyście się z Claire, nawet jeśli nie ubrałyście tego w słowa. Na powrót stałaś się jej siostrą. Rozgrzesz się i myśl o przyszłości.

Meghann zastanawiała się nad tymi słowami. Powoli się rozpogodziła. Harriet ma rację. To nie był odpowiedni czas na strach i wyrzuty sumienia. Powinna teraz uchwycić się nadziei i znaleźć w sobie dość siły, aby wierzyć, że Claire wyzdrowieje. Nie wolno tchórzyć, licząc się z ewentualnym bólem. Ten błąd popełniła w małżeństwie. Tak bardzo się bała, iż Erie może złamać jej serce, że nigdy nie obdarzyła go pełną miłością.

- Dzięki, Harriet - powiedziała po dłuższej chwili. - Za to co wydałam na twoje honoraria, mogłabym kupić mercedesa, ale naprawdę mi pomogłaś.

Harriet uśmiechnęła się w odpowiedzi. Zaskoczyła Meghann, bo właśnie ją olśniło, że nigdy dotąd nie widziała uśmiechu na jej twarzy.

- Zawsze do usług.

Meghann podniosła się z fotela.

- W takim razie do zobaczenia w przyszłym tygodniu. O tej samej porze?

- Naturalnie.

Opuściła gabinet, zjechała na dół i wyszła na lipcowe słońce. Zarzuciła torebkę na ramię i ruszyła w stronę domu.

Była blisko, kiedy bezwiednie podniosła wzrok. Po przeciwnej stronie ulicy mały park obok Public Market tętnił życiem. Dzieciaki grały w zośkę, turyści karmili mewy pikujące do wody, spacerowicze odpoczywali po zakupach. Nie była pewna, co przyciągnęło jej uwagę i kazało spojrzeć w tamtą stronę.

I wtedy go spostrzegła. Stał oparty o barierkę. Był odwrócony do niej plecami, lecz rozpoznała wyblakłe džinsy i koszulę z denimu. Prawdopodobnie on jeden w taki słoneczny dzień chodził po centrum Seattle w kowbojskim kapeluszu.

Przecięła jezdnię i podeszła do niego.

- Cześć, Bobby!

- Hej, Meg.

- Co tu robisz?

- Zasnęła. - Dopiero teraz odwrócił się do niej. Oczy miał załzawione, wokół czerwone obwódki. - Prawie przez godzinę zrywało ją na wymioty. Nawet kiedy już nie miała czym wymiotować. Nie przejmuj się, posprzątałem.

- Nie przejęłam się - odparła Meghann.

- Źle dzisiaj wygląda.

- Ma lepsze i gorsze dni. Założę się, że w Nasłwille musi być teraz ładnie - zauważyła, chcąc skierować jego uwagę na lżejszy temat.

- I to ma być zabawne? Moja żona rzyga i gubi włosy garściami. Naprawdę sądzisz, że martwię się moją karierą?

- Przepraszam. - Dotknęła jego ramienia. - Zawsze miałam wrażliwość seryjnego mordercy.

Westchnął.

- Nie, to ja przepraszam. Musiałem się na kimś wyżyć.

- Nie martw się, zawsze chętnie dostarczę ci powodów.

Uśmiechnął się z rezygnacją.

- Jestem kurewsko przerażony, i tyle. I nie chcę, aby to za-uważyła.

- Wiem. - Meghann uśmiechnęła się do niego. Jej siostra ma szczęście, że kocha ją taki mężczyzna. Nie wiadomo, dlaczego stanął jej przed oczyma Joe, kiedy płakał nad swoim rozwodem. On też należał do tych mężczyzn, którzy potrafią kochać.

- Jesteś dobrym facetem, Bobby, Jacku, Tomie, Dicku. Myliłam się co do ciebie.

- A ty nawet w połowie nie jesteś taką suką, za jaką cię miałem - zaśmiał się.

Meghann otoczyła go ramieniem.

- Będę udawać, że to komplement.

- Ależ to był komplement.

- Czyli w porządku. W takim razie chodźmy, spróbujmy roz-bawić trochę Claire.

Dni mijały powoli; każdego ranka Claire budziła się bardziej zmęczona niż poprzedniego wieczoru. Starła się zachować pozytywne nastawienie, lecz jej stan gwałtownie się pogarszał. Podczas naświetlań wmawiała sobie, że to słoneczne promienie. Medytowała godzinę dziennie, wyobrażając sobie, że jest w pięknym lesie lub siedzi nad swą ukochaną rzeką. Przestrzegała makrobiotycznej diety, która według zapewnień Meghann miała wspomagać terapię.

Często odwiedzały ją Blueserki; wpadały pojedynczo lub gromadą i ze wszystkich sił starały się podtrzymać jej dobry nastrój. Nawet przyjaciółka Meghann, Elizabeth, przyjechała na kilka dni, i jej wizyta bardzo dobrze na nią wpłynęła. Najtrudniejsze były weekendy, kiedy jeździli do Hayden. Ze względu na Ali Claire starała się udawać, że wszystko jest w porządku.

Wieczorami zostawali we trójkę - Claire, Meg i Bobby - w zbyt cichym mieszkaniu. Przeważnie oglądali filmy. Z początku, zaraz po przyjeździe Bobby'ego, próbowali grać w karty, ale to okazało się trudne. Zbyt wiele tematów było niebezpiecznych. Żadne z nich nie mogło wspomnieć o przyszłości, nie

cierpnąc przy tym ze strachu, nie myśląc: Czy będzie wspólne Boże Narodzenie? Święto Dziękczynienia? Następne lato?

Tak więc zgodnie z niepisaną umową pozwolili, aby ciszę wypełniały dźwięki dochodzące z telewizora. Claire była wdzięczna; mogła milczeć przez parę godzin i niczego nie udawać.

Wreszcie radioterapia dobiegła końca.

Następnego dnia Claire wstała wczesnie. Wzięła prysznic, ubrała się, a potem usiadła z kawą na tarasie z widokiem na zatokę. Zdumiało ją, że tylu ludzi już jest na nogach i zajmuje się swymi codziennymi obowiązkami, podczas gdy dziś zadecyduje się jej przyszłość.

- To dzisiaj - powiedziała Meg, wychodząc na taras.

Claire zdobyła się na uśmiech.

- Tak.

- Dobrze się czujesz?

Boże, jak bardzo zniechęciła to pytanie!

- Świetnie.

- Wyspałaś się? - Meg stanęła przy niej.

- Nie. A ty?

- Nie. - Meg otoczyła ją ramieniem i przytuliła.

Claire znieruchomiała, czekając, kiedy siostra zacznie dodawać jej otuchy, ale ona nie odezwała się słowem.

Za ich plecami rozsunęły się szklane drzwi.

- Dzień dobry paniom! - Bobby podszedł do Claire, objął ją i pocałował w kark.

Postali jeszcze chwilę w milczeniu, potem odwrócili się i wyszli z mieszkania.

Po chwili byli już w Szwedzkim Szpitalu. Gdy weszli do poczekalni Centrum Medycyny Nuklearnej, Claire ujrzała inne pacjentki w kapeluszach i w zawojach. Wymieniła z nimi spojrzenia pełne smutnego zrozumienia. Wszystkie były członkiniami klubu, do którego nie chciały należeć. Claire żałowała teraz, że zrobiła turban z chustki. Pokazanie łysiny stanowiłoby akt odwagi.

Nie było wyczekiwania w poczekalni, nie tego dnia, kiedy

padną odpowiedzi na wszystkie pytania. Zarejestrowała się i z miejsca weszła do pomieszczenia z rezonansem magnetycznym. Po chwili wstrzyknięto jej kontrast i ułożono we wnętrzu aparatu.

Po badaniu wyszła do poczekalni i usiadła pomiędzy Bobbym a Meghann, którzy jednocześnie wyciągnęli do niej dłonie. Trzymała ich oboje za ręce.

Wreszcie wyczytano jej nazwisko.

Claire wstała.

Bobby ją podtrzymał.

- Jestem tu, maleńka - powiedział.

Szli we trójkę długimi korytarzami, aż dotarli do gabinetu doktora Sussmana. Na tabliczce na drzwiach widniał napis: Ordynator Oddziału Neurologicznego. Doktor McGrail, ordynator radiologii, również był w gabinecie.

- Witam, Claire, Meghann - odezwał się doktor Sussman. - Dzień dobry, Bobby.

- No i? - Meghann z miejsca przeszła do rzeczy.

- Guz zareagował na radiację. Zmniejszył się o mniej więcej dwanaście procent - oznajmił doktor McGrail.

- To świetnie - powiedziała Meg.

Lekarze wymienili spojrzenia. Następnie doktor Sussman podszedł do negatoskopu, włączył światło i wtedy zobaczyli szaro-białe zdjęcia mózgu Claire z wyraźnie widoczną plamą. Lekarz zwrócił się do Claire.

- Dzięki pomniejszeniu zyskuje pani na czasie. Niestety, guz nadal pozostaje nieoperacyjny. Przykro mi.

Przykro.

Claire opadła na skórzany fotel. Bała się, że nogi odmówią jej posłuszeństwa.

- Przecież jest poprawa - odezwała się Meg. - Naświetlania podziałały, prawda? Może należy je trochę przedłużyć. Włączyć chemioterapię. Czytałam, że są już substancje, które selektywnie wchłania tkanka mózgowa...

- Dość! - przerwała jej Claire. Zamierzała odezwać się cicho,

lecz jej głos zabrzmiał donośnie. Popatrzyła na neurologa. - Ile czasu mi zostało?

- Obawiam się, że rokowania nie są najlepsze - odparł łagodnie doktor Sussman - biorąc pod uwagę wielkość i usytuowanie guza. Niektórzy pacjenci żyją rok. Czasem trochę dłużej.

- A pozostali?

- Od sześciu do ośmiu miesięcy.

Claire spojrzała na pierścionek, ten, który babcia Myrtle nosiła przez sześćdziesiąt lat.

Meghann podeszła do Claire.

- Nie będziemy w to wierzyć - powiedziała, klękając przed nią. - Dane...

- Przestań - poprosiła ją cicho Claire, kręcąc głową. Pomyślała o Ali. Zobaczyła oczy swojej córeczki, opromienioną uśmiechem buzię bez dwóch przednich zębów, w uszach zadźwięczały jej słowa „Mamuś, możesz spać z moim kosmaczkiem”. I wtedy się załamała. Łzy pociekły jej po policzkach. Poczuła, że Bobby siada przy niej. Ze sposobu, w jaki jego palce wpiły się w jej ciało, odgadła, że też płacze. Wytarła łzy i spojrzała na lekarza.

- Co teraz?

Meghann gwałtownie podniosła się z klęczek i zaczęła przemierzać gabinet, oglądając zdjęcia i dyplomy na ścianach. Claire wiedziała, że jej siostrę ogarnął strach, a razem z nim gniew.

Doktor Sussman wysunął krzesło i usiadł naprzeciw Claire.

- Mamy kilka możliwości. Żadna nie jest idealna, niemniej...

- Kim są ci ludzie? - przerwała mu Meghann piskliwym i zrozpaczonym głosem. Trzymała w ręce oprawioną fotografię, którą zdjęła ze ściany.

Doktor Sussman ściągnął brwi.

- To nasza grupa ze studiów medycznych. - Odwrócił się do Claire.

Meg cisnęła zdjęcie na biurko, tłukąc przy tym szybkę.

- A ten tutaj?

Doktor Sussman wychylił się na krześle.

- Joe Wyatt.

- On jest lekarzem?

Claire spojrzała na siostrę.

- Znasz Joego?

- A ty go znasz? - odpowiedziała pytaniem Meghann, przybierając szorstki ton.

- Dokładnie mówiąc, jest radiologiem - wtrącił doktor McGrail. - Jednym z najlepszych w kraju. A przynajmniej był. Legenda jeśli chodzi o rezonans magnetyczny. Widział możliwości, których inni nie dostrzegali.

Claire zmarszczyła czoło.

- Meghann, daj spokój. Radiolog na nic się już nie przyda. I możesz mi wierzyć, że zwracanie się o pomoc do Joego nie ma sensu. Mnie byłby potrzebny cud.

Meghann wpatrywała się w doktora McGraila. W ogóle nie zwracała uwagi na Claire.

- Co pan miał na myśli, mówiąc, że był najlepszy?

- Zrezygnował. A właściwie, zniknął.

- Dlaczego?

- Uśmiercił żonę.

## 28

Jazda do domu trwała bez końca. Żadne z nich się nie odzywało. Kiedy weszli do kondominium, Bobby obejmował Claire tak mocno, że z trudem oddychała, a potem oderwał się od niej.

- Muszę wziąć prysznic - powiedział łamiącym się głosem.

Pozwoliła mu odejść, wiedząc, że potrzebuje odosobnienia. Sama uroniła niejedną łzę w kosztownej przeszklonej kabinie Meghann.

Osunęła się na kanapę. Była zmęczona i miała zawroty głowy. Dzwoniło jej w uszach, cierpła prawa ręka, ale nie mogła powiedzieć o tym Meghann, która patrzyła na nią oczami rozdrażnionego buldoga, które mówiły: Nie poddawaj się.

Meg przysiadła na ławie, zwrócona bokiem do Claire.

- Wykonuje się tyle klinicznych prób. Pewien lekarz w Houston...

- Ten, którego chcieli postawić w stan oskarżenia?

- Co wcale nie znaczy, że jest hochsztaplerem. Jego pacjenci...

Claire uniosła rękę na znak, by Meg umilkła.

- Możemy zdobyć się na chwilę szczerości?

Zaskoczona mina Meghann niemal ją rozbawiła.

- O co chodzi? - najeżyła się.

- Kiedy byłam mała, często marzyłam, że zapadam na jakąś rzadką chorobę, a ty i mama czuwacie przy mnie. Wyobrażałam sobie, jak płaczesz, kiedy umrę.

- Proszę cię, przestań...

Claire wpatrywała się w siostrę, pobladła teraz i roztrzęsiona.

- Nie życzę sobie, żebyś płakała.

Meg zerwała się z ławy, boleśnie uderzając udem o kant, i zaklęła siarczyście.

- Ja... nie mogę rozmawiać o twojej śmierci. Nie mogę! - Wybiegła z salonu.

- Ale ja muszę - powiedziała Claire do pustego pokoju. Znowu pojawił się ból nad oczami. Głowa ćmiła ją prawie przez cały dzień.

Układała się na kanapie, kiedy ból uderzył z całą mocą. Chwyliła haust powietrza, chciała krzyknąć. Ból zdawał się rozsadzać czaszkę.

Nie mogła się poruszyć ani złapać tchu. Usiłowała zawołać siostrę.

Jednak jej słaby głos zagłuszyła piosenka „Thunder Road”, którą akurat było słycać z wieży.

Alison, pomyślała Claire.

A potem zapadła ciemność.

Meghann stała przy łóżku, zaciskając dłonie na metalowej ramie.

- Czy te środki pomagają?

Claire w szpitalnym łóżku wydawała się taka drobna i krucha



ze swoją bladą cerą i przeredzonymi włosami. Próbowwała się uśmiechnąć, ten widok łamał jej serce.

- Taak. Atak epilepsji. Witaj w moim nowym świecie. Z pewnością miałam szczęście, że jednocześnie nie chwycił mnie za rękę. Jak długo tutaj pozostanę?

- Kilka dni.

- Czas zadzwonić do mamy.

Meghann znieruchomiała. Tylko jej usta drgały zdradziecko.

- Dobrze.

- Powiedz tacie i Ali, a także Blueserkom, że mogą mnie odwiedzić. Giną zawsze potrafi mnie rozbawić.

Meghann słyszała rezygnację w głosie siostry; lecz jeszcze bardziej przerażała ją akceptacja. Chciała zaprotestować, wzbudzić w niej gniew, który zagrzałby ją do walki, lecz nie zdołała. Pokręciła przecząco głową.

- Tak, Meg - powiedziała Claire ze stanowczością, która ją zaskoczyła. - A teraz zamierzam się zdrzemnąć. Jestem zmęczona.

- To te środki.

- Czyżby? - Claire uśmiechnęła się porozumiewawczo. - Dobranoc. I zaopiekuj się Bobbym dziś wieczorem. Nie wyżywaj się na nim. Wcale nie jest taki silny, jak się wydaje. - Zamknęła oczy.

Meghann pochyliła się nad łóżkiem. Uważając, żeby nie wyciągnąć kroplówki z ramienia siostry, wzięła ją za rękę.

- Wszystko będzie dobrze. - Powtarzała to zdanie wielokrotnie, za każdym razem licząc na odpowiedź, ale się nie doczekała. Kilka minut później do sali wszedł Bobby; jego wygląd świadczył o znużeniu i rezygnacji. Oczy miał czerwone i zapuchnięte.

- Obudziła się - poinformowała go szeptem Meghann. - I znowu zasnęła.

- Cholera. - Ujął rękę Claire i ścisnął ją w dłoni. - Hej, malarika. Wróciłem. Wyszedłem tylko na chwilę napić się kawy. - Westchnął. - Ona się poddaje - powiedział cicho.

- Wiem. Chce, żebym do wszystkich zadzwoniła. Mam ich

tu ściągnąć. Jak my to powiemy Ali? - Łzy zakręciły się jej w oczach, kiedy popatrzyła na Bobby'ego.

- Sama jej powiem - odezwała się cicho Claire, podnosząc powieki. Uśmiechnęła się słabo do męża. - Bobby - szepnęła, wyciągając do niego rękę - kocham cię.

Meghann nie była w stanie znieść tego ani chwili dłużej. Za każdym razem z ust siostry zdawały się płynąć pożegnalne słowa.

- Muszę wykonać parę telefonów. Na razie! - Wybiegła z sali. Wszystko lepsze od stania tam z wymuszonym uśmiechem, kiedy serce krwawi z rozpacz. Nawet telefon do mamy.

Zrobiło się późno. Dyżur przejęła nocna zmiana, na korytarzach panowała cisza. Podeszła do rzędu automatów telefonicznych i wykręciła numer mamy.

Odebrała osobiście.

- Halo, Frank? - powiedziała donośnie, podpitym głosem.  
- Mamo, to ja, Meghann.  
- Meggy?! Sądziłam, że o tej porze włączysz się po barach.  
- Claire zachorowała.  
- Ona wyjechała w podróż poślubną.  
- Mamo, to było miesiąc temu. Teraz leży w szpitalu.  
- Meggy, lepiej, żeby to nie był jeden z tych twoich wybryków. Jak wtedy, gdy zadzwoniłaś do mnie do pracy, bo Claire wypadła z łóżeczka i wydawało ci się, że jest sparaliżowana. Straciłam czterdzieści dolców w napiwkach, żeby się przekonać, że ona zwyczajnie śpi.

- Miałam jedenaście lat, kiedy to się zdarzyło.  
- Mimo to...  
- Mamo, ona ma nowotwór mózgu. Radioterapia nie poskutkowała i nikt nie ma odwagi jej operować.

W słuchawce zaległa długa cisza, a po niej padło pytanie:

- Wyjdzie z tego?  
- Tak - powiedziała Meghann, ponieważ nie wyobrażała sobie innej odpowiedzi. Potem dodała ciszej: - Kto wie. Powinnaś się z nią zobaczyć.

- Jutro o drugiej mam imprezę w związku z „Gwiezdną Bazą IV”, no i...

- Jutro przyjeżdżasz, bo w przeciwnym razie dzwonię do magazynu „People” i informuję ich, że nie raczysz odwiedzić córki, która ma raka mózgu.

Minęła dłuższa chwila, zanim mama wyznała:

- Niezbyt dobrze sobie radzę w takich sytuacjach.

- Nikt z nas sobie nie radzi. - Meghann rozłączyła się bez pożegnania, po czym wybrała kod 800 swojej karty telefonicznej i wykręciła numer Sama. Po pierwszym sygnale opuściła ją odwaga. Nie umiała przekazać Samowi takiej wiadomości przez telefon.

Energicznie odwiesiła słuchawkę i wróciła do sali.

Bobby stał przy łóżku, nucąc cicho, a Claire lekko pochrapywała. Na ten widok zatrzymała się w drzwiach.

Bobby obejrzał się na nią. Policzki miał wilgotne od łez.

- Więcej się nie ocknęła.

- Obudzi się. Śpiewaj dalej. Jestem pewna, że sprawia jej to przyjemność.

- Taak - powiedział łamiącym się głosem.

Meg nigdy nie widziała tak bardzo cierpiącego mężczyzny; widziała w jego oczach ból dorównujący jej rozpacz.

- Postanowiłam pojechać do Sama. Nie potrafię przekazać mu tej wiadomości przez telefon. Jeśli Claire się obudzi... - Zająknęła się. - Kiedy Claire się obudzi, powiedz jej, że ją Kocham i niedługo wrócę. Masz klucze do mieszkania?

- Tutaj będę spał.

- Dobrze. - Chciała jeszcze coś dodać, ale nie wiedziała co. Biegiem dotarła do samochodu. Kiedy się w nim znalazła, z miejsca nacisnęła na gaz i ruszyła na północ.

Półtorej godziny później była w Hayden. Zwolniła, jadąc przez miasto, zatrzymała się na światłach.

I wtedy jej wzrok padł na hangar z falistej blachy.

„Joe Wyatt”.

„Jest radiologiem. Prawdopodobnie jednym z najlepszych

w kraju". Teraz sobie przypomniała; ta zaskakująca wiadomość umknęła jej, skryła się pod pokładem rozpacz.

Doktor Joseph Wyatt. Oczywiście. Nic dziwnego, że wydał jej się znajomy. Jego proces zajmował pierwsze strony gazet. Wraz z kolegami dyskutowali o tamtej sprawie przy niejednym piwie. Zdecydowanie opowiadała się za nim, pewna, że zostanie uniewinniony. Nigdy jednak nie zastanawiała się nad tym, co się z nim stało po zakończeniu procesu.

Teraz wiedziała. Uciekł, zniknął. Nadal jednak był jednym z najlepszych radiologów w kraju. „Widział możliwości, których inni nie dostrzegali”.

Tymczasem kiedy przyszła do niego, użalając się nad swą chorą siostrą, nic nie zrobił. Zupełnie nic.

W dodatku znał Claire.

- Skurwysyn! - Rozejrzała się na boki. Koperta ze szpitala leżała na miejscu dla pasażera.

Ostro skręciła kierownicę i nadepnęła na hamulec, parkując samochód wzdłuż krawężnika. Złapała za kopertę i pomaszerowała do domku.

Nie przestawała stukać do drzwi i pokrzykiwać, póki nie usłyszała kroków.

Kiedy otworzył i zaczął: „Co...”, pchnęła go w pierś z całą siłą, aż się zatoczył.

- Cześć, Joe! Zaproś mnie do środka. - Kopniakiem zamknęła za sobą drzwi.

- Jest już północ.

- No i co z tego, doktorze Wyatt.

Opadł na kanapę, nie odrywając od niej wzroku.

- Tuliłeś mnie. Pozwoliłeś mi wypłakać się w swoich ramionach. - Głos jej drżał; żal rozpałał gniew do białości. - Polecieś mi swojego znajomego. Co z ciebie za człowiek?

- Taki, który wie, że czas świetności dobiegł końca. Skoro wiesz, kim jestem, zapewne wiesz także, co zrobiłem.

- Uśmierciłeś żonę. - Drgnął, a ona mówiła dalej: - Gdybym znała twoje nazwisko, zapewne bym skojarzyła. Twoja sprawa

była głośna w Seattle. Proces lekarza, który dokonał eutanazji żony.

- Eutanazja brzmi lepiej niż zabójstwo.

Jej gniew osłabł pod wpływem smutku, który przebijał w jego głosie. W ostatnich miesiącach poznała ten rodzaj przygnębienia.

- Posłuchaj, Joe. W innych okolicznościach rozmawiałabym z tobą o tym, co zrobiłeś. Może nawet wzięłabym cię w ramiona i powiedziała, że rozumiem, iż każdy, kto ma w sobie choć odrobinę współczucia, postąpiłby tak samo. Uniewinnienie było tego dowodem. Może nawet zapytałabym o drogę, jaką przeszedłeś, o podróż, która zawiodła w to miejsce jednego z najlepszych radiologów w kraju. Ale to nie są dla mnie normalne okoliczności. Moja siostra umiera. - Zająknęła się na tym słowie, czując, że łzy napływają jej do oczu. Rzuciła dużą żółtą kopertę na ławę przed nim. - To są wyniki rezonansu magnetycznego. Może potrafisz jej pomóc.

- Moja licencja wygasła. Nie mogę już praktykować. Przykro mi.

- Przykro ci? Przykro?! Masz dar ratowania ludzkiego życia i chowasz się w tej norze, pijąc taną whisky i rozczulając nad sobą?! Ty samolubny skurwysynu! - Wpatrywała się w niego, pragnąc go znienawidzić, zranić go do żywego, ale nie potrafiła. - Zależało mi na tobie.

- Przykro mi - powtórzył.

- Przyślę ci zaproszenie na pogrzeb. - Obróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia.

- Zabierz to ze sobą.

Przystanęła i ostatni raz zmierzyła go wzrokiem.

- Nie, Joe. Będziesz musiał dotknąć tej koperty. Sam ją wyrzucić do śmieci. A potem spróbuj spojrzeć do lustra.

Wyszła. Rozpłakała się dopiero w samochodzie.

Meg siedziała w aucie, usiłując doprowadzić się do porządku. Za każdym razem, gdy otwierała puderniczkę, żeby poprawić makijaż, widok szklanych oczu wywoływał kolejny atak łez.

Nie potrafiła określić, ile czasu minęło, gdy w pewnej chwili zaczął padać deszcz. Krople bębniły o miękki dach kabrioletu i stukały w szyby.

Wreszcie wysiadła z samochodu i podeszła do przyczepy.

Sam otworzył drzwi, zanim zdążyła zapukać. Stał w progu ze ściągniętą twarzą i wilgotnymi oczami.

- Zastanawiałem się, ile czasu będziesz tak siedzieć.

- Nie sądziłam, że mnie widzisz.

Spróbował się uśmiechnąć.

- Zawsze uważałaś się za sprytniejszą ode mnie.

- Nie tylko od ciebie, Sam. Sądzę, że jestem najsprytniejsza ze wszystkich. - Chciała zdobyć się na uśmiech, ale nic z tego nie wyszło.

- Jak bardzo jest źle?

- Źle. - Kiedy to powiedziała, łzy popłynęły na nowo.

- Chodź do mnie - poprosił łagodnie, otwierając ramiona.

Meg zawahała się.

- Chodź.

Rzuciła mu się w objęcia. Nie mogła pohamować płaczu. Teraz płakali razem.

Wreszcie odsunęli się i patrzyli na siebie w milczeniu. Meg nie przychodziły na myśl żadne słowa.

I wtedy usłyszeli plaskanie stóp w korytarzu. Z sypialni wybiegła Ali w różowej piżamce z Groovy Girl pod pachą.

- Pojedziemy teraz zobaczyć się z mamusią? - Wpatrywała się w Meg, zadzierając głowę. - Lepiej się czuje?

Meg przyklękła i mocno ją przytuliła.

- Tak - powiedziała przez zaciśniętą krtań. - Jutro zobaczysz mamusię.

Całą noc Meghann rzucała się na łóżku i przewracała z boku na bok, aż w końcu, nad ranem, zapadła w niespokojny sen. Obudziła się nieprzytomna i ze zdumieniem stwierdziła, że jest wpół do dziesiątej. Szybko się zorientowała, że Sam z Alison już pojechali do szpitala. Bobby nie wrócił na noc. Zmusiła się, żeby

wstać, i poczłapała do łazienki. Zanim dotarła do szpitala i zaparkowała samochód, zrobiła się dziesiąta.

Poczekalnia była pełna. Gina na krześle przy oknie dziergała cienki, różowy koczyk, obok niej Karen i Charlotte grały w karty. Bobby stał wpatrzony w okno. Odwrócił się, kiedy weszła. Po oczach poznała, że Claire miała trudną noc. Ali siedziała u jego stóp i kolorowała obrazki.

- Ciocia Meg! - zawołała, zrywając się z podłogi.

Meghann wzięła siostrzenicę na ręce i uściskała.

- Dziadek jest u mamusi. Mogę tam pójść? Mogę?

Meg spojrzała na Bobby'ego, który wzruszył ramionami i westchnął, jakby mówił: Ja jej tam nie zaprowadzę.

- Jasne - przytaknęła Meg. Powoli, z lękiem stawiając każdy krok, szła korytarzem z Ali na rękach.

Przystanąła przed zamkniętymi drzwiami, przybrała pogodny wyraz twarzy i weszła do sali.

Sam stał przy łóżku. Trzymał Claire za rękę i płakał.

Ali wywineła się z ramion Meg i zsunęła na podłogę. Natychmiast znalazła się przy dziadku, a on podniósł ją do góry.

- Dziadku, co się stało? Coś ci wpadło do oka? Raz ktoś dziabnął Sammy'ego Chana w oko i potem Eliot Zane nazwał go beksą.

Meghann i Claire wymieniły spojrzenia.

- Dajcie tu moją dziewczynkę - poprosiła Claire, otwierając ramiona. Ali nie zauważyła, że zaciska powieki przy każdym ruchu czy dotknięciu.

Sam otarł łzy i zdobył się na uśmiech.

- Lepiej pójde poszukać tego hydraulika. Filtr w basenie jakos dziwnie działa.

- Buczy jak cholera - przytaknęła Ali.

Claire uśmiechnęła się.

- Alison Katherine. Mówiłam ci, żebyś nie powtarzała za dziadkiem brzydkich słów.

- Ops! - Alison uśmiechnęła się łobuzersko.

Sam i Meg wymienili spojrzenia z niemym pytaniem w oczach: Kto powie Ali?

Meg wycofała się z sali, zostawiając ich we troje. Wróciła do poczekalni i przeglądała czasopismo.

Mniej więcej godzinę później jej uwagę zwróciło zamieszanie na korytarzu. Podniosła głowę znad magazynu.

Mama. Sunęła korytarzem w eleganckich, powiewnych czerniach z miniaturowym pieskiem w torbie wyszytej koralikami, a za nią podążała świta; jeden z grupy robił zdjęcia.

Wkroczyła do poczekalni i rozejrzała się dokoła. Na widok Meghann wybuchnęła płaczem.

- Jak się czuje nasza dziewczynka? - Wyciągnęła z rękawa jedwabną chusteczkę i przyłożyła ją do oczu.

Błysnął flesz aparatu.

Mama przybrała bohaterski uśmiech.

- To moja druga córka, Meghann Dontess. D-O-N-T-E-S-S. Ma dwadzieścia dziewięć lat.

Meghann policzyła w myślach do dziesięciu.

- Nie wolno wprowadzać psów do szpitala - powiedziała, kontrolując głos.

- Wiem. Musiałam go przemycić. Wiesz, Elvis, on...

- Jeszcze dziesięć sekund, a Elvis będzie martwy jak jego imiennik.

Meghann zignorowała oburzone sapnięcie mamy i wyłowiła wzrokiem człowieka stojącego w pewnej odległości od reszty. Ubrany na czarno, z byczym karkiem, przypominał wyglądem byłego zapaśnika.

- Hej, panie ochroniarzu! Proszę zabrać psa do samochodu.

- Do hotelu - zadysponowała mama z dramatycznym westchnieniem. - W apartamencie jest dużo miejsca.

- Tak jest, psze pani. - Bezszyjowiec wziął torbę z psem i odszedł.

Teraz została już tylko mama, fotograf i chudy gość o szczu-  
rzej twarzy z magnetofonem. Reporter.



- Proszę wybaczyć - Meghann zwróciła się do mężczyzn, chwytając matkę pod rękę i odciągając do kąta. - Co ty zrobiłaś, wynajęłaś pismaka?

Mama wyprostowała się jak struna i prychnęła oburzona:

- Rozmawiałam z nim na drugiej linii, kiedy zadzwoniłaś. Co miałam powiedzieć? To nie moja wina, że czasopismu „Us” zależy na reportażu z wizyty u poważnie chorej córki. Cokolwiek by mówić, jestem osobą publiczną. Sława bywa uciążliwa.

Meghann ściągnęła brwi. Powinna być wściekła na matkę, wrzucić ją do gorącego tłuszczu, żeby się w nim żywcem usmażyła. Jednak gdy spojrzała w mocno umalowane oczy mamy, dostrzegła coś, co ją zaskoczyło.

- Ty się boisz - stwierdziła cicho. - Dlatego przywlokłaś tę świętę. Żeby zrobić z tego przedstawienie.

Mama przewróciła oczami.

- Niczego się nie boję. Ja tylko... tylko...

- Co?

- Chodzi o Claire — wydusiła z siebie wreszcie, uciekając wzrokiem. - Claire. - Głos uwiązał jej w gardle i Meghann wreszcie dostrzegła w niej coś prawdziwego. - Mogę ją zobaczyć?

- Nie, jeśli zamierzasz wprowadzić tam tę menażerię.

- Pójdiesz ze mną? - zapytała niepewnie.

Zaskoczyła tym Meghann. Zawsze uważała matkę za osobę płytką i twardą, kobietę, która idzie przez życie jak przecinak i dąży do celu po trupach. Teraz zastanawiała się, czy przypadkiem się nie myliła. Może mama zawsze była słaba i wystraszona.

A może to tylko gra. Meghann rozumiała strach. Szczególnie jeśli brał się z poczucia winy.

- Oczywiście, że pójdę z tobą.

Podeszły do ekipy. Mama wygłosiła płaczący apel o uszanowanie prywatności w tej trudnej chwili, po czym poleciła im poczekać w restauracji po przeciwnej stronie ulicy, aby tam dokończyć wywiad.

Obcasy mamy stukały o linoleum. Ten dźwięk miał przyciągać uwagę, lecz nikt się nie zainteresował.

Meghann przystanąła przed salą Claire.

- Gotowa?

Mama przybrała wystudiowany uśmiech, skinęła głową i wplynęła do sali jak Ciocia Marne, powiewając długimi, czarnymi rękawami.

- Kochanie, to mama.

Claire uśmiechnęła się z wysiłkiem. Na tle bieli poduszek i szarości szpitalnych pledów jej twarz była niesłychanie blada i wymęczona. Łysy plac nadawał głowie niepokojąco asymetryczny wygląd.

- Cześć, mammo. Rozmieniłaś się z Ali i Samem. Dopiero co zeszli do barku.

Mama zawahała się, uniesione ramiona opadły. Obejrzała się na Meghann.

- Mammo, wiem, że wyglądam jak upiór - usiłowała zażartować Claire.

Mama zbliżyła się powoli do łóżka.

- Wcale nie, kochanie. To nieprawda. Jesteś śliczna. - Przysunęła sobie krzesło i usiadła. - Pamiętam, kręciliśmy odcinek „Gwiezdnej Bazy IV”. Nosił tytuł „Bufet atakuje”, przypominasz go sobie? Zjadałam jakieś kosmiczne jedzenie i wyszły mi wszystkie włosy. - Uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - Zgłosiłam ten epizod do Nagrody Emmy. Oczywiście bez sukcesu. Za dużo w tym wszystkim polityki. Czuję się całkiem wygodnie bez włosów.

- Mammo, to był lateksowy czepek.

- Nieważne. Oczy pięknie wyglądają. Szkoda, że nie zabrałam ze sobą kosmetyków. Nie zaszkodziłaby ci odrobina różu na policzkach, można by też pociągnąć powieki konturówką. Meghann powinna mi była podpowiedzieć. Kupię ci elegancką lizeskę. Być może obszyta puszkami przy szyi. Pamiętam taką jedną suknię, którą nosiłam w...

- Mammo. - Claire usiłowała się podnieść. Próba okazała się ponad jej siły, - Nowotwór zżera mi mózg.

Uśmiech znikł z twarzy mamy.

- Kochanie, to okropnie obrazowe. My, kobiety z Południa...
- Mamo, proszę cię. Proszę.

Mama głębiej usiadła na krześle. Wyglądała, jakby nagle straciła masę, zmaląła i spospoliciała, a czarny, powłóczysty strój pochłonał ją i wyssał, zostawiając tylko chudą, mocno umalowaną kobietę, która miała za sobą zbyt wiele operacji plastycznych.

- Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz.

Po raz pierwszy od dwudziestu lat Meghann usłyszała prawdziwy głos matki. Pozbawiony południowego zaśpiewu, z rażąco płaską intonacją, typową dla Środkowego Zachodu.

- Och, mamo - westchnęła Claire. - Oczywiście, że nie wiesz. Przecież nigdy nie chciałaś mieć dzieci. Potrzebowałaś publiczności. Przepraszam. Jestem zbyt znużona, żeby silić się na uprzejmości. Mamo, chcę, abyś wiedziała, że cię kocham. Zawsze kochałam. Nawet kiedy... zdarzyło ci się spojrzeć w inną stronę.

„Sjporzeć w inną stronę”.

Tak o tym mama mówiła: „Któregoś razu stałam, pilnując moich dzieciaczków, i tylko na sekundę spojrzałam w inną stronę, a kiedy się odwróciłam, obie zniknęły”.

To łatwiejsze, pomyślała Meghann, niż przyjąć do wiadomości, że mama po prostu pozwoliła Claire się oddalić.

- Sam był dobrym człowiekiem - powiedziała mama tak cicho, że musiały wysilić słuch. - Jedynym porządnym mężczyzną, jakiego spotkałam w życiu.

- Tak, był - przyznała Claire.

Mama lekceważąco machnęła ręką.

- Ale mnie znacie. Nie należę do tych, co roztrząsają przeszłość. - Powrócił południowy akcent. - Idę do przodu. Zawsze tak było.

Straciły kontakt z mamą jeżeli choroba Claire stworzyła jakąkolwiek szansę, to teraz ona zniknęła. Mama im się wymknęła. Podniosła się z krzesła.

- Nie chcę cię męczyć. Pobiegnę do Nordstromu i kupię ci

trochę kosmetyków. Czy mój znajomy mógłby zrobić nam wspólne zdjęcie?

- Mamo - warknęła ostrzegawczo Meghann.

- Jasne. - Claire westchnęła, opadając na poduszki. - Meghann, sprowadzisz Bobby'ego i Ali? Chcę ich ucałować, zanim znowu zapadnę w drzemkę.

Mama pochyliła się, cmoknęła Claire w czoło i wymaszerowała z sali. Meghann, wychodząc na korytarz, o mało na nią nie wpadła. Stała za drzwiami.

- Kosmetyki, mamo?

- Nawet jeśli umiera, nie można pozwolić, aby odeszła w taki sposób. - Opanowanie opuściło mamę.

Meghann wyciągnęła rękę.

- Meggy, nie waż się mnie dotknąć. Nie zniósłabym tego. - Obróciła się na pięcie i oddaliła, powiewając spódnicą i stukając obcasami.

Nie było nikogo, kto by się za nią nie obejrzał, kiedy szła korytarzem.

Claire słabła. Podczas drugiego dnia pobytu w szpitalu pragnęła już tylko spać.

Obecność przyjaciół i rodziny coraz bardziej ją wyczerpywała. Wszyscy przy niej trwali. Blueserki wpadały do małej separatki, wypełniając ją życiem i śmiechem, przynosiły kwiaty, tuczące jedzenie i ulubione filmy Claire. Rozmawiały, opowiadały dowcipy i wspominały dawne czasy. Jedyne Ginie starczyło odwagi, by dzielić z Claire jej lęki.

- Wiesz, że Ali zawsze może na mnie liczyć - powiedziała, gdy reszta poszła do barku.

Claire nigdy nie darzyła swej przyjaciółki większą miłością niż w tej chwili. Żadna wojenna szarża nie wymagała większej odwagi.

- Dziękuję. - Więcej nie była w stanie z siebie wydobyć. Po tem cicho wyznała: - Jeszcze jej nie powiedziałam.

- Jak miałabyś to zrobić?

Ich spojrzenia spotkały się, oczy Giny powoli zaszczyły łzami. Obie dręczyła ta sama myśl; jak kobieta ma się pożegnać ze swoją pięcioletnią córką. Po dłuższej chwili Giną przerwała ciszę.

- Hm... - Uśmiechnęła się. - Co zrobimy z twoimi włosami?

- Myślałam, żeby je obciąć. I ufarbować to, co zostało, na jasny blond.

- Bardzo szykownie. Będziemy wszystkie wyglądać przy tobie jak podstarzałe gospodynie domowe.

- To moje marzenie - nie wytrzymała Claire - zostać starą gospodynią domową.

Chociaż wizyta przyjaciółek sprawiła Claire ogromną radość, była zadowolona, kiedy pojechały do domu. Późnym wieczorem, w cichych ciemnościach, pod wpływem lekarstw zapadła w sen.

Nagle się obudziła.

Serce biło szybko, gubiło rytm. Nie mogła pochwycić oddechu ani się dźwignąć. Działo się coś złego.

- Claire, co z tobą? - To Bobby. Siedział przy niej. Najwyraźniej się zdrzemnął. Wstał teraz i trąc oczy, podszedł do łóżka. Przez sekundę sądziła, że ma halucynacje, że agresywny nowotwór dokonał spustoszeń w zdrowej części mózgu, że straciła zmysły. Lecz gdy pochylił się nad nią, usłyszała dźwięk kluczy.

- Bobby - wyszeptwała, na próżno usiłując unieść ciężkie jak ołów ramiona.

- Jestem tu, maleńka.

Z ogromnym wysiłkiem podniosła rękę i pogładziła go po wilgotnym policzku.

- Kocham cię, Robercie Jacksonie Austinie. Bardziej niż kogokolwiek na świecie, z wyjątkiem mojej Ali Gator. Chodź - poprosiła. - Połóż się koło mnie.

Popatrzył na urządzenia, na stojak z kroplówką, przewody i rurki.

- Och, maleńka... - Nachylił się i pocałował ją.

Dotyk jego ust były taki kojący. Zamknęła oczy, czując, jak opada na poduszki.

- Ali - wyszeptała. - Chcę moją dziewczynkę...  
Ból eksplodował nad prawym okiem.  
Przy łóżku rozległ się alarm.

*Mc nie boli. Nie cierpi. Maca wysuszoną, swędzącą skórę na głowie i czuje, że tyse miejsce porastają długie, piękne włosy.*

*Siada. Rurki, którymi była podłączona do aparatów, zniknęły. Chce krzyknąć, że czuje się lepiej, ale tylu ludzi kręci się w sali. Zbyt wielu i wszyscy ubrani na biało. Tłoczą się wokół niej, mówią) eden przez drugiego, więc nie potrafi wyłowić słów.*

*Nagle uświadamia sobie, że patrzy na nich z góry - gdzieś z wysokości - obserwuje, co lekarze robią z jej ciałem. Rozdzierają koszulę i przyciskają coś do piersi.*

- Odsunąć się! - krzyczy ktoś.

*To wielka ulga unosić się tam, ponad nimi, gdzie nie ma bólu...*

- Odsunąć się.

*A potem myśli o córce, swojej małej dziewczynce, której nie przytuliła po raz ostatni.*

*Maleństwie, któremu trzeba będzie powiedzieć, że mama odeszła.*

Doktor odstepuje od łóżka.

- Straciliśmy ją.

Podbiega Meghann.

- Claire, nie! - krzyczy. - Wracaj! Wracaj, cholera jasna!

Ktoś usiłuje ją odciągnąć. Wali go z całej siły łokciem.

- Claire, mówię poważnie! Wracaj! Ali siedzi w poczekalni. Nie możesz tak od niej uciec. Nie pożegnałaś się z nią. To się jej należy, do diaska! - Chwyta ją za ramiona i mocno potrząsa. - Nie waż się tego zrobić Alison i mnie.

- Serce bije! - woła ktoś.

Odpychają Meghann na bok. Chwiejnie wycofuje się do kąta, skąd, modląc się, patrzy, jak reanimują jej siostrę.

Wreszcie lekarze opuszczają pokój, ciągnąc wózek z aparaturą. Ciszę zakłóca jedynie szum i pikanie urządzeń.

Meghann wpatruje się w pierś Claire, obserwuje, jak unosi się i opada. Przed chwilą uzmysłowiła sobie, że kontrolowała własny oddech, usiłując narzucić rytm Claire.

- Wiesz, słyszałam cię.

Na dźwięk głosu Claire Meg odrywa się od ściany i podchodzi bliżej. Siostra na wpół łysa, blada jak pergamin, uśmiecha się do niej.

- Pomyślałam: Jezu, umarłam, a ona dalej na mnie wrzeszczy.

## 29

Joe przynajmniej z dziesięć razy przymierzał się, żeby wyrzucić tę przeklętą kopertę. Problem w tym, że nie potrafił się prze-móc, aby wziąć ją do ręki.

Tchórz.

Usłyszał to tak wyraźnie, że aż podniósł głowę. W domku poza nim nie było nikogo. Popatrzył na Dianę, a ona odpowiedziała mu spojrzeniem ze swego miejsca na gzymsie kominka.

Przymknął powieki, pragnąc, aby znowu przyszła do niego, być może przysiadła obok na łóżku i tak jak kiedyś szepnęła: „Joey, łamiesz mi serce”.

Lecz ona od dawna się nie pojawiała, zdążył już zapomnieć, jakie uczucia towarzyszyły tamtym halucynacjom. Poza tym wcale nie musiał jej przywoływać, żeby wiedzieć, co by usłyszał.

Byłoby jej wstyd za niego. Wytknęłaby mu, że kiedyś złożył przysięgę, iż będzie pomagał ludziom.

Poza tym sprawa nie dotyczyła jakichś ludzi. Chodziło o Claire Cavanaugh, kobietę, która godzinami przesiadywała u chorej Diany, grała z nią w scrabble na brzydkie wyrazy i oglądała opery mydlane. Szczególnie utkwiał mu w pamięci jeden taki wieczór. Po całodziennym dyżurze postanowił zajrzeć do separatki Diany, czując rezygnację na myśl o kolejnym wieczorze przy łóżku umierającej żony. Była u niej Claire i kiedy otworzył drzwi, zobaczył ją tańczącą w samym tylko staniku

i figach. Diana, która od tygodni się nie uśmiechnęła, zaśmiewała się do łez.

„Nie ma mowy - oznajmiła ze śmiechem Claire, kiedy zapytał, co się dzieje. Nie powiemy ci, co robiłyśmy”.

„Dziewczyna powinna mieć sekrety - dodała Diana - nawet przed miłością swego życia”.

Teraz to Claire leżała w pokoju wypełnionym zapachem rozpaczy i patrzyła w niebo, które było szare nawet w środku lata.

Prawdopodobnie nic nie może dla niej zrobić, ale jak będzie żył ze świadomością, że nawet nie spróbował? Być może sam Bóg daje mu w ten sposób znak, że człowiek nie powinien karmić się dawnym strachem, jeśli chce rozpocząć nowe życie.

Gdyby Diana była tu teraz, powiedziałyby, iż to jasne jak słońce, że otworzyła się przed nim szansa. Co innego uciekać od niczego. Czym innym jest odwrócić się plecami do kompletu zdjęć z nazwiskiem dobrze znajomej osoby wypisanym w narożniku.

Uśmiercasz ją, lecz tym razem eufemizm „eutanazja” nie pasuje.

Westchnął ciężko i sięgnął po kopertę, udając, że nie zauważa drżenia rąk ani że desperacko pragnie się napić.

Wyjął klisze i zaniósł je do kuchni, gdzie światło słoneczne wpadało przez okno nad zlewem.

Uważnie obejrzał jedno zdjęcie, a potem resztę. Poczował przypływ adrenaliny, który przyspieszył bicie serca.

Wiedział, dlaczego wszyscy lekarze twierdzili, że guz jest nieoperacyjny. Zabieg wymagał niewyobrażalnej wprost precyzji. Mógł się go podjąć jedynie neurochirurg o złotych rękach i odwadze dorównującej talentowi. Ktoś, kto nie boi się ewentualnej porażki.

Jednak ostrożnie wykonana resekcja może stanowić szansę. Możliwe - tylko możliwe - że ten wąski cień nie jest nowotworem złośliwym.

Nie miał wątpliwości, co powinien uczynić.

Wziął długi, gorący prysznic, przebrał się w niebieską kosz-



łę, którą ostatnio kupił, i w nowe dżinsy, żałując, że nie ma lepszych rzeczy i jednocześnie akceptując ten fakt. Przyniósł zdjęcia, włożył je z powrotem do koperty i poszedł do domu Smitty'ego. Helga w kuchni szykowała lunch, a Smitty w salonie oglądał serial „Sędzia Judy”. Gdy Joe zapukał, oderwał wzrok od ekranu.

- Hej, Joe!

- Wiem, że to nie jest przyjęte, ale czy mógłbyś pożyczyć mi ciężarówkę? Muszę pojechać do Seattle. Być może zostanę tam na noc.

Smitty pogrzebał w kieszeni i rzucił mu kluczyki.

- Dzięki! - Joe podszedł do starego zardzewiałego forda i wspiął się do kabiny. Drzwi zatrzasnęły się z metalicznym szczękiem.

Objął wzrokiem deskę rozdzielczą. Od wielu lat nie siedział za kierownicą. Włączył silnik i nacisnął na pedał gazu.

Dwie godziny później postawił ciężarówkę na podziemnym parkingu na rogu Madison i Broadway i wszedł do holu.

Nadal wisiał tu portret Elmera Nordstroma, patrolując drapaczowi chmur o połyskliwych ścianach z czarnego szkła, noszącego nazwisko jego rodziny.

Ze spuszczoną głową ruszył w kierunku windy. Z bijącym sercem nacisnął przycisk.

Odezwał się brzęczyk, drzwi się rozsunęły. Wszedł do środka. Dwóch ludzi w białych uniformach stłoczyło się obok. Rozmawiali o wynikach z laboratorium. Wysiedli na drugim piętrze, na którym łącznik prowadził z biurowca do Szwedzkiego Szpitala.

Mimo woli wrócił myślami do czasów, gdy chodził po tym budynku z dumnie uniesioną głową; on, człowiek pewny swego miejsca w świecie.

Drzwi otwarły się na trzynastym piętrze.

O pół sekundy za długo wpatrywał się w czarne litery obwiedzione złotem na szklanych drzwiach po przeciwnej stronie holu.

Specjaliści medycyny nuklearnej w Seattle. Sam stworzył ten

zespół. Pod napisem lista siedmiu czy ośmiu lekarzy. Jego nazwiska nie było.

Oczywiście, że nie.

Wyszedł z windy w ostatnim momencie przed zasunięciem się drzwi i przeciął hol. W poczekalni siedziało kilkoro pacjentów - dzięki Bogu, żadna z twarzy nie wydała mu się znajoma. W recepcji pracowały dwie kobiety i obie były obecne.

Zastanawiał się, czy nie skierować się prosto do gabinetu Li, ale nie starczyło mu odwagi. Podszedł do biurka.

Recepcjonistka - Imogene - jak się dowiedział z plakietki - spytała:

- Czym mogę służyć?
- Chciałbym się widzieć z doktorem Li Chinnem.
- Pańskie nazwisko?
- Proszę powiedzieć doktorowi, że przyjezdny lekarz prosi o natychmiastową konsultację. Przybyłem z daleka, żeby się z nim zobaczyć.

Imogene zlustrowała go od stóp do głów; niewątpliwie tandetne ubranie i włosy obcięte w prowincjonalnym stylu nie uszły jej uwagi. Z niechętną miną zadzwoniła do gabinetu Li i przekazała wiadomość.

- Doktor przyjmie pana za piętnaście minut - oznajmiła, odkładając słuchawkę. - Proszę usiąść.

Joe podszedł do jednego z krzeseł w poczekalni, wspominając przy tym, że to Diana wybrała materiał na obicia oraz wymyśliła kolorystykę gabinetu. W pewnym okresie cały ich dom był zarzucony próbkami.

„Wszystko musi być dopracowane w najdrobniejszych szczegółach”, powiedziała, kiedy z niej żartował. „Jedynie pracę kochasz bardziej niż mnie”.

Żałował, że nie potrafi uśmiechnąć się do tych wspomnień; były dobre.

- Doktorze? Doktorze?!

Zaskoczony podniósł głowę. Od dawna nikt się tak do niego nie zwracał.

- Tak? - Podniósł się.  
- Doktor Chinn prosi. Niech pan idzie tym korytarzem i skręci w prawo...

- Wiem, gdzie jest jego gabinet. - Zatrzymał się przed drzwiami, żeby wyrównać oddech. Pocił się, miał wilgotne dłonie. Odciski jego palców poplamia całą kopertę.

- Doktorze? Nic panu nie jest?

Odetchnął głęboko i pchnął drzwi.

Na wewnętrznych korytarzach i w gabinetach dostrzegł sporo znajomych twarzy. Pielęgniarki, asystentki, pracownicy techniczni.

Zmusił się, aby iść z podniesioną głową.

Nie uciekał przed spojrzeniami mijanych ludzi; poznawali go i szybko odwracali wzrok. Kilka osób uśmiechnęło się ze skrzepowaniem lub pozdrowiło go gestem ręki, jednak nikt go nie zatrzymał. Czuł się jak duch błądzący po krainie żywych. Nikt nie miał ochoty przyznać się, że go widzi.

Niektóre z tych spojrzeń były pełne potępienia; zapamiętał je dobrze, bo to one przede wszystkim skłoniły go do ucieczki. W innych oczach dostrzegał zakłopotanie wywołane jego niespodziewanym widokiem. Co powiedzieć szanowanej osobie, która później stanęła przed sądem za uśmiercenie żony i zniknęła bez śladu na trzy lata?

Minął rząd kobiet w szpitalnych szlafrokach czekających na mammografię, przeszedł obok drugiej poczekalni i skręcił w następny, cichszy korytarz. Podeszedł do drzwi na jego końcu. Wziął głęboki oddech i zapukał.

- Proszę! - odezwał się znajomy głos.

Joe wszedł do przestronnego narożnego gabinetu, który kiedyś zajmował. Duże okna wychodziły na panoramę centrum Seattle.

Li Chinn czytał przy biurku. Spojrzał na wchodzącego z nad książki. Zdziwienie, jakie odmalowało się na jego zazwyczaj pokerowej twarzy, nadało jej niemal komiczny wyraz.

- Nie wierzę - powiedział, nie wstając zza biurka.

- Cześć, Li.

Był wyraźnie zakłopotany, nie wiedział, jak się zachować i co powiedzieć.

- Sznat czasu, Joe.

- Trzy lata.

- Gdzieś ty był?

- Czy to ważne? Zamierzałem tu przyjść i uprzedzić cię, że wyjeżdżam, ale... - Westchnął, słysząc, jak żałośnie to zabrzmiało. - Zabrakło mi odwagi.

- Prawie przez rok twoje nazwisko wisiało na drzwiach.

- Przepraszam, Li. Zapewne nie pozostało to bez wpływu na interesy.

Li pokiwał głową, a jego ciemne oczy posmutniały.

- Tak.

- Chciałbym, ażebyś rzucił okiem na pewne zdjęcia.

Li zachęcił go skinieniem głowy, więc Joe podszedł do negatospotu i założył kliszę. Li podszedł bliżej i wnikliwie studiował zdjęcie. Nie odzywał się przez jakiś czas, po czym zapytał:

- Widzisz tu coś, co mi umknęło?

- Tutaj.

Li skrzyżował ramiona.

- Niewielu chirurgów odważyłoby się na coś takiego - zauważył, ściągając brwi w zadumie. - Ogromne ryzyko.

- Bez zabiegu umrze.

- Może umrzeć z powodu zabiegu.

- Uważasz, że warto spróbować?

Li spojrział na niego, zmarszczki na czole jeszcze bardziej się uwidoczniły.

- Tamten Joe Wyatt nigdy nie pytał nikogo o zdanie.

- Teraz jest inaczej.

- Znasz kogoś, kto by się tego podjął? Kto umiałby to zrobić?

- Stu Weissman z UCLA.

- Ach, ten kowboj. Taak, być może.

- Nie mogę praktykować. Moja licencja wygasła. Mógłbyś

wysłać zdjęcia Weissmanowi? Skontaktują się z nim telefonicznie.

Li wyłączył negatoskop.

- Dobrze. Wiesz, że odnowienie licencji nie stanowi problemu.

- Tak. - Joe pozostał na miejscu jeszcze przez chwilę. Cisza rozlała się między nimi niczym plama. - Cóż. Lepiej pójde zadzwoić do Stu. - Ruszył do wyjścia.

- Zaczekaj!

Odwrócił się.

- Czy ktoś z personelu z tobą rozmawiał?

- Nie. O czym tu rozmawiać z mordercą?

- Tak. Parę osób rzeczywiście w to uwierzyło. Większość... nie wie, co powiedzieć. W cichości ducha wielu z nas przyznaje, że chciałaby umieć postąpić tak samo. Wszyscy wiedzieli, że Diana potwornie cierpi i że nie ma nadziei. Dziękujemy Bogu, że nie znaleźliśmy się na twoim miejscu.

Joe nie znalazł na to odpowiedzi.

- Masz prawdziwy talent - mówił dalej Li. - Zmarnowanie go byłoby zbrodnią. Kiedy będziesz gotowy - jeśli do tego dojrzysz - przyjdź się ze mną zobaczyć. Zajmujemy się tu ratowaniem życia, a nie starymi plotkami.

- Dziękuję. - To słowo nie było adekwatne do wdzięczności, jaką odczuwał. Zakłopotany intensywnością własnych emocji, Joe wydukał jeszcze jedno „dziękuję” i opuścił gabinet.

Na dole w holu odszukał rząd automatów telefonicznych i zadzwonił do Stu Weissmana.

- Joe Wyatt! - powtórzył głośno Stu. - O cholera! Co u ciebie słyhać? Już myślałem, że nie żyjesz! To wstyd, co oni z tobą wyprawiali!

Joe nie chciał tracić czasu na zdawanie relacji ze swej banicji. Porozmawiają, kiedy Stu przyjedzie.

- Chcę, żebyś wykonał pewien zabieg - przeszedł do rzeczy. - Ryzykowny jak diabli. Tylko ty jeden możesz to zrobić. - Stu był bardzo łasy na komplementy.

- Wal.

Joe wyjaśnił, co wie o historii choroby Claire, przytoczył diagnozę i opisał zdjęcia.

- I uważasz, że mogę pomóc?

- Tylko ty jeden.

- Dobra, Joe. Masz najlepsze oczy w branży. Przyślij mi zdjęcia. Jeśli zobaczę to samo, wsiałam w najbliższy samolot. Tylko upewnij się, że pacjentka zdaje sobie sprawę z ryzyka. Żeby nie leciał wyłącznie po to, by zaraz wracać.

- Jasne. Dzięki, Stu.

- Dobrze, że się odezwałeś - powiedział Stu, zanim Joe się rozłączył.

Odwiesił słuchawkę. Teraz pozostawało już tylko porozmawiać z Claire.

Cofnął się do windy, wjechał na drugie piętro i łącznikiem przeszedł do Szwedzkiego Szpitala. Paru pracowników skrzywiło się, rozpoznając go, kilku innych poszeptało za jego plecami. Ignorując ich, szedł przed siebie. Nikt nie odważył się odezwać do niego czy zapytać, czemu wrócił, aż do chwili, kiedy wszedł na OIOM.

- Doktor Wyatt? - Ktoś wymówił głośno jego nazwisko.

Odrzucił się powoli. Zobaczył Trish Bey, oddziałową. Wiele lat pracowali razem. Pod koniec życia Diany bardzo się z nią przyjaźniła.

- Witaj, Trish.

- Miło cię widzieć - powiedziała z uśmiechem. - Brakowało nam ciebie.

Puściło napięcie w ramionach. Niemal uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Dzięki.

Przez chwilę stali skrępowani, przypatrując się sobie, aż wreszcie Joe skinął głową na pożegnanie i ruszył prosto do separatu Claire.

Zapukał lekko, po czym otworzył drzwi.

Spała na siedząco, z głową przechyloną na bok. Częściowo

wygolona czaszka nadawała twarzy niewiarygodnie młody wygląd.

Podszedł do niej, starając się nie pamiętać, jak wyglądała chora Diana. Błada i krucha z przerzedzonymi włosami, przypominała zabytkową lalkę, którą najpierw bardzo kochano, a potem porzucono.

Claire ocknęła się i zamrugała.

- Joey - szepnęła, uśmiechając się z wysiłkiem. - Słyszałam, że wróciłeś. Witaj w domu.

Przysunął krzesło do łóżka i usiadł.

- Cześć, Claire.

- Wiem. Zdarzało mi się lepiej wyglądać.

- Jesteś piękna. Zawsze byłaś.

- Bóg ci zapłać, Joe. Pozdrowię Dianę od ciebie. - Zamknęła oczy. - Przepraszam, ale jestem zmęczona.

- Nie spiesz się tak na spotkanie z moją żoną.

Powoli uniosła powieki. Próba skoncentrowania wzroku na jego twarzy zajęła jej chyba z minutę.

- Joe, nie ma nadziei. Ty najlepiej o tym wiesz. Udawanie zbyt mocno boli. Okay?

- Ja patrzę na to... inaczej.

- Myślisz, że białe kitle się mylą?

- Nie chcę rozbudzać fałszywej nadziei, Claire, ale być może...

- Jesteś pewien?

- Nikt nigdy nie ma pewności.

- Nie pytam innych. Chcę poznać twoją opinię, Joey. Chcesz mi powiedzieć, że nie powinnam się poddawać?

- Zabieg może cię uratować, ale mogą pojawić się skutki uboczne. Paraliż. Utrata sprawności ruchowej. Uszkodzenie mózgu.

Przyjęła jego słowa z uśmiechem.

- Wiesz, o czym myślałam, zanim tu przyszedłeś?

- Nie.

- Jak powiedzieć Ali, że jej mamusia niedługo umrze. Joe,

podjęłabym każde ryzyko. Wszystko, byle tylko uniknąć pożegnania z Ali na zawsze. - Głos jej się załamał, słyszał w nim bezgraniczny ból. Zdumiewała go jej odwaga.

- Wysłałem twoje wyniki do kolegi. Jeśli potwierdzi moją diagnozę, będzie cię operował.

- Dziękuję, Joe - powiedziała cicho i ponownie opadły jej powieki.

Widział, jak bardzo jest zmęczona. Pochylił się nad nią i pocałował w czoło.

- Do widzenia, Claire.

Był już prawie przy drzwiach, kiedy go zawołała:

- Joe?

Odwrócił się.

- Tak?

Znowu była świadoma, na ile to możliwe, i patrzyła na niego.

- Nie powinna była cię o to prosić.

- Kto? - zapytał, choć dobrze wiedział.

- Diana. Nigdy nie poprosiłabym Bobby'ego o coś takiego. Wiem, czym by to dla niego było.

Co miał powiedzieć? To samo zawsze powtarzała Gina. Wyszedł z sali i zamknął za sobą drzwi. Z westchnieniem oparł się o ścianę i przymknął oczy.

„Nie powinna była cię o to prosić”.

Otworzył oczy i oderwał się chwiejnie od ściany. I wtedy zobaczył Meghann. Stała w niewielkiej odległości, wpatrując się w niego. Policzki miała zaczerwienione i wilgotne.

Z trudem opanował chęć, aby obetrzeć jej łzy.

- Powiedz mi, że znalazłeś sposób, aby jej pomóc - odezwała się, podchodząc.

Bał się powiedzieć. Lepiej od innych znał dwoistą naturę nadziei. Nie ma większego ciosu od utraty wiary.

- Rozmawiałem z kolegą z UCLA. Jeśli zgodzi się z moją diagnozą, będzie operował, ale...

Meghann rzuciła mu się na szyję.

- Dziękuję!



- Meg, to cholernie ryzykowna sprawa. Może nie przeżyć operacji.

Meghann cofnęła się, mrugając niecierpliwie powiekami, żeby pohamować płynące łzy.

- My, dziewczyny z rodziny Sullivanów, nie poddajemy się bez walki. Dziękuję, Joe. I... przepraszam za to wszystko, co ci nagadałam. Potrafię być prawdziwą suką.

- Ostrzeżenie przyszło nieco za późno.

Uśmiechnęła się, po raz kolejny ocierając łzy.

- Wiesz, powinieneś mi powiedzieć o swojej żonie.

- Podczas jednej z naszych szczerych rozmów?

- Taa, podczas którejs z nich.

- To średni temat do konwersacji w pościeli. Jak można najpierw kochać się z kobietą, a potem jej oznajmić, że zabiło się własną żonę?

- Nie zabiłeś. Rak ją zabił. Ty przerwałeś jej cierpienia.

- I oddech.

- Gdyby Claire mnie poprosiła, zrobiłabym to samo. - Meghann patrzyła mu prosto w oczy. - Nawet gdybym miała pójść do więzienia. Nie pozwoliłabym jej cierpieć.

- Módl się do Boga, żebyś nigdy nie musiała tego sprawdzić. - Słyszał swój łamiący się głos. Kiedyś, w czasach, gdy pewny siebie uważał się niemal za półboga, wstydziłby się takiej słabości.

- Co teraz? - zapytała, przerywając milczenie, które nagle stało się niezręczne. - Mam na myśli Claire. - Odstąpiła parę kroków, zwiększając odległość między nimi.

- Pozostaje nam czekać na wiadomość od Stu Weissmana. I modlić się, aby zgodził się z moją diagnozą.

Joe zbliżał się do wyjścia, kiedy usłyszał, jak ktoś go woła. Przystanął i obejrzał się.

To była Gina.

- Widzę, że mój brat znowu zachowuje się jak lekarz.

- Ja tylko zadzwoniłem do Stu.

Podeszła uśmiechnięta.

- Joe, dałeś jej szansę.

- Zobaczymy, co powie Stu, ale tak. Może. Mam taką nadzieję.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Diana byłaby z ciebie dumna. Tak jak ja jestem.

- Dzięki.

- Chodź, posiedź z nami w poczekalni. Wystarczająco długo byłeś sam. Czas zacząć nowe życie.

- Muszę przedtem coś załatwić.

- Obiecuj, że wrócisz.

- Obiecuję.

Godzinę później płynął promem na wyspę Bainbridge. Stał przy relingu na górnym pokładzie, kiedy prom zawijał do portu Eagle. Mała zatoczka zdawała się go przyzywać widokiem zadbanej domów i żaglówek stłoczonych w porcie. Z zadowoleniem stwierdził, że nic się nie zmieniło; nadal drzew było więcej niż domów i nie pocięto pasa wybrzeża na wąskie parcele.

„Joe, to jest to. Chcę, żeby tu rosły nasze dzieci”.

Palce bezwiednie zacisnęły się na barierce. Od tamtego dnia dzieliło go niewiele czasu - może z dziesięć lat - a miał wrażenie, jakby minęła cała wieczność. Oboje z Dianą byli tacy młodzi i pełni nadziei. Żadnemu z nich nie przyszłoby na myśl, że nie będą razem do końca.

Że jedno z nich pójdzie przez życie samotnie.

Zawyła syrena na promie.

Joe wrócił pod pokład do ciężarówki. Przybili do przystani i Joe zjechał z promu.

Każdy zaułek, każdy szyld budził wspomnienia.

„Joe, kupisz mi tę szyfonierę, prawda? Jest w sklepie z antykami Bad Blanche”.

„Chodźmy dzisiaj do wytwórni win. Mam ochotę zanurzyć się w zapachu winogron”.

„Joe, zapomnij o kolacji, idziemy do łóżka”.

Jechał swoją dawną trasą. Rosły tu potężne drzewa: strzelały

w niebo, zasłaniając słońce. Droga była cicha i cienista. Nie widział stąd domów; jedynie skrzynki na listy stały przy wylotach podjazdów odchodzących na prawo.

Zwolnił przy ostatnim podejździe.

Skrzynka na listy nadal stała. Joe i Diana Wyattowie. To był jeden z pierwszych zakupów Diany, kiedy wybrali dom.

Jechał długą aleją w szpalerze drzew. Dom, jego dom, stał na płamie słońca na trawniku obok szerokiego pasa żwirowej plaży. To był ładny dom w stylu Cape Cod, kryty cedrowym gontem i z białymi ościeżnicami.

Zauważył, że wisteria rozrosła się dziko; gęste, ciemnozielone pnącza owijały się wokół tralek werandy oraz filarów i pięły po ścianach.

Kiedy opuścił azyl samochodu, szedł ku domowi na miękkich nogach, z trudem oddychając.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył, był zapach. Powietrze pachniało słoną morską wodą i różami.

Odszukał klucz w portfelu - trzymał go tam specjalnie z myślą o tym dniu.

Prawdę mówiąc, przez wiele tygodni, a nawet miesięcy, nie wierzył, że znajdzie w sobie dość siły, aby po niego sięgnąć.

Klucz lekko wsunął się do zamka, usłyszał ciche kliknięcie.

Pchnął drzwi...

„Kochanie, wróciłem”.

Wszedł do środka.

Dom wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy go zostawił. Nadal w pamięci miał dzień, kiedy wrócił z sądu -jako teoretycznie oczyszczony z winy (nie, absolutnie niewinny) - i spakował walizkę. Wykonał jeden jedyny telefon - zadzwonił do Giny. „Przepraszam” - powiedział, zbyt zmęczony, żeby się wdawać w dłuższą rozmowę. „Muszę wyjechać”.

„Zajmę się domem” - obiecała przez łyż. „Wrócisz”.

„Nie wiem” - odparł. „Jak mogę?”

A jednak był tu teraz. Giną zgodnie z obietnicą dbała o dom. Płaciła podatki i rachunki z pieniędzy, które zdeponował na spe-

cialnym koncie. Na meblach i na parapetach nie było śladu kurzu, pajęczyny nie zwisały z wysokich sufitów.

Przechadzał się po pokojach, dotykał różnych przedmiotów, wspominał. Każdy sprzęt miał swoją historię.

„Joe, zobacz, ten fotel idealnie pasuje. Możesz siedzieć w nim i oglądać telewizję”.

Każdy bibelot budził wspomnienia. Niczym niewidomy stapał powoli, przesuwając dłońmi po przedmiotach, jakby dotyk wywoływał więcej wspomnień niż wzrok.

Na koniec stanął przed sypialnią. Jej widok był niemal ponad jego siły. Przemógł się i wszedł do środka. Wszystko stało na swoim miejscu. Wielkie zabytkowe łóżce, prezent ślubny od jego rodziców, piękna kapa, która trafiła do nich po śmierci ojca. Stare szafki nocne, kiedyś zarzucone książkami - jej romansami, jego powieściami wojennymi. Był nawet jasek z poszewką wyszytą przez Dianę na początku choroby.

Przysiadł na łóżku, wziął do ręki poduszczkę i wyłowił wzrokiem małe rdzawe plamy znaczące materiał.

„Nie sądzę, aby wyszywanie było dobrą terapią. Przez te krwotoki z nosa kręci mi się w głowie”.

- Cześć, Diano - powiedział i pożałował, że minęły czasy, kiedy potrafił przywołać jej obraz. Pogładził poduszkę, usiłując przypomnieć sobie, co czuł, kiedy jej dotykał. - Byłem dziś w szpitalu. Dobrze się tam czułem.

Wiedział, co by mu odpowiedziała. Nie był jednak pewien, czy dojrzał do powrotu.

Nie zapomniał tych spojrzeń na swoim dawnym oddziale. Ludzie patrzyli na niego i myśleli: Czy tak właśnie wygląda morderca?

Zapatrzony w poduszkę gładził powłoczkę.

- Nie powinnaś mnie była o to prosić, Di. To... mnie zniszczyło. Hm... a może sam się zniszczyłem - wyznał cicho. Powinien był zostać tu, w środowisku, na którym tak bardzo mu zależało. Popełnił błąd, uciekając.

Czas skończyć z ukrywaniem się i uciekaniem. Czas stawić

czoło ludziom, którzy go tak nisko ocenili, czas powiedzieć: Dość.

Czas rzucić wyzwanie życiu.

Wstał powoli, podszedł do szafy i otworzył żaluzjowe drzwi.

Rzeczy Diany zajmowały dwie trzecie przestrzeni.

Trzy lata temu usiłował spakować je do kartonu. Zwinał jeden sweterek z różowego kaszmiru i na tym poprzestał.

Sięgnął po jej ulubiony beżowy golf z angory. Wyjął go z białego plastikowego pokrowca i przytulił do twarzy. Nadal pozostał na nim ślad zapachu jej perfum. Łzy napłynęły mu do oczu.

- Żegnaj, Diano - wyszeptał i poszedł po karton.

## 30

Następnego dnia rano Stu Weissman zadzwonił do Claire. Mówił zwięźle krótkimi zdaniami. Była półprzytomna i zdezorientowana, upłynęło parę sekund, zanim dotarł do niej sens jego słów.

- Zaraz - przerwała mu w końcu, siadając na łóżku. - Czy chce pan powiedzieć, że podejmie się operacji?

- Tak, ale cała sprawa jest wielce ryzykowna. Od początku do końca. Może zakończyć się paraliżem, uszkodzeniem mózgu albo jeszcze gorzej.

- Najprędzej jeszcze gorzej, jak rozumiem.

Zareagował śmiechem na to sformułowanie.

- Tak.

- Zaryzykuję.

- W takim razie ja również. Przylatuję dziś wieczorem. Termin zabiegu ustaliłem na ósmą rano. - Głos w słuchawce złagodniał. - Claire, nie zamierzam nastawiać cię pesymistycznie. Jednak powinnaś uporządkować swoje sprawy. Rozumiesz, co mam na myśli.

- Rozumiem. Dziękuję, doktorze Weissman.

\*

Przez cały dzień Claire żegnała się z przyjaciółkami. Przyjmowała je osobno, uważając, że każdej z nich należy się szczególna uwaga.

Z Karen żartowała na temat siwych włosów, mówiła, że przez Williego sporo ich jej przybędzie w najbliższych latach i zaklinała przyjaciółkę, aby pielęgnowała swe trzecie małżeństwo. Charlotte nakazała: „Nie rezygnuj z dzieci, to one stanowią po nas ślad na tym świecie. Jeżeli nie możesz mieć własnych, zaadoptuj i kochaj najmocniej, jak umiesz”. Najtrudniej było z Giną. Spędziły razem prawie godzinę, Claire zapadała w drzemkę i budziła się, Giną stała przy łóżku, tłumiąc płacz.

„Zaopiekuj się moją rodziną” - powiedziała Claire, walcząc z sennością.

„Sama się nią zaopiekuj” - odpaliła Giną, niby z humorem. A potem cicho dodała: „Wiesz, że możesz na mnie liczyć”.

To były niezręczne, bolesne pożegnania, pełne niedopowiedzeń i przemilczeń. Wszystkie udawały, że jutro wieczorem Claire na pewno będzie z nimi, roześmiana i skora do wygłupów jak zawsze. Zostawiła przyjaciółkom tę wiarę, chociaż wołałaby ją mieć całą dla siebie, bo nadzieja była jak pożyczony sweter, który nie pasuje.

Czuła ogromne znużenie i przede wszystkim strach. Doktor Weissman był ostrożny w swym optymizmie i bez ogródek ocenił szanse. „Sprawa jest ryzykowna. Od początku do końca” - powiedział. Najgorsza w tym strachu była samotność. Z nikim nie mogła się nim podzielić.

Kilkakrotnie podczas tego dłużącego się dnia łapała się na tym, że żałuje, iż nie umarła, nie odeszła nagle z tego świata. Nie miała jak ukryć się przed najbliższymi, którzy modlili się za nią w poczekalni, a myśl o czekających ją jeszcze pożegnaniach była ponad siły. Bobby i Sam będą trzymać ją w objęciach i płakać; musi się na to przygotować. Meg będzie zła i głośna.

Pozostaje jeszcze Ali. Jak ma przez to przejść?

\*

Na pierwszym piętrze w szpitalu mieściła się ekumeniczna kaplica.

Meghann przystanąła przed otwartymi drzwiami. Minęło wiele lat, jeśli nie dziesięcioleci, odkąd szukała w kościele ukojenia.

Z wahaniem weszła do środka, pozwalając drzwicom zamknąć się za nią powoli. Odgłos stóp tłumiła wykładzina w kolorze musztardy. Wsunęła się w ławkę w środkowym rzędzie i uklękła na podłodze. Klęczała pomimo braku miękkiego podnóżka. Prosić o cud należy na kolanach.

Złożyła dłonie i skłoniła głowę.

- Jestem Meghann Dontess - przedstawiła się na wstępie. - Pewnie mnie nie pamiętasz. Nie zwracałam się do Ciebie od... och... chyba od dziewiątej klasy. Od tamtego czasu, gdy modelowałam się o pieniądze na lekcje baletu dla Claire. Mamę po raz kolejny wyrzucono z pracy i musiałyśmy się przeprowadzić. Ja... przestałam wierzyć, że możesz pomóc. - Skupiła myśli na Claire leżącej w szpitalnym łóżku, bladej i wycieńczonej oraz na ryzyku związanym z operacją. - Boże, ona jest dobrym człowiekiem. Proszę, ocal ją. Nie pozwól, by Ali dorastała bez mamy.

Zacisnęła powieki. Łzy potoczyły się po policzkach i skapnęły na dłonie. Chciała powiedzieć więcej, może nawet uciec się do negocjacji, ale poza rozpaczą nie miała nic do zaoferowania.

Drzwi za jej plecami otworzyły się i zamknęły. Ktoś szedł nawą.

Meghann otarła łzy i usiadła w ławce.

- Meg?

Zaskoczona podniosła głowę. Obok ławki stał Sam. Potężna sylwetka zgarbiona w pełnej rezygnacji pozie, zażawione oczy w czerwonych obwódkach.

- Żegna się z przyjaciółkami.

- Wiem.

- Nie mogłem dłużej patrzeć, jak po kolei wychodzą z separatu. Gdy tylko zamkną za sobą drzwi, przestają się uśmiechać i wybuchają płaczem.

Meghann uciekła z tego samego powodu.

- Jest szczęśliwa, że ma tyle przyjaciółek.

- Tak. Mogę się dosiąść?

Przesunęła się, żeby zrobić mu miejsce. Dzieliła ich minimalna odległość, czuła ciepło bijące od jego ciała, ale nie dotykały się ani nie rozmawiali.

- Miałem trzydzieści lat, kiedy do mnie zadzwoniłaś - odezwał się w końcu.

- Och. - Ściągnęła brwi. Czego właściwie od niej oczekiwała?

- Nie miałem rodzeństwa ani innych dzieci.

- Wiem, Sam. Przypominałeś mi o tym za każdym razem, kiedy coś schrzaniłam.

- Byłem wściekły na Elianę. - Westchnął. - Pozbawiła mnie możliwości uczestniczenia w dzieciństwie mojej córki. Tyle lat byłem samotny jak palec, choć wcale nie musiało tak być... no i ta bieda, w jakiej żyłyście z Claire. Nie mogłem tego ścierpieć.

- Wiem.

Przesunął się, odwracając się do niej twarzą.

- Z Claire poszło łatwo. Podniosła na mnie te swoje duże, ufne oczy i powiedziała: „Cześć, tato”; ot, tak po prostu i z nią ją pokochałem. Ty natomiast... - Pokręcił głową. - Ty mnie przerażałaś. Byłaś harda i pyskata, krytykowałaś wszystko, co mówiłem do Claire. Nie docierało do mnie, że jesteś nastolatką. Według mnie byłaś jak...

- Mama.

- Taak. Nie chciałem, żeby Claire na tym ucierpiała. Upłynęło sporo czasu... lat, zanim zrozumiałem, że nie przypominasz Ellie. Ale wtedy było już za późno.

- Być może jestem podobna do mamy - powiedziała cicho.

- Nie - zaprzeczył gorąco. - Byłaś opoką dla Claire w tamtych koszmarnych latach. Masz wielkie serce, nawet jeśli sama w to nie wierzysz. I przykro mi, że za młodu tego nie widziałem.

- Ostatnio wiele rzeczy wygląda inaczej.

- Tak. - Wyprostował się w ławce. - Nie wiem, jak to przeżyję.



Meghann nie odpowiedziała. Co mogła powiedzieć, skoro ją również prześladowało to pytanie?

Kilka minut później drzwi ponownie się otworzyły. Tym razem stanął w nich Bobby. Wyglądał okropnie.

- Chce zobaczyć się z Ali - wyszeptał ochryple. - Ja nie dam rady.

- O Boże! - jęknął niemal bezgłośnie Sam.

- Ja pójdę - oznajmiła Meg, podnosząc się powoli.

Ciaire najwyraźniej znowu przysnęła. Gdy się ocknęła, słońce za oknem przybladło i salę wypełniało przytłumione srebrzyste światło.

- Mamusia już nie śpi.

Teraz dopiero dostrzegła córkę. Ali tuliła się do Meg jak mała małpka, trzymając ją kurczowo za szyję i obejmując nóżkami w pasie.

Ciaire załkała cicho, po czym zebrałszy się w sobie, przywołała na twarz znużony uśmiech. Jedyнным sposobem na przetrwanie tej chwili było udawanie, że nadejdą następne. Ze względu na Ali musiała uwierzyć w cud.

- Cześć, Ali-Kotku. Podobno wyjadłaś wszystkie bułeczki cynamonowe z barku.

Alison zachichotała.

- Tylko trzy, mamusiu. Ciocia Meg powiedziała, że jeśli zjem jeszcze jedną, to zwymiotuję.

Ciaire rozpostarła ręce.

- Chodź do mnie, maleńka.

Meg pochyliła się i delikatnie ułożyła dziewczynkę w wychudzonych ramionach. Ciaire przytuliła ją mocno, jakby już nigdy nie miała jej puścić. Walczyła z łzami, z trudem zachowując uśmiech, kiedy szeptała w małe, różowe uszko córki:

- Pamiętaj, że bardzo cię kocham.

- Wiem, mamusiu - odparła Ali, moszcząc się w jej ramionach. Leżała nieruchomo jak śpiące niemowlę, cicha jak nigdy dotąd. I wtedy Ciaire zrozumiała, że Ali wie. Przybliżyła bu-

zię i wyszeptła: - Obiecałam Bożi, że już nigdy nie poproszę o Cap'n Crunch, jeśli sprawi, że wyzdrowiejesz. - Claire poczuła, że coś się w niej załamuje. Tuliła córkę, póki zdołała.

- Zabierz ją do domu - poprosiła Meg, gdy cierpienie stało się ponad jej siły.

Meghann natychmiast znalazła się przy niej i wzięła Ali na rękę.

Lecz ona wywinęła się z ramion i wdrapała na wytłaczane plastikowe krzesło przy łóżku. Stała na wywrotnym krzeselku, nie spuszczaćc oczu z Claire.

- Mamuś, nie chcę, żebyś umarła - powiedziała cichym, żalnym głosikiem.

Bolało za mocno, żeby zapłakać. Claire patrzyła na swoje ukochane maleństwo.

- Wiem, pączuszkę - powiedziała, krzywiąc usta w uśmiechu. - Kocham cię mocniej niż wszystkie gwiazdki na niebie. Ale teraz pojedziesz grzecznie z dziadkiem i Bobbym do domu. Słyszałam, że mają cię zabrać do kina.

Meghann zdjęła Ali z krzesła. Claire widziała, że też jest bliska płaczu.

- Namów Bobby'ego, żeby pojechał do domu - poprosiła siostrę. - Czuwał tu przez wszystkie noce. Powiedz mu, że Ali go potrzebuje.

Meg wyciągnęła rękę i uściśnęła dłoń Claire.

- Ty jesteś nam potrzebna.

Claire westchnęła.

- Muszę się zdrzemnąć. - Żadne inne słowa nie przysły jej na myśl.

Kilka godzin później Claire zerwała się ze snu. Gwałtowne bicie serca przyprawiało ją o zawroty głowy. Przez ułamek sekundy nie wiedziała, gdzie jest. Potem zobaczyła kwiaty i aparaturę. Gdy wyteżyła wzrok, dojrzała ścienny zegar. Światło księżycy odbijało się na wypukłym szkłe. Była czwarta.

Za parę godzin otworzając czaszkę.

Ogarnęła ją panika i wtedy spostrzegła Meg, która spała w rogu separatki wyciągnięta na niewygodnym krześle.

- Meg - wyszeptała, naciskając przycisk regulacji łóżka; podgłówek wychylił się do przodu. Głośny warkot mechanizmu nie obudził Meg.

- Meg? - powtórzyła donośniej.

Meghann usiadła wyprostowana, rozglądając się nieprzytomnie.

- Przeoczyłam testy?

- Chodź do mnie.

Meghann zamrugała, przeciągając palcami po potarganych włosach.

- Czas?

- Nie. Jeszcze cztery godziny.

Meghann wstała i przystawiła krzesło do łóżka.

- Spałaś?

- Zasnęłam i budziłam się. Świadomość, że ci rozłupią czaszkę, odbiera sen. - Claire spojrzała za okno w księżycową poświatę. Nagle strach rozlał się dreszczem po całym ciele. Zapas pozornej odwagi, którą demonstrowała przed przyjaciółkami i rodziną, wyczerpał się, pozostawiając ją całkowicie bezbronną.

- Pamiętasz, co robiłam, kiedy przyśniły mi się koszmary?

- Wdrapywałaś się do mnie do łóżka.

- Taak. Na tę starą leżankę w salonie przyczepy. - Claire uśmiechnęła się do wspomnień. - Pachniała burbonem i dymem z papierosów i była za ciasna na nas dwie. Ale kiedy mnie przytuliłaś, wierzyłam, że nic złego mi się nie stanie. - Nieśmiało odchyliła pled.

Meghann zawahała się, po czym wsunęła się do łóżka, przytulając do siebie Claire. Nawet jeśli uderzyło ją, jak bardzo siostra wychudła, nie wspomniała o tym słowem.

- Jak to się stało, że zapomnieliśmy o wszystkim, co ważne?

- Byłam głupia.

- Zmarnowaliśmy tyle czasu.

- Przepraszam - szepnęła Meg. - Dawno temu powinnam to była powiedzieć.

Claire odszukała rękę Meg i zamknęła ją w swojej dłoni.

- Chcę cię o coś poprosić, Meg, i nie przerywaj mi żadnymi głupstwami. Nie zdobędę się dwukrotnie na tę prośbę; każde słowo jest jak łykanie stłuczonego szkła. Jeśli dojdzie do najgorszego, chcę, żebyś zajęła się Ali. Ona potrzebuje matki.

Meg ścisnęła dłoń Claire tak mocno, że krew odpłynęła jej z palców.

Minęło parę sekund, zanim zdobyła się na odpowiedź.

- Dopilnuję, żeby zawsze o tobie pamiętała - obiecała zdławionym głosem.

Claire pokiwała głową; słowa nie przeszły jej przez gardło.

Potem leżały w ciemnościach przytulone do siebie, aż nastał ranek i lekarze zabrali Claire.

Meghann stała przy oknie, wpatrzona w beżowe budynki wyrastające po przeciwnej stronie ulicy. W ciągu trzech godzin, które upłynęły od chwili, gdy wywieziono Claire do bloku operacyjnego, policzyła wszystkie okna i drzwi w zasięgu wzroku. Dwudziestu trzech przechodniów wyszło zza rogu Broadway i James. Szesnaście osób stało przed wejściem do Starbucksa.

Ktoś pociągnął ją za rękaw. Obejrzała się. Alison stała przy niej z zadartą głową.

- Chce mi się pić.

Meghann popatrzyła w zielone oczy i mało brakowało, a by się rozpląkała.

- Dobrze, skarbie. - Opanowała się, wzięła Ali na rękę i uważając, żeby nie ścisnąć jej zbyt mocno, zniosła na dół do barku.

- Chcę niebieską pepsi. Taką, jaką mi kupiłaś ostatnim razem.

- Jest dopiero jedenasta. Lepiej napij się soku.

- Mówisz jak mama.

- A wiesz, że twoja mama uwielbiała tab, kiedy była mała? I frescę. A ja jej kazałam pić sok pomarańczowy.

Meghann zapłaciła za sok i wróciła z Ali na rękach do pocze-

kalni. Kiedy chciała ją postawić na ziemi, dziewczynka ciaśniej owinęła ramiona wokół jej szyi.

- Och, Ali - westchnęła, podnosząc ją z powrotem. Tak bardzo pragnęła obiecać, że jej mamusia wyzdrowieje, lecz słowa uwieźły jej w gardle.

Usiadła z Ali w ramionach i gładziła ją po włosach. Po paru minutach dziewczynka zasnęła.

W drugim końcu poczekalni Giną podniosła głowę znad krzyżówki, spojrzała na Meg z Ali na rękach i wróciła do swego zajęcia. Sam, mama, Bobby, Karen i Charlotte grali w karty. Joe siedział w kącie pochylony nad czasopismem. Od wielu godzin nie oderwał od niego wzroku ani się nie odezwał. Nikt nie wykazywał chęci do rozmów. Bo i o czym tu było mówić?

Około południa z bloku operacyjnego wyłoniła się pielęgniarka i poinformowała ich, że operacja potrwa jeszcze kilka godzin.

- Powinniście pójść coś przekąsić - zauważyła, kręcąc głową. - Nie pomożecie Claire, mdlejąc z głodu.

Sam skinął głową i podniósł się z miejsca.

- Chodźcie - zwrócił się do wszystkich. - Wyjdźmy stąd. Stawiam lunch.

- Ja zostaję - oznajmiła Meghann. Jedzenie było ostatnią rzeczą o jakiej myślała. - Ali musi trochę pospać.

Bobby ścisnął ją za ramię.

- Przynieść ci coś z baru?

- Może kanapkę dla Ali - z masłem orzechowym i galaretką.

- Załatwione.

Kiedy wyszli, Meghann odchyliła się na krzesło, opierając głowę o ścianę. Ali posapywała cicho w jej ramionach. Miała wrażenie, że zaledwie wczoraj tuliła w ten sam sposób Claire i mówiła jej, że wszystko będzie dobrze.

- Cholera, to trwa już prawie cztery godziny. Co oni z nią tam wyprawiają?

Meghann podniosła głowę. Stała przy niej mama z niezapalonym papierosem Virginia Slim w palcach. Makijaż przybladł i miejscami się rozmazał; bez niego wydawała się wyblakła.

- Sądziłam, że poszłaś z nimi na lunch.  
- Jedzenie z barku? Nie ma mowy. Zjem wczesną kolację w apartamencie hotelowym.

- Usiądź, mamo.

Matka opadła na wytłaczane plastikowe krzesło obok niej.

- Jak Boga Kocham, to najgorszy dzień w moim życiu. I to coś znaczy.

- Ciężko tak czekać.

- Powinnam poszukać Sama. Może zechce zagrać ze mną w karty czy coś.

- Mamo, dlaczego go zostawiłaś?

- Jest dobrym człowiekiem - odparła jedynie.

Z początku Meghann uznała, że mama wywinęła się od odpowiedzi. Zrozumiała dopiero po chwili.

Mama uciekła, ponieważ Sam był dobry. Potrafiła zrozumieć ten rodzaj rejterady.

- Są pewne sprawy, o których powinnam powiedzieć - wyszeptwała, niecierpliwie machając zgaszonym papierosem. - Ale nigdy nie radziłam sobie zbyt dobrze ze słowami, nie mając scenariusza.

- Żadna z nas nie jest bardzo rozmowna.

- I dzięki Bogu. Gadanie niczego nie zmienia. - Zerwała się z krzesła. - Kontakt z reporterami zawsze podnosi mnie na duchu. Pa, Meggy. Będę po przeciwnej stronie ulicy, gdy... - głos jej zadrżał - dowiedcie się, że z nią wszystko w porządku. - Z tymi słowami wymaszerowała z poczekalni z promiennym, hollywoodzkim uśmiechem.

Godzina wlokła się za godziną i wreszcie około szesnastej do poczekalni wszedł doktor Weissman. Meghann pierwsza go zobaczyła. Przyciskając do siebie Ali, zerwała się z miejsca. Natychmiast po niej podniósł się Bobby, a potem Sam i mama, następnie Joe, Gina, Karen oraz Charlotte. Milczącą grupą zbliżyli się do lekarza, który powiódł dłonią po rzadziejących włosach, posyłając im znużony uśmiech.

- Operacja przebiegła pomyślnie.
- Dzięki Bogu - wyszeptali zgodnym chórem.
- Ale jeszcze długa droga przed nią. Guz okazał się bardziej agresywny, niż sądziliśmy. - Przeniósł spojrzenie na Joego. - Najbliższe godziny powiedzą nam więcej.

## 31

Claire wybudziła się z narkozy oszołomiona i zdezorientowana. Głowa nad oczami pulsowała z bólu. Już miała zadzwonić na pielęgniarkę i poprosić o advil, gdy doznała olśnienia.

Żyje.

Żeby sprawdzić pamięć, najpierw policzyła do stu, a potem zaczęła wymieniać wszystkie miasta, jakie odwiedziła w dzieciństwie, ale zdążyła dojść zaledwie do Barstow, gdy do sali zaczęły napływać pierwsze pielęgniarki. Po serii badań, opukiwań i testów nie była w stanie myśleć.

Rodzina czuwała przy niej na zmianę. Z okresu po operacji najbardziej zapamiętała dwa obrazki: Bobby'ego, który siedząc przy łóżku, przez dwie godziny przytrzymywał woreczek z lodem na jej głowie, i ojca, wkładającego do ust kuleczki lodu, kiedy chciało jej się pić. Meghann przyniosła najnowszy rysunek Ali - trzy kolorowe postaci stojące nad rzeką. Pod spodem napis wykonany niewprawnym dziecięcym pismem: „Kocham cię, mamusiu”.

Drugiego dnia po operacji Claire ogarnęło rozdrażnienie. Całe ciało miała obolałe, a miejsce na czole pod uciskową metalową opaską zdawało się płonąć żywym ogniem. Oszczędnie aplikowano jej środki przeciwbólowe, żeby nie zaciemniać ewentualnych efektów ubocznych zabiegu.

- Gównianie się czuję - poskarżyła się Meghann, która siedziała na krześle przy oknie.

- Wyglądasz gównianie.

Claire zdobyła się na uśmiech.

- Znowu te maniery samarytanki. Myślisz, że niedługo przyjdą?

Meghann podniosła głowę znad książki, którą, jak Claire zauważyła, trzymała do góry nogami.

- Pójdę sprawdzić jeszcze raz. - Odłożyła książkę i stanęła w otwartych drzwiach.

Dolores, pielęgniarka z dziennej zmiany, z uśmiechem wkroczyła do sali. Pchała przed sobą pusty wózek.

- Czas na rezonans.

Claire ogarnęła panika. Nagle opuściła ją chęć, żeby tam jechać. Po co wiedzieć? Czuła się lepiej. To wystarczy...

Meghann podeszła i ścisnęła ją za rękę. Ten dotyk dodał jej odwagi.

- Dobra, Dolores. Jedziemy.

Bobby czekał na korytarzu.

- Już czas?

- Tak - odpowiedziała Meghann.

Przez całą drogę do Centrum Medycyny Nuklearnej Bobby trzymał Claire za rękę. Rozstanie przed drzwiami centrum i dalsza samotna jazda znajomymi białymi korytarzami stanowiły akt woli.

Kilka minut później Claire znowu leżała w przypominającej trumnę kapsule i oglądała czysty, pozbawiony groźnych cieni obraz swego mózgu, widziała go tak wyraźnie, że kiedy badanie dobiegło końca, skronie miała wilgotne od łez.

Bobby, Meghann i Dolores czekali na nią.

Dolores pomogła jej usiąść na wózku i ustawiła stopy w papuciach na podnóżku. Wrócili do sali.

Źle znosili oczekiwanie. Meghann krążyła po separatce, Bobby ścisnął dłoń Claire tak mocno, że drętwiały jej palce. Co chwila zaglądał do nich Sam.

Nareszcie Dolores wróciła.

- Claire, lekarze chcą cię zobaczyć.

Podczas jazdy do gabinetu błahe rzeczy - ciepły dotyk dłoni Bobby'ego na ramieniu, monotony szmer monologu Dolores,



widok Meg kroczącej tuż obok - pomagały Claire powstrzymać się od histerycznego krzyku.

- Jesteśmy na miejscu. - Dolores zatrzymała się i zapukała do drzwi.

- Proszę! - zawołał ktoś.

Pielęgniarka poklepała Claire po ramieniu.

- Trzymamy za ciebie kciuki, skarbie.

- Dzięki.

Meghann przejęła wózek i wjechała do gabinetu. Wewnątrz czekało kilku lekarzy.

- Dzień dobry, Claire - pierwszy odezwał się doktor Weissman.

- Dzień dobry - odpowiedziała, starając się zachować spokój. Mężczyźni czekali, aż Meghann usiądzie, dopóki się nie zorientowali, że ona nie ma takiego zamiaru. Doktor Weissman włączył negatoskop. Zdjęcia Claire. Jej mózg. Pchnęła koła i podjechała bliżej.

Wpatrywała się w kliszę, a potem przeniosła wzrok na lekarzy.

- Nie widzę guza.

Doktor Weissman uśmiechnął się.

- Ja też nie. Claire, wygląda na to, że usunęliśmy go w całości.

- O mój Boże! - Tak na to liczyła, gorąco się o to modliła. A nawet uwierzyła, lecz dopiero teraz zrozumiała, na jakich kruchych podstawach zbudowała tę wiarę.

- Według wstępnych wyników z laboratorium to była mało agresywna *astrocystomia*.

- A nie *glioblastomia multiformel* Dzięki Bogu.

- Tak, to dobra wiadomość. No i guz był łagodny - dodał doktor Weissman.

- Ma pani szczęście, pani Austin. - Jeden z lekarzy wysunął się do przodu. - Doktor Weissman wykonał kawał dobrej roboty. Jednak, jak pani wie, większość guzów się regeneruje. Dwadzieścia osiem procent wszystkich...

- Dość! - Claire nie zdawała sobie sprawy, że krzyknęła, dopóki nie dostrzegła konsternacji na twarzach lekarzy. Obejrzała się na Meg, która dodała jej otuchy skinieniem głowy. - Nie chcę słuchać tych waszych statystyk. Był łagodny, tak?

- Tak - potwierdził lekarz - ale termin „łagodny” w odniesieniu do guza mózgu jest pojęciem mylącym. Wszystkie nowotwory mózgu, łagodne czy nie, kończą się tragicznie.

- Taak, taak. Ograniczona przestrzeń i tak dalej - dopowiedziała Claire. - Ale to nie jest ten rodzaj nowotworu, który daje przerzuty, prawda?

- Zgadza się.

- Został usunięty i był łagodny. Tylko tyle chcę wiedzieć. Proszę opisać mi dalszą terapię i oszczędzić danych i statystyk. Moja siostra już je zgłębiła. - Posłała uśmiech Meg. - Na stole w kuchni trzymała teczkę z napisem: „Nadzieja”. Były w niej dziesiątki doniesień ludzi, u których ponad siedem lat temu wykryto raka mózgu, a żyją do dziś. Wiecie, co ich łączyło?

Jedynie doktor Weissman zachował uśmiech na twarzy.

- Wszystkim oświadczone, że nie przeżyją pół roku. Wy, lekarze, jesteście jak ci, co w telewizji przepowiadają pogodę dla Seattle na czerwiec. Mówicie wyłącznie o deszczu. A ja nie zabiorę ze sobą parasolki. Moja przyszłość jest słoneczna.

Doktor Weissman uśmiechnął się szerzej. Przeszedł przez gabinet i nachylił się nad Claire.

- Tak trzymaj - szepnął jej do ucha.

- Nie ma takich słów, doktorze, które wyraziłyby moją wdzięczność.

- Powinnaś podziękować doktorowi Wyattowi. Powodzenia, Claire.

Gdy tylko znalazła się z powrotem w sali, rozpląkała się. Nie mogła pohamować łez. Bobby tulił ją i całował po łysej głowie, aż w końcu podniosła na niego zapłakane oczy.

- Kocham cię, Bobby.

Pocałował ją gorąco.

Wtuliła się w niego, a potem szepnęła:

- Przyprowadź naszą małą dziewczynkę. Chcę jej powiedzieć, że mamusia będzie zdrowa.

Pospieszył spełnić jej prośbę.

- Byłaś niesamowita - stwierdziła Meg, kiedy zostały same.

- Moje nowe motto: Nie przeginać z Łysymi.

- Nie będę. - Meghann błysnęła zębami w uśmiechu.

Claire wzięła siostrę za rękę.

- Dzięki.

Meg pocałowała Claire w odcisnięty ślad po opasce na czole.

- Jesteśmy siostrami - wyszeptła. Ta odpowiedź wystarczyła za wszystko. - Teraz przyprowadzę mamę. Pewnie ściągnie tu całą ekipę filmową. - Meghann z uśmiechem wyszła z sali.

- Nie mam guza - powiedziała dobitnie Claire do pustego pokoju, po czym się roześmiała.

Meghann znalazła wszystkich w barku. Bobby zdażył zejść na dół i rozmawiał z Samem. Mama rozdawała autografy w kolejce do bufetu. Blueserki razem z Alison siedziały skupione w kącie i rozmawiały półgłosem. Brakowało jedynie Joego.

- I wyobraźcie sobie - perorowała mama przed zachwyconą publicznością - już mam wchodzić na scenę, a tu suknia się nie dopina. Nie jestem - dodała ze śmiechem - płaska jak deska, więc możecie sobie wyo...

- Mamo? - przerwała jej Meg, dotykając ramienia.

Błyskawicznie się odwróciła. Na widok Meghann jej wymalowany uśmiech przybladł. Przez chwilę wydawała się krucha i bezradna. Mała Joannie Jojovitch z zakazanej dzielnicy Detroit.

- I co? - wyszeptła.

- Mamo, idź na górę. Dobre wieści.

Mama wydała głębokie westchnienie.

- No pewnie, że tak. Wszyscy macie skłonności do dramatyzowania. - Odwróciła się z powrotem do swojej publiczności. - Przykro mi, że muszę przerwać w połowie opowieści, ale moja córka cudem powróciła do zdrowia. To mi przypomina taki jeden film telewizyjny, w którym kiedyś grałam, gdzie...

Meghann oddaliła się.

- Ciociu Meg! - zawołała Alison, zeskakując z krzesła i pędząc do niej. - Mamusia jest zdrowa! - Meghann poderwała ją z ziemi i ucałowała.

W tej samej chwili powstał rwetes wśród Blueserek.

- Zbieramy się! - rzuciła hasło Gina. - Idziemy z wizytą do Claire!

Bobby podszedł do Meghann.

- Chodź, Ali Gator - powiedział, biorąc małą na rękę. - Pójdziemy dać mamie buzi. - Odchodząc, zawahał się i odwrócił.

- Dziękuję - wyszeptał i delikatnie pocałował Meg w policzek.

Meghann zacisnęła powieki, zaskoczona intensywnością własnych emocji. Kiedy otworzyła je zamglone od łez, zobaczyła, że zbliża się do niej Sam.

Szedł powoli, jak gdyby w obawie, że lada moment nogi odmówią mu posłuszeństwa. Wyciągnął rękę i pogładził Meg po policzku.

Dopiero po dłuższej chwili odezwał się przyciszonym głosem:

- Spodziewam się ciebie w domu na Święto Dziękczynienia. I żadnych wykrętów. Jesteśmy rodziną.

Meg stanęły w pamięci tamte wszystkie lata, kiedy odrzucała zaproszenia Claire, oraz te, gdy takie zaproszenie nawet nie padło. Przypomniała sobie ostatnie Święto Dziękczynienia, spędzone samotnie nad miseczką Raisin Bran. Tyle lat udawała, że nie jest samotna. Koniec z udawaniem i koniec z samotnością, skoro ma rodzinę, która ją chce.

- Tylko spróbuj mnie trzymać z daleka.

Sam pokiwał głową i ruszył dalej. Widziała, jak pochylił się ponad głowami ludzi w kolejce, chwycił mamę za ramię i wyciągnął z tłumu. Posłała swym fanom całusa i podreptała za nim.

Meghann pozostała jeszcze chwilę, niepewna, dokąd ma iść.

Joe.

Biegła korytarzami, posyłając uśmiechy pielęgniarce i sani-

tariuszom, którzy przez te ostatnie parę tygodni stali się dla niej kimś więcej niż przyjaciółmi, pokazując im kciuk na znak zwycięstwa.

Zahamowała raptownie w drzwiach poczekalni.

Była pusta. Czasopismo, które czytał, leżało otwarte na stole.

Spojrzała za siebie w głąb korytarza; nie, Claire jej teraz nie potrzebuje. Znajdą dla siebie czas później, kiedy opadnie podniecenie i wszystko wróci do normy. Mają przed sobą całe życie. Teraz Claire potrzebne jest ubranie na powrót do domu.

Meghann weszła do windy, zjechała do głównego holu i wyszła na dwór. Chciała jak najprędzej zadzwonić do Elizabeth i przekazać jej dobrą nowinę.

Był piękny, słoneczny dzień. Kontury miasta rysowały się wyraźnie i czysto. Odległa zatoka srebrzyła się niebieskawo pomiędzy szarymi wysokościami. Meghann schodziła ze wznieślenia, pogrążona w myślach o wielu sprawach - o swym życiu, o pracy, o rodzinie.

Może zmieni specjalizację, zajmie się inną dziedziną prawa. A może otworzy firmę, coś w rodzaju agencji wymiany informacji dla ludzi z nowotworami mózgu; mogłaby wziąć na wspólnika jakiegoś rozczarowanego lekarza. Albo założy fundację, która będzie współfinansować najlepszą opiekę medyczną w najtrudniejszych przypadkach. Świat stał przed nią otworem, ukazując całą gamę nowych możliwości.

Droga do domu zajęła jej niecałe pół godziny. Zamierzała właśnie przejść przez ulicę, gdy dostrzegła go przed wejściem.

Na jej widok oderwał się od ściany i przeszedł przez jezdnię.

- Gina dała mi twój adres.

- Czy Stu powiedział ci o wynikach rezonansu?

- Ostatnią godzinę spędziliśmy razem. Rokowania są optymistyczne.

- Tak.

Podszedł bliżej.

- Meg, jestem znudzony samotnością - powiedział cicho. - I męczy mnie udawanie, że umarłem razem z Dianą.

Stali blisko siebie, tak blisko, że gdyby chciał, mógłby ją pocałować.

- Jakie szanse ma para taka jak my?

- Jest dla nas nadzieja. To wszystko, na co możemy liczyć.

- A jeśli zostaniemy zranieni?

- Już raz udało nam się przetrwać. - Dotknął lekko jej policzka; była gotowa się rozpłakać. Żaden mężczyzna nie obchodził się z nią tak delikatnie. - Może uda nam się zakochać?

Patrzyła mu w oczy i czytała w nich nadzieję na przyszłość. A może nawet więcej. Widziała w nich obietnicę miłości, o której mówił, i po raz pierwszy była gotowa w nią uwierzyć. Skoro Claire wyzdrowiała, wszystko jest możliwe. Objęła go, wspinając się na palce.

- Może już się to stało - odważyła się wyszeptać, zanim go pocałowała.

## Epilog

### *Rok później*

Hałas był ogłuszający - w wesołym miasteczku kłębiło się mnóstwo ludzi; dzieci popiskiwały na karuzelach, rodzice pokrzykiwali, pracownicy obsługi głośno zachęcali do udziału w grach, z głośników dudniła muzyka.

Alison wysforowała się naprzód i ciągnęła Joego od karuzeli do karuzeli. Meghann i Claire, pogrążone w cichej rozmowie, szły nieco z tyłu, obładowane całą kolekcją pluszaków i tanich szklanych ozdóbek, które Joe zdażył wygrać. Claire nieznacznie kulała - to był jedyny ślad po niedawnych przejściach - z każdym dniem utykanie stawało się mniej widoczne. Włosy odrosły; jaśniejsze i bardziej skręcone niż przedtem.

- Już czas - stwierdziła Claire, przyzywając Joego skinieniem ręki. Idąc teraz we czwórkę, minęli budkę z jedzeniem i skręcili w stronę estrady pod gołym niebem.

- Już jest pełno ludzi - zauważyła Claire wyraźnie podenerwowana.

- Nic dziwnego - stwierdziła Meghann.

- Szybciej, mamuś, pospiesz się! - Alison podskakiwała jak piłka. Przy służbowym wejściu Claire pokazała przepustkę. Przeszły przez scenę, mijając rozgrzewających się muzyków i solistów.

Bobby pomachał do nich, gdy tylko ich zauważył. Alison podbiegła do niego. Porwał ją z ziemi i zakręcił pirueta.

- Mój tata będzie dziś śpiewał - oznajmiła na cały głos, tak żeby wszyscy słyszeli.

- A jak. - Bobby otoczył Claire ramieniem i pocałował. - Życz mi szczęścia.

- Nie ma takiej potrzeby.

Porozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym zostawiła go, żeby mógł się przygotować.

Wspięli się na widownię i odnaleźli swoje miejsca w czwartym rzędzie. Meghann pomogła Claire usiąść; czasem miewała zawroty głowy.

- W zeszłym tygodniu zadzwonił Kent Ames - oznajmiła Claire. - Mama dała mu popalić za zerwanie kontraktu z Bobbym.

- Nękała go od kilku miesięcy.

- Wiem. W zeszłym tygodniu oświadczyła Kentowi, że załatwiła Bobby'emu przesłuchanie w Mercury Records. O mało nie trafił go szlag. Wygląda na to, że chce dać Bobby'emu jeszcze jedną szansę. Powiedział, iż ma nadzieję, że tym razem Bobby nie będzie miał wątpliwości, co jest dla niego najważniejsze - dokończyła z uśmiechem Claire.

Na scenie pojawił się konferansjer.

- Bob-by Jack Austin!

Tłum przyjął zapowiedź uprzejmymi oklaskami.

- Hej, tatusiu! - zawołała na cały głos Alison, podskakując na ławce.

Bobby wbiegł z gitarą na scenę. Odszukał Claire na widowni i posłał jej całusa.

- Tę piosenkę dedykuję mojej żonie. To ona nauczyła mnie, czym jest miłość i odwaga. Kocham cię, maleńka! - Uderzył w struny i zaczął śpiewać. Zahipnotyzował publiczność swym czystym, ciepłym głosem, zestrojonym z brzmieniem gitary. Śpiewał o tym, jak znalazł kobietę swych marzeń i zakochał się w niej, i o tym, jak trwał przy niej w chwilach rozpacz. W ostatniej zwrotce jego głos przeszedł w gardłowy szept; tłum wychylił się do przodu, żeby wyłowić słowa.

*Gdy zobaczyłem, jak idąc,  
zmagasz się ze skałami na drodze,  
poznałem, czym jest prawdziwa miłość  
i dar każdego następnego dnia*

Tym razem nagrodzono go burzą oklasków. Połowa kobiet na widowni pochlipywała.

Meghann objęła Claire za szyję.

- Mówiłam ci, że będzie z niego wspaniały mąż. Polubiłam tego faceta od pierwszej chwili.

Claire parsknęła śmiechem.

- No jasne. A jak tam ty i Joe? Przecież wy właściwie mieszkacie razem. Coś mi się wydaje, że zanoszą się na spisanie intercyzy.

Meghann spojrzała na Joego, który oklaskiwał Bobby'ego, trzymając Alison na rękach. Mówił, że skoro wrócił do medycyny, wszystko wydaje się możliwe. Wzajemnie uczyli się na nowo uwierzyć w miłość.

- Intercyza? Ja? Nie ma mowy. Myślmy o skromnym weselu. Na dworze...



- Gdzie pada? I gryzą robale? Takie wesele masz na myśli?
- Być może z hamburgerami, hot dogami i...
- ...z sałatką ziemniaczaną Giny - dokończyły chórem, wybuchając śmiechem.
- Tak - przyznała Meghann, przytulając się do siostry. -  
O takim weselu myślę.